



MARTYNA KELLER

# DIABŁY VEGAS

monholeta

DIABŁY NEVADY #2



**MARTYNA KELLER**

# **DIABŁY VEGAS**

**DIABŁY NEVADY #2**

**OŚWIĘCIM 2021**

Copyright ©  
Martyna Keller  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2021  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

Redakcja:  
Katarzyna Moch  
Korekta:  
Justyna Nowak  
Edyta Giersz  
Katarzyna Olchowy  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-747-5

# SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

EPILOG

## PLAYLISTA

# PROLOG

## GABRIEL

Próba odnalezienia się w nowej rzeczywistości okazuje się dla mnie cholernym wyzwaniem.

Krew szumi mi w uszach, gdy cofam bark i wymierzam kolejne, zamaszyste uderzenie w worek treningowy. Sprzęt huśta się na solidnym łańcuchu, kiedy ponownie prostuję rękę, wyprowadzając następny cios. Aż w końcu zastygam w bezruchu, lekceważąc to nieodparte wrażenie, jakbym miał za moment wypluć płuca. Przecieram skroń przegubem ręki. Rozglądam się po sali treningowej, która pozostaje pusta.

*Wszyscy już dawno stąd poszli, przypominam sobie.*

Zębami poluzowuję sznurki czarnych rękawic. Ściągam je z rąk, ruszając w kierunku drewnianej ławki. Bandaże odwijam na samym końcu. Wszystko wrzucam do torby. Rozglądając się po znajomych, czerwonych i czarnych ścianach, przez głowę przechodzi mi myśl, że Mayson zdecydowanie powinien wykonać tutaj remont. Pomieszczenia w podziemiach Inferno wyglądają bowiem jak pierdolone lochy.

Narzucam na głowę kaptur, po czym żwawym krokiem pokonuję odległość dzielącą mnie od windy. Przesunąwszy zardzewiałe, czarne kraty pełniące rolę drzwi, wciskam na panelu odpowiedni guzik. Niewielką klitką szarpie lekko, kiedy winda rusza do góry. Opieram potylicę o ścianę. Wszystkie mięśnie powoli zaczynają wiotczeć mi po nadprogramowym, kilkugodzinnym treningu. Zamiast zastanawiać się nad tym, jak bardzo wkurwi się za niego Mayson, liczę na to, że całe popołudnie naporzania w worek przybliży mnie chociaż odrobinę do zdobycia tytułu mistrza świata w swojej kategorii wagowej.

Wychodzę z windy, kiedy ta uprzednio zatrzymuje się na właściwym piętrze. Zanim zdążę dotrzeć chociaż do recepcji, żeby oddać klucze do sali treningowej, zza pleców dobiega mnie znajomo brzmiący, surowy ton:

– Gabriel? My się już chyba żegnaliśmy, co?

*Kurwa, no bez jaj, klnę w duchu.*

Odwracam głowę, żeby skrzyżować spojrzenie ze swoim trenerem. Nie wygląda, jakby był zadowolony z faktu, że mnie widzi. Cóż, biorąc pod uwagę, że ostatnio często się tutaj zaszywam, chyba ma do tego prawo.

– Miałeś dzisiaj podobno cholernie dużo spraw do załatwienia – bąkam niedbale.

– A ty miałeś zniknąć mi z oczu i przygotować się na wieczór.

Zakładam dłonie na biodrach, uprzednio kładąc klucze na blacie recepcji.

– Zdążę. – Wzruszam nonszalancko ramionami. – Dodatkowy trening był mi potrzebny. Ostatnio sam mówiłeś, że moje ciosy są mniej płynne, niż powinny. Więc pracuję nad tym, żeby nikt mnie nie wygryzł. Ot, wymówka, która powinna cię uspokoić.

– Nie uspokaja – odpowiada wymownie mężczyzna.

– Szkoda.

Mayson poprawia poły swojej marynarki. Jego spojrzenie pozostaje srogie i surowe, ale, szlag, już dawno zacząłem być na nie odporny. Tak gdzieś pomiędzy okresem przygotowawczym, jaki odbyłem w Inferno, a czasem, w trakcie którego stałem się jego pierdoloną gwiazdeczką uwielbianą przez media i tabloidy. Nic więc dziwnego, że gdy ten facet patrzy na mnie w ten sposób, ja odwdzięczam mu się tym samym.

Wbrew moim początkowym przekonaniom Mayson nie jest wcale takim gburem.

– To dobrze, że jesteś tak skoncentrowany na boksie. Niezmiernie mnie to cieszy, ale nie możesz przychodzić do Inferno dzień w dzień, spędzać tutaj tyle godzin i liczyć, że nie zwrócę ci uwagi na to, że życie przelatuje ci przez palce. Bądź poważny, Gabrielu. Sport jest ważny, ale nie najważniejszy. Zafiksowałeś się tak, że od ponad

dwóch lat nie widzę w tobie faceta, tylko cholernego robota – wyrzuca mi trener.

Wzdycham ciężko. Przesuwam palcami wzdłuż pasa torby, po czym opieram ramię o ścianę. Wszystko wskazuje na to, że reprimenda trenera będzie nieco dłuższym wywodem, niż bym chciał. Po krótkiej chwili odpowiadam:

– Zafiksowałem się, bo wiem, że mogę wycisnąć z siebie więcej.

– Zrobiłeś to, bo zamknąłeś się przed światem na cztery pieprzone spusty – kontruje mężczyzna, a jego słowa uderzają we mnie jak cholerny huragan.

Zamiast pokazać mu jednak, jak bardzo wkurwił mnie jego komentarz, po prostu patrzę na niego obojętnym wzrokiem, jakby powiedział coś, co mija się w każdej kwestii z prawdą.

– I wyjdzie mi to na dobre – odpowiadam neutralnym tonem.

Mayson sznuruje usta w wąską kreskę.

– Crade, moja drużyna to nie tylko sportowcy. To również ludzie...

– W porządku – przerywam mu bezczelnie. – Mam nadzieję, że pogratulujesz mi, gdy zdobędę tytuł mistrza świata. – Odbijam się od ściany, wciskając dłonie do kieszeni ciemnej bluzy.

Ignoruję szczypanie poobdzieranych knykcii. Na mojej twarzy nie pojawia się nawet załóżek zwyczajnego grymasu, gdy wciąż wpatruję się w pokerową minę trenera.

– Jeszcze parę tygodni. Zdążysz wypracować płynność ciosów bez konieczności szwendania się po Inferno po godzinach. Nie zapominaj, że twój organizm wciąż regeneruje się po okresie przygotowawczym. To był ciężki rok i lepiej, żebyś był świadomy tego, jak bardzo możesz sobie zaszkodzić ćwiczeniem ponad normę. – W głosie Maysona słyszę surową nutę, którą puszczam mimo uszu.

Na myśl od razu przychodzi mi sławny okres przygotowawczy Diabłów. Szczerze mówiąc, to był piekielnie trudny rok. Treningi, które odbywały się dzień w dzień, były wręcz katorżnicze i zmusiły mnie do uodpornienia organizmu na horrendalny wysiłek. Poznawanie tajnik boksu, całej struktury klubu, obieranie taktyki i nauka techniki – to wcale nie było lekkie do udźwignięcia. A jednak po prawie dwóch latach od podpisania umowy z Ethanem Maysonem czuję się dzięki temu jak ktoś, kto może osiągnąć więcej.

Westchnąwszy krótko, odpowiadam wymijająco:

– O której mam wpaść do tej restauracji?

– Przed dziewiątą. Konsultowałem się z paroma firmami i czasopismami. Będę miał dla ciebie i Price’a kilka propozycji. Od was zależy, czy je przyjmiecie, ale uprzedzam, że są godne zachodu. Wasze nazwiska wciąż muszą utrzymać się na językach milionów ludzi, a dzięki nowym współpracom taki stan rzeczy będzie jak najbardziej możliwy.

Mężczyzna zerka mimochodem na aktówkę, którą trzyma w prawej ręce.

– Przekonamy się – wzdycham na odchodne. – Na razie, Ethan.

– Na razie, Gabrielu – słyszę za plecami.

Ruszam w kierunku wyjścia z Inferno. Rozglądam się po parkingu, ignorując fakt, że pierwsze krople deszczu zaczynają skapywać mi na twarz. Pierwsza połowa października w Vegas jest wyjątkowo kapryśna. Odnajdując wzrokiem zaparkowanego nieopodal czarnego lexusa, wyciągam z kieszeni kluczyki. Do samochodu wsiadam w momencie, w którym telefon bezwiednie leżący na fotelu pasażera zaczyna niemiłosiernie wibrować.

Wypuszczam ze świstem powietrze, po czym odbieram połączenie.

– Ej, stary... – Głos Asha Price’a rozpoznałbym wszędzie.

– Przed dziewiątą – przerywam mu, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że ten facet w ogóle nie ma głowy na karku i zapewne w ciągu tych paru godzin, które upłynęły od wspólnego treningu całej drużyny, zdążył zapomnieć o spotkaniu z Maysonem. – Restauracja niedaleko tego klubu, do którego tak chętnie chodzisz. Chyba nazywał się „Redlight”.

– Coś mi świta. Znowu gadka o współpracy? – dopytuje Ash.

Wyjeżdżam z parkingu, cały czas mając telefon przyciśnięty do lewego ucha. Ulice Las Vegas jak zwykle nie są zatłoczone, ale taki stan rzeczy utrzyma się jedynie do wczesnego wieczora. Mrugam powoli, gdy krople deszczu roztrzaskują się na przedniej szybie. Zatrzymując się przed z reguły ruchliwym skrzyżowaniem, bąkam neutralnym głosem:

– Mhm. Podobno coś godnego zachodu.

– Takie oferty wychodzące od tego mruka lubię najbardziej – stwierdza Price. – Szybkie, interesujące i kurewsko opłacalne. Co jak co, ale sztab i Mayson wiedzą, jak selekcjonować te propozycje. – Mój kumpel po fachu nie kryje zadowolenia.

Cóż, wcale mu się nie dziwię. Ludzie z Inferno nie wpakują nas w byle jakie gówny i to jest bez wątpienia jeden z lepszych aspektów współpracy z nimi – ich doświadczenie i rozeznanie w tej branży.

– Już zacierasz rączki na tę kasę, co? – pry cham drwiąco.

– Pytasz, jakbyś nie wiedział. – Oczami wyobraźni widzę cwany uśmiech na twarzy Asha. Kręcę głową z pobłażaniem.

*Materialista*, przechodzi mi przez myśl. *Ulubieniec mediów, gwiazdeczka internetu i pierdolony materialista*. W pewnym sensie to wcale nie brzmi tak obco.

– A jak z tą galą nagród? – W głosie mężczyzny słyszę zaciekawienie.

– Co ma z nią być? – Mrużę oczy w niezrozumieniu. – Będzie za tydzień, tak jak od początku planował to ten popularny magazyn, który ją organizuje. W tej kwestii nic się nie zmieniło – rzucam bez emocji, zerkając mimochodem na deskę rozdzielczą.

Widok znajdującej się na niej daty utwierdza mnie w przekonaniu, że dokładnie za tydzień odbędzie się gala nagród przygotowywana przez sławne czasopismo sportowe. To duże przedsięwzięcie. Ten, kto zostanie uhonorowany tytułem „sportowca roku”, może cieszyć się nim przez całe 365 dni i liczyć na spory rozgłos.

Chociaż nie potrzeba mi większego, dobrze byłoby utrzymać renomę swojego nazwiska przed zbliżającymi się mistrzostwami świata w boksie. Nawet głupia wygrana w gali nagród sportowych byłaby dla mnie zwyczajnie opłacalna. Mayson wmówił mi to dobitnie.

– Nadal nie wiesz, kto również został nominowany? – pyta Price.

– Sprawdzę wieczorem maila. Może wysłali mi już informacje. – Wzruszam swobodnie ramionami. – Zresztą po co mi to w ogóle wiedzieć? Obaj dobrze wiemy, że akurat tę galę wygrywa co roku ktoś od nas. A skoro tym razem to mnie nominowali...

– Wygraną masz jak w banku – dopowiada za mnie mężczyzna. – Nie siedzę aż tak głęboko w innych dyscyplinach, ale nic nie

wskazuje na to, żeby ktoś mógł pokonać Diabła. Zmieciesz resztę konkurencji w proch. Ta szopka to czysta formalność.

– Nie spóźnij się. Mayson jest dzisiaj nie w humorze – mówię pod nosem, po czym kończę połączenie, gdy duża, dwuskrzydłowa brama rozsuwa się z chwilą, w której uruchamiam ją pilotem. Wzdycham ciężko, wjeżdżając na teren własnej posesji.

Przez następne godziny robię to, co wychodzi mi najlepiej od cholernych dwóch lat.

Zaszywam się w mroku i udaję, że rutyna mnie uszczęśliwia.

Jest dziewiąta, gdy docieram do centrum miasta. Vegas jak zwykle emanuje żywiołową aurą, kiedy z nieprzeniknioną miną pokonuję zatłoczoną aleję. Wchodząc do wybranej przez Maysona restauracji, zapach tytoniu i przypraw korzennych momentalnie wdziera mi się do nosa. Omiatam wzrokiem przestronną salę zachowaną w stylu zamkowym. Kamień dekoracyjny, którym wyłożone są ściany, i ciężkie zasłony zwisające bezwiednie z mosiężnych karniszy dodają temu miejscu jedynie więcej grozy. Lubię tę knajpę.

Zasiadłszy przy stole naprzeciwko swojego trenera i kumpla z drużyny, zakasuję po łokcie rękawy czarnej koszuli. Czuję na sobie ciekawskie spojrzenia reszty klientów, ale to nic, co wprowadziłoby mnie w dziwne zakłopotanie. Wciskam plecy w oparcie krzesła, pytając:

– Więc co tym razem?

– Chcesz konkrety? – Mayson unosi brew. – Tak od razu?

– Chyba nie będziesz mnie tutaj trzymał w nieskończoność, co? – bąkam, zaciekle wpatrując się w twarz siedzącego przede mną mężczyzny. Trener poprawia mankiety swojej koszuli, po czym wzrusza ramionami.

Odpowiada mi zupełnie szczerze:

– Naprawdę nie wiem, dlaczego tyle marek chce współpracować z takim nadętym bufonem jak ty. Przyda ci się lekcja cierpliwości, więc zaczniemy od Price'a. – Tym razem Mayson zwraca się do siedzącego obok mnie Asha.

Wywracam oczami. *Co za farsa*, przechodzi mi przez myśl.

– Pewna znana firma chciałaby, żebyś wziął udział w ich kampanii reklamowej promującej odzież dla sportowców. – Mężczyzna podsuwa Ashowi świstek papieru pod nos. – To dobra oferta. Zawiera korzystne warunki. Możesz na tym dobrze zarobić.

– Ekstra – pomrukuje z zadowoleniem Price, zacierając ręce.

Mayson patrzy na niego z jawnym politowaniem, odpowiadając:

– To uczciwa stawka jak na fakt, że aktualnie masz swoje pięć minut sławy.

W tej samej chwili do naszego stolika podchodzi jasnowłosa kelnerka. Zerkam na nią mimochodem. Jej policzki przypominają aktualnie kolor pierdolonych ścian w Inferno. Gołym okiem widać, że właśnie zżera ją stres. Uśmiecham się półgębkiem, na co dziewczyna napiera zębami na dolną wargę. Nie umyka to uwadze Maysona, który łypie na mnie spode łba, tym samym studząc we mnie ochotę na to, żeby poflirtować z blondyną.

Składamy zamówienia. Kelnerka czmycha mi sprzed nosa.

– Nie będę prawił ci morałów. – Trener patrzy na mnie sugestywnie.

– Słusznie. – Przechylam leniwie brodę w bok.

– Możemy kontynuować? Bez obrazy, ale gdzieś mam to, czy on dzisiaj utrzyma fiuta w spodniach, czy nie. – W głosie Price'a słychać zrezygnowanie w najczystszej postaci. Wraz z Maysonem spoglądamy na niego bez cienia zainteresowania.

Dopiero po chwili starszy mężczyzna zaczyna mówić dalej:

– Kampania zaczyna się z początkiem listopada, więc, skoro dzisiaj mamy – zerka mimochodem na wyświetlacz swojego telefonu – czternastego października, załóżmy, że masz około dwa dni na podjęcie decyzji. Później musisz działać szybko. Ekspresem, Price.

– Mhm. – Ash przesuwając wzrokiem po dokumencie otrzymanym od trenera. – Ten prawniczy żargon to jakiś nonsens. Powiedz, że ktokolwiek go jakoś przetłumaczy, zanim cokolwiek podpiszę. – Krzywi się, krzyżując spojrzenie z Maysonem.

– W gruncie rzeczy sztab robi to zawsze, ale ty nie zwracasz na to uwagi.

– Wybacz, jestem zapracowanym człowiekiem. – Bokser uśmiecha się ironicznie.

Oczywiście, parskam w duchu.

– Przejdźmy do gwiazdeczki... – Trener tym razem zwraca się do mnie. Instyktownie prostuję się na krześle, opierając łokcie na drewnianej powierzchni stołu. Uniósłszy brew, omiatam wzrokiem spokojną twarz Maysona. Jak on uwielbia robić mi na złość.

Podczas trwania okresu przygotowawczego rzeczywiście istniała między nami bariera. Pieprzony mur, którego nie próbowałem nawet burzyć, wiedząc, że na dobrą sprawę jestem jedynie jego podopiecznym. Dopiero z czasem ta granica się zatarła – teraz można by śmiało rzec, że ten facet jest bardziej moim dobrym kumplem niż szefem czy liderem.

– Myślałem, że dłużej będziesz to odwlekał – rzucam z przekąsem.

– Masz szczęście, bo Marie kazała mi się dzisiaj streszczać. – Mężczyzna skinieniem głowy dziękuje kelnerce, która kładzie na stoliku schłodzone napoje. Biorąc pod uwagę fakt, że dzisiaj każdy z nas dotarł do knajpy samochodem, to jedyne, na co możemy sobie pozwolić.

Koncentruję uwagę na słowach Maysona. Marie, jego żona, to chytra sztuka.

To ona podczas gali Diabłów podpowiada mężowi, kogo powinien wziąć pod swoje skrzydła. I może to głupie, może bezmyślne, a może kurewsko abstrakcyjne, ale, o zgrozo, ta kobieta naprawdę ma nosa. Jej typy okazują się cholernymi, nieoszlifowanymi diamentami. Tak wielu ludzi starało się dociec, czym kieruje się trener Diabłów przy wyborze swoich nowych podopiecznych, a on oprócz zwracania uwagi na techniki i ilość czystych ciosów wyprowadzanych podczas walk patrzy również na... zdanie swojej żony.

To dowodzi temu, że kobiety są dla niektórych facetów jak pieprzone talizmany.

– Gdyby dostała od kogoś kwiatki, wiedz, że są ode mnie – wzdycham nagle.

Mężczyzna grozi mi palcem, mówiąc:

– Jeszcze trochę i w drużynie zostawię czternastu Diabłów. A teraz słuchaj mnie uważnie, bo kwestia gali, w której otrzymałeś nominację do tytułu „sportowca roku”, nie jest wcale taka błaha. – Mayson upija łyk wody, wyciągając z aktówki czerwoną teczkę.

– Rozwiń myśl. – Stukam palcami o blat stołu.

– Pisemko, które ją organizuje, jest naprawdę popularne. Nawet jeśli ktoś zabierze ci sprzed nosa wygraną w ich gali, dobrą propozycją jest wzięcie udziału w sesji do limitowanego numeru o gwiazdach działających na terenie całej Nevady. W dużym skrócie otrzymałeś propozycję pojawienia się na łamach ich magazynu. To dobrze płatna oferta, jeśli by wziąć pod uwagę fakt, że podczas sesji ubraliby cię w ciuchy najlepszych domów mody w Vegas – wyjaśnia pokrótce trener, na co mrużę nieznacznie oczy.

– Więc... chodzi tylko o głupią sesję – kwituję.

– Dokładnie. – Mayson potwierdza skinieniem głowy.

Wzdycham ciężko. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że ten facet zaproponuje mi coś bardziej nietuzinkowego. Sesje już dawno zdążyły mi się przejeść. Owszem, są dochodowe, ale również piekielnie nużące. Wciskam plecy w oparcie krzesła, spoglądając na mężczyznę z pokerową miną. Dopiero po chwili dopytuję:

– Kiedy?

– Niedługo po gali – odpowiada Mayson. – Swoją drogą, wiesz już, kogo oprócz ciebie nominowali do tytułu? Powinieneś dawno dostać tę informację. – Sposób, w jaki ten facet marszczy czoło, traktuję jak niewerbalną sugestię. Wyjmuję więc telefon z kieszeni.

– Powiniennem – odpowiadam krótko, odblokowując ekran.

– Co to za różnica? Od dobrych trzech lat chodzą pogłoski, że gale tego czasopisma są ustawiane, bo zawsze wygrywa ktoś od nas – zauważa słusznie Price. – Jesteś pewien, że nikt od ciebie nie daje im łapówek albo nie zmusza do fałszowania głosów publiczności?

Ironia, jaką nasiąknięty jest głos Asha, jest wręcz namacalna.

– Po prostu jesteśmy najlepsi – podsumowuje starszy z mężczyzn.

Z nieprzeniknioną miną wpatruję się w ekran telefonu. Szybko wchodzę na skrzynkę pocztową i przesuwam wzrokiem po odebranych mailach. W międzyczasie upijam łyk wody, znosząc dwie uporczywie spoglądające na mnie pary oczu. Aż w końcu udaje mi się odnaleźć pośród wiadomości tę jedną – wysłaną przez magazyn.

– Jest. W załączniku znajduje się cała lista nominowanych. Podobno oficjalnie zostanie ujawniona dopiero jutro – oznajmiam, śledząc spojrzeniem treść maila. Nie odnajduję w nim nic

niezrozumiałego, więc rozpoczynam pobieranie pliku z pełnym spisem konkurencji.

– Więc od jutra trzymam cię w ryzach, Gabrielu. – Mayson posyła mi sugestywne łypnięcie, które postanawiam zignorować. Dobrze wiem, że przed takimi galami muszę być oazą pieprzonego spokoju i nie wplątywać się w żadne gówniane akcje. Nie jestem idiotą.

Dobra, może na początku nie było mi po drodze z życiem gwiazdy. Może po przeprowadzce do Vegas czułem się, jakbym grzązł w jakimś beznadziejnym bagnie show-biznesu, ale teraz... Cóż, teraz wiem, że z czasem można przywyknąć do obłapiających cię zewsząd medialnych macek. Można zafiksować się na punkcie kariery i wierzyć, że ta wynagrodzi ci te wszystkie niepowodzenia, których doświadczyłeś w ciągu ostatnich lat.

*Dobra, skup się na liście, karcę się w myślach.*

– Pokaż to, chłopcze. – Mayson przechwytuje mój telefon. Przez dłuższą chwilę po prostu patrzy prosto na jego wyświetlacz. Widok pojedynczej bruzdy, jaka pojawia się między jego odrobinę ściągniętymi brwiami, zasiewa we mnie ziarno niepokoju.

*Co, u licha?, myślę. Kogo on tam niby zobaczył?*

– Uważaj, Crade. Niektóre ślicznotki bywają niezłymi manipulatkami – stwierdza mój trener, a w jego głosie słyszę przezorność podszytą dziwnym przekonaniem. Po chwili oddaje mi komórkę. – A już zwłaszcza te, które współpracują z pieprzonym UnderScore.

Marszczę czoło, przesuwając wzrokiem po ekranie telefonu. Widok nazwiska znajdującego się na końcu pliku, który otrzymałem od przedstawicieli czasopisma, uderza we mnie jak pierdolony grom. Instynktownie zaciskam usta w wąską kreskę.

– Kogo masz na myśli? – Ash wydaje się zbity z tropu.

Odzyskując fason, odpowiadam za Maysona:

– Ma na myśli Mercy Stone.

# ROZDZIAŁ 1

Z wyraźną ulgą wymalowaną na twarzy kładę kolejny karton na kuchennej wyspie. Rozglądając się po przestronnej rezydencji, pluję sobie w brodę, że nie zdecydowałam się jednak na coś mniejszego. Ta posiadłość wygląda bowiem jak pałac, a ja – ta kwestia akurat nie podlega dyskusji – jestem wielką fanką bałaganu. W ciągu ostatnich dwóch lat spędzonych w Nowym Orleanie utwierdziłam się jedynie w przekonaniu, że nawet mieszkając w maleńkiej klitce, nie jestem w stanie obudzić w sobie najmniejszych chęci na stanie się cholerną pedantką.

*Chrzanić to*, bąkam w duchu.

Po raz kolejny omiatam wzrokiem jasne wnętrza willi wartej dobrych kilka milionów dolarów. Biel ścian bije po oczach już od samego jej progu. Nowoczesny wystrój był tym, co kupiło mnie podczas przeglądania pewnego letniego popołudnia ofert nieruchomości przeznaczonych do sprzedania. Kiedy w wakacje otrzymałam wiadomość informującą o tym, że budowa nowego budynku UnderScore, w którym mieścić się będą sekcje zimowych dyscyplin sportowych, została już zakończona, szybko zrozumiałam, że czeka mnie przeprowadzka.

Nie spodziewałam się jednak, że trafię do grzesznego Vegas. Odłam łyżwiarstwa figurowego agencji został przeniesiony właśnie tutaj.

Przysiadam na wyspie kuchennej, zmiatając sobie sprzed twarzy kosmyki włosów, które jakimś cudem wydostały się z mojego ciasnego koka. Patrząc mimochodem na słońce przebijające się przez warstwę szarych chmur, stwierdzam, że dzisiejszego dnia nie lunie jak z cebra. Odzyskuję rezon dopiero w momencie, w którym do posiadłości ponownie wchodzi dwójka roślących mężczyzn dźwigających ciężką harfę.

– Gdzie mamy położyć to ustrojstwo? – pyta jeden z nich.

Unoszę odrobinę kącik ust, gdy odpowiadam:

– Obojętnie. I tak będzie się kurzyć, bo jednak nie mam do niej cierpliwości.

Próba ujarzmienia tego instrumentu zdecydowanie zakończyła się dla mnie fiaskiem. Prawdę mówiąc, posiadanie w domu harfy było dla mnie zwyczajnym kaprysem. Odkąd moja miesięczna pensja wzrosła kilkunastokrotnie, zaczęłam wydawać majątek na bzdety. Jak okazało się w trakcie przeprowadzki, takich niepotrzebnych rzeczy mam od groma.

– Widać to gołym okiem. – Jeden z pracowników firmy zajmującej się przeprowadzkami wskazuje sugestywnie dłonią na wyszarpane struny, posyłając mi przy tym uśmiech. – Chyba dobrnęliśmy do końca. Wóz jest już rozładowany.

– Jasne. – Zeskakuję z gracją z wyspy kuchennej, przesuając wzrokiem po twarzach zmęczonych facetów. – Rozliczę się z waszym szefem jeszcze dzisiaj. Dzięki za pomoc.

Kiedy zostaję w posiadłości zupełnie sama, zakładam dłonie na biodrach, próbując zlokalizować wzrokiem swój telefon. Sarta przeróżnych szpargałów, która wypełnia salon, niewątpliwie mi to utrudnia. Biorąc pod uwagę fakt, że mam dzisiaj wpaść do niedawno otwartej siedziby oddziału UnderScore w Vegas, muszę go znaleźć czym prędzej.

Mój menadżer, Caleb Wright, zdecydowanie liczy, że omówimy dzisiaj większość ważnych kwestii dotyczących najbliższych miesięcy. Współpraca, nowe kontrakty, sprawy dotyczące występów... To wszystko wymaga solidnego przegadania w nowej siedzibie agencji sportowej, która niecałe dwa lata temu wzięła mnie pod swoje skrzydła.

Wzdycham z ulgą, chwytając w dłoń telefon. Szybko wybieram numer do Caleba.

– I jak u was? Uwiliście już sobie z Rachel gniazdko? – pytam na wstępie.

Na dobrą sprawę wszyscy, którzy związani są z sekcją zimowych sportów w UnderScore łączącą hokeja na lodzie, łyżwiarstwo figurowe i szybkie, musieli przenieść się tutaj, do Las Vegas. Zawodnicy, trenerzy, menadżerowie i cały sztab ludzi – wszyscy

musieli znaleźć się jak najbliżej miejsca, które zostało przeznaczone na zimowe dyscypliny.

Od tej reguły nie było wyjątków.

– Daj spokój, Mercy. – W głosie mężczyzny słyszę zrezygnowanie.

– Może znajdziesz czas na to, żeby wpaść do siedziby trochę wcześniej? Skołużę ci od razu identyfikator. Mogę nawet po ciebie przyjechać, tylko nie skazuj mnie na te tortury...

*Kaprysy żony dają mu w kość*, przechodzi mi przez myśl.

– Sama dostanę się do budynku. Muszę rozeznąć się trochę w tym grzesznym Vegas – odpowiadam, po czym oddalam telefon od ucha, żeby włączyć tryb głośnomówiący.

Odkładałam urządzenie na wyspę kuchenną i rozplątuję włosy. Przeczesując je palcami, stwierdzam w duchu, że są zbyt długie. Ciemne jak smoła, gęste, ale ostatnio uciążliwe jak diabli. Podczas jazdy na łyżwach potrafię znienawidzić je przynajmniej trzydzieści razy.

– Tutaj nie ma w czym się rozeznawać, kochanie. Luksusowe kasyna, kluby, knajpy... – wylicza Wright. – Swoją drogą, nie chcę słyszeć o tym, że Vegas obudzi w tobie jakieś buntownicze zapędy. Twój wizerunek ma być wciąż czysty jak pieprzona łąza, rozumiemy się? – Tym razem w jego głosie słyszę surowość.

– Mhm – bąkam niedbale.

– Nie przekonuje mnie twoje „mhm”. – Wyobrażam sobie, jak Caleb w tym momencie mruży podejrzliwie oczy. Zawsze to robi, gdy chce mnie przeświecić nimi na wylot. I zawsze jego próby kończą się niepowodzeniem, bo przez ostatnie dwa lata opanowałam sztukę stwarzania pozorów do perfekcji. Maskowania każdych intencji.

– Caleb, wiem, co mnie czeka w tym roku. Nie mam czasu na szwendanie się po atrakcjach Vegas. – Przecieram dłonią zmęczoną twarz, po czym ściągam przez głowę zwykły, biały podkoszulek. Zamiast niego zakładam czarną bluzkę z długim rękawem znalezioną w jednym z kartonów wypełnionych po brzegi ciuchami.

– Cieszę się, że znasz swoje priorytety, Mercy – odpowiada mężczyzna. – Jak tylko zakończy się sezon, będziesz mogła wybrać się na długie wakacje. Dostaniesz tyle wolnego, że będziesz jeszcze chciała wrócić na lodowisko wcześniej.

– Chciałeś powiedzieć: „gdzieś pomiędzy kolejną sesją a wywiadem wcisnę ci trzy dni dla siebie, żeby nie było, że taki ze mnie kutas” – rzucam mimochodem, wciskając tyłek w skórzane spodnie. Zgarniam jeszcze torebkę z sofy obitej zamsem, po czym ruszam w kierunku garażu. Na widok czarnego, sportowego mercedesa unoszę kąćki ust.

– Czy ja słyszę, że odpalasz auto? – Caleb zmienia temat.

Wyjeżdżając z posesji, wzdycham ciężko do słuchawki:

– Tak, niedługo będę, więc możesz przytaszczyć tyłek do siedziby wcześniej.

I tylko tyle potrzeba, żeby Wright nagle się ożywił. Słyszając, jak podśpiewuje pod nosem losową piosenkę, a później wrzeszczy do swojej żony, że w pracy ma dosłownie urwanie głowy, kończę połączenie.

*Ten facet to wariat*, przechodzi mi przez myśl.

Wjeżdżając na główną drogę, rozglądam się po obco wyglądających ulicach. Niewielu ludzi szwenda się po nich za dnia. Z pewnością, jak głośną lokalną pogłoski, prawdziwe tabuny turystów przechadzają się tędy nocami. Wciskam pedał gazu, a znajomy ryk silnika przyprawia mnie o spokój. Z nieprzeniknioną miną spoglądam na nawigację, która informuje mnie o tym, że za dziesięć minut powinnam dotrzeć do niedawno otwartego budynku jednej z siedzib UnderScore.

W głowie staram się poukładać wszystkie plany na ten tydzień. Najpierw czeka mnie zapoznanie się z nowym lodowiskiem, jakie zostało wykupione przez agencję. To na nim będą ćwiczyć wszyscy jej podopieczni, rzecz jasna wedle ustalonego z góry grafiku. Później zapewne rozpocznę treningi przed zimowymi igrzyskami olimpijskimi, a w piątek... Cóż, w piątek czeka mnie gala nagród sportowych organizowana przez sławne pisemko.

Tytuł „sportowca roku” pasowałby do mnie jak ulał.

Kiedy docieram na miejsce, widok ogromnego budynku na moment zapiera mi dech w piersiach. Jest wielgachny. Z pewnością posiada ponad dwadzieścia pięter. Wchodząc do przestronnej recepcji, już z marszu wita mnie rosły ochroniarz. Całe szczęście stoi obok niego Caleb, w którego ramiona wpadam wręcz odruchowo.

Ten facet to nie tylko mój menadżer, ale też dobry kumpel.

– Witaj w domu, skarbie. Od dzisiaj to miejsce jest naszym królestwem – oznajmia Wright, wręczając mi do ręki jakiś świstek papieru. – Twoja wejściówka. Pokazuj ją zawsze, gdy będziesz tutaj przychodzić. A teraz idziemy, mamy trochę kwestii do obgadania.

Mężczyzna rusza przed siebie, więc dotrzymuję mu kroku. Wnętrza budynku są jasne i nowoczesne. W niczym nie przypominają tej nory w Nowym Orleanie, w której kisiliśmy się przez ostatnie dwa lata z hokeistami i innymi zawodnikami zimowych dyscyplin. Tutaj wszystko jest świetnie oznaczone – znaki znajdujące się na ścianach pomagają odnaleźć drogę do sekcji danego sportu. Łyżwiarstwo figurowe, jak po chwili dostrzegam na jednej z tablic, zostało przypisane do siedemnastego piętra w budynku.

– Wow, trochę w nas zainwestowali – rzucam kpiąco, gdy wraz z Calebem wchodzimy do windy. – Nie spodziewałam się, że wyślą nas do Vegas. Dobra, UnderScore tutaj jeszcze nie było, ale... No sam przyznasz, że to dziwny wybór.

Patrząc mimochodem na mężczyznę, który odpowiada:

– Rozważali jeszcze Kolorado, ale tam już mają łyżwiarstwo. – Wright wzrusza ramionami. – A skoro już padła nazwa tego stanu... Od jutra musisz zacząć treningi, Mercy. – Krzyżuje ze mną spojrzenie. – W końcu zbliżają się sławne...

– Zimowe igrzyska olimpijskie – dopowiadam za niego, gdy wysiadamy z windy. Pokonujemy korytarz i przechodzimy przez próg jakiejś ogromnej sali, w której centrum znajduje się długi, solidny stół. Przysiadam na meblu, opuszczając nogi w dół. – Tak, będę na nie przygotowana lepiej, niż mógłbyś mnie o to podejrzewać. Zdobędę ten medal i wciąż będę chlubą tej agencji.

W moim głosie Caleb zapewne słyszy czystą determinację, która mile łechta jego pazerną na moje sukcesy naturę. Współpracuję z tym facetem prawie dwa lata i, cóż, wiem, jak bardzo lubi szczyścić się tym, że jest moim menadżerem, a już zwłaszcza kiedy moje nazwisko znajduje się na okładkach kolorowych pisemek i głównej stronie internetowej agencji. UnderScore inwestuje we mnie naprawdę sporo, przez co reszta ich zazdrosnych podopiecznych

zwykła nazywać mnie ich pupilką. A to jedynie bardziej mnie nakręca, żeby wyciskać z siebie coraz więcej i więcej na tafli lodowiska.

– Jeszcze trzy miesiące z hakiem. Sporo czasu. – Wright zasiada za laptopem, uprzednio poprawiając poły swojej marynarki. Przyglądam mu się, gdy w skupieniu przesuwa wzrokiem po ekranie komputera. – O, dostałem w końcu tego maila.

– Jakiego? – Opieram wyprostowane ręce za plecami.

– Dotyczy gali nagród sportowych, w której weźmiesz udział w piątek. Pisemko podesłało mi całą listę nominowanych. Swoją drogą, musimy w końcu przedyskutować kilka kwestii, które się z nią wiążą. Z pewnością udzielisz tam wywiadu... – wzdycha Caleb, na moment wciskając plecy w oparcie krzesła. Mężczyzna splata palce na powierzchni biurka, podczas gdy ja unoszę sugestywnie brew.

*To w końcu tylko głupi wywiad, myślę.*

– Nie palnę nic, co mogłoby nam zaszkodzić – zapewniam go. – A teraz opowiedz mi trochę o konkurencji. Może kogoś z tej długiej listy kojarzę. – Wzruszam ramionami, przysuwając się nieco bliżej mężczyzny, który kiwa głową w geście zgody.

– Jasne, tylko pobiorę ten plik – odpowiada.

Wykorzystuję okazję, żeby przyjrzeć się menadżerowi nieco dokładniej. W ciągu tych paru ostatnich dni, kiedy nie widzieliśmy się praktycznie wcale, Wrightowi zdążyło przybyć trochę pojedynczych zmarszczek na twarzy. Jego zarost przeistoczył się w krótką brodę, a oczy stały bardziej zmęczone. Domyślam się, że zrządzenie Rachel miało w tym swój udział. Jasne włosy, przejrzyste niebieskie oczy i muskularna sylwetka – ten facet mimo tego, że bliżej mu do czterdziestki niż trzydziestki, wygląda naprawdę dobrze.

Dopiero jego męczyński ton wyrywa mnie z krótkiego letargu:

– Ja pierdołę, znowu oni...

Mrużę oczy w niezrozumieniu. *Co on pieprzy?*, przechodzi mi przez myśl.

Instynktownie zeskakuję ze stołu, żeby znaleźć się w paru krokach obok Caleba. Unosząc delikatnie brew, przesuвам nieodgadnionym wzrokiem po jego twarzy.

– Pobrałeś ten plik? – dopytuję. – Z resztą nominowanych do tytułu?

– Sęk w tym, że pobrałem. A na samym początku listy jest napisane jak byk jedno zdecydowanie zbyt rozślawione na cały świat, potężnie brzmiące nazwisko. – Caleb ściąga z ramion marynarkę, którą zawiesza na oparciu krzesła. Od razu poluzowuje również krawat.

– Kogo masz na myśli? – W moim głosie słychać zdezorientowanie.

Mężczyzna spogląda na mnie, po czym odpowiada z przekąsem:

– Czy mówi ci coś nazwisko Gabriel Crade?

W jednej chwili czuję, jakby ktoś przyspawał mi stopy do podłogi. Próbuje się poruszyć, przechylić głowę w bok, żeby upewnić się, że na liście znajduje się właśnie to imię i nazwisko, ale, do cholery, nie mogę tego zrobić, bo wciąż jestem kurewsko oszołomiona słowami Caleba. Mrugam powoli. Żołądek kurczy mi się do filigranowych rozmiarów, kiedy w końcu prostuję się jak struna, wypędzając z głowy setki wspomnień, które zżerają mnie od środka.

Gabriel Crade. Mężczyzna, od którego dwa lata temu uciekłam bez pożegnania, w najbliższy piątek ma stać się moim rywalem w walce o tytuł „sportowca roku”. I chociaż powinnam potraktować tę wiadomość z rezerwą, przez całe moje ciało w jednej sekundzie przedziera się fala wstydu. Czasami mam do siebie pretensje za sposób, w jaki zakończyłam to, co było między nami. A później przypominam sobie, że tak już musiało być.

Bo on był dla mnie zbyt dobry, a ja byłam dla niego zbyt złamana.

– To Diabeł. Wiesz, kim są Diabły? – zwraca się do mnie po chwili Wright.

Kiwam mozolnie głową, odpowiadając:

– To drużyna bokserów. Ćwiczą w tym sławnym klubie Inferno. Chyba nawet wywodzą się z tych okolic, co? – Patrzę ukradkiem na ekran laptopa. Rzeczywiście zauważam na nim to feralne nazwisko.

*Gabriel Crade*, czytam w duchu. *Bokser, jeden z członków elitarnych „Diabłów Vegas”, związany z drużyną Ethana Maysona od dwóch lat.*

– Po części odpowiedziałas mi poprawnie – przyznaje Caleb.

Ściągam lekko brwi. *Jak to po części?*, myślę.

Dobra, może i od tamtego pamiętnego lata, gdy obchodziły mnie jeszcze losy sławnych Diabłów, minął szmat czasu, ale wydawało mi się, że nie zapomniałam tych najważniejszych kwestii, jakie ich dotyczą.

– Więc wyjaśnij mi odrobinę szerzej, kim są Diabły Vegas – ponaglam go.

Wright przesuwając dłoń wzdłuż linii szczęki. Po krótkiej chwili wstaje z krzesła, rozpoczynając spacer po pomieszczeniu. Jego kroki są ciche, niemalże bezdźwięczne. Atmosfera, jaka wypełnia salę, w jednej chwili staje się gęsta. Wzdycham ciężko, wyczekując słów mężczyzny, który dopiero po kilkunastu sekundach zaspokaja moją ciekawość:

– Diabły Vegas to, moja droga, chwasty, które trzeba wyplewić. To nasza konkurencja. To banda naładowanych testosteronem małych lejących się po mordach jak dzieciaki w liceum. – W głosie Caleba słyszę niechęć. – To przez nich UnderScore nie zgarnia większości nagród i tytułów. To oni manipulują internautami...

– Och – tylko tyle udaje mi się z siebie wykrztusić.

Caleb zaciska szczękę. Jego spojrzenie jest wyraźnie podszyte gniewem.

– Musisz zdobyć ten tytuł. Ten cały Crade ma zostać z niczym, jasne? – pyta raptownie Wright, przesuwając nieustępliwym wzrokiem po mojej niewzruszonej twarzy.

Mimo tego, że wciąż nie dociera do mnie myśl, że, cholera, w piątek stanę oko w oko z *tym* facetem, przytakuję swobodnie głową. Zupełnie tak, jakby słowa „Crade ma zostać z niczym” nie brzmiały w mojej głowie tak bardzo znajomo. Serce mimowolnie ściska mi się boleśnie. Szybko się jednak reflektuję. Oczyszczam umysł, zadzieram brodę, przestaję koncentrować uwagę wokół feralnych wakacji i mówię obojętnym tonem:

– I zostanie. Nie będę pobłażliwa.

Około dwie godziny później udaje mi się ułożyć z Calebem plan na najbliższe tygodnie. Mój grafik teraz co prawda pęka w szwach od różnych współprac i wywiadów, ale to nic, co uznałabym za niepotrzebne. Wiem, że wtargnięcie do świata show-biznesu to jedno, ale utrzymanie się na językach milionów ludzi to drugie.

Po prostu... muszę im o sobie przypominać.

Parkując samochód przy niewielkim lodowisku zlokalizowanym w zachodniej części Vegas, wzdycham ciężko. Wprawdzie treningi na nim zacznę dopiero od jutra, ale Caleb uznał, że powinnam najpierw trochę się po nim rozejrzeć. W końcu, jakby nie patrzeć, w najbliższym czasie będę spędzać tutaj naprawdę sporą część doby.

Wysiadam z samochodu. Lekki wiatr smaga mnie w twarz, kiedy kieruję się w stronę jasnego budynku. Z tego, co wiem, wynika, że został on niedawno odkupiony od miasta przez UnderScore. Jest to niewielki obiekt, ale z pewnością wystarczy zarówno mnie, jak i drużynie hokeistów czy łyżwiarzom, którzy ścigają się na lodzie. Instynktownie spoglądam na wyświetlacz telefonu. Według grafiku, jaki dostałam od Caleba, lodowisko będzie jutro przeznaczone tylko do mojego użytku od godziny osiemnastej do końca dnia.

Przechodząc przez próg budynku, niemalże od razu odnajduję spojrzenie Rhysa. Trener, który został mi przydzielony przez agencję prawie dwa lata temu, stoi oparty o kontuar recepcji i czaruje siedzącą za nim kobietę. Kręcę głową z pobłażaniem, podchodząc do mężczyzny, którego usta nagle wyginają się w naprawdę szerokim uśmiechu.

– Zaryzykowałbym stwierdzeniem, że masz zły dzień, ale na szczęście wciąż pamiętam, że uśmiechasz się prawie tak rzadko, jak ja popełniam błędy. – Mężczyzna krzyżuje ramiona na torsie, na co wywracam teatralnie oczami. – Witaj, Mercy.

– Co za gorące powitanie – bąkam cierpko.

Rhys przechyla leniwie głowę w bok, żeby przyjrzeć mi się baczniej. Nie pozostaję mu dłużna i również zawieszam spojrzenie na jego osobie. Przedzierające się przez materiał koszulki mięśnie, atletyczna sylwetka, bystre, brązowe oczy i zarost pokrywający niemal całą szczękę. Rhys Dawson wygląda zupełnie tak jak wtedy, gdy widzieliśmy się po raz ostatni w Nowym Orleanie.

Przestępuję z nogi na nogę, podczas gdy mężczyzna odpowiada:

– Jakoś muszę stopić tę twoją lodową tarczę, moja droga. A teraz sio, na lodowisko. Zaraz do ciebie dołączę, tylko wypełnię wszystkie formalności. Rozejrzyj się, cokolwiek, tylko nie wchodź na lód, bo nie jest jeszcze gotowy, żeby po nim śmigać.

– Sprężaj się, Rhys. Nie mam dla ciebie całego dnia. – Puszczam mu oczko, po czym ruszam we wskazanym przez niego kierunku. Słyszając za plecami westchnienie, wciskam dłonie do kieszeni spodni. Mimo tego, że w większości współpracuję z facetami, nigdy nie dałam im poczucia, że w jakikolwiek sposób mnie tłamszą.

To ja w tej ekipie odgrywam pierwsze skrzypce. I to nie zmieni się nigdy.

Wchodząc na lodowisko, rozglądam się wokół. Chłód bijący od tafli lodu jest wyczuwalny prawie od razu. Oplątam ramiona dłońmi, podążając pewnym krokiem przed siebie, w stronę ślizgawki. Opierając się w końcu o balustradę, przesuвам wzrokiem po jasnych ścianach, zaledwie pięciu rzędach plastikowych krzeseł składających się na trybuny oraz jeszcze nieprzetestowanej przez nikogo lodowej nawierzchni.

Przecucie podpowiada mi, że trenowanie tutaj będzie przyjemniejsze niż w Nowym Orleanie. Tam nie mieliśmy swojego lodowiska na wyłączność, a w Vegas... Cóż, UnderScore zdecydowanie zadbało o to, żebyśmy posiadali tu pewien komfort pracy.

– Przepraszam, kim pani jest? – słysząc odrobinę chrapliwy, nieznajomy głos, odwracam głowę przez ramię, żeby skrzyżować spojrzenie z jakimś mężczyzną.

Jestem bardziej niż pewna, że to pracownik lodowiska. Ubrany w strój roboczy, dźwigający w dłoni skrzynkę z narzędziami, sprawia wrażenie poczciwego człowieka.

Odpowiadam mu po krótkiej chwili:

– Jeżdżę figurowo. Od jutra zaczynam tutaj treningi.

– Ach, oczywiście... – Facet kiwa głową w geście zrozumienia. – Jestem Quinten. Opiekuję się lodowiskiem, więc gdyby miała pani jakieś zażalenia związane z nawierzchnią, śmiało proszę się do mnie zwrócić. Postaram się, żeby wszystkim jeździło się na niej dobrze.

– Jasne – rzucam neutralnym tonem.

Quinten posyła mi na odchodne słaby uśmiech, po czym udaje się w przeciwną stronę. Nie zwracam na niego szczególnej uwagi, bo chwilę później na jego miejscu wyrasta Rhys, który szczerzy się jak głupi do sera.

– I jak podoba ci się w Vegas? – pyta rozanielony.

– Nie miałam jeszcze okazji rozejrzeć się po mieście. – Wzruszam ramionami.

Prawda jest taka, że od tych trzech dni, które spędziłam już w „mieście grzechu”, nie wyściubiłam nosa ze swojej wielgachnej posiadłości. Zwyczajnie nie miałam na to czasu.

Rhys marszczy wątpięco czoło, odpierając:

– Dostałaś szlaban od Caleba na kasyna i kluby? – W jego głosie słyszę kpinę. – Biedactwo, wyszalejesz się dopiero po igrzyskach olimpijskich.

Z tymi słowami mężczyzna mierzwi dłonią moje włosy, za co gromię go wzrokiem.

– Nic nie dostałam. Po prostu wciąż nie mogę wygrzebać się z kartonów... – burczę.

– Ale dorwałaś już skądś łyżwy, hm? – Rhys unosi sugestywnie brew.

Mocniej pochylam się do przodu, opierając całe przedramiona na balustradzie. Oczywiście, że pierwszym, co wygrzebałam ze swoich bagaży, były łyżwy i cały sprzęt sportowy. Prawdę mówiąc, do rozpakowania zostały mi tylko ubrania i niepotrzebne szpargały, które wieczorem powciskam do wniesionych dzisiaj przez ekipę mebli. Na tym pewnie zakończy się moja katorga związana ze zmianą miejsca zamieszkania.

*Dzięki Bogu, przechodzi mi przez myśl.*

– Mhm – rzucam niedbale. – Jutro będę zwarta i gotowa do treningów.

– Mamy trzy miesiące z hakiem, żeby doszlifować cały układ na igrzyska, Mercy – zaczyna Rhys. – W październiku skupimy się jeszcze na podstawach. Z każdym tygodniem będziemy zwiększać ci poziom trudności. A, no i z tego, co wiem, wynika, że Caleb w międzyczasie zaplanował ci parę występów w plenerze i kilka na konkursach dla amatorów w tym sezonie. To czysto komercyjne, niewymagające przygotowań show. Dla ciebie pestka.

– W porządku – mówię od niechcienia.

Może i to wszystko brzmi naprawdę szalenie – przygotowania do zimowych igrzysk olimpijskich oraz jednoczesne występowanie

przed publicznością podczas komercyjnych pokazówek, ale cóż. Już dawno przyzwyczaiałam się do tempa, jakie obrali Caleb i Rhys. Dzięki nim moja kariera, która jeszcze niedawno raczkowała, dzisiaj rozkręca się na dobre.

– A jak emocje przed galą w piątek? – pyta nagle mężczyzna.

– Nijak. – Wzruszam ramionami. – Zgarniam tytuł i stamtąd spadam. Tak brzmi mój plan na ten rozdmuchany na całą Nevadę konkursik. Naprawdę podejrzewasz mnie o to, że mogłabym stresować się jakąś tam galą nagród? – dokańczam z niezachwianym spokojem, patrząc na Rhysa z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Mężczyzna przechyla brodę w bok, po czym odpowiada:

– Właściwie to nie. W końcu Mercy Stone nic nie rusza.

Nie kwestionuję jego słów. Po prostu wmawiam i sobie, i jemu, że tak właśnie jest.

Jest siódma, gdy docieram do budynku, który w dużej mierze wygląda jak zwykła rudera. Zapach stęchlizny niemal od razu wdziera się do moich nozdrzy, kiedy przekraczam jego próg. Zostawiam za sobą oświetlone ulice Vegas. Ruszam przed siebie prosto w zaciemniony korytarz, który finalnie prowadzi mnie do niewielkiej sali, w której odnajduję Pearly Powell i kapelę, która postanowiła wziąć ją pod swoje skrzydła. Głośna muzyka przeszywa całe moje ciało, pozostawiając po sobie jedynie gęsią skórę na plecach.

Opieram nonszalancko ramię o ścianę, wpatrując się w rudowłosą świruskę. Matko, ta dziewczyna to prawdziwy huragan. Odkąd jej poprzedni zespół rozpadł się, a każdy jego członek odszedł w swoją stronę, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Jakby tego było mało, parę dni później oznajmiłam jej, że muszę przeprowadzić się do Las Vegas, bo tego wymaga ode mnie agencja, z którą współpracuję. Pearly nie zastanawiała się nawet dziesięciu minut, gdy zaczęła pakować walizkę, twierdząc, że wraca ze mną na stare śmieci.

Wraca do swojego rodzinnego domu, ku uciesze państwa Powell.

– Słyszałaś to? – zachrypnięty głos przyjaciółki wrywa mnie z krótkiego letargu. – Daliśmy czadu, co? Jezu, już nie mogę doczekać się naszego koncertu. Ten zespół jest świetny, wszyscy tak

idealnie się zgrywamy. Przyjęli mnie jak swoją, uwierzysz? Znamy się ledwie parę dni, a oni traktują mnie tak, jakby to było przynajmniej kilka dobrych lat...

Słowa wypadają z ust dziewczyny z prędkością pocisków wydostających się z karabinu maszynowego. Szybko przestają nadążać za trajkotaniem Pearly. Ściągam nieznacznie brwi. Sama kiedyś byłam bardzo... gadatliwa, dopóki z czasem nie zaczęłam czuć się komfortowo ze swoją milczącą i chłodną naturą.

– Bardzo się cieszę, Pearly. – Posyłam jej wymuszony uśmiech.

Para błyszczących, zielonych oczu wpatruje się we mnie z nieukrywaną radością. Przesuwając wzrokiem po szczupłej sylwetce przyjaciółki, szybko orientuję się, że jest piekielnie zmęczona. Pal licha tę jej strudzoną twarz. Ona chwieje się na nogach, jakby właśnie zeszła z karuzeli.

Kręcę głową z politowaniem, mówiąc:

– Chodź, odwiozę cię do domu. Co za dużo prób, to niezdrowo. – Zaczynam ciągnąć Powell w stronę wyjścia z budynku. Dziewczyna przytakuje energicznie głową, zgarniając po drodze torebkę z ławki. Odkrzykuje coś w stronę reszty ekipy, po czym zwraca się do mnie:

– Mam dzisiaj tak cholernie dobry dzień, że nawet sobie tego nie wyobrażasz, Mer. Niech tylko ten mały gnojek nie napsuje mi krwi, to poważnie, będę wniebowzięta.

Unoszę brew, patrząc na przyjaciółkę.

– Elliot? Nie mów, że aż tak drzecie ze sobą koty – rzucam neutralnym tonem.

– To jedyny zły aspekt związany z moim powrotem do Vegas. Użeranie się z tym małym, upierdliwym dzieciakiem to jakaś katorga. – Pearly przesuwając dłoń po zmęczonej twarzy, kiedy przechodzimy przez próg budynku. Już paręnaście sekund później docieramy do mojego samochodu. Siedząc już na miejscu kierowcy, odpowiadam:

– Przesadzasz. To trzynastolatek...

– To gorszy przypadek niż ta twoja siostrunia – burczy pod nosem Powell.

Spoglądam na nią jak na skończoną kretynkę.

– Wow, zapędziłaś się, kochanie. – Wciskam subtelnie pedał gazu, wyjeżdżając z parkingu. Główna ulica w Las Vegas po zmroku najwyraźniej jest dla turystów o wiele bardziej atrakcyjna. Po szerokich chodnikach przechadza się aktualnie multum ludzi. – Swoją drogą ciekawe, że wciąż bawi się w aktorkę, mimo tej całej fali negatywnych komentarzy po tamtym spektakularnym debiucie. – W moim głosie pobrzmiwa kpina.

– Jest uparta. – Pearly wzrusza ramionami. – Zupełnie tak jak ty.

– Dobra, skończmy temat Withford – bąkam z niesmakiem. – Lepiej mów mi, gdzie mam jechać. Na północ? – Zerkam mimochodem na dziewczynę, która kiwa głową. Prostuje się jak struna na miejscu pasażera, po czym wyciąga dłoń w kierunku radia. Pierwsze dźwięki *Easier* od Mansionair rozbrzmiewają we wnętrzu czarnego mercedesa.

– Tak, to niedaleko od centrum, szybko tam dotrzemy – odpowiada Powell.

Wbijam wzrok w rozpościerającą się przed nami drogę. Dosłownie po paru minutach wjeżdżamy we właściwą aleję, a później osiedle. Gołym okiem widać, że mieszkają tutaj bogacze. Skromny dom to jednak nic, czego spodziewałabym się po rodzinie Powell. W końcu Mark, ojciec Pearly, zarabia krocie jako deweloper, zaś Eleanor, jej mama, jest właścicielką najbardziej luksusowych restauracji w całym pieprzonym Vegas. Pieniądzy mają więc pod dostatkiem, byle nie powiedzieć, że nadmiar.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia dziewczyna, odpinając pasy.

Zatrzymuję się przed ogromną posiadłością wybudowaną z marmuru. Jej mansardowy dach, kolumny podpierające całą konstrukcję oraz wielgachne okna zdecydowanie przykuwają wzrok. Wsiadam z samochodu, po czym ruszam za Pearly, która uprzednio zwleka się z fotela pasażera. Przychodzi jej to jednak z trudem. Zupełnie tak, jakby wielogodzinna próba z kapelą dała jej kurewsko w kość.

– Zakładam, że w domu jest tylko Elliot – wzdycha moja przyjaciółka. – Rodzice są pewnie w pracy, więc... Możemy zgarnąć jakieś wino z lodówki, obejrzeć coś, a w międzyczasie zamknąć tego małego gnojka w piwnicy. – Posyła mi psotny uśmiech.

Kręcę głową z pobłażaniem. *To rodzeństwo naprawdę się nie trawi, myślę.*

– Sądzę, że obejdzie się bez opcji numer trzy. – Wciskam dłonie do kieszeni spodni, kiedy przechodzimy przez próg willi. – Co on ci takiego zrobił, co?

Patrzę sugestywnie na dziewczynę, która wywraca oczami. Zanim zdąży mi odpowiedzieć, w momencie, w którym wchodzimy do salonu, wbiega w nią coś niesfornego.

A czymś niesfornym okazuje się Elliot Powell.

– Mercy? – Dzieciak odsuwa się od siostry na pewną odległość, nieco oszołomiony. Ani na sekundę nie spuszcza wzroku z mojej twarzy, kiedy opuszczam niewinnie obie ręce wzdłuż tułowia. Unoszę zaczepnie brew, mówiąc:

– Niespodzianka? – Lekki uśmiech wpełza na moją twarz.

– Co ty... Co ty tutaj robisz? – Zanim zdążę odetchnąć głęboko, Elliot uczepia się mnie niczym mała małpka. – Przyjechałaś na trochę? Dlaczego nic o tym nie wiem? To znaczy... Zapewne nie wiem tego, bo Pearly to siksa, ale i tak chciałbym...

– Ty mała gnido. – Moja przyjaciółka wypluwa te słowa niczym obelgę. – Sio, do pokoju. Mercy jest dzisiaj zarezerwowana dla mnie. Idź, nie wiem, obejrzyj sobie bajkę. Powzdychaj do walk bokserów albo... Jezu, nie wiem, co robią takie szczyły jak ty.

Elliot robi parę kroków do tyłu, żeby przyjrzeć mi się dokładnie. Nie pozostaję mu dłużna, gdy omiatam wzrokiem jego sylwetkę. I, cóż, kiedy zjeżdżam spojrzeniem na jego dłonie... dostrzegam w nich jakiś świstek papieru. Nie zainteresowałoby mnie to w żaden sposób, gdybym nie dostrzegła na nim znajomego logo. Mrużę oczy, pytając:

– Co tam masz?

Rudowłosy chłopak uśmiecha się szeroko, wypinając dumnie pierś. Niemal natychmiast wyczuwam bijącą od niego ekscytację. Elliot wyciąga w moim kierunku kartkę, którą przechwytyję. Szlag by to. Już wiem, co to jest, ale słowa Powella jedynie utwierdzają mnie w początkowym przekonaniu:

– To plakat Diabłów. Wiesz, kim są Diabły?

Zanim zdążę mu odpowiedzieć, odzywa się Pearly:

– Nie, wcale nie przeszła mu fascynacja drużyną Maysona. Ba, podpięłabym to już raczej pod obsesję. Wiele razy proponowałam mamie, żeby wysłać go do specjalisty, ale uznała, że to po prostu „dziecięca fascynacja” i w końcu mu przejdzie. Szkoda, że póki co wydaje krocie na bilety na walki i wszystkie gadżety związane z Inferno. – Dziewczyna zaciska szczękę, wzdychając z nieukrywanym zrezygnowaniem.

– To nie obsesja – protestuje Elliot, gromiąc siostrę wzrokiem.

– A niby co? – Pearly zakłada ramiona pod biustem.

– Wiesz co? Pieprz się. Jak zostanę kiedyś Diabłem, nie odpalę ci ani centa – bąka zirytowany chłopak, po czym przenosi swój wzrok na mnie. – To jak, Mercy? Wiesz, kim są Diabły? Jeśli nie, chętnie ci wytłumaczę. – Uśmiecha się zawadiacko.

Nie mogę nic poradzić na fakt, że na wzmiankę o Diablach Vegas znowu rodzi się we mnie dziwny niepokój. Kurwa, kiedyś sama byłam zafiksowana na ich punkcie. Dwa lata temu... Cóż, dwa lata temu z zapartym tchem śledziłam rankingi i organizowane przez nich gale dla amatorów. A teraz? Teraz w najbliższy piątek będę z nimi rywalizować.

Będę rywalizować z Gabrielem Crade'em.

*Z Diabłem.*

– Wiem o nich tyle, co nic... – przyznaję po parunastu sekundach ciszy, na co Elliot wytrzeszcza oczy, jakbym przynajmniej próbowała wmówić mu głupotę. Dopiero po chwili reflektuje się. Chrząka znacząco, udając pieprzonego dżentelmena, gdy oferuje flirciarsko:

– W takim razie mogę udzielić ci korepetycji.

Słyszając jego poważny ton, uśmiecham się jeszcze szerzej. *Co za mały kobieciarz*, przechodzi mi przez myśl. Prychnięcie Pearly rozmywa się w powietrzu gdzieś obok mojego ucha, gdy dziewczyna chwyta mnie za rękę, po czym zaczyna ciągnąć w stronę piętra.

– Może innym razem – odpowiada bratu na odchodne.

Będąc już w pokoju przyjaciółki, opadam z łoskotem na łóżko. Jestem zmęczona, a to dopiero początek mojej przygody w Vegas. Ściągam ze stóp obcasy, nie robiąc sobie nic z faktu, że Powell przygląda mi się badawczo. Po chwili mówi:

– Pójdę do kuchni po wino. Tutaj masz laptopa, wybierz jakiś film, byle nie smęty. – Z tymi słowami podaje mi sprzęt, który układam sobie na kolanach. – Zaraz wracam.

Kiwam głową w geście zrozumienia. Pearly wychodzi z pomieszczenia. Jedynie moje ciche westchnienie przerywa ciszę. Opieram tył głowy o wezłowie łóżka, gapiąc się pustym wzrokiem w ekran laptopa. Zanim zdążę skarcić się za to w myślach, wstukuję w przeglądarkę adres strony internetowej Diabłów Vegas. Szybko odnajduję filmy z gal amatorskich. W tym wszystkie nagrania z gali, która odbyła się dwa lata temu w Reno. Widok *jego*, zdeterminowanego do osiągnięcia sukcesu, sprawia, że klnę siarczyście pod nosem.

Przecucie podpowiada mi, że tym razem...

Tym razem to ja będę na linii jego strzału. Bo gdy Gabriel Crade walczy o swoje, robi to w sposób zwyczajnie bezlitosny.

# ROZDZIAŁ 2

## GABRIEL

Jest wieczór, a ja wciąż ślęczę w Inferno. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby za trzy kwadranse nie miała odbyć się pieprzona gala nagród, na której powinienem zgnieść swoją konkurencję o tytuł „sportowca roku” jak pierdolone robaki. Przechyliam niedbale głowę w bok, wpatrując się w twarz Maysona, który nie przestaje gadać jak najęty, odkąd wszyscy – on sam, ja oraz cały sztab ludzi odpowiedzialnych za wizerunek Diabłów w mediach – znaleźliśmy się w jednej sali budynku klubu. Zapodanie mi wszelkich wskazówek miało im zająć nie więcej niż dwadzieścia minut. Spoglądam na zegar znajdujący się na ścianie.

*Minęło czterdzieści, uświadamiam sobie.*

– Gabrieli – zwraca się do mnie trener.

Przenoszę na niego wzrok, unosząc sugestywnie brew. Mayson kontynuuje:

– Po prostu tego nie schrzań. Potrzebujesz tego tytułu i rozgłosu przed...

– Mistrzostwami świata – dokańczam za niego beznamiętnym tonem. – Tak, wiem o tym doskonale. A teraz mogę już w końcu jechać? Spóźnieniem nie zaskarbię sobie sympatii ludzi, którzy będą głosować. – Opieram nonszalancko plecy o fotel, splatając dłonie na brzuchu.

Czuję na sobie spojrzenia reszty ludzi, ale to nic, co wprawiłoby mnie w jakieś bzdurne zakłopotanie. Wzdycham ciężko, na co Mayson opiera wyprostowane ręce na blacie długiego stołu, mówiąc ze stoickim spokojem:

– Nie daj mi powodu, żeby się za ciebie wstydzić. Tylko o to cię proszę.

– Czy kiedykolwiek ci go dałem? – odbijam piłeczkę.

Mężczyzna prostuje się, poprawiając krawat. W tym samym momencie gestem ręki daje znać pozostałym, żeby opuścili pomieszczenie. Cały zespół w milczeniu kieruje się w stronę wyjścia, aż w końcu po paru minutach zostaję sam na sam ze swoim trenerem.

– Jesteś zbyt niepozorny, żebym mógł uwierzyć w to, że kiedyś nie odstawisz jakiegoś numeru. – Mężczyzna przygląda mi się bacznie w sposób, w jaki robi to zawsze, gdy chce poznać moje myśli. Uśmiecham się kpiąco.

Czasami bawi mnie ta jego naiwność.

– Ethan, ile my się już znamy... – Kręcę głową z politowaniem.

– Wystarczająco, żebym bał się o to, czy aby na pewno nie skupisz się na ślicznej buźce pewnej łyżwiarki z UnderScore bardziej niż na wygranej. – W głosie Maysona pobrzmiewa surowa nuta. Zadzieram brodę, przesuwając obojętnym wzrokiem po jego twarzy. Ten facet nawet nie wie, na jak kurewsko niepewny grunt wkracza za każdym razem, gdy wspomina o pyskatej Mercy Stone. Stukam palcami o blat stołu, bąkając pod nosem:

– O to się nie martw. Nie jest w moim typie.

– Każda kobieta, która współpracuje z tą agencją, jest twoim wrogiem, Gabrielu. Każda bez żadnego wyjątku, rozumiemy się? – Mayson rozpoczyna spacer po pomieszczeniu. – Oni chcą nas wygryźć. Zapewniam cię, że mają do nas takie samo podejście jak my do nich. To wzajemna nienawiść. W świecie sportu nie ma miejsca na kompromisy. Jest tylko troska o własny tyłek i własny biznes. Koniec wywodu.

– Więc zrobię wszystko, żeby ta mała siksa dzisiaj przegrała – odpowiadam obojętnym tonem i z pełną świadomością, że przeszłość jest dla mnie bez znaczenia.

Nie obchodzi mnie, kim była dla mnie Mercy Stone ani kim mogłaby być. Odcinam się od wspomnień, które dotyczą tamtego feralnego lata, tłumię w sobie wszelką nostalgię. Po prostu skupiam się na tym, żeby odebrać to, co moje. Tytuł, rozgłos, statuetkę.

Zamierzam zgarnąć to wszystko dla siebie. Zamierzam być od *niej* lepszy.

– Chodzą plotki, że niezła z niej cwaniara – dodaje Mayson. – Bądź ostrożny.

– Ty naprawdę we mnie nie wierzysz. – Mrużę oczy.

– Bo wiem, jak podstępne potrafią być takie kobiety. Wiesz, czym były syreny? – zagaja nagle Ethan, na co marszczę czoło. *Kurwa, z czym on mi tu wyjeżdża?*, myślę. *Z pierdoloną mitologią grecką?* – To piękne bestie. Takie, które nie cofną się przed niczym, byle tylko osiągnąć zamierzony cel – dopowiada mężczyzna.

– Skąd wiesz? – pytam nagle. – O tym, jak podstępne potrafią być *takie* kobiety.

Kącik ust Maysona drga nieznacznie, gdy ten mówi ze spokojem:

– Kiedy będą wiedział, że jesteś na to gotowy, podzielę się z tobą własnym doświadczeniem. A teraz zbieraj się, bo nie masz dużo czasu. – Mierzy mnie czujnym spojrzeniem, gdy wstaję na równe nogi.

Choć na zewnątrz jestem zwyczajną bryłą lodu, wewnątrz czuję dezorientowanie. *Własnym doświadczeniem*, wspominam w duchu słowa trenera. Czyli spotkał swoją piękną, podstępną bestię.

I jestem naprawdę ciekaw, czy jemu również wyrwała kawałek serca.

Parę minut później przemierzam korytarze Inferno. O tej porze w budynku nie ma zbyt wielu osób. Zawodnicy już dawno skończyli treningi, a pracownicy zmiany. Kierując się więc w stronę wyjścia z klubu, nie spodziewam się wpaść na Beatrice Mayson.

– Chciałeś tak po prostu wyjść, nie przychodząc do mnie po żadne „powodzenia”? – Kobieta posyła mi cwany uśmiech, na co ściągam nieznacznie brwi. Zanim zdążę odpowiedzieć, dziewczętna uczepia się mojego ramienia i cmoka mnie w policzek. Czując błędzącą po klacie dłoń, wykrzywiam wargi w niemrawym grymasie.

– Spóźnię się. Sorry, Bee. – Patrząc na dziewczynę obojętnym wzrokiem, który nie robi na niej wrażenia. Beatrice wydyma cnotliwie wargę, nie odsuwając się nawet na pieprzony milimetr. Opiera brodę na moim barku i odpowiada pretensjonalnie:

– Mam już dość wysłuchiwania twojego standardowego „sorry, Bee”.

– Ile już razy ci mówiłem, że nie mam czasu na kobiety? – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Smukłe palce błędzą niżej, wzdłuż mojego brzucha, aż w końcu docierają do sprzączki od paska spodni. Odsuwam się nieznacznie, próbując nie wywrócić oczami na namolność Beatrice Mayson. Ja pierdołę, jaka ona jest natrętna. Przecież aż tak nie swędzi mnie fiut, żeby pieprzyć córkę własnego przyjaciela.

*Nie tym razem, kurwa, klnę w duchu.*

– Gabe... – wzdycha niepokieszona.

– Odsuś mnie sobie, Bee. Taki Ash z pewnością zaoferuje ci więcej uwagi niż ja – odpowiadam z przekonaniem, po czym ruszam w stronę wyjścia z budynku, uprzednio rozglądając się po zaciemnionych korytarzach Inferno. Do tej pory nie chciałem robić temu dzieciakowi problemów, ale moja cierpliwość ma swoje cholerne granice. Jeszcze jedna taka akcja, a Mayson dowie się, że jego córka nie jest taka grzeczna.

Nie popełniam dwa razy tych samych błędów.

Zimne powietrze, jakie uderza we mnie po wyjściu z podziemi, pomaga mi otrzeźwić myśli. Poprawiam poły czarnej marynarki. Znajdujący się pod nią golf tego samego koloru był wyborem jednej ze stylistek. Przelotnie patrzę na zegarek na nadgarstku.

Mam pół godziny, żeby dotrzeć na miejsce, przygotować się do wywiadu, zostać podpięty milionem kabli i wmówić sobie, że Mercy Stone jest podstępna żmiją, która chce jedynie oskubać mnie z tytułów i nagród. I cóż, ostatnia kwestia z pewnością nie będzie dla mnie trudna do urzeczywistnienia. Miałem dwa lata, żeby wyleczyć się z uroku, jaki rzuciła na mnie ta cwana siksa. Wsiadając do czarnego lexusa, sprawdzam jeszcze, czy nie dostałem żadnej wiadomości od organizatorów gali. Odpalam silnik i w ciszy wjeżdżam na ulice mrocznego Vegas z zamiarem odebrania tego, co należy do mnie.

Kiedy docieram na strzeżony parking znajdujący się przy jednym z najwyższych wieżowców w Vegas, mimo wszystko czuję się spokojny. Wysiadając z samochodu, chwytam w dłoń telefon oraz teczkę z ważnymi dokumentami otrzymanymi od Maysona. Żwawym krokiem kieruję się w stronę wejścia do budynku, na którego dachu

ma się odbyć całe wydarzenie. Po drodze do windy mijam multum ludzi za nie odpowiedzialnych – wszyscy wydają się kurewsko zabiegani. Wciskam odpowiedni guzik na panelu. Na ostatnie piętro wieżowca docieram zaledwie po paru minutach spędzonych w windzie.

Wychodząc z niej, słyszę męski głos:

– Pan Crade. Witam serdecznie. – Nieznajomy mężczyzna wyciąga w moją stronę dłoń, którą bez wahania przyjmuję. – Jestem koordynatorem całej gali. Bardzo mi miło, że zaszczycił nas pan swoją obecnością. Jeśli pan pozwoli, najpierw zaproszę pana za kulisy...

– W porządku. – Kiwam głową, ruszając za facetem.

Jest wysoki, ale niższy ode mnie. Ubrany tak elegancko, że aż przesadnie. Ma włosy zaczesane do tyłu, formalny uśmiech na twarzy i chujowe poczucie humoru, gdy rzuca marnymi żartami, jakby wyciągał je z pieprzonego rękawa. Dopiero po chwili przechodzi do konkretów:

– Za moment ktoś podepnie panu mikrofon. Później prosiłbym, żeby udał się pan na dach, gdzie aktualnie trwają wywiady z dziennikarzami. Z pewnością i z panem będą chcieli porozmawiać. Za kwadrans rozpocznie się całe wydarzenie. Potrwa około dwóch godzin – informuje mnie mężczyzna, na co kiwam głową w geście zrozumienia.

Już chwilę później jakaś kobieta podpina mi mikrofon do marynarki. Wedle wskazówek tamtego gościa ruszam na dach, który okazuje się mniej zatłoczony, niż faktycznie się tego spodziewałem, gdy ślęczałem w windzie. Pierwszym, co rzuca mi się w oczy, jest podest i znajdujące się na nim fotele obite czerwoną skórą, sztuk siedem. Drugim – ogromny ekran, na którym na razie wyświetlone jest jedynie logo czasopisma organizującego galę. Zewsząd dobiegają mnie ostre światła reflektorów będące kontrastem dla niemal czarnego dzisiaj nieba. Z dachu wieżowca Vegas prezentuje się jak skupisko świateł i neonów.

Pokonując leniwym krokiem kolejne metry, przystaję przy jednej ze ścian. Opieram nonszalancko ramię o chłodną powierzchnię,

krzyżując ręce na klatce piersiowej. I wtedy, w momencie, w którym się tego, do kurwy nędzy, nie spodziewam, dostrzegam ją.

Mercy Stone wygląda jak kobieta, która rozszarpie ci serce na cholerne kawałki.

Gęste, czarne jak smoła włosy spływają kaskadą po jej smukłych ramionach. Jestem bardziej niż pewny, że nie ścinała ich od czasu, kiedy zrobiłem to ja. Znowu sięgają jej bowiem do lędźwi. Nie mrugam, przesuwając wzrokiem po srebrnej kreacji leżącej na jej zgrabnym ciele wręcz perfekcyjnie. Nie robię tego nawet wtedy, gdy sięgam spojrzeniem wyżej, do łabędziej szyi, pełnych, ładnie skrojonych ust, wiecznie zadartego nosa i iskrzących niebezpiecznie oczu. Jej wyraz twarzy jest zimny. Ta kobieta cała jest zimna.

Zimna jak pierdolony lód.

Nie widzi mnie, tego jestem bardziej niż pewien. Robię więc parę kroków do przodu, ukrywając się w tłumie innych nominowanych sportowców, ludzi z obsługi i fotoreporterów. Patrzę na nią, ale nie w sposób, w jaki robiłem to kiedyś. Patrzę na nią ze świadomością, że nie mam przed sobą zagubionej dziewczyny. Mam przed sobą niezależną kobietę. Niezłą manipulatorkę. Pewną siebie i silną bestię. Mam przed sobą własną rywalkę.

Nie okazując żadnych emocji, wsłuchuję się w słowa dziennikarza:

– Jak oceniasz swoje szanse na wygraną w dzisiejszej gali? Widzisz w kimś zagrożenie? A może jesteś pewna swojego sukcesu? – pyta mężczyzna, a ja chętnie ukreśliłbym mu łeb za to, że gapi jej się w dekolt.

*Ja pierdolę, nie bądź kretynem, karcę się w myślach.*

– Myślę, że to reszta uczestników powinna widzieć zagrożenie we mnie – odpowiada ze spokojem Mercy, a sposób, w jaki spogląda na tego fagasa, jest jednoznaczny. Ciemnozielonymi oczami zmroziłaby mu krew w żyłach, gdyby była w stanie to zrobić.

Zgarnia z pleców czarne włosy, które już po chwili opadają na jej biust. Prycham w duchu. Tak, to zdecydowanie przed takim typem kobiet ostrzegał mnie Mayson.

– Na ich miejscu zapewne poczułbym się zaniepokojony twoją ofensywą. – Ten kutas posyła jej naprawdę dwuznaczny uśmiech. Mrużę nieznacznie oczy.

Mercy przechyla mozolnie brodę w bok, wzruszając niewinnie ramionami. Po chwili odpowiada:

– Myślę, że nikt nie przyszedł tutaj, żeby finalnie podkulić ogon.

– Uważasz, że przy twoim starciu z którymś z konkurentów pojawiłyby się iskry? Może jest ktoś, z kim się nie dogadujesz? Takie wydarzenie to w końcu dobra okazja, żeby sobie trochę nawtykać. – Dziennikarz puszcza jej cholerne oczko. Nie powstrzymuję się. Tym razem wywracam oczami. *Co za skurwiel*, klnę w duchu.

– Nie znam prywatnie swoich dzisiejszych rywali, więc sądzę, że przy żadnym starciu nie pojawią się iskry – odpowiada zdawkowo kobieta.

Mężczyzna patrzy ukradkiem na gościa z obsługi. Po chwili zwraca się do Mercy:

– A Gabriel Crade? Co sądzisz o mężczyźnie, który uważany jest powszechnie za dzisiejszego faworyta? Dla przypomnienia napomnę tylko, że to Diabeł. Członek elitarniej drużyny bokserów, która od paru lat cieszy się sympatią naszej publiczności.

Powieka nawet mi nie drży, gdy czuję na sobie kilka wścibskich spojrzeń. W końcu żadne nie należy do *niej*, więc czym, do kurwy nędzy, miałbym się przejmować? Przeszczępnę nonszalancko z nogi na nogę, gapiąc się na pokerową minę Mercy. Kobieta prostuje się na fotelu, a jej kącik ust unosi się w nieszczerym uśmiechu, gdy odpowiada:

– Świetność Diabłów Vegas z czasem przeminie. Taka już jest kolej rzeczy i nie poradzi na to żaden biznes, żadna agencja czy klub sportowy. – W jej głosie słyszę przekonanie, ale to jej słowa sprawiają, że mrużę złowrogo oczy. *Co za zmija*, stwierdzam.

Mayson zdecydowanie chciałby ją teraz udusić gołymi rękami.

– Nie od dzisiaj wiadomo, że agencja, z którą współpracujesz, to główny konkurent tej drużyny... – podsumowuje dziennikarz. – Na koniec chciałbym zapytać cię jeszcze o plany na najbliższy sezon. Posiadasz już takowe? – Unosi brew.

Mercy przytakuje, spoglądając na rozmówcę z rezerwą. Jest obojętna, zdystansowana i tak cholernie poważna. Wyrosła z bycia smarkulą. To prawdziwa kobieta sukcesu. Zresztą utwierdzają mnie w tym jej kolejne słowa:

– Planuję skupić się na zimowych igrzyskach olimpijskich...

Nagle podchodzi do mnie jakaś kobieta. Upewnia się, że mój mikrofon jest podpięty jak trzeba, po czym prosi, żebym udał się z nią bliżej podestu. Nie buntuję się w żaden sposób, choć w momencie, w którym wywiad się kończy, a Mercy wstaje na równe nogi, dzieli nas mniej niż dziesięć metrów. Nie mija parę minut, a wszyscy nominowani zostają zaproszeni na scenę. I wtedy następuje moment, który wcale nie jest romantyczny, ckliwy i tak bardzo namiętny, jak mogłoby się wydawać.

Bo jej wzrok jest tak samo mętny jak mój, gdy na siebie spoglądamy. Swobodnie podchodzę do reszty sportowców. Bez żadnych ceregieli stoję obok niej. Nie mówię jednak nic, nawet na nią nie patrzę. Po prostu stoję na środku podestu, czując jedynie jak włosy jeżą mi się na pierdolonym karku. Niewzruszony wpatruję się w kamerę, gdy prowadzący przedstawia wszystkich uczestników. Po wszystkim każdy z nas siada na swoim fotelu.

Och, miło. Mój znajduje się naprzeciwko zołży z UnderScore.

Dopiero kiedy nadchodzi czas na przerwę, wypuszczam ze świstem powietrze. Niewielkie pomieszczenie, w którym mogę spędzić najbliższe pół godziny, znajduje się na ostatnim piętrze budynku. Chwytam w dłoń telefon. Piszę do Maysona, że wszystko jest w porządku i może wrzucić na stronę internetową Diabłów informację o tym, że właśnie zaczyna się głosowanie, w którym internauci będą wybierać „sportowca roku”.

Masuję dłonią kręgi szyjne, gdy dostrzegam stojącą w progu kobietę.

– Co tutaj robisz? – pyta zimnym tonem, wchodząc w głąb niewielkiej garderoby. Z gracją zasiada na obitej skórą sofie, wyciągając z torebki telefon. Przez chwilę wpatruję się w nią w milczeniu. Ciężko mi uwierzyć, że ona tutaj jest. Że jest... prawdziwa.

– Wparowałaś do mojej garderoby i pytasz, co w niej robię? – bąkam z rezerwą.

– Do twojej garderoby? – powtarza z przekąsem. – Świetnie, najwyraźniej mamy ją wspólną. Co za zrzędzenie losu. – W jej głosie

słyszę kpinę. Opieram się plecami o krawędź solidnego stolika, krzyżując ramiona na klatce piersiowej.

– Narada z agentem, co? – zaczepiam ją. – Co jeszcze każe ci powiedzieć?

– Nie wiem, ale mam szczerą nadzieję, że dostanę wiadomość brzmiącą w stylu „nazwij go kutasem, może wreszcie się odczepi”. – Mercy marszczy gniewnie nos, wygodniej rozsiadając się na meblu.

Przez chwilę po prostu nie zwraca na mnie uwagi, wpatrując się w wyświetlacz swojego telefonu. Zaciskam palce na krawędzi stolika. Wkurwia mnie myśl, że ta kobieta jest tak niemożliwie obojętna. Wkurwia mnie to, że traktuje mnie jak powietrze.

Od dłuższego czasu nikt nie traktował mnie jak powietrze.

– Jak to jest być marionetką agencji, co? – wypluwam te słowa niczym obrazę. – Tańczyć tak, jak ci zagrają? Robić to, co zechcą? – Uśmiecham się zajadle, gdy Mercy bardzo powoli unosi wzrok znad telefonu. – Mówić to, co jest im na rękę? Wiesz, ta gadka o Diabłach była naprawdę świetna, ale nie musicie martwić się o świetność drużyny. Mamy się zajebiście w przeciwieństwie do UnderScore. Aż tak zirytował was fakt, że nie dorastacie nam do pięt? Nie mów, skarbie, że nie jesteś tego świadoma. Wszyscy są.

Widząc, jak kobieta zaciska usta w wąską kreskę, czuję jakąś chorą satysfakcję. Ja pierdolę. Sam nie wiem, dlaczego po każdej komórce ciała rozlewa mi się kojąca ulga. Świadomość, że ta żmija patrzy teraz na mnie z nienawiścią w oczach sprawia, że robi mi się lepiej. Czuję się wręcz kapitalnie, gdy widzę, że w jednej sekundzie spina też mięśnie.

– Nie wiesz, komu rzucasz rękawicę, ty pyszałkowaty draniu. – Mercy wstaje nagle na równe nogi.

W głowie momentalnie pojawia mi się myśl, że wygląda tak kurewsko seksownie, gdy ogarnia ją furia. Gdy jej oczy iskrzą niebezpiecznie, a palce zaciskają się w pięści. Nie okłamuję samego siebie. Nawet nie wmawiam sobie, że ta kobieta nie jest zmysłowa jak diabli, ani że nie pożądam jej w żaden niewłaściwy sposób. Jest piękna, niebezpieczna, silna i wkurwiająca. Przypomina ładunek wybuchowy i pieprzoną żyłętę.

Naprawdę trudno mi trzymać łapska przy sobie, gdy podchodzi do mnie coraz śmieiej, coraz bardziej nabuzowana i coraz mniej spokojna. To nie jest kobieta. To wulkan, który za moment wybuchnie. Uśmiecham się nieznacznie, gdy odpowiadam:

– Małej, zmanipulowanej przez agencję smarkuli – odpowiadam.

I tyle wystarczy, żeby smukła dłoń Mercy zawisła w powietrzu. Widząc, że chce uderzyć mnie w ramię, chwytam jej rękę w locie. Zwinnie szarpie ją tak, że w mgnieniu oka to łędwie kobiety zderzają się z krawędzią stolika. Napieram biodrami na jej drobne ciało. Czuję oddech Mercy na szyi, gdy nachylam się nad jej poczerwieniałą twarzą. Instynktownie spoglądam na drzwi.

Jakie to szczęście, że są zamknięte.

– Chciałaś mnie uderzyć. – Mój głos pozostaje surowy. Absolutnie zimny.

Słyszę, jak unieruchomiona kobieta przełyka ślinę. Jej spojrzenie pozostaje jednak zacięte, nienawistne, tak bardzo złowrogie. Próbuje się wyrwać, ale jak na złość mocniej na nią napieram. Kolanem rozsuwam jej zgrabne nogi, dając jej tym samym dobitnie do zrozumienia, że ma się nie ruszać. Zastyga w bezruchu, gdy mówi ze spokojem:

– Bardzo. Cholernie bardzo chciałam to zrobić.

– Więc już nigdy nie próbuj. Dla swojego własnego dobra nigdy więcej nie pogrywaj ze mną w ten sposób – odpowiadam obojętnym tonem, zaczesując ciemny kosmyk włosów za jej ucho. Mercy nawet się nie wzdryga. Dopiero po chwili zaczyna kręcić się pod ciężarem mojego ciała. Zaciskam szczękę. Tak bardzo brak jej pieprzonej pokory.

Podsadam ją tak, żeby jej biodra zderzały się z tym jebanym stołem. Kładę dłoń na jej policzku, przesuwając wzrokiem po rozchyłonych ustach, pustych oczach i ściągniętych brwiach. Kurwa, czuję się jak jakiś psychol, ale ta mała zołza nawet teraz nie okazuje strachu. Mało tego, próbuje kopnąć mnie obcasem szpilki w jaja.

Mayson miał rację. Kobiety to podstępne bestie.

Przesuwam kciukiem po jej pełnej, dolnej wardze, mówiąc:

– Mam nadzieję, że przegrasz ze mną z kretesem.

– Wtedy uznam, że śmierdzi tu łapówką – wzdycha gniewnie. – A teraz puszczaj, bo zacznę krzyczeć. – Ponownie próbuje się wyrwać, na co wywracam oczami. – Boże, jesteś jeszcze gorszy niż dwa lata temu. – Wypuszcza ze świstem powietrze.

Jej klatka piersiowa unosi się i opada w zawrotnym tempie. Mój tors prawie stapia się z jej biustem, dopóki nie podnoszę się do pionu. Poprawiam poły marynarki i patrząc, jak Mercy wstaje ze stolika, oznajmiam z opanowaniem:

– Mam nadzieję, że to ostatni raz, kiedy muszę na ciebie patrzeć.

Kobieta fuka pod nosem wyraźnie rozeźlona. Strzepuje z kiecki niewidzialny kurz, po czym zeskakuje na podłogę. Wskazuje na mnie palcem, ale nauczona wcześniejszym ekscesem nie próbuje wydlubać mi oka. Po prostu stoi przede mną, wkurwiona do granic możliwości, jakbym przynajmniej już odebrał jej statuetkę.

– Nie cierpię cię. Boże, nie cierpię cię tak, że już bardziej nie potrafię – syczy przez zaciśnięte zęby. – Uważasz się za nie wiadomo kogo. W tym całym Inferno naprawdę przesadzili z pompowaniem ci ego. – Jej oczy iskrzą zajadle, gdy wzdycham ciężko.

– Jeszcze jakieś zarzuty? – Unoszę sugestywnie brew.

– Tak. – Sznurowuje usta w wąską kreskę.

Widok jej zadartego nosa sprawia, że mam ochotę prychnąć, ale udaje mi się zdusić w sobie ten zamiar. Patrzę na nią z miną bez wyrazu. Jezu, ta kobieta naprawdę mnie kręci, gdy staje się jakąś wybuchową furiatką.

– Więc streszczaj się, bo śpieszę się po swoją statuetkę. – Przechyliłam powoli brodę w bok, zakładając dłonie na biodrach. Para zielonych oczu wciąż wgapia się we mnie z nieustępliwością i wręcz namacalną nienawiścią. To nawet zabawne.

– Jesteś zbyt irytujący. Narcystyczny, bezczelny, chamski i... Masz ogromny tupet. Tak, ogromny tupet. – Zadziera hardo brodę. – W dodatku jesteś nieokrzesany. Co to miało być, hmm? Jakiś popis pieprzonego samca alfa? – bąka pretensjonalnie. – Zachowujesz się jak dzikus. Przez te dwa lata naprawdę postradałeś zmysły. Niezły z ciebie kutas, Crade.

Z niemałym znużeniem przesuwam wzrokiem po jej poczerwieniałej twarzy. Matko, naprawdę muszę włożyć wiele

wysiłku w to, by nie zaśmiać się na głos. Zamiast tego mrużę oczy. Pozostaję poważny, obojętny i kurewsko niewzruszony, gdy odpowiadam:

– Masz jakieś pięć minut, żeby ochłonać. Na razie, Mercy.

Z tymi słowami wychodzę z niewielkiej klitki. Wracam na dach, gdzie siadam na fotelu. Zaledwie kwadrans później rozpoczyna się druga część wydarzenia, czyli ogłoszenie wyników. Opieram przedramiona na podłokietnikach mebla, zaciekle wpatrując się w prowadzącego. W dłoni trzyma kopertę, w której znajduje się jedno nazwisko. Początkowo puszczam jego słowa mimo uszu. Dopiero gdy nadchodzi moment kulminacyjny, odzyskuję rezon. Robię to w momencie, w którym w powietrzu rozchodzi się głos mężczyzny:

– A tegorocznym zwycięzcą naszej gali zostaje...

Spoglądam kątem oka na Stone, która również patrzy na mnie ukradkiem. Jej spojrzenie pozostaje zimne, absolutnie złowrogie i nieprzyjemne. Stukam palcami o podłokietnik fotela. Firmowy uśmiech mojej rywalki rzadnie, gdy prowadzący oznajmia:

– Gabriel Crade!

## ROZDZIAŁ 3

Ciepły dźwięk rozbrzmiewa po pokoju, gdy szarpię za strunę.

Mimo tego, że staram się być delikatna jak diabli, harfa nie wydaje się dzisiaj skora do współpracy. Klnę pod nosem wyraźnie wkurzona. Nawet beznadziejny instrument jest przeciwko mnie. Ja pierdołę. Minęły trzy dni od nocy, kiedy zaliczyłam cholerną porażkę, a wciąż nie mogę jej tak zwyczajnie przetrwać. Nazywam się Mercy Stone. Ja, do diaska, nie przegrywam.

A w szczególności nie przegrywam z kimś tak narcystycznym jak Gabriel Crade.

Podnoszę się do pionu tak gwałtownie, że chwieję się lekko na zwiotczących od ciągłego bezruchu nogach. Na samą myśl o tym durniu opanowuje mnie gniew. Dobra, spodziewałam się, że nasze pierwsze spotkanie po dwóch latach nie będzie ani trochę bajkowe czy namiętne, ale, do diabła, ten prostak mi ubliżał. Ten cham pozwolił sobie na zdecydowanie zbyt dużo i aż żałuję, że nie dostał obcasem między nogi.

*Nadęty, bezczelny drań, przechodzi mi przez myśl.*

Trzy dni. Minęły trzy dni, a ja wciąż zaszywam się w posiadłości zamkniętej na cztery spusty z nadzieją, że nie będę musiała pokazywać się dzisiaj w budynku UnderScore. To poniżające. Znoszenie tych wszystkich słów pocieszenia jest po prostu kurewsko poniżające. W duchu obiecuję sobie, że Gabriel Crade jeszcze dostanie za swoje. On i ta cała jego banda śmiesznych Diabłów zrozumie, że z UnderScore się nie zadziera.

Ściągam z ramion satynowy szlafrok. Ubieram się w czarną bieliznę i tego samego koloru zwiewną kieckę. Z pełną świadomością, że czeka mnie dzisiaj poniedziałkowy trening, spinam włosy w długiego warkocza. W momencie, w którym chwytam w dłoń losową książkę, słyszę wibracje telefonu. Z leniwym

ociąganiem odbieram połączenie, widząc na wyświetlaczu numer Caleba.

*Miejmy to już za sobą, myślę.*

– Domyślam się, że twoja duma została brutalnie zdeptana, ale, skarbie, maila mogłabyś sprawdzić chociaż raz dziennie. W ciągu trzech dni wysłałem ci przynajmniej trzy, a ty nie raczyłaś odpisać na żaden. Księżniczko, czas wyjść ze swojej wieży – wzdycha pobłażliwie Wright, na co przymykam powieki. Obawiam się, że w moim przypadku opuszczenie „wieży” zakończyłoby się brutalnym mordem dokonanym na przebojowym bokserze, którego w ciągu dwóch pieprzonych lat zdążył pokochać cały świat.

Tak, sprawdziłam to. Tak, może się wypchać tymi swoimi sukcesami.

– W weekendy nie pracuję – stwierdzam mrukliwie.

– Mhm, czyli dzisiaj włączył ci się tryb jędzy – kwituje ze spokojem Caleb. – W każdym razie rozmawiałem z Rhysem. Zgodził się zbajerować trenerkę łyżwiarzy szybkich. Zrobili zamianę w grafiku, więc zaczniesz trening za pół godziny. To wyjątkowa sytuacja.

– Jaka, do cholery, wyjątkowa sytuacja? – pytam zbita z tropu.

– Masz dzisiaj sesję zdjęciową. Skoro nie odczytujesz maili, pójdziesz tam na żywioł.

Oczami wyobraźni widzę, jak mój menadżer wzrusza z lekceważeniem ramionami. Powieka nawet mi nie drga, gdyż przyjmuję informację od Caleba ze spokojem. To tylko sesja zdjęciowa. To nic, czym powinnam się stresować. Wzdycham z opanowaniem:

– Dla jakiejś marki? – dopytuję.

– Nie. To sesja dla magazynu, który organizował galę nagród – wyjaśnia rzeczowo Wright. – Jeśli o pierwszej skończysz trening, będziesz miała bite trzy godziny, żeby odpocząć przed szczerzeniem się do aparatu. Wiesz, trochę się wyciszysz, zapomnisz o tym, że to akurat to pisemko zafundowało ci trzydniową depresję, a później...

– Ta, zrozumiałam – przerywam mu. – Po prostu prześlij mi szczegóły SMS-em. Jadę na trening. Będę w kontakcie, Caleb – bąkam na koniec, po czym kończę połączenie.

Szlag by to. Mam dość tematu związanego z tamtą feralną galą nagród. Czy wszyscy jak na złość zamierzają przypominać o tym, że Gabriel Crade utarł mi nosa?

Kiedy docieram na parking znajdujący się przy lodowisku, jest już dziesiąta. Zgarniam z bagażnika sportową torbę, w której zapakowane są łyżwy, po czym ruszam w kierunku budynku. Rhysa odnajduję już na recepcji. Popija kawę z papierowego kubka, czytając jakieś sportowe piśmko. Tak, to zdecydowanie widok, który zapisał mi się w pamięci, odkąd po raz pierwszy spotkałam swojego trenera. Wzdycham pod nosem, zawiadamiając mężczyznę o swojej obecności. Ten unosi wzrok, mówiąc:

– Ktoś cię porządnie zirytował.

– Nie „ktoś” – oponuję. – Tylko pajac od Maysona. – Wywracam teatralnie oczami, podążając z Rhysem u boku w stronę lodowiska. – Wygrał z przewagą zaledwie tysiąca głosów. To tyle co nic. Miał po prostu szczęście. Zresztą nie śmierdzi ci to łapówką?

Zerkam mimochodem na trenera, który się uśmiecha.

– Bardziej mi śmierdzą nagłówki kolorowych piśemek. Brzmia jak „olśniewająca Mercy Stone kwestionuje świetność Diabłów Vegas. Czy otrzyma odpowiedź od elitarniej drużyny bokserów?”. – Rhys nie kryje rozbawienia. – Nawet nie wiesz, jak wielką burzę rozpętałaś, kochanie. Media nazwały cię „czystą kontrowersją”.

Przygryzam dolną wargę. Cóż... Tak naprawdę z początku nie miałam w planie podważać świetności najslawniejszej drużyny pięściarzy na całym pieprzonym świecie. Dopiero kiedy zobaczyłam w tłumie ludzi *jego*, przypomniałam sobie, na czym polega moja misja. Gabriel Crade stał parę metrów ode mnie z założonymi na torsie rękoma i tak bardzo pewną siebie, arogancką miną. I dokładnie w momencie, w którym go dostrzegłam, na myśl przyszły mi słowa Caleba: „Diabły Vegas to chwasty, które trzeba wyplewić”. Sęk w tym, że ten prostak okazał się naprawdę trudnym do wyrwania zieleciem.

A mój bardziej agresywny niż pasywny komentarz zaczął robić furorę w mediach.

– Więc nasz konflikt z nimi stał się trochę bardziej otwarty. – Wzruszam ramionami.

– Myślałem, że zgarniesz burę od działu PR-u, ale odkąd po internecie krążą zdjęcia, jak z Crade'em patrzycie na siebie, jakbyście chcieli poderżnąć sobie gardła, temat UnderScore i Diabłów nie schodzi z języków ludzi. To było dobre posunięcie. Wokół tych dwóch struktur nigdy nie było tak wielkiego szumu. A szum oznacza...

Widząc, że Rhys spogląda na mnie sugestywnie, dopowiadam za niego:

– Pieniądze. Szum wokół nas oznacza pieniądze – wzdycham ciężko. – Ale, moment. Jakie, do diaska, zdjęcia? – Marszczę czoło, porządnie zdezorientowana. W tej samej chwili wraz z mężczyzną zasiadamy na plastikowych krzesłach trybun. Zaczynam wyciągać z torby łyżwy. Ściągam z płóz ochraniacze, nie spuszczaając jednak wzroku z twarzy trenera.

– Nie widziałaś ich? Naprawdę odcięłaś się od życia na te trzy dni – kwituje Rhys. – Wejdź sobie na stronę pierwszego lepszego portalu plotkarskiego. Trąbią o was dosłownie wszędzie. Ludzie są złaknieni afer. A wy daliście ją im jak na pieprzonej tacy.

– Ta – bąkam pod nosem. – Teraz tylko czekać na ich następny ruch.

– Dobra, dosyć tego dobrego. Na lód, moja droga. – Rhys wstaje na równe nogi, gdy tylko kończę wiązać łyżwy. – Zaczniemy tradycyjnie od rozgrzewki. Potem machniesz trochę flipów. Kiedy udowodnisz mi, że wychodzą ci idealnie, zaczniemy tworzyć choreografię. Wybrałaś już piosenkę, do której zatańczysz układ? – pyta.

Wyglądam materiał czarnej kiecki, kręcąc głową w geście protestu.

– Jeszcze nie. Potrzebuję... natchnienia. – Przechylam leniwie brodę w bok.

– Sprężaj się. To musi być coś wolnego, ale z pazurem.

Przesuwam naostrzoną płożą po tafli lodu. Znajome szuranie sprawia, że fala spokoju rozlewa się po całym moim ciele. Chryste, chyba właśnie tego potrzebowałam. Sporej dawki zwyczajnego spokoju. Łyżwa ściera się z lodowiskiem, kiedy powoli sunę przed siebie. Przyzwyczajenie się do nowej powierzchni zajmuje mi zaledwie parę minut.

Po ich upłynięciu przyspieszam tempo. Wybijając się w górę, nie myślę o niczym innym, jak tylko o parze czujnych oczu wpatrujących się we mnie bez krzty pobłażania. Rhys jest naprawdę surowym trenerem. Sto razy bardziej wymagającym od Paula Powella.

Lądując na lodzie, prostuję się jak struna.

– Więcej werwy, moja droga! – woła mężczyzna, na co wzdycham.

Przeczucie podpowiada mi, że trzy następne godziny będą naprawdę męczące. I jak się później okazuje – mam rację. Kwadrans przed pierwszą prawie nie czuję nóg, które wiotczeją mi coraz bardziej z każdą upływającą minutą. W uszach słyszę jedynie szum własnej krwi i kolejne uwagi bezkompromisowego Rhysa. Mimo wszystko nie zwalniam, wykonuję kolejny piruet, a kiedy już ląduję, zakładam dłonie na biodrach, oddychając ciężko.

Słyszac oklaski, rozglądam się po lodowisku.

– Pearly – mówię pod nosem, dostrzegając stojącą przy barierce przyjaciółkę.

Podjeżdżam do niej, zostawiając w tyle wpatrzonego w telefon Rhysa.

– To twój trener? – pyta na wstępie dziewczyna, unosząc podejrzliwie brew.

– Wymagający Rhys Dawson. – Opieram przedramiona na barierce, podczas gdy Pearly przygryza wargę. I, cóż, nie potrzebuję więcej znaków, żeby stwierdzić bez cienia wątpliwości: mój trener jest w typie tej rudej mały. – Ale to kobieciarz. Daj sobie spokój, serio. – Macham dłonią w powietrzu. – Co tutaj robisz?

Moje pytanie wytrąca Powell z krótkiego letargu.

– Pomyślałam, że cię jakoś pocieszę, po... no sama wiesz czym – wzdycha cierpko dziewczyna. Na moją twarz momentalnie wstępuje grymas.

Och, zdecydowanie wiem po czym. Po mojej spektakularnej przegranej z cholernym Gabrielem Crade'em. Jakie to szczęście, że już więcej go nie zobaczę. Chyba nie umiałabym zdzierżyć jego obecności.

W przeciagu tych dwóch lat naprawdę stał się okropnym fagasem.

– W porządku. Urwę się wcześniej, pójdziemy na jakiś lunch – oznajmiam od niechcienia, patrząc jednym okiem na

podjeżdżającego w naszą stronę Rhysa. Dopiero gdy czuję za plecami jego obecność, pytam: – Możemy skończyć dzisiaj kwadrans wcześniej?

– Mieliśmy zacząć układać choreografię. – Trener ściąga srogo brwi.

– Weź, możemy to zrobić jutro. – Wydymam dolną wargę.

Kątem oka zerkam na Pearly, która, o zgrozo, prawie dostaje jakiegoś pieprzonego ślinotoku na widok Rhysa. *Proszę, nie*, błagam w duchu. *To przecież nie ma prawa skończyć się dobrze.*

– Mercy – upomina mnie mężczyzna. – Zrobimy to dzisiaj.

– Obiecuję, że następnym razem przyjdę do pana wcześniej i zapytam o zgodę, zanim wpadnę, żeby ją zgarnąć – wtrąca się Pearly, której ton jest flirciarski do przesady. Gromię ją wzrokiem. Muszę zabić ich relację jeszcze w zarodku, zanim nie przerodzi się w ładunek wybuchowy. Cholera, znam przecież Rhysa. Rhys to pierwszoligowy lowelas.

To dobry kumpel, ale niekoniecznie wierny partner.

– Jak masz na imię? – zwraca się do dziewczyny Dawson.

– Pearly – odpowiada dźwięcznie. – Pearly Powell.

– Więc... Pearly – zniża głos. – Liczę, że następnym razem to zrobisz. A teraz idźcie, bo zaraz wpadną tutaj łyżwiarze. A ty, Mercy, po prostu odczytuj czasami te pieprzone maile – karci mnie, na co wzruszam niewinnie ramionami. – Sio, młoda.

Kręcę głową z politowaniem, po czym ruszam w kierunku trybun. Ściągam z nóg łyżwy, na których płozy wkładam ochraniacze. Wszystko robię pod czujnym spojrzeniem Pearly, która wydaje się zdecydowanie zadowolona z faktu, że w końcu poznała mojego trenera.

W Nowym Orleanie nie miała takiej okazji. Na lodowisku w trakcie treningów mogłam przebywać tylko ja i Paul przez fakt, że było ono pilnie strzeżone. A teraz, gdy UnderScore wykupiło swoją własną taflę, cóż, może tutaj wejść każdy, kto powoła się na nazwisko zawodnika. To zdecydowanie pewna swoboda.

– Dali ci niezłego przystojniaka – komentuje, gdy siedzimy już w moim mercedesie.

– Gdzie jedziemy? – odpowiadam wymijająco, wciskając kluczyk do stacyjki. Już po chwili wjeżdżam na główną ulicę, która nie jest dzisiaj wcale ruchliwa. Stukam palcami o kierownicę w rytm lecącej z radia piosenki, jaką jest *Let You Down* od NF.

– Na pewno nie do restauracji mojej mamy. Znowu się posprzeczałyśmy – rzuca z przekąsem Pearly, zakładając ramiona na klatce piersiowej. – Miałam odebrać jutro Elliota ze szkoły, ale mam próbę, więc nie ma kto zgarnąć tego małego gnojka. Uwierzysz, że znowu zaczęła mieć temat studiów? „Na finansach miałybyś bardziej elastyczny grafik” – cytuje.

W jej głosie pobrzmiwa pretensja.

– O której kończy lekcje? – pytam, rozglądając się za losową knajpą.

– Około trzeciej.

– Zgarnę go. I tak nie mam nic ciekawszego do roboty. – Zatrzymawszy się na czerwonym świetle, chwytam w dłoń skórzaną kurtkę znajdującą się na tylnym siedzeniu samochodu. Narzucam ją na ramiona, poprawiając od razu jej poły.

Pearly patrzy na mnie ukradkiem, jakby nie mogła uwierzyć w moje dobre intencje.

– To masochizm. Potrzebujesz pomocy – mówi ze spokojem.

– Potrzebuję przestać myśleć o tym, że istnieje ktoś taki jak tamten złamas.

Marszczę nos, wspominając słowa Gabriela Crade’a. Nazwał mnie marionetką agencji, tymczasem sam był zależny od tego całego Maysona. Ba, w dodatku stwierdził, że nie dorastam mu do pięt.

Och, ten facet przekona się jeszcze, że jestem od niego lepsza. Może kiedyś rzeczywiście byłam nim oczarowana, ale dzisiaj... Dzisiaj Gabriel jest moją pieprzoną konkurencją i zamierzam zrobić wszystko, żeby ukrócić te jego bufońskie zapędy.

„Mała, zmanipulowana przez agencję smarkula”, wspominam. *Co za kretyn.*

– Wiesz, jak tak na siebie patrzyliście, wyglądaliście naprawdę... gorąco. – Pearly wachluje się dłonią, a ja łypię na nią spode łba. Szlag, muszę obejrzeć te fotki, skoro tyle ludzi w ciągu tego dnia zdążyło mi o nich wspomnieć. Moment, w którym zostały ogłoszone

wyniki, a Gabriel dostał tytuł „sportowca roku”... Cóż, wolałabym wymazać go z pamięci.

– Oglądałaś galę? – pytam od niechcienia.

– Oczywiście, że tak. Zresztą Elliot też nie mógł usiedzieć na tyłku. – Powell ziewa przeciągle, po czym spogląda w kierunku szyldu *U Wendy*. – Bierzemy fast foody? Czy to jakaś oznaka buntu?

– pyta z uniesioną brwią.

– Muszę zająć smutki. I tak schudłam przez tę przeprowadzkę. Za dużo z tym roboty. – Na mojej twarzy pojawia się cień grymasu, gdy tylko dociera do mnie, że pojedyncze pudła wciąż walają się po posiadłości i czekają na moment, w którym się nad nimi zlituję. – Tak właściwie komu kibicował Elliot, co? – Mrużę powątpiewająco oczy.

Pearly zagryza wargę. A ja już wiem, że jej brat tym razem nie postawił na mnie.

Co takiego ma w sobie Gabriel Crade, że wszyscy tak cholernie go uwielbiają?

Kiedy o trzeciej docieram do budynku, w którym znajduje się siedziba czasopisma organizującego galę nagród, spotykam w recepcji Caleba. Jak zwykle wygląda wręcz nienagannie ubrany w białą koszulę i granatową marynarkę. Już na wstępie posyła mi szeroki uśmiech, który odwzajemniam w mało entuzjastycznym stylu.

– Pstrykną parę fotek i będziesz wolna – zaczyna Wright, gdy kierujemy się w stronę windy. – Zdjęcia trafią do najnowszego numeru dedykowanemu gwiazdom Nevady, więc postaraj się wykrzesać z siebie trochę więcej... optymizmu? – Mężczyzna spogląda na mnie, zanim odwraca wzrok w stronę panelu windy.

– Poradzę sobie – odpowiadam bez mrugnięcia okiem.

– Wiem, że sobie poradzisz, Mercy. – Caleb masuje mnie uspokajająco po ramieniu, na co wzdycham ciężko. Intuicja podpowiada mi, że dzisiaj wydarzy się coś złego. Mimo wszystko tłumię w sobie to nieodparte wrażenie i w milczeniu podążam za menadżerem. Kilka minut później trafiamy na to feralne, przedostatnie piętro budynku. Wkładam dłonie do kieszeni skórzanej kurtki, dotrzymując Calebowi kroku.

– Dwieście czterdzieści trzy... O, jesteśmy na miejscu – oznajmia nagle menadżer.

Przechodząc przez próg sali, dostaję chyba jakiejś pierdolonej zapaści. Gardło schnie mi na wiór, oddech grzęźnie gdzieś w piersi, a ręka zaczyna świerzbic. *Nie, no bez jaj, myślę. To musi być tylko jakiś kurewsko nieśmieszny żart.*

Z pokerową miną wpatruję się w siedzącego na fotelu Gabriela Crade'a. Wpatrzony w telefon w ogóle mnie nie zauważa. Ba, nie zwraca uwagi nawet na stojącego obok niego Ethana Maysona, który, cóż, wygląda, jakby miał do mnie naprawdę sporo pretensji.

– Co to za farsa? – pytam nieprzyjemnym tonem.

I tyle wystarczy, żeby Gabriel leniwie uniósł wzrok na moją kamienną twarz. Chryste, nawet jeśli ten facet jest zdziwiony moim widokiem, to nie okazuje tego w żaden sposób. Pozostaje poważny, zdystansowany, tak cholernie niewzruszony na wszystko, co go otacza. Chowa telefon do kieszeni spodni, splata palce i unosi lewą brew.

– Wow, naprawdę miałaś odwagę pokazać się tutaj po spektakularnej porażce? – Niski, zachrypnięty głos uderza we mnie jak grom. *Stop*, karcę się w duchu. Próbuję przestać myśleć o tym, jak jego tembr przeszywa każdy mój nerw w naprawdę niepokojący sposób. To drań. Gabriel Crade to drań, więc, do diaska, nie mogę czuć do niego żadnego pociągu. Zaciskam usta w wąską kreskę. Mrużąc wściekle oczy, odpowiadam sucho:

– Nie chcesz, żebym wspomniała, do czego ty miałeś czelność, pajacu.

– Nazwałaś mnie „pajacem”? – bąka kpiąco.

– Też prawda, to zabrzmiało zbyt sympatycznie. – Posyłam mu ironiczny uśmiech.

Mayson przesuwając dłonią wzdłuż ostrej linii szczęki. Na dobrą sprawę nigdy nie widziałam go na żywo z tak bliskiej odległości. To wysoki, barczysty facet z nieprzenikniętym wyrazem twarzy i krzaczastymi, w tym momencie ściągniętymi brwiami. Sposób, w jaki na mnie patrzy, podpowiada mi jedynie, że naprawdę ma ochotę udusić mnie gołymi rękami za słowa, jakie wypowiedziałam podczas wywiadu.

– Okej, lalczko. Po prostu odwróć się, wyjdź i poszukaj swojej sali, bo w tej za moment będę omawiać szczegóły swojej sesji. – Gabriel nie spuszcza ze mnie wzroku. Nie uginam się jednak pod jego ciężarem. Po prostu zadzieram hardo brodę, mówiąc:

– O nie, mój drogi. Za moment ja będę omawiać szczegóły swojej sesji. W tej pieprzonej sali. – Z tymi słowami podchodzę do długiego stołu. Przysiadam na jego powierzchni, zakładając ręce pod biustem.

– Wracaj robić to, co wychodzi ci najlepiej. Łać się po mordzie z resztą tych swoich fagasów z drużyny. – Wywracam oczami.

Mayson wytrzeszcza oczy, ale to Gabriel zabiera głos:

– Kurwa, jaka ty jesteś irytująca. Paraduj sobie w tych krótkich kieczech na lodzie i po prostu zejdz mi z oczu. Dlaczego tym razem nie przychodzi ci to tak łatwo, co? – wypływa te słowa w moją stronę niczym obrazę. Mimo tego, że słysząc je, żołądek kurczy mi się do maluteńkich rozmiarów, pozostaję nieugięta. Udaję, że to wcale mnie nie rusza.

Udaję, że nie żałuję dnia, w którym uciekłam bez pożegnania.

– Bo, do diaska, nie jesteś kimś, kogo rozkazy traktuję poważnie. Boże, nie jesteś nawet kimś, kogo biorę na poważnie – podnoszę głos, a atmosfera panująca w sali staje się jeszcze bardziej napięta. Gęstnieje z każdą sekundą coraz bardziej i bardziej. Caleb przesuwa dłonią po strudzonej twarzy. Mayson wciąż patrzy na mnie, jakby chciał mnie udusić, a Gabriel... Gabriel zaciska szczękę, jakby pewne wspomnienie właśnie uderzyło go jak huragan.

– Ty mała, wredna... – odpowiada, ale kiedy chce coś dodać, w pomieszczeniu zjawia się jakiś elegancki facet. To chyba ten sam, który koordynował całą galę nagród. Kiedy tylko przypominam sobie jego żarty, ogarnia mnie zażenowanie. Tłumię je w sobie, kiedy tylko męczyzna zaczyna świergotać zdecydowanie zbyt wesoło:

– Dzień dobry. Cieszę się, że jesteśmy już wszyscy. Ach, witam moich przebojowych modeli – zwraca się tym razem tylko do mnie i Gabriela. – Wasza wspólna sesja, która ukaże się na łamach naszego czasopisma, zdecydowanie rozgrzeje całą rozpustną Nevadę.

*Zaraz, zaraz... Co, do diabła?,* przechodzi mi przez myśl.

Patrzę przelotnie na zdziwionego Caleba, wciąż rozeźlonego Gabriela i zdegustowanego Maysona. Chryste, niech ktoś mi powie, że to tylko dowcip. Niech ktoś mi powie, że z ust tego faceta nie padła fraza brzmiąca tak obrzydliwie jak „wspólna sesja”.

Przymykam powieki. Chyba zaraz naprawdę dostanę pierdolonej zapaści.

– Jak to... wspólna? – Trener sławnych Diabłów zabiera głos.

– Zmieniliśmy trochę koncept. Nasi czytelnicy i wasi fani naprawdę chcieli zobaczyć was razem przed jednym obiektywem, więc wyjdziemy im naprzeciw. Zaufajcie mi, wszyscy na tym zyskamy. Ten limitowany numer sprzedaje się bardzo dobrze, o ile nie wyśmienicie.

– To przecież jawna kpina – zauważa Caleb. – Oni za sobą nie przepadają.

Otworzywszy oczy, patrzę na menadżera z niezidentyfikowanym wyrazem twarzy. Prawda jest taka, że nie zamierzam zdradzać mu, co wydarzyło się dwa lata temu. Nie zamierzam zdradzać tego absolutnie nikomu. Chcę po prostu zapomnieć o tym, że zatracanie się w Gabrielu było dla mnie niespodziewane i tak zwyczajnie... trudne do przebolewania. Nie wróciłam do Luizjany jedynie dlatego, że bałam się wziąć ten balast na plecy.

Wróciłam tam, bo oboje wiedzieliśmy, że musimy skoncentrować się na sobie.

– To szaleństwo – komentuje facet. – To dochodowe szaleństwo...

– Musimy się naradzić – stwierdza Mayson. – Zostawcie nas samych.

Spoglądam na mężczyznę. O dziwo, zwraca się do faceta od czasopisma, mnie oraz Gabriela. Chce zostać sam na sam z Calebem? Nikt nie kwestionuje jego słów. Skoro dwójka mężczyzn rusza po chwili w stronę korytarza, podążam za nimi. Będąc już poza salą, zasiadam na fotelu obitym czarną skórą. Gabriel postępuje podobnie. Jedynie gość, który wyszedł z nami, rusza w kierunku grupki osób znajdującej się obok windy.

Cholera jasna. *Co za farsa*, myślę.

– Zawsze możesz się wykręcić.

Słyszając chrapliwy głos mężczyzny, unoszę wzrok na jego twarz. Para grafitowych oczu wpatruje się we mnie niewzruszenie. Nie pozostając dłużna Gabrielowi, również gapię się na niego z rezerwą, odpowiadając:

– Wow, naprawdę myślisz, że ze względu na ciebie będę zmieniać swoje plany?

– Chcesz wiedzieć, co myślę? – Mężczyzna unosi leniwie brew. Pociera swobodnie dłonią żuchwę pokrytą zarostem, nie spuszczając ze mnie wzroku. Dopiero po chwili zaczyna kontynuować: – Myślę, że należało mi się zwykle „było fajnie.” Ale to nieistotne, wiesz? Dawno zdusiłem w sobie pretensje o to, że odeszłaś bez słowa, tak samo jak już dawno przestałaś mnie obchodzić. Mam się ekstra. Dzięki, że nie zapytałaś o to w ciągu dwóch ostatnich lat, bo łatwiej było mi uznać cię za zmarnowany czas.

Tembr jego głosu jest głęboki, spojrzenie absolutnie obojętne, a oddech spokojny. Gabriel po prostu... wypluwa z siebie kolejne słowa, których wypowiedzenie nijak go nie rusza. Ta świadomość sprawia, że zastygam w bezruchu. Instynktownie mocniej wciskam obcas szpilki w wykładzinę, którą wyłożona jest podłoga. Dla mnie też to wszystko nie było łatwe, ale od początku wiedziałam... Od początku wiedziałam, że prędzej czy później go zawiodę. Dlatego wolałam zrobić to wcześniej niż później patrzeć, jak usycha.

Z każdym dniem zwłoki byłoby z nami jedynie gorzej. Przyśpieszyłam nieuniknione.

– Sęk w tym, że należało ci się więcej, niż byłam w stanie tak naprawdę ci dać. – Moja mina pozostaje pokerowa. Tym razem odsuwam od siebie wszelkie beczelne komentarze, które byłabym gotowa wypowiedzieć na głos. Zamiast tego dopowiadam: – Nigdy nie pogratulowałam ci tego, kim teraz jesteś. Więc mimo tego, że teraz nie umiemy ze sobą rozmawiać, chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie przestałam wierzyć w to, że osiągniesz sukces. Nawet jeśli w tej chwili kradniesz mi tytuły i statuetki... cieszy mnie fakt, że masz się ekstra. – Z tymi słowami wstaję i odchodzę w stronę schodów.

Muszę się przewietrzyć.

Moment, w którym fryzjerka kończy układać mi włosy, sprawia, że odzyskuję rezon. Poprawiam materiał gorsetowej kiecki z bufiastymi rękawami. Sięga mi do połowy ud i przysięgam, że w życiu nie widziałam sukienki w tak głębokim odcieniu czerni. Mrugam parokrotnie, gdy kilka osób skacze wokół mnie jak pracowite mrówki.

Dopiero po paru minutach docieram do sali, w której znajduje się już cała ekipa.

Zimna barwa lamp początkowo wydaje się odrobinę oślepiająca. Szybko odnajduję wzrokiem stojącego obok fotografa Caleba. Parę metrów za nim dostrzegam Maysona. Na samym końcu krzyżuję spojrzenie z Gabrielem, który, cóż, w czarnej koszuli z odpiętymi dwoma guzikami pod szyją prezentuje się atrakcyjnie jak diabli. Tatuaze naprawdę do niego pasują. Przez głowę przemyka mi myśl, że chyba ma ich jeszcze więcej niż kiedyś.

– Stańcie obok siebie. Gabrielu, obejmij ją jakoś... – proponuje fotograf.

Zanim zdążę wziąć głęboki oddech, duża, wytatuowana ręka przyciąga mnie do siebie wręcz zaborczo. Spoglądam w obiektyw. Sposób, w jaki długie palce studiują kręgi mojego kręgosłupa, doprowadza mnie do pieprzonego szaleństwa. Boże, już zapomniałam, w jaki stan potrafi wprawić mnie dotyk tego faceta. Serce łomocze mi jak dzwon, gdy kolejne charakterystyczne pstryknięcia wypierają ciszę z pomieszczenia, w którym się znajdujemy.

– Mhm – mruczy z aprobatą facet. – Pokażcie nam więcej swobody.

Bez ceregieli kładę smukłą dłoń na piersi Gabriela. Oczami wyobraźni widzę tatuaż kruka, który ma wytatuowany pod czarną koszulą. Mężczyzna, jakby czytał mi w myślach, przechyla głowę, żeby skrzyżować ze mną spojrzenie. Niewidzialny supeł zawiązuje się gdzieś w moim gardle, gdy para grafitowych oczu wręcz spija z mojej twarzy całe zawahanie. Przyciągam go do siebie za kołnierz tak blisko, że wystarczyłby niechybny ruch, żeby nasze usta się o siebie otarły. Przestaję rejestrować, co tak właściwie dzieje się wokół nas.

Po prostu patrzę w oczy mężczyźnie, który uważa mnie za zmarnowany czas.

Kiedy jest już po wszystkim, czuję się wykończona. Przesuwam dłonią wzdłuż łańcuszka torebki, mozolnym krokiem kierując się w stronę schodów. Czeka mnie jeszcze podpisanie paru papierów. Dobrze, że sala, do której mam się udać, znajduje się zaledwie piętro niżej. Dzięki temu nie muszę korzystać z zatłoczonej windy. Pokonując pierwsze stopnie schodów, nie spodziewam się usłyszeć za plecami znajomej barwy głosu:

– Ja też nigdy nie przestałem w ciebie wierzyć.

Odwracam głowę. Gabriel wpatruje się we mnie z kamienną miną.

– Nie przestałem nawet wtedy, gdy przez cały ten czas próbowałem cię znienawidzić.

## ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia zjawiam się pod jedną z prywatnych szkół równo o trzeciej.

Patrzę na ogromne, dwuskrzydłowe drzwi. Pozostają zamknięte jeszcze przez parę minut, dopóki chmara dzieciaków nie wylatuje z budynku z prędkością pieprzonego światła. Wciskam potylicę w zagłówek fotela, wzdychając ciężko. Niczego bardziej nie pragnę niż tego, by reszta tego dnia również upłynęła mi spokojnie jak diabli. Po wczorajszych zmaganiach z Gabrielem Crade'em chyba zasłużyłam na jakikolwiek odpoczynek.

Mimowolnie sznuruję usta w wąską kreskę, gdy na myśl przychodzą mi jego ostatnie słowa: „Nie przestałem nawet wtedy, gdy przez cały ten czas próbowałem cię znienawidzić”. Serce ściska mi się boleśnie, choć to ostatnie, co pragnęłabym poczuć. Gniew na Gabriela na moment ustępuje zwykłemu zrozumieniu. Bo wiem, jak trudno było mi ruszyć do przodu po tym, jak wróciłam do Luizjany. I wiem, że on czuł to samo, gdy wyjechałam.

Mimo wszystko nie znienawidził mnie. *Nie potrafił.*

Mrugam parokrotnie. Trzask drzwi samochodu wytrąca mnie z chwilowego letargu. Odzyskawszy rezon, krzyżuję spojrzenie z Elliotem, który wygląda, jakby dzień spędzony w szkole naprawdę dał mu w kość. Przekręcam kluczyk w stacyjce, mówiąc zgryźliwie:

– W sumie po całym dniu spędzonym w szkole nie prezentujesz się gorzej niż po kłótni z Pearly. – Wzruszam niedbale ramionami, na co młody marszczy czoło.

– Jej pazury są gorsze niż maczety – burczy pod nosem. – Jedziemy do ciebie?

– Chciałbyś – parskam kpiąco. Elliot nie kryje zadowolenia, gdy odpowiada krótko:

– No.

– Jedziemy do restauracji twojej mamy. Za pół godziny skończy omawiać jakąś ważną umowę, więc zgarnie cię do domu – tłumaczę neutralnym tonem. – Naprawdę myślałeś, że jeśli nie weźmiesz ze sobą kluczy do posiadłości, to zawiozę cię do siebie?

Zerkam kątem oka na młodego Powella, który skubie zębami wargę. To uroczy dzieciak, ale te szczeniackie zagrania naprawdę mógłby sobie darować. Mam dwadzieścia dwa lata, jestem straszną jędzą i dogadanie się ze mną graniczy zwyczajnie z cudem. Te trzy aspekty powinny odpędzić ode mnie tego małego gnojka. Och, powinny.

– Pearly powiedziała mi, że... No wiesz... – zaczyna Elliot, jękając się.

– Hm? – ponagliam go, przenosząc spojrzenie na jezdnię.

– Wygadała się, komu kibicowałem podczas gali nagród. – W jego głosie słyszę zawstydzenie. – To wcale nie tak, że chciałem, żebyś przegrała. Z jednej strony byłem za Gabrielem, bo to Diabeł, a z drugiej za tobą, bo... to ty. Nie bądź zła.

Ściągam delikatnie brwi, rozglądając się po głównej ulicy.

– Nie jestem. Zastanawiam się tylko, co on takiego w sobie ma, że wszyscy go tak cholernie ubóstwiają – bąkam pod nosem, wciskając subtelnie pedał gazu. – Okej, ma ładną buźkę i umie się bić. Charakter... Szlag, przecież on ma paskudny charakter.

– Zawiało hipokryzją – wzdycha półszepem Elliot.

– Hej – upominam go. – Do której bramki w końcu strzelasz, co?

– O, lubię tę piosenkę – oznajmia wymijająco, wyciągając dłoń w kierunku radia. Mrużę nieznacznie oczy, kiedy refren *Closer* od The Chainsmokers zagłusza niezręczną ciszę, która wypełnia samochód. Kręcę głową z politowaniem.

*Mały tchórz*, myślę.

Mija zaledwie pięć minut, a my docieramy do restauracji należącej do Eleanor Powell. Gaszę silnik, po czym zgarniam z tylnych siedzeń czarne futro, które narzucam na ramiona. Elliot, chwyciwszy w dłoń plecak, wysiada z czarnego mercedesa. Podążam tuż za nim w kierunku knajpy, która powszechnie uznawana jest za jedną z najbardziej luksusowych w całym pieprzonym Vegas. To pierwszy raz, kiedy mogę przyjrzeć jej się z bliska.

Wchodząc do środka, rozglądam się po ogromnej sali. Zachowana w stylu zamkowym prezentuje się odrobinę upiornie z tymi ciężkimi zasłonami zwisającymi z karniszy. Nie jestem w stanie przeskanować wzrokiem całego lokalu, bo w pewnym momencie Elliot chwytą mnie gwałtownie za rękę. Spoglądam na niego wyraźnie zdziwiona.

*Co on wyprawia?*, przechodzi mi przez myśl.

– Zobaczyłeś ducha? – pryham kpiąco.

– Chodź tam ze mną. Proszę, chodź tam ze mną – lamentuje młody Powell, ciągnąc mnie w tylko sobie znanym kierunku. Marszczę czoło cholernie zbita z tropu. – Mercy, no.

Spoglądam na Elliota jak na skończonego kretyna. Dopiero kiedy unoszę wzrok, żeby dociec, o co tak właściwie chodzi, dostrzegam siedzącego parę metrów dalej przy jednym ze stolików Gabriela Crade'a. Nie jest sam. Obok niego siedzi jakiś rosły facet.

– Chyba cię pogrzało – wypluwam te słowa niczym obrazę.

– Mercy... Muszę zdobyć autograf. – Chłopak spogląda na mnie z niemym błaganiem. – Nie mogę zaprzepaścić takiej szansy. To znak od losu. To... okazja, która nigdy się nie powtórzy. Sam tam nie pójdę, nie mam jaj. – Stwierdza pośpiesznie.

Zanim zdążę zaprotestować, Elliot znowu ciągnie mnie w stronę stolika. Rozdziawiam bezwiednie usta, gdy Gabriel, zaaferowany dziwnym poruszeniem obok własnego stolika, odwraca głowę w naszą stronę. No ja pierdołę. Teraz już nie mogę się wycofać. Wyjdę na jeszcze większą idiotkę, niż zrobił ze mnie Powell.

– Mercy Stone. – Mężczyzna splata palce na stole. – Kto by pomyślał, że w UnderScore płacą tak mało, żeby ich zawodnicy musieli dorabiać sobie po godzinach jako niańki? – W jego głosie pobrzmiwa drwina, która, o zgrozo, dolewa oliwy do ognia.

Wywracam oczami. Elliot puszcza moją dłoń, ale wciąż stoi jak wryty.

– Daruj sobie. Uznaj, że mnie tu nie ma – odpowiadam bez emocji.

Przez dłuższą chwilę po prostu patrzę na faceta, na którego widok zaczyna kotłować się we mnie dziwne napięcie. Boże, to źle, że wciąż uważam tego durnia za piekielnie atrakcyjnego. Wniosek zakładający, że Gabriel Crade jest kurewsko gorący, wydaje się po prostu niepodważalny. Tatuaze, które zdobią jego rozbudowane

bicepsy, ukryte częściowo pod materiałem czarnego podkoszulka, od razu przykuwają mój wzrok. Aż w końcu omiatam spojrzeniem jego twarz. Jego kamienną twarz. Grafitowe tęczówki wpatrują się we mnie niewzruszone.

Obojętność bijąca od tego mężczyzny jest wręcz namacalna.

– Ja tam bym napawał się ładnymi widokami – wtrąca się siedzący naprzeciwko Gabriela facet. W jednej sekundzie i ja, i Crade łypimy na niego spode łba. – Och, dobra. Po prostu myślę, że możecie się do nas dosiąść. Przykro mi, że twój podopieczny jest... No wiesz, niemową – dopowiada przyciszonym głosem tak, żebym była w stanie go usłyszeć.

– Ale on nie jest żadną pieprzoną niemową. – Mrużę oczy.

– Och... – Koleś wydaje się skonsternowany.

– Elliot, powiedz coś. – Kręcę głową z pobłażaniem, podczas gdy Powell wciąż stoi w miejscu jak cholerny słup soli. Dopiero po chwili opada na jedno z krzeseł przy stoliku, wciąż zaciekle milcząc. – On jest waszym... – Krzywię się. – Fanem.

– Chcesz autograf? – Gabriel spogląda na chłopaka pustym wzrokiem. – A ty siadaj. – Tym razem zwraca się do mnie. Jego wyraz twarzy jest nieustępliwy, głos nieprzyjemny, a aura, jaką wokół siebie roztacza, udowadnia mi, że ten facet to kawał drania.

– Mógłbyś? – Elliot podsuwa Gabrielowi zeszyt i długopis.

– Współczuję ci. – Mężczyzna podpisuje się na jednej ze stron. – Ja nie mogę wytrzymać z nią dwóch godzin w jednym pomieszczeniu, a ty, jakby nie patrzeć, jesteś na nią skazany. Wytrzymały z ciebie gość, wiesz? – odpowiada nieco łagodniej, a jego kącik ust unosi się w aroganckim uśmiechu. Siadam na krześle wytrącona z równowagi.

*Spokojnie, mówię sobie w myślach. Zaraz wpadnie tutaj Eleanor i przerwie tę farsę.*

– Mercy jest świetna. Gdy będę starszy, kupię jej pierścioneł z brylantem – rzuca dumnie Elliot, a na mojej twarzy mimowolnie pojawia się grymas. Myślałam, że temat rzekomych oświadczeń mamy już za sobą, ale jak widać jest to kwestia, która wymaga dłuższej dyskusji. Chcę coś powiedzieć, ale nagle odzywa się siedzący obok mnie facet:

– Jestem Ash. – Wyciąga w moją stronę dużą dłoń, którą przyjmuję.

– Mercy – odpowiadam z rezerwą.

Ponownie patrząc ukradkiem na Gabriela, który ściąga nieznacznie brwi.

– Jestem pewien, że takie jak ona mają tendencję do uciekania sprzed ołtarza – mówi Crade ze spokojem, oddając Elliotowi zeszyt i długopis.

Zwężam złowrogo oczy, gapiąc się na tego fagasa z wręcz wyczuwalną pretensją. Serio? Czy on, do diaska, naprawdę musi wplątywać w swoje wypowiedzi jakieś żalosne aluzje do tamtego feralnego lata?

– Ale Mercy nie jest taka jak inne – buntuje się młody.

– A jaka jest? – Gabriel unosi sugestywnie brew.

Krzyżuję ręce pod biustem, wsłuchując się w ich wymianę zdań.

– Jest chamska... Nie umie gotować i często wyzywa mnie od gnojków – zaczyna nagle Elliot. – No i okropny z niej kierowca. Czasami boję się wsiąść z nią do samochodu. Ale mimo wszystko jest naprawdę w porządku. – Powell spogląda na mnie z uśmiechem. – Śmiesznie marszczy nos, gdy się irytuje. Jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam.

Gabriel wciska plecy w oparcie krzesła. Jego wzrok ląduje na mojej twarzy. Przeszywa mnie nim w najbardziej niepokojący sposób. Żołądek kurczy mi się do filigranowych rozmiarów, gdy grafitowe tęczówki Gabriela ciemnieją. Wzrokiem spijam z nich cały mrok. Robię to, bo ten facet, mimo że jest dla mnie oschły, w jakiś popieprzony sposób mnie intryguje.

– I tak zgarniesz baty za to, co zrobiłeś w piątek – oznajmiam chłopakowi.

– Stary, nie mówiłeś, że twoje koleżanki są tak ofensywne. – Siedzący obok mnie Ash opiera przedramiona na stole. Gabriel wywraca oczami, przesuwając palcami wzdłuż ostrej linii szczęki. Parodniowy zarost jedynie dodaje mu męskości. Gorąc kumulujący się u zbiegu moich ud powoli staje się nie do wytrzymania, gdy ten drań posyła mi kpiący uśmiech.

– Bo niektóre mogą mieć niewyparzony język, ale w rzeczywistości ciągle tchórzyc – odpowiada cierpko, a we mnie aż się gotuje. Jezu, wiem, że stchórzyłam. Naprawdę to wiem, więc, do diabła, Gabriel Crade mógłby w końcu przestać mi o tym przypominać.

– Chryste, czy ty kiedyś skończysz tę farsę? – Zwęzłam złowrogo oczy.

– Jaką farsę, skarbie? – Mężczyzna unosi ciemną brew.

– Pytam, czy skończysz obrzucać mnie jakimiś ukrytymi pretensjami. Te gierki robią się już nudne. Ja odpuściłam, więc ty też to zrób. – Wiercę się na krześle. Nie zamierzam mówić na głos tego, o co konkretnie mi chodzi. To powinniśmy wyjaśnić sobie bez obecności osób trzecich. Ale, do cholery, najwyraźniej porozumienie się z tym pajacem graniczyłoby z jakimś pieprzonym cudem nawet wtedy, gdyby przyszło nam zostać w jednym pomieszczeniu sam na sam.

– Zmiana taktyki? – Gabriel upija łyk wody, ale nie spuszcza wzroku z mojej twarzy nawet na ułamek sekundy. Jego oczy iskrzą niebezpiecznie, kiedy sunę obcasem wzdłuż jego łydki. Bez ceregieli kładę przedramiona na twardej powierzchni stołu, odpowiadając:

– Lubię przewyższać inteligencją takich jak ty. – Wydymam cnotliwie wargę.

Nieodparte wrażenie, jakby spojrzenie Gabriela obdzierało mnie ze skóry, staje się wręcz namacalne. Mężczyzna zastyga w bezruchu, gdy wciąż droczę się z nim pod stołem. W końcu zabrakło mu tego ciętego języka w gębie, ponieważ bawię się z nim jak z dzieckiem. Uśmiecham się ironicznie.

Gabriel jedynie przechyla brodę w bok.

– Wolisz nie wiedzieć, co ja lubię – burczy w końcu, na co Ash prychna szyderczo.

– Och, psuć ludziom krew? Czy grać im na nerwach? – Składam usta w ciup.

Gabriel kręci głową z wyraźnym politowaniem. W tej samej chwili do stolika podchodzi Eleanor trzymająca pod pachą ogromną teczkę z dokumentami. Patrząc na nią z delikatnym uśmiechem. Mama Pearly wygląda tak jak zawsze. Włosy w kolorze miedzi spięte ma w wysokiego, ciasnego koka, a dopasowana sukienka leży na niej jak

ulał. Wstaję na równe nogi, gdy kobieta przyciąga mnie do uścisku. Zdecydowanie dopisuje jej dzisiaj humor.

– No nareszcie cię złapałam – swiergocze mi do ucha. – Tak dawno cię nie widziałam.

– Ciebie też miło widzieć, El. – Odsuwam się na moment, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. Ta kobieta to bezsprzecznie gruba ryba. Prawdziwa, okładkowa bizneswoman. – Przywiozłam ci dzieciaka. Naprawdę ma słabość do... Diabłów – dokańczam z wyraźnym przekąsem, zerkając ukradkiem na niewzruszonego Gabriela.

– Chodźcie na zaplecze. Za kwadrans będę wolna – proponuje pani Powell.

– Chodź, Elliot. I tak się tutaj już zasiedzieliśmy – wzdycham, udając się za kobietą, która zmierza w tylko sobie znanym kierunku. Chłopak zwleka się z krzesła z jawną niechęcią, chwytając w dłoń swój plecak, po czym żegna się z dwoma facetami.

– Na razie – rzucam na odchodne, uprzednio spoglądając przez ramię. Dostrzegam parę grafitowych tęczówek wpatrujących się we mnie z niezidentyfikowaną emocją i dopowiadam nieśpiesznie jeszcze tylko krótkie, niezobowiązujące: – Było fajnie.

Grdyka Gabriela drży nieznacznie. Ruszam w stronę Eleanor i Elliota, którzy znikają za barem. Kobieta odkłada na twardą powierzchnię plik dokumentów, a kelner zwinnie nas mija, mknąc spieszonym krokiem na salę. Zasiadam na wysokim krześle, pytając:

– Ile tak właściwie masz tych knajp w Vegas?

Eleanor zaczesuje kosmyk włosów za ucho, śledząc wzrokiem drobną czcionkę.

– Cztery. Niedługo otwieram piątą – odpowiada neutralnym tonem.

Przenosząc na moment wzrok na Elliota, orientuję się, że zdążył już odpalić jakąś losową gierkę na telefonie i zatracić się w niej bez reszty. Opieram brodę na zgiętej w łokciu ręce, obserwując salę.

– Nie dziwię się, że masz tak napięty grafik – mówię zupełnie szczerze.

– Byłam pewna, że Pearly nie będzie miała dzisiaj tych swoich śmiesznych prób.

Zagryzam dolną wargę z pełną świadomością, że wkraczamy właśnie na niepewny grunt. Eleanor Powell zdecydowanie miała inne plany związane z przyszłością jej najstarszego dziecka. Widziała ją na studiach związanych z finansami, a teraz... Cóż, teraz musi przełknąć gorycz porażki i zaakceptować fakt, że jej córka spełnia się jako gitarzystka w zespole.

– Nieważne. – Macham lekceważąco ręką w powietrzu. – Wiesz przecież, że możecie na mnie liczyć. – Spoglądam w stronę drzwi, przez które wchodzi właśnie nie kto inny jak Ethan Mayson. Na mojej twarzy mimowolnie pojawia się grymas. Ten facet zdecydowanie mnie nie trawi. Co ważniejsze, nie jest sam. U jego boku kroczy podobna do niego młoda dziewczyna.

*Zapewne córka, przechodzi mi przez myśl.*

– Jesteś boska – schlebia mi Eleanor, składając parafkę na jednym z dokumentów.

– A jak tam u Marka? Wciąż jest w delegacji? – zagajam.

Patrzę kątem oka na to, jak czarnowłosa dziewczyna siada obok Gabriela. Wystarczy jej jedno spojrzenie, żebym zorientowała się, że ta siksa leci na niego jak rozochocona smarkuła. Sposób, w jaki taksuje go wzrokiem, jest jednoznaczny. Wygląda jak pierdolona, wygłodniała hiena.

Instynktownie wciskam obcas szpilki w posadzkę.

– Tak, wróci dzisiaj wieczorem. Nareszcie... – odpowiada mi kobieta. – Och, a oni znowu tutaj przyszli. – Spoglądam na Eleanor, która obserwuje stolik, przy którym siedzi „elita”. – Hej, Flynn. Obsłuż państwa. – Zaczepia jednego z kelnerów, po czym tłumaczy mi: – To stali goście. Niektórzy przychodzą tutaj tylko po to, żeby przypadkiem ich spotkać.

– Mhm. – Przytakuję niemrawo głową. – Chyba powinnam już lecieć. Muszę jeszcze jechać do siedziby agencji, żeby pogadać z menadżerem – kłamię jak z nut, schodząc z wysokiego krzesła. Eleanor posyła mi uśmiech, który z trudem udaje mi się odwzajemnić.

– Dzięki, Mercy – dopowiada kobieta, zanim ruszam w stronę wyjścia z knajpy.

Fala gorąca przedziera się przez moje ciało od stóp do głów, kiedy przemierzam salę. Nawet na moment nie przestaję czuć na sobie palącego spojrzenia Gabriela Crade'a, który przechyla niedbale głowę, nie spuszczając ze mnie wzroku. I może to głupie, może absolutnie irracjonalne i bezmyślne, ale nie mam nic przeciwko temu, że to na mnie skupia uwagę.

Nie mam nic przeciwko temu, bo nigdy nie chciałam, żeby przestawał to robić.

Kiedy wracam do posiadłości, omal nie zabijam się o wciąż bezwiednie leżące na podłodze pudła. Przeklinam w duchu własne lenistwo, ale zamiast z nim walczyć, po prostu kieruję się w stronę sypialni. Usiadłszy na łóżku, chwytam w dłoń laptopa. Karcę się w myślach zdecydowanie zbyt wiele razy, ale nawet to nie sprawia, że zaprzestaję wpisywania w wyszukiwarkę strony internetowej Diabłów Vegas. Mogę nie cierpieć tej drużyny, ale włączając nagranie z ostatniej walki cholernego Gabriela Crade'a, znowu czuję się jak zwykła, oczarowana nim smarkuła. I ta myśl naprawdę zaczyna mnie martwić. Cięży mi na sercu jak stutonowy balast, którego nie jestem w stanie się pozbyć. Ten facet naprawdę rzucił na mnie urok. Zrobił to bez mojej zgody, ale z pełną świadomością, że kiedyś za nim zatęsknię.

I dzisiaj przez krótką chwilę naprawdę mi go brakowało.

Siedząc następnego dnia w gabinecie Caleba, puszczam mimo uszu wszystko to, co do mnie mówi. Gapię się spod przymrużonych powiek w martwy punkt przed sobą, starając się odnaleźć w głowie piosenkę do układu, jaki zaprezentuję na igrzyskach olimpijskich. Rhys podczas dzisiejszego treningu dał mi dobitnie do zrozumienia, że powinnam pośpieszyć się z jej wyborem.

Napieram zębami na wargę. Dopiero zniecierpliwiony głos Wrighta wytrąca mnie z chwilowego letargu. Odzyskawszy rezon, spoglądam na mężczyznę, gdy mówi:

– Schrzaniłaś to, Mercy. Chryste, przez ciebie agencja jest na skraju bankructwa...

Mrużę oczy, nie wiedząc, o czym ten facet mówi.

– Ale co? – Masuję dłonią kark, kładąc nogi na stole.

– Ja pierdolę. – Caleb nie kryje złości. – Ty naprawdę mnie nie słuchasz. I nogi na ziemię, moja droga. Te twoje szpile przedziurawią mi stół. – Marszczy gniewnie czoło, celując we mnie palcem. – Mówiłem, że zaraz przyjadą tutaj Mayson i Crade.

Od razu się ozywiam. Omal nie zachłystuję się powietrzem, gdy wypluwam:

– Pieprzysz. Niby po co mieliby sami wpychać się do paszczy lwa?  
– Wywracam teatralnie oczami, bo, szczerze mówiąc, scenariusz, w którym Diabły Vegas przyjeżdżają do siedziby UnderScore, wydaje mi się o stokroć bardziej niż nierealny. Wzdycham krótko pod nosem, odchylając głowę do tyłu. Lekki wiatr wpuszczony do gabinetu przez otwarte okno mierzwi moje włosy, kiedy Wright łypie na mnie spode łba, zakładając dłonie na biodrach.

– Musimy wybrać zdjęcia, które pojawią się w najnowszym numerze czasopisma – wyjaśnia pokrótce, na co marszczę nos, gdy mężczyzna wyciąga z szuflady ogromną teczkę. – Dostałem je z samego rana. Najrozsądniej było zawołać tutaj tych dwóch pajaców. Wspólnie wybierzemy kilka fotek, a oni dostarczą je do siedziby tego pisemka.

– Przynajmniej jesteście na swoim terytorium. – Wzruszam niedbale ramionami.

– Nie musisz się hamować. – Caleb posyła mi sugestywny uśmiech.

– Więc... za ile przyjadą? – Unoszę brew.

Mężczyzna zerka na zegarek. Zanim zdąży mi odpowiedzieć, trzask drzwi rozbrzmiewa po pomieszczeniu. Odwracam głowę przez ramię, ale widząc w progu Rachel Wright, szybko przytomnieję. Opuszczam nogi w dół, wygładzając materiał kieciki.

Matko, ta kobieta to szajbuska i nie ma w tym stwierdzeniu choćby krzty przesady. Jest kurewsko terytorialna i ma fioła na punkcie dopowiadania sobie dziwnych scenariuszy, a już zwłaszcza takich, które zakładają, że ja i jej mąż mamy ze sobą cholerny romans. Normalnie miałabym to gdzieś, ale ze względu na Caleba wolę nie dawać jej powodów do gniewu.

– Cześć wam. – Jej uśmiech jest zdecydowanie zbyt słodki. – Byłam w pobliżu, więc stwierdziłam, że sprawdzę, jak tam

w UnderScore – opowiada dźwięcznie, na co wypuszczam cicho powietrze.

*Po prostu chciałaś skontrolować, czy twój mąż jest ci wierny, świrusko*, bąkam w duchu, świadoma, że zapewne tak właśnie było. Czasami myślę, że ta kobieta ma po prostu obsesję.

– Daj znać, jak przyjadą – zwracam się do Caleba, po czym ruszam w stronę korytarza. Uprzednio zgarniam ze stołu teczkę ze zdjęciami, co udaje mi się zrobić niepostrzeżenie. Kieruję się w stronę niewielkiego lobby, które znajduje się na piętrze. Zasiadłszy na obitej zamszem sofie, zaczynam wertować wszystkie fotki. Wyglądają nieźle.

Podoba mi się sposób, w jaki zostały obrobione. Kiedy jednak przeglądam coraz więcej zdjęć, natrafiam w dużej mierze na takie, które mogą sporo namieszać. Zdecydowanie zbyt śmiało dotykam na nich tego durnia, a on patrzy na mnie zbyt pożądliwie. Liczę na to, że internauci nie pomyślą, że ta nasza wzajemna niechęć jest jedynie feralną zasłoną dymną dla czegoś... Cholera, dla czegoś niewłaściwego. Niewłaściwego zważywszy na fakt, że pochodzimy z dwóch różnych światów. Jesteśmy dla siebie konkurencją.

Zamykam folder. Wybiorę najbardziej niewinne fotki, jakie w nim znajdę.

Podnoszę się do pionu, po czym patrzę w stronę windy, z której wylewa się garstka ludzi. Dostrzegając wśród nich Ethana Maysona i Gabriela Crade'a, zadzieram hardo brodę. Oni również sprawiają wrażenie zdeterminowanych, żeby skopać nam tyłki.

Jak ja uwielbiam z nimi współpracować. To tak bardzo przyjemne.

– Witamy w UnderScore. – Uśmiecham się powabnie, wskazując dłonią na kierunek, który mężczyźni powinni obrać. – Caleb już na was czeka. Ostatnie drzwi na końcu korytarza.

– Panie przodem. – Mayson sili się na szarmanckość.

*Dobrze wiem, że mnie nie trawisz*, odpowiadam w duchu.

Mimo tego ruszam przed siebie. Stukot moich szpilek rozbrzmiewa po budynku, aż w końcu docieramy do celu. Upewniwszy się, że Rachel zdążyła już się ulotnić, wchodzę do środka. Caleb wstaje na równe nogi. Poprawia krawat, po czym

spogląda sugestywnie na trzymaną przeze mnie teczkę. Przekazuję mu ją w absolutnym milczeniu.

Dopiero po chwili Wright zaczyna mówić:

– Załatwmy to tak szybko, jak to możliwe.

– Widzę, że wszyscy mamy podobne zamiary. – Mayson zasiada na jednym z foteli.

Podobnie postępuje Gabriel, który dodatkowo opiera wytatuowane przedramiona na podłokietnikach mebla. Zagryzam wnętrze policzka. Ten facet naprawdę roztacza wokół siebie jakąś pieprzoną aurę mroku. To, jak jego oczy matowieją, mięśnie napinają się, a oddech spowalnia, przyprawia mnie o cholerną gęsią skórkę. Nie dziwię się, że ludzie w większości się go boją. Kiedyś był jedną wielką zagadką, ale teraz... Teraz to uosobienie jakiegoś tajnego szyfru.

Jego grafitowe tęczówki w tym momencie przypominają bazylijskowe ślepia.

– To te fotki? – Głos ma niski, seksownie zachrypnięty.

Przysiadam na stole. Z nieprzeniknioną miną wpatruję się w duże dłonie, które zabierają Calebowi folder ze zdjęciami. Gabriel pociera kciukiem pokrytą zarostem linię szczęki, cały czas obserwując zawartość teczki. Jego oczy leniwie skanują efekty naszej pracy. Z każdą sekundą jego milczenia wzbiera we mnie dziwna wątpliwość, którą tłumię w sobie w momencie, w którym unosi leniwie wzrok. Krzyżujemy spojrzenia, gdy pyta spokojnie:

– Co o nich sądzisz?

Rozchyłam delikatnie usta. Spodziewałam się raczej chamskiego komentarza, a nie zwyczajnego pytania. Zacisnąwszy palce na krawędziach długiego stołu, stwierdzam bez emocji:

– Są w porządku. Sądzę, że mamy z czego wybierać.

– A te ostatnie? – Nie spuszcza wzroku z mojej twarzy. – Co sądzisz o tych ostatnich?

*W co on gra?*, myślę zdezorientowana.

Zakładam nogę na nogę, splatając palce na kolanie. Przedzierające się przez szare chmury słońce pada na twarz Gabriela, kiedy próbuje odnaleźć w jego oczach jakąkolwiek intencję. Moja próba kończy się jednak fiaskiem. Ten facet ani na ułamek sekundy nie przestaje być

absolutnie nieodgadniony, jego zamiary niejasne, a spojrzenie nieczytelne.

– Nie jestem za tym, żeby umieszczać je w tym numerze – odpowiadam szczerze.

– Mhm. – Gabriel stuka palcami o podłokietnik fotela. – Chciałbym przedyskutować z tobą swój wybór na osobności – wyraźnie akcentuje końcówkę swojej wypowiedzi, przesuwając sugestywnym wzrokiem po twarzy najpierw Caleba, a później Maysona.

Ci patrzą po sobie z lekkim niezrozumieniem. Posłusznie jednak wychodzą.

– Też rezygnuję. – Gabriel przejeżdża leniwie kciukiem wzdłuż dolnej wargi, patrząc na mnie z majaczącą w oczach rezerwą. Mrugam powoli. Nie mam bladego pojęcia, co ten facet planuje, ale nie zamierzam pozwalać na uśpienie własnej czujności.

– Z czego rezygnujesz? – Marszczę w niezrozumieniu czoło.

– Z tej całej farsy. Rezygnuję z niej tak, jak pewnego dnia w końcu zrezygnowałem z ciebie. Nie jesteś warta tego, żebym tracił więcej czasu – odpowiada ze spokojem mężczyzna, a głęboki tembr jego głosu uderza we mnie jak pierdolony grom. Zastygam w bezruchu, podczas gdy Gabriel odkłada na stół folder ze zdjęciami. Mozolnie podnosi się do pionu. – Nie zasłużyłaś na to, żebym chciał cię ponownie w swoim życiu, więc chcę, żebyś się z niego wyniosła tak, jak zrobiłaś to tamtego lata. Nie uprzedzaj mnie. Nawet się ze mną nie żegnaj. Nie chcę tego. Nie chcę ciebie, Mercy.

Krew w moich żyłach krzepnie w jednej sekundzie. Zagryzam wnętrze policzka z obawy o to, że dolna warga za moment zacznie mi niebezpiecznie drżeć. Nogi mam jak z waty, nie rejestruję momentu, w którym mężczyzna staje pomiędzy nimi, uprzednio rozsuwając je zimnymi dłońmi. Włosy jeżą mi się na karku, gdy jego szorstka skóra ponownie ociera się o moją. Z trudem zdobywam się na pokerową minę, kiedy pytam bezbarwnym tonem:

– Już? Lepiej ci?

– Nie – odpowiada oschle. – Wciąż nie jest mi, do kurwy nędzy, lepiej.

– Więc proszę. Kontynuuj, jeśli to ma sprawić, że nagle ci ulży – cedzę przez zaciśnięte zęby, mocniej zaciskając palce na krawędzi stołu. Nie jestem w stanie nawet odetchnąć głęboko, gdy nagle dwie wytatuowane dłonie przenoszą się na moje policzki. Z mojej piersi wydostaje się nieostrożne sapnięcie, gdy Gabriel przybliży się do mnie tak blisko, jak to możliwe. W jego oczach zauważam dominację. Widzę w nich mrok, tajemnicę, pustkę.

Grafitowe ślepia wpatrują się we mnie z chęcią mordy.

– Nie ulży mi. Nigdy mi nie ulży, dopóki będziesz wciąż do mnie wracać – odpowiada nieprzyjemnym tonem, połykając moje zdławione westchnienie. Jego uścisk jest żelazny. On sam jest niedelikatny, tak cholernie absorbujący i zaborczy. Instynktownie splatam nogi za jego łądzwiami, przyciągając go do siebie śmieiej. Zamiast go od siebie odepchnąć, pytam:

– Co, jeśli ten jeden raz *przy tobie* zostanę?

Opieram swoje czoło o jego. Przez chwilę po prostu chłonę jego obecność.

– Przekonaj się, jeśli masz odwagę. – Patrzy na mnie z powagą, która mrozi moje serce.

Boże, nie potrafię nad sobą zapanować, gdy nagle po prostu odnajduję drogę do jego ust. Całuję go tak maniakalnie, jakby świat miał zaraz roztrzaskać się na maleńkie kawałki. Wciskam paznokcie w szerokie barki, coraz mocniej napierając na zimne jak diabli wargi.

Wytatuowane dłonie studiują każdy centymetr mojego ciała. Obłapiają mnie z każdej strony niczym pajęczyna, w którą dobrowolnie pozwalam się uwikłać. Długie palce lądują na moim karku, gdy Gabriel traci cierpliwość. Po prostu przywiera do mnie tak raptownie, jakby jedynie ten pocałunek miał zdusić w nim dziwne pragnienie. Nasze usta ocierają się o siebie bez krzty głupiej subtelności. Przyciągam go do siebie za kołnierz koszulki. Napawam się smakiem jego ust, przypominam sobie ich fakturę, zatracam się w nich bez reszty tak samo, jak robiłam to dwa lata temu. Gabriel w zaledwie chwilę rozbudza we mnie wachlarz emocji. W zaledwie dwie sprawia, że gubię oddech. A kiedy myślę, że chce się odsunąć...

Wtedy ponownie przyciska usta do moich. Robi to swobodniej. Jakby wiedział, że tego właśnie chcę. Jego i tylko jego.

## ROZDZIAŁ 5

Biorę głęboki wdech.

Kołatające serce niemal miażdży mi żebra, gdy nie zwalniam tempa, wykonując kolejny skok. Lądując z gracją na oblodzonej powierzchni, wyłapuję czujne spojrzenie Rhysa. Mężczyzna stoi nieopodal z założonymi na torsie rękami, oparty plecami o balustradę. Ani na głupią sekundę nie spuszcza ze mnie wzroku. Szuranie płozy ścierającej się z taflą sprawia, że nie skupiam uwagi na krwi szumiącej mi w uszach. Podjeżdżając do trenera, staram się uspokoić przyspieszony oddech.

– Nawet nie mów, że ten lutz był do bani – rzucam już na wstępie, gdy Rhys rozchyła usta, żeby zapewne wytknąć mi jakiś niemający odzwierciedlenia w skoku błąd.

Z Rhysem znamy się już jak łyse konie i wiem, że zawsze znajdzie jakieś „ale”. To już niezapisana nigdzie zasada. Taka, że Dawson ma wobec mnie horrendalnie wielkie wymagania i robi absolutnie wszystko, żebym pod żadnym pozorem nawet na chwilę nie spoczęła na laurach.

– Był w porządku, ale mógł być perfekcyjny – stwierdza, notując coś w swoim niewielkim notatniku. W duchu przybijam sobie mentalną piątkę, bo hej, miałam rację. – Swoją drogą wydaje mi się, że jesteś dzisiaj jakaś nieobecna. Wszystko gra?

– Skąd ta nagła troska, co? – Unoszę brew, poprawiając ciasnego kucyka.

– Uwielbiam to, jak zawsze zgrabnie unikasz odpowiedzi na pytanie. – Rhys puszcza mi oczko, na co kręcę głową z pobłażaniem.

To fakt. Nieczęsto silę się na zwierzenie się komukolwiek z ciężących mi na sercu problemów. A już zwłaszcza nie ludziom, którym wygadanie, że namiętnie całowałam się z Gabrielem Crade'em, dupkiem z pieprzonego, rozślawionego na cały świat

Inferno, a ponadto wrogiem numer jeden UnderScore, skończyłoby się tragicznie.

Och, poważnie. Agencja skróciłaby mnie o głowę, a Caleb jeszcze dobił.

– Muszę po prostu... przywyknąć do zmian. – Wzruszam od niechcienia ramionami.

– Aż tak ciężko jest ci się tutaj zaaklimatyzować?

– Mhm. – Przesuwam dłonią po spiętych kręgach szyjnych. – Spokojnie, dajcie mi jeszcze parę dni i wrócę do dawnej formy – odpowiadam ze spokojem, na co Rhys kiwa głową w geście zrozumienia. Wygląda zupełnie tak, jakby łyknął haczyk. Jakby łyknął moje małe pominięcie prawdy związanej z wczorajszym ekscesem, jaki miał miejsce w gabinecie Caleba Wrighta.

Cholera, chyba wciąż nie mogę się po nim do końca otrząsnąć.

– W każdym razie nie jest z tobą tak tragicznie. Wyrobisz się do igrzysk.

– Nie wątp w to – wzdycham, zaczepiając palce o szlufki sukienki.

– Koniec na dzisiaj? Muszę jeszcze jechać w jedno miejsce, a jest już późno. – Patrzę na zegarek, który znajduje się na moim nadgarstku.

Dostrzegając na nim godzinę ósmą, marszczę nos. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że z treningiem uwiniemy się zdecydowanie szybciej.

– Tak, myślę, że i tak więcej z ciebie nie wycisnę. – Rhys mierzwi dłonią moje włosy.

– Ile w tobie litości – bąkam ironicznie.

– Po prostu wyglądasz jak zombie, a ja muszę troszczyć się o swoją gwiazdę.

Uśmiecham się nieznacznie, gdy rzucam pod nosem:

– Lizus. – Odbijam się od barierki. – Na razie, Rhys. Do jutra.

Ściągając z nóg łyżwy, czuję jedynie rozchodzące się po zwiotczących mięśniach mrowienie. Standardowo nakładam na płozy ochraniacze i myślę, że niedługo powinnam oddać sprzęt do specjalisty, który mi go naostrzy.

Podnoszę się do pionu dopiero wtedy, gdy wrzucam wszystkie rzeczy do sportowej torby. Wychodząc z budynku, jestem przygotowana na to, że zimny wiatr rozbije się na mojej rozgrzanej

od wysiłku skórze i tym samym przyprawi o dreszcze. Spoglądam na ekran telefonu, po czym wsiadam do czarnego mercedesa. Wszystko wskazuje na to, że Pearly Powell wciąż znajduje się w miejscu, do którego zawitała godzinę temu, a do którego ja miałam udać się zaraz po zakończonym treningu.

Odpalam silnik. Włączam ulubioną playlistę i ruszam w kierunku, jaki nakazuje mi obrać nawigacja. Ulice Vegas są o tej porze zatłoczone, więc dotarcie do podobno najlepszego studia tatuażu w całym stanie zajmuje mi zdecydowanie więcej czasu, niż tak naprawdę powinno. Wysiadając z pojazdu, oddycham głęboko. Od razu ruszam do budynku. Mijam recepcję, ale nikt nie zatrzymuje mnie po drodze do sali, w której odnajduję przyjaciółkę. Tatuażysta właśnie dziara jej łopatkę, na co patrzę z nieukrywanym politowaniem.

– Tak, teraz prawdziwa z ciebie rockmanka – kpię, zasiadając na wolnym krześle.

– Długo kazałaś na siebie czekać. – Pearly mruży delikatnie oczy.

– Rhys miał dzisiaj wobec mnie spore plany – wyjaśniam pokrótce. – Zresztą to nieistotne. Jaki to wzór? – Patrzę sugestywnie na igłę, którą posługuje się młody mężczyzna. Na twarzy przyjaciółki dostrzegam grymas, który podpowiada mi, że z każdą upływającą minutą czuje ona jedynie coraz większy dyskomfort.

– Kolibry. Podobno przynoszą farta.

– No tak – odpowiadam. – Do twarzy będzie ci z dziarami.

– Powiedz to Eleanor, zanim wyrwie mi wszystkie włosy z głowy – parska wymownie dziewczyna, podczas gdy po przestronnym pomieszczeniu rozchodzi się czyjś niski śmiech. Instynktownie marszczę czoło. Jest przytłumiony, ale wydaje mi się, że brzmi znajomo. – Mogłabyś chociaż wysilić się na zwykłe „współczuję, skarbie”, wiesz? – Powell wykrzywia usta w pretensjonalnym grymasie, sycząc pod nosem siarczyste przekleństwo.

Odwracam głowę. I ten odruch okazuje się błędem.

– Bez jaj – jęczę męczeńsko pod nosem.

– Hej, to za małe pomieszczenie, żeby kisiły się w nim dwie gwiazdeczki Las Vegas. – W głosie Pearly pobrzmiewa drwina, gdy

Gabriel Crade wchodzi do sali, w której każde stanowisko tatuatora oddzielone jest od reszty parawanem.

Momentalnie odwracam głowę w stronę przyjaciółki, zanim zdążę wyłapać spojrzenie wysokiego mężczyzny. Być może nie chcę na niego patrzeć, a może po prostu wciąż nie mogę znieść myśli, jak dobrze było mi znowu mieć go przy sobie tak cholernie blisko... Cóż, niezależnie od powodu, wiem, że to, co wydarzyło się pomiędzy nami, było zwyczajnie głupim wybrykiem. Chwilą, w trakcie której daliśmy się ponieść. Jesteśmy z dwóch różnych światów. Jesteśmy dla siebie konkurencją. I choć oboje stwierdziliśmy, że to czas, żeby odpuścić sobie te szczeniackie wybryki i złożyć broń, to cóż, wciąż coś pomiędzy nami zgrzyta.

– Daruj sobie. Długo to jeszcze potrwa? – zwracam się do tatuatora.

– Przynajmniej godzinę – odpowiada zdawkowo.

*Nienawidzę przypadków, przechodzi mi przez myśl. Naprawdę ich nienawidzę.*

– Jak myślisz, będzie miał jaja tutaj podejść i zepsuć mi wieczór? – pytam Pearly.

– Nie lubię marnować takich okazji jak ta.

Zaciskam usta w kreskę tak wąską jak pierdolona kartka papieru. Niski, seksownie zachrypnięty baryton rozlega się gdzieś za moimi plecami. Przemykam na zaledwie sekundę powieki, jednak uchylam je tak prędko, jak uświadamiam sobie, że właściwie dobrze się stało, że Gabriel wpadł tutaj jak huragan. Muszę się z nim bowiem... rozliczyć za to, że wciąż nie dostarczył zdjęć z naszej sesji do siedziby czasopisma.

A to przecież leżało w jego interesie, nie moim czy Caleba Wrighta.

– A ja nie lubię, gdy ktoś nie wywiązuje się ze swojej części umowy. – Mrugam słodko.

Gabriel w tym czasie podchodzi do znajdującej się niedaleko kozetki. Jego kroki są leniwe, absolutnie niespieszne. Moment, w którym nasze spojrzenia się krzyżują, działa na mnie jak paralizator. Uderzenie gorąca jest czymś, czego zdecydowanie wolałabym nie czuć za sprawą widoku grafitowych oczu tego

cholernego dupka. Chyba zawsze miałam do nich słabość. Lubiłam ich odcień. Stalowoszary, przypominający niekiedy dym wydostający się z komina.

– Zanim zaczniesz tyradę, może po prostu sprzedaj mi konkrety. – Gabriel unosi brew.

– Nie musiałabym tego robić, gdybyś miał głowę na karku – wypalam pretensjonalnie.

– Więc wolisz się bawić ze mną w pieprzonego kotka i myszkę. – Opiera wyprostowaną rękę za plecami, przybierając nonszalancką pozycję. Dopiero teraz dostrzegam krzątającego się obok niego tatuatora z jakimś płynem w ręku. Przemywa nim jego biceps.

– Ustaliliśmy, że masz zawieźć do siedziby czasopisma wybrane zdjęcia. Nawet nie chcę wiedzieć, dlaczego odwlokłeś to w czasie, po prostu... – zaczynam, ale nie jest mi dane dokończyć. Nawet czując na sobie spojrzenie Pearly, nie spuszczam wzroku z Gabriela.

– Nie będę miał kiedy ich tam podrzucić – przerywa mi ze spokojem mężczyzna.

– Wow, wiesz, że własnym lenistwem godzisz nie tylko w imię Inferno, ale też moje?

Wywracam teatralnie oczami, krzyżując ramiona pod biustem. Dałabym sobie rękę uciąć, że ten drań nie jest wcale tak zapracowany, jak twierdzi. Pewnie po prostu odbywa jakiś trening w tym swoim klubie.

Zadzieram brodę, gdy dźwięki maszynek tatuatorów zaczynają się ze sobą mieszać.

– Lepiej będzie, jeśli mnie wyręczysz. – Oczy Gabriela ciemnieją nieznacznie.

– Chyba zapomniałeś, że nie jestem jakimś tam parobkiem, który w hierarchii tego waszego śmiesznego klubu jest na początku łańcucha pokarmowego – parskam śmiechem, nabijając się z naiwności faceta, który nawet po chwili wydaje się zupełnie poważny. – Poproś mnie, a może odnajdę w sobie chęć na to, żeby uratować ci tyłek.

– Kpisz sobie ze mnie – zauważa wymownie.

– Aktualnie? – pryham. – Wyklinam cię w duchu na wszelkie możliwe sposoby.

Z chwilą, w której igła spotyka się ze skórą mężczyzny, ten nawet się nie krzywi. Zwyczajnie wciąż wpatruje się we mnie z niejasną intencją, wzrokiem nieprzeniknionym żadną emocją. Opieram plecy o ścianę, zerkając kątem oka na Pearly, która jeszcze moment i czuję, że spieprzy stąd gdzie pieprz rośnie. Powell tak bardzo skupia się na bólu, który przenika jej łopatkę, że wydaje się nie zwracać na mnie i Gabriela szczególnej uwagi. Zadzierając odrobinę nos, powracam spojrzeniem do nadętego bufona.

– Rób to do woli, jeśli lubisz radzić sobie z gniewem w sposób, jakiego nie mógłbym się po tobie spodziewać, Mercy. – Głos tego faceta staje się niższy, wręcz do przesady tajemniczy. Sprawia, że na moment sztywnieję. Jaki on ma ogromny tupet. W jego słowach od razu wyłapuję nawiązanie do wczorajszego, niepoprawnego ekscesu.

– Nadstaw policzek – odpowiadam twardo.

Gabriel kręci głową z nieukrywanym pobłażaniem. Wie, że wykręcę się z każdej farsy, dlatego nie próbuje ponownie rzucać jakąś aluzją. Staram się powstrzymać swoją ciekawską naturę i nie próbować dojrzeć wzoru, jaki tatuator nakreśla na umięśnionym bicepsie, ale idzie mi to opornie. Szlag, chciałabym wiedzieć, jak wygląda jego kolejna dziara. Chiałabym nawet znać jej historię, choć wcale nie powinno mnie to intrygować.

– Dlaczego nadal nie prosisz? – Przechylam brodę w bok.

– To nie ja jestem na twojej łasce. Pamiętaj o tym, Mercy.

Sposób, w jaki mężczyzna akcentuje ostatnią część swojej wypowiedzi, sprawia, że mimowolnie napinam mięśnie. Gabrielowi nie umyka ten fakt. Nie uśmiecha się, ale nie potrzebuję żadnego dowodu, by po moim ciele rozlało się przeświadczenie o tym, że ten facet jest po prostu niezmiernie zadowolony z mojej reakcji.

– Nie bądź smarkulą i nie próbuj odbijać piłeczki. Po prostu wpadniesz na chwilę po zdjęcia, a później odjedziesz sobie jak gdyby nigdy nic. – Mężczyzna omiata wzrokiem moją kamienną twarz. – Tak, schrzaniłem sprawę. Kupię ci za to jakieś kwiatki czy... coś.

– Jesteś mało wiarygodny. Nie wiem, dlaczego miałabym uwierzyć, że to nie podstęp.

– Bo jesteś ostatnią osobą, którą wpuściłbym do domu – odpowiada z przekąsem. – Właściwie co ty tutaj robisz, skoro się nie

dziarasz? – Mruży wątpico oczy, patrzc to na mnie, to na Pearly, ktora chocia stara si wyglda na spokojn, wyranie le znosi kolejne minuty, jakie uplywaj tatuatorowi na wtaczaniu tuszu pod jej skr.

– Robi za przyzwoitk – stwierdzam. – Dobra, jedziemy do ciebie. Wezm te zdjecia. Wisisz mi przyslug.

Twarz Gabriela jest pokerowa. I pozostaje taka nawet wtedy, gdy po godzinie i obiecaniu Pearly, e zadzwoni do niej jutro, wysiadam z czarnego mercedesa, przesuwajc wzrokiem po posesji faceta, ktory odrobin zaczyna mnie przeraac. Opieram plecy o karoseri wlasnego samochodu, rozgldajc si po ogromnym, zaniedbanym ogrodzie.

Caa wielohektarowa dziaka okalana jest przez horrendalnie wysokie drzewa. Ciemna kotara nieba nie pozwala mi wiele dostrzec, ale pojedyncze lampy wcinite w popkan kostk brukow daj mi pewien ogld sytuacji. Sama rezydencja prezentuje si jak zamek ywcem wyjty z horroru. Jest dua, posiada kilka pojedynczych wie i wysoki dach, ktory pokrywaj pobrudzone dachwki. Ciemne cegly gdzieniegdzie wystaj z poronitych mchem cian.

Wysokie, strzeliste okna oplata latorol. eby dosta si do solidnych drzwi wejciowych, trzeba przejc przynajmniej kilkanacie metrw i pokona naprawd wiele stopni kamiennych schodw. Po obu ich stronach znajduj si rwnolegle pooone do siebie kolumny. Zapiera mi dech w piersiach, gdy ponownie rozgldam si po posesji. Ta posiadoc naprawd znajduje si na odludziu. W samym rodku pieprzonego lasu.

– Nie masz ich doc? – pytam zachrypniym gosem, patrzc wymownie na dach.

Znajduj si na nim skrzeczce kruki.

– Nie. – Gabriel kieruje si w stron kamiennych schodw, wic odbijam si od karoserii auta i ruszam za nim. – Ale mam dosyc wielu innych rzeczy, wiesz? – Zerka w mojq stron mimochodem, gdy stukot moich obcasw konkuruje z charakterystyczn, upiornie brzmic melodi ptakw.

– Masz doc mnie – wysnuwam wniosek, ktory uwaam za trafny.

– Kiedy wróciłaś, zastanawiałem się, kim trzeba być, żeby mieć w sobie taką czelność jak ty, gdy tak po prostu wparowałaś do tej cholernej garderoby podczas feralnej gali o tytuł. – Gabriel otwiera przede mną drzwi. Wchodząc do zaciemnionego korytarza, czuję jedynie niepokój rozlewający się po moim ciele. – Wtedy faktycznie miałem dość myśli, że znowu pojawiasz się znikąd. Miałem dość tego, że gdy wyrzuciłem cię ze swojego życia, ty po raz kolejny wtargnęłaś do niego jak huragan. I tym razem zrobiłaś to bardziej samolubnie. W sposób, jaki podpowiedział mi, że jedynie rzucając ci kłody pod nogi, zdołam poczuć się w jakiś popierdolony sposób lepiej.

Wchodzę w głąb rezydencji. Wszechobecny chłód otacza mnie z każdej strony tak, że momentalnie oplątam ramiona dłońmi. Każdy kolejny krok stawiam ostrożnie z dozą przeświadczenia, że to wciąż jego terytorium. Jego bezpieczny azyl. Mrok, w którym się zaszywa. Połykam zdławione połowicznie westchnienie, gdy nagle ostre światło żyrandola pozwala mi dostrzec stare meble znajdujące się w salonie. Zapach cedru pomieszany z kawą wdziera się do mojego nosa prawie od razu. Zagryzam dolną wargę.

Ta sceneria jest przerażająca.

– Więc wygląda na to, że oboje nie chcieliśmy, żeby historia zatoczyła koło. – Spuszczam na moment wzrok. Drewniane, odrobinę spróchniałe panele skrzypią pod naciskiem moich szpilek, gdy ruszam przed siebie. Nie spodziewam się jednak, że w jednej chwili wytatuowana dłoń wyląduje na moim ramieniu. Gabriel jednym silnym szarpnięciem obraca mnie tak, że zderzam się z jego twardą klatką piersiową. Połykam powietrze.

– Ale najbardziej miałem cię dość, gdy wczoraj zapytałaś, co zrobię, jeśli tym razem przy mnie zostaniesz. – Unosi gwałtownie mój podbródek. Nie mam drogi ucieczki, gdy Gabriel zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. W grafitowych oczach dostrzegam jedynie powagę. Mój oddech ląduje na twarzy mężczyzny, gdy ten dokańcza: – Nie powinnaś mnie całować, a potem naiwnie wierzyć w to, że sam nie spróbuję wyszarpać ci własnego serca, z którym kiedyś ode mnie uciekłaś. Tym razem nie zamierzam być tym, który zostanie z niczym. To koniec gry, Mercy.

– Chcesz... zabrać mi wybór? – wykrztuszam z siebie.

– Chcę, żebyś albo już nigdy więcej nie pokazywała mi się na oczy, albo żebyś wróciła. Nie chcę kompromisu. Tutaj nie ma trzeciej możliwości, Mercy. Jest tylko tchórzostwo albo decyzja, która pociągnie za sobą konsekwencje. – Gładzi wytatuowanym palcem moją wargę.

Mrugam powoli powiekami. W jednej sekundzie robi mi się duszno. Zupełnie tak, jakby ktoś nagle odciął mi dopływ tlenu. Jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się na moim gardle. Natarczywe spojrzenie Gabriela staje się coraz bardziej przenikliwe. I stojąc tak, w upiornej posiadłości, patrząc Diabłu w oczy i dźwigając na barkach pewien bagaż doświadczeń, wiem, że tym razem nie pozwolę sobie myśleć, że jestem dla niego niewystarczająca.

Ten mężczyzna uświadomił mi, jak wiele jestem warta. On... posklejał mnie do kupy.

– Więc jednak chcesz mnie w swoim życiu. – Moje usta nieostrożnie ocierają się o zimne wargi Gabriela. Uśmiecham się delikatnie i myślę, że podobny gest już dawno nie przyszedł mi tak łatwo. – Zostanę w nim. To właśnie mój wybór. Chyba tym razem... Tym razem do niego dojrzałam, wiesz? – Kładę dłoń na jego pokrytym zarostem policzku.

– Wiem, Mercy. Naprawdę to wiem.

– To dobrze – odpowiadam, opierając brodę na jego barku.

Nie mam pojęcia, co wyniknie z naszego zawieszenia broni. Nie wiem nawet, czy okaże się to dobre czy złe w skutkach. Jestem jednak pewna, że będzie nam po prostu lżej, jeśli nie będziemy dla siebie tacy oschli. Jeśli... rozpoczniemy wszystko od nowa.

– To ryzyko. Liczę, że jesteś tego świadoma. – Głos Gabriela rozlega się gdzieś przy moim uchu, gdy nasiąkam jego bliskością jak pieprzona gąbka.

Jestem tego w zupełności świadoma. W końcu powinniśmy być dla siebie wrogami, a właśnie zakopujemy topór wojenny. Budujemy fundament na mogile błędów, które popełniliśmy feralnego lata i od czasu, kiedy spotkaliśmy się w Vegas po raz kolejny.

I kto wie, może kiedyś wzniesiemy na nim coś *wspólnego*?

– Jestem – odpowiadam szczerze. – Ale chcę, żebyśmy zaczęli wszystko od początku.

– Więc zacznijmy. – Mężczyzna odsuwa się ode mnie nieznacznie.

– Gabriel – przedstawia się.

Moment, w którym jego zimne usta lądują na wierzchniej części mojej dłoni, przyprawia mnie o falę dreszczy, która w mgnieniu oka rozchodzi się po każdym skrawku ciała. Mrużę delikatnie oczy, wpatrując się w poważnego faceta, który unosi jedynie wyczekująco brew. Uśmiecham się delikatnie, przestępując z nogi na nogę.

Po chwili odpowiadam:

– Mercy. Mercy Stone.

## ROZDZIAŁ 6

Zerkam od niechcenia na zegar znajdujący się na ścianie.

Przez głowę szybko przewija mi się myśl, że schrzałam sprawę, naiwnie wierząc w to, że po wyłączeniu alarmu w telefonie przymknięcie powiek zaledwie na dwie minuty nie zakończy się jedną wielką katastrofą. I teraz, krzątając się w pośpiechu po posiadłości, naprawdę staram się przypomnieć sobie te wszystkie sprawy, które mam dzisiaj do załatwienia. Dobrze, że wczoraj dostarczyłam zdjęcia do siedziby czasopisma. Przynajmniej tę kwestię mam już z głowy.

Podciągam do połowy uda plisowany materiał zakolanówek. Kiedy tylko udaje mi się z nimi uporać, zakładam na nogi swoje ulubione, klasyczne obcasy. Ciemny materiał zwiewnej sukienki podryguje w powietrzu, kiedy podnoszę się do pionu, ruszając w stronę garażu. Odrzuciwszy torebkę na miejsce pasażera w swoim sportowym mercedesie, wypuszczam ze świstem powietrze.

Mam szczerą nadzieję, że ulice Vegas nie okażą się o tej porze przeludnione.

Przekręcam kluczyk w stacyjce i już po chwili wyjeżdżam z własnej posesji. W międzyczasie udaje mi się chwycić komórkę. Szybko wykonuję połączenie do Caleba, który odbiera zaledwie po dwóch sygnałach.

*Dobrze, że ten facet zawsze jest przy telefonie, myślę.*

– Jeśli masz dla mnie złe wieści, to lepiej się rozłącz, bo nie chcę ich słuchać – mówi już na wstępie Wright, na co przesuвам językiem po wardze. Przecucie podpowiada mi, że mój ulubiony menadżer ma dzisiaj zdecydowanie zły dzień.

Odpowiadam po chwili:

– Chyba dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, bo tak się składa, że nie mam czym cię zirytować. – Swobodnie manewruję kierownicą,

wjeżdżając na główną drogę. – Dzwonię, bo miałeś wysłać mi szczegóły dzisiejszego występu. Tego, który ma się odbyć w parku.

– Nie zrobiłem tego?

W głosie mężczyzny pobrzmiewa zdziwienie.

– Nie – obwieszczam bezceremonialnie. – Masz aż taki nawał pracy?

– Od rana nie wiem, w co mam włożyć ręce – żali się Caleb. – Twój występ odbędzie się o ósmej w parku North Las Vegas. Nie będzie mnie na nim, ale wystarczy, że pokażesz odpowiedniej osobie swój identyfikator, którym legitymujesz się przy wejściu do UnderScore.

– I tak po prostu mnie wpuszczają? – upewniam się.

– Mhm. Odebrałaś już kciekę?

Zatrzymuję się przed skrzyżowaniem. Wciskam mocniej plecy w oparcie fotela i wciągam nerwowo powietrze. Patrząc ukradkiem na zegar elektroniczny znajdujący się na desce rozdzielczej, orientuję się, że mam jeszcze dosłownie kwadrans, żeby odebrać od krawcowej sukienkę na występ. Zdecydowanie mogłam się tym zająć wcześniej, ale cóż, nie byłabym sobą, gdybym nie zostawiała takich kwestii na ostatnią chwilę.

– Powiedzmy – bąkam w odpowiedzi. – Okej, nie przeszkadzam ci. Zadzwonię, jak będę już po występie. Mam nadzieję, że jakoś przeżyjesz ten dzień, Cal. – Wciskam subtelnie pedał gazu, opierając zgiętą w łokciu rękę na drzwiach samochodu.

Od razu dostaję odpowiedź:

– Powodzenia, zaprezentuj się jak najlepiej, skarbie.

Kończąc połączenie, skupiam uwagę na jezdni, po której poruszają się pojedyncze samochody. Jest trzecia, co oznacza, że Las Vegas o tej porze powinno być względnie spokojne.

Względnie, bo po paru tygodniach życia w tym mieście śmiało mogę stwierdzić, że jest nieprzewidywalne jak diabli. Oddycham ciężko, wciskając głowę w zagłówek fotela. Całe szczęście, że nie miałam dzisiaj treningu. Czułabym się z pewnością jeszcze bardziej jak przeżuta i wypluta.

Dziesięć minut później docieram na miejsce. Odrobinę mniej zajmuje mi odebranie od krawcowej białego pudełka obwiązanego jedwabną wstążką. Odwiązuję ją dopiero w samochodzie.

Przesuwając palcami po tiulowym materiale kiecki, napieram zębami na wargę. Jest zjawiskowa. Zwiewna, wycięta gdzie trzeba i przede wszystkim przykuwająca wzrok.

Szybko stwierdzam, że ten wieczór będzie naprawdę przyjemny.

Ruszając w dalszą trasę, błędzę wzrokiem po wyświetlaczu telefonu. Tym razem dzwonię do Pearly, z którą umówiłam się w ruderze, gdzie jej kapela ma próby. Przykładam urządzenie do ucha, podśpiewując wersy piosenki lecącej w radiu. Dziewczyna odbiera dopiero po dłuższej chwili, w trakcie której udaje mi się przedrzeć przez jedną z trzech alejek dzielących mnie od celu.

Odetchnąwszy głęboko, pytam:

– Załapię się jeszcze na jakiś kawałek?

– To zależy, jak szybko przytaszczysz tutaj swój tyłek. – Głos przyjaciółki jest odrobinę zachrypnięty, a jej przyśpieszony oddech jedynie podpowiada mi, że próba zdecydowanie zdążyła ją zmęczyć.

– Jesteś już w drodze, czy znowu się jakoś wykręcisz?

– Będę dosłownie za chwilę. I hej, wcale nie wykręcam się tak często.

– Ta, nawet nie próbuj się usprawiedliwiać. Drzwi są otwarte, więc wchodź od razu – tłumaczy mi Powell, gdy mrugam powoli, wpatrując się w drogę rozpościerającą się przede mną.

– Jasne – rzucam krótko. – Widziałaś zdjęcie kiecki? Boska, no nie?

Chwilowa cisza po drugiej stronie słuchawki sprawia, że mrużę podejrzliwie oczy.

– Nie dostałam żadnego zdjęcia. Sprawdź, czy je faktycznie wysłałaś.

– Dobra, poczekaj chwilę – wzdycham, odrywając telefon od ucha.

Przesuwając wzrokiem po jego wyświetlaczu, staram się jednocześnie kontrolować sytuację na jezdni. Kiedy udaje mi się wysłać fotkę drugi raz, unosząc leniwie głowę, nie spodziewam się dostrzec wyjeżdżającego zza zakrętu porsche. Gwałtownie hamuję.

Pisk opon wypiera ciszę z opustoszałej alejki, gdy przełykam nerwowo ślinę. Szybko orientuję się, że to jakiś pacan wymusił na mnie pierwszeństwo. Zaciskam szczękę, uderzając pięścią w klakson. *Co za młot*, pomrukuje w duchu.

– Mercy? Co tam się stało? – pyta zaniepokojona Powell.

Pokazuję kierowcy środkowy palec, ale dopiero po chwili dostrzegam, że okazuje się nim nie kto inny jak Ethan Mayson. *To chyba jakiś feralny dowcip.* Ze wszystkich mieszkańców Vegas to on musiał prawie wpaść mi pod koła?

Kurwa, to się nazywa pech.

Moja klatka piersiowa unosi się i opada w zatrważająco szybkim tempie, gdy nagle po prostu ruszam zażenowana przed siebie. Policzki pąsowieją mi do tego stopnia, że nawet gdy podjeżdżam na parking, przy którym mieści się sala prób kapeli Pearly, potrzebuję paru minut, żeby się uspokoić.

Cholerny trener Diabłów.

Mam nadzieję, że jakimś cudem mnie nie rozpoznał.

Od razu po wejściu do budynku wyłapuję spojrzenie Pearly, która rozciąga usta w uśmiechu. Witam się z nią całusem w policzek, po czym zasiadam na jednym ze spróchniałych stopni schodów. Rudera, w której się znajdujemy, zapewne w niedalekiej przyszłości zostanie przeznaczona do rozbiórki.

Masując dłonią kark, zwracam się do Powell:

– I jak dzisiejsza próba? Do przeżycia?

– Pieprzyć próbę. Ta kiecka na występ jest przepiękna. Kto ci ją uszył? Czy tam przy dekolcie to kryształ Swarovskiego? Ile tak właściwie za nią dałaś? – Prędkość, z jaką dziewczyna wyrzuca z siebie kolejne słowa, przygotowuje mnie o zawrót głowy.

Przytakuję nieznacznie, ukrócając wypowiedź przyjaciółki, która, o zgrozo, ostatnio potrafi trajkotać bardziej niż cholerna katarynka.

– Tak, to Swarovski. Uszyła ją ta krawcowa, którą wszyscy w mieście zachwalają. Mogę później dać ci namiary. A zapłaciłam za nią... – próbuję sobie przypomnieć. – Z cztery tysiące dolarów? – zastanawiam się na głos.

Pearly macha lekceważąco ręką w powietrzu.

– Tyle, co nic – kwituje. – Będiesz dzisiaj w niej lśnić.

Podkurczam kolana do klatki piersiowej, opierając na nich brodę.

– Wpadniesz? – pytam. – Park North Las Vegas.

Na twarz przyjaciółki od razu wdziera się grymas, który podpowiada mi, że na swoje pytanie otrzymam odpowiedź

przeczącą. Pearly zasiada obok mnie na schodach, przeczesując dłońią włosy u ich nasady.

Rude loki smagają mnie w twarz, gdy Powell odpowiada:

– Nie dam rady się dzisiaj wywinąć. Rodzinna kolacja.

– Jasne. – Wzruszam swobodnie ramionami. – To nawet lepiej, skupię się na występie.

– Poradzisz sobie. – Dziewczyna trąca mnie łokciem. – Kto, jeśli nie ty?

Wykrzywiam usta w niemrawym uśmiechu. No właśnie, kto, jeśli nie ja?

Czterdzieści pięć minut przed ósmą docieram do North Las Vegas. Szybko odnajduję budynek, w którym urzędują ludzie odpowiedzialni za utrzymanie w parku porządku. To ogromna przestrzeń, nie dziwi mnie więc fakt, że pilnuje jej spora liczba osób. Rozglądam się po jasnych ścianach i wiszących na nich tablicach, dopóki nie natrafiam na spojrzenie faceta, któremu pokazuję swój identyfikator, tak jak polecił mi Caleb.

– Pani Stone. – Mężczyzna wita się ze mną uściskiem dłoni. – Zapraszamy.

– Dobry wieczór. – Z tymi słowami ruszam za nim w nieznanym sobie kierunku.

– Występ planowo powinien rozpocząć się o ósmej, ale kwadrans przed może już pani rozpocząć rozgrzewkę. Tam, na końcu korytarza, znajduje się prowizoryczna garderoba. Jak będzie pani gotowa, proszę się do mnie zgłosić. Wskażę drogę na taflę – tłumaczy mój przewodnik, za co dziękuję mu skinieniem głowy. – Wszystko jasne? Nagranie do występu przekazał nam już pan Wright, więc o to niech się pani nie martwi.

– Jasne. – Kiwam głową. – Wszystko jasne, dziękuję.

Ruszam do garderoby, która bardziej przypomina zwyczajny pokój dzienny. Ściągam z ramion czarne futro. Odrzucam je na niewielką kanapę, a następnie wyciągam z białego pudła swoją sukienkę uszytą specjalnie na występ. W sztucznym świetle lampy kryształowe przyszyte do dekoltu zdają się błyszczeć jeszcze bardziej zjawiskowo.

Nie mija kwadrans, a wychodzę z klitki, uprzednio upewniając się, że kiecka w kolorze burgundu leży na mnie jak ulał. Przemierzając korytarz, wygładzam dłonią jej zwiewny materiał. Czarne rękawiczki nasuwam na dłonie w trakcie drogi, którą pokonuję do recepcji budynku. Szybko odnajduję wzrokiem mężczyznę, który na mój widok uśmiecha się szczerze.

– Możemy iść? Otwarcie lodowiska już trwa – mówi ze spokojem.

– Jestem gotowa – odpowiadam. – Dużo ludzi przybyło?

Opatulam ramiona dłońmi, gdy opuściwszy budynek, zimne powietrze uderza we mnie ze zdwojoną siłą. Listopad jest zdecydowanie chłodny, mimo tego, że jesteśmy w Vegas. Przesuwam wzrokiem po równoległe do siebie zasadzonych rzędach drzew. Park, w którym się znajdujemy, jest jednym z większych, o ile nie największych w całym mieście.

– Kilkaset. Spora część specjalnie dla pani. – Mężczyzna spogląda na mnie kątem oka.

– To bardzo miłe – stwierdzam krótko.

Już po chwili dostrzegam tłum ludzi zgromadzony wokół niewielkiego lodowiska. Reflektory, których zimne światło pada na taflę, przymocowane są do latarni. Biorę głęboki wdech, gdy nagle większość spojrzeń pada na moją osobę. Uśmiecham się do tych wszystkich ludzi, którzy przepychają się między sobą tylko po to, żeby do mnie doskoczyć.

Wyprzedzają ich jednak ochroniarze. Z ich pomocą szybko udaje mi się dotrzeć do przestrzeni, która ogrodzona jest barierkami. Wzrokiem odnajduję parę czarnych łyżew, które zostały tutaj przyniesione wcześniej przez ludzi z obsługi. Sprawnie zakładam je na nogi, dbając o to, żeby były zasznurowane solidnie i mocno. Podnosząc się do pionu, wypuszczam ze świstem powietrze. Czarna kotara nieba wisząca nad miastem stanowi dzisiejszej nocy kontrast dla milionów świateł, które spowijają Las Vegas.

Ktoś życzy mi powodzenia, ale wchodząc na taflę, nie zwracam na to szczególnej uwagi. Płoza ściera się z twardą nawierzchnią, gdy rozpoczynam standardową rozgrzewkę. Błysk reflektorów i aparatów jedynie początkowo sprawia, że czuję się odrobinę przytłoczona. Szybko jednak odnajduję swój rytm, kiedy tylko słyszę wiwaty

publiczności rozbrzmiewające wraz z każdą figurą, którą wykonuję na lodzie. Mija kwadrans, zanim rozpoczyna się mój właściwy występ.

Dźwięki *Broken Roots* w wersji na pianino i wiolonczelę dźwięczą mi w uszach niczym dzwon, kiedy mknę przed siebie. Ciemne włosy mierzwi mi wiatr, gdy odbiwszy się od tafli, wykonuję pierwszy skok. Zimne powietrze smaga moją rozgrzaną skórę niczym bat z każdym przejechanym metrem. Publiczność nagle po prostu milknie.

Spokojna melodia wyrzuca z parku ciszę. Z powagą wymalowaną na twarzy wbijam płożę w lód, kiedy udaje mi się wylądować na ślizgawce po wykonaniu perfekcyjnej figury. Oklaski sprawiają, że jeszcze śmielej wykonuję kolejną. Każdy mój ruch jest zaplanowany i wyważony. W układzie stworzonym przez Rhysa jeszcze w Nowym Orleanie nie ma miejsca na niedociągnięcia.

Przymykam powieki. W momencie, w którym je uchylam, przenoszę na chwilę wzrok na publiczność. Po raz kolejny mknę przed siebie w zabójczo szybkim tempie, nie spuszczać wzroku z ludzi, którzy wpatrują się we mnie jak urzeczeni. I tylko wyłapując to jedno spojrzenie – to przenikliwe, mroczne i świdrujące mnie na wskroś – słyszę, że moje serce zaczyna bić odrobinę szybciej, niż tak naprawdę powinno.

Gabriel ma narzucony na głowę kaptur, ale rozpoznaję go bez trudu.

Jego wyraz twarzy zapisuje się gdzieś w mojej głowie. Nie potrafię go z niej wyrzucić nawet wtedy, gdy dwadzieścia minut później wychodzę z budynku, w którym zostawiłam rzeczy, trzymając je pod pachą. Wybieram dłuższą drogę prowadzącą na parking znajdujący się nieopodal, przy jednym z pięciogwiazdkowych hoteli. Od razu odnajduję na nim swojego czarnego mercedesa.

A oparty o jego karoserię stoi pewien wydzierany przystojniak.

– Bawisz się w jakieś szczeniackie podchody? – parskam prowokująco.

– Wierzysz w przeznaczenie? – Gabriel wsuwa dłonie do kieszeni czarnej bluzy.

Przez głowę przedziera mi się myśl, że dawno nie widziałam go w takim wydaniu. Ciemne dresy, które wiszą mu na biodrach, i włosy

roztrzępane na cztery strony świata w żadnym aspekcie nie przypominają widoku poważnego, elegancko ubranego ważniaka, do którego przyzwyczaił mnie w ciągu ostatnich tygodni. Zawsze lubiłam go w tych czarnych koszulach, ale jest coś miłego dla oka w tej jego mniej formalnej wersji.

– To zależy, w jaki sposób spróbujesz się wybronić, jeśli zarzucę ci bycie moim pieprzonym stalkerem. – Wzruszam niedbale ramionami, wrzucając do bagażnika auta torbę, w której upchałam swoje łyżwy i cały sprzęt. Wystrzałową kieckę odkładam z kolei na tylne siedzenie, dbając o to, by białe pudełko nie zostało zmiażdżone przez resztę rzeczy.

– Muszę trzymać formę, więc biegam. Czujesz się przekonana? – Gabriel unosi zaczepnie brew, a widok jego napiętego gardła, gdy odchyła głowę do tyłu, by oprzeć ją o dach samochodu, wyzwala we mnie naprawdę wiele niepożądanych myśli.

– Co, jeśli stwierdzę, że nie do końca?

Obserwuję go z wyzywająco uniesionym kącikiem ust.

– Wtedy powiem, że mam jeszcze wiele asów w rękawie, Mercy. – Mężczyzna krzyżuje ramiona na torsie. Tembr jego głosu przyprawia mnie o falę dreszczy, która w szybkim tempie przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa.

Westchnąwszy na głos, odpowiadam bez pośpiechu:

– Jesteś bardziej tajemniczy niż wcześniej.

Dwa lata temu to ja bardziej przypominałam diabła. Dzisiaj dłużej zastanowiłabym się nad tym, komu przypisać ten tytuł. Gabriel Crade podpisał ze mną wówczas cyrograf. Dzisiaj z kolei to on rządzi w prawdziwym pandemonium – całe Las Vegas leży u jego pierdolonych stóp.

Wszyscy widzą w nim człowieka, z którego zdaniem należy się liczyć.

– A ty... – Robi krok w moim kierunku. – Jeszcze bardziej zuchwała niż wtedy.

– Miło, że zauważyłeś różnicę. – Uśmiecham się chytrze. – Więc... skoro dziwnym zrządzeniem losu znalazłeś się w tym parku, może chociaż pochwalisz mój występ? – Mrugam figlarnie, gdy Gabriel ściąga brwi w geście zwyczajnego politowania.

Po chwili odpowiada:

– Szkoda, że wciąż masz problemy z lądowaniem. – Kręci głową z dezaprobatą.

Prycham pogardliwie pod nosem, kiedy czubki naszych butów się ze sobą stykają. W grafitowych tęczówkach widzę bliżej niezidentyfikowane emocje. Zadzierając hardo brodę, pozwalam, by z moich ust wydostało się krótkie tchnienie. Bezczelnie strzepuję z ramienia Gabriela niewidzialny kurz, mrużąc przy tym z nieukrywanym spokojem:

– Szkoda, że wciąż nie przejdzie ci przez gardło prawda w postaci zwykłego komplementu. – Składam niewinnie usta w ciup, wspierając się delikatnie na palcach, żeby szepnąć mężczyźnie do ucha krótkie: – Kiedyś dojrzejesz do bycia ze mną szczerym.

Na twarzy Gabriela maluje się czysta powaga. Jego oczy skanują mnie w sposób tak przenikliwy, że aż niepokojący. To ten rodzaj spojrzenia, który odkrywa wszystkie karty, a gdyby mógł, obdzierałby i ze skóry. Mimowolnie przełykam nerwowo ślinę. Robię to na szczęście bezdźwięcznie, nie dając mężczyźnie powodu do zadowolenia. I tak już jest kurewsko pyszałkowaty. Jego ego zostało naprawdę porządnie napompowane przez Maysona.

– Zawsze byłem z tobą szczerzy. I możesz liczyć, że zawsze taki będę, Mercy. – Głos Gabriela rozpływa się w powietrzu, a we mnie coś pęka. Zupełnie tak, jakby ktoś wbił mi szpilkę prosto w serce, a potem wciskał ją coraz głębiej, pławiąc się w moim bólu. Rozchyłam bezwiednie usta, przesuwając zmarzniętą dłonią po policzku mężczyzny.

– Wiem, że mieliśmy do tego nie wracać... – zaczynam nagle.

Gabriel uważnie wsłuchuje się w każde moje słowo. Przerywa mi jednak na moment:

– Więc dlaczego chcesz to zrobić? – pyta karcąco, a fala wstydu przedziera się przez całe moje ciało.

Mężczyzna patrzy na mnie podejrzliwie, nieco wątpiaco, ale przede wszystkim jego wzrok wciąż pozostaje do cna przesiąknięty nieukrywaną dezaprobatą.

– Chcę się rozliczyć. Ze sobą, z tobą, z przeszłością – mówię na jednym wydechu. – Już nigdy nie będę do tego wracać. Po prostu

wiedz, że przepraszam. Zasłużyłeś na coś więcej niż „było fajnie”. – Oddycham powoli, wyłapując w spojrzeniu Gabriela niejasną intencję. – Podczas ostatnich dni wakacji stchórzyłam. Kiedy dowiedziałeś się o mnie wszystkiego... poczułam się naga. Spojrzałam prawdzie w oczy. Byłam taka bezwartościowa, obrzydliwa z każdą myślą, którą miałam w głowie, a która zakładała, że cudzy ból zdoła uśmierzyć mój.

– Mercy... – Gabriel kładzie dłoń na moim biodrze.

Kręcę głową, by zamilkł.

– Zasłużyłeś na to, by wiedzieć *dlaczego*. Więc teraz już wiesz. Chciałam, żebyś zapomniał. Żeby potrzeba posiadania mnie w twoim życiu już nigdy więcej się w tobie nie obudziła. Uznałam, że im szybciej odejdę, tym lżej będzie nam to znieść. Nie mów mi, że byłam kimś dobrym, bo byłam najgorszym, co mogło ci się przytrafić. Byłam dla ciebie jak kula u nogi. Wiedziałam, że gdy pozwolę ci wzbić się wyżej, ty wciąż będziesz czuć ten ciężar, ale myślałam... Myślałam, że już zawsze będziemy od siebie dalej niż kiedykolwiek wcześniej.

Zaciskam usta w wąską kreskę. Żołądek kurczy mi się do niewielkich rozmiarów, gdy Gabriel początkowo nic nie odpowiada. Po prostu stoi wpatrzony we mnie, gładząc kojąco moje biodro. Jego dotyk pali moją skórę zakrytą przez materiał sukienki.

– Nie uciekaj. Zwyczajnie nigdy więcej ode mnie nie uciekaj. – Z tymi słowami mężczyzna po prostu mnie do siebie przyciąga. Zderzam się z jego twardą klatką piersiową, wdychając jego zapach. I znowu to czuję. Znowu czuję się po prostu dobrze, tkwiąc pomiędzy silnymi ramionami z myślą, że jestem we właściwym miejscu.

– Będę bliżej, niż byłam wtedy – wzdycham w jego pierś. – Przrzekam.

– Nie chcę już więcej słuchać o tym, co było *wtedy* – mruczy mi we włosy.

Uśmiecham się delikatnie. Ja również tego nie chcę.

Chcę za to słuchać o tym, co *będzie*.

– Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeśli przebiegniesz dzisiaj odrobinę mniejszy dystans niż zazwyczaj – wypalam nagle. – Bo tak

się składa, że mam ochotę pojechać dzisiaj w nocy z tobą gdzieś cholernie daleko. – Odsuwam się odrobinę od Gabriela tylko po to, żeby dostrzec na jego twarzy zaintrygowanie w najczystszej postaci.

Dopiero po chwili pyta:

– Niby czym? – Unosi zaczepnie brew. – Tym?

Widok moich kluczyków od mercedesa zawieszonych na wytatuowanym palcu sprawia, że marszczę gniewnie nos. Przetrzęsam kieszenie futra. Rzecz jasna znajduję w nich jedynie stare paragony, drobniaki i jakieś niepotrzebne świstki papieru.

*Szlag by to.*

– Mhm. Czyli... chcesz poprowadzić? – pytam z politowaniem.

– Tak będzie bezpieczniej. – Kiwa głową w geście zgody. – Poza tym chyba jesteś trochę zmęczona po występie. – Gabriel przesuwa wzrokiem po mojej twarzy.

Robi to ze skupieniem, którego nie można mu odmówić. Pewnie gdybym rzeczywiście nie czuła się jak wykończona, tupnęłabym szczeniacko nogą i palnęła coś w stylu „chyba śnisz”, ale tak to tylko ruszam na miejsce pasażera ku uciesze Gabriela.

– Od kiedy mieszkasz w Vegas? – pyta, wyjeżdżając z parkingu.

– Od niedawna. Może od trzech tygodni. – Zapinam pas bezpieczeństwa, rozglądając się po głównej ulicy miasta. Ta pozostaje skąpana w milionie świateł. Tabun ludzi przemieszcza się po szerokich chodnikach, a my toniemy gdzieś w gąszczu aut poruszających się po jezdni. – Nie miałam bladego pojęcia, że sekcja łyżwiarstwa zostanie przydzielona właśnie tutaj.

– I jak wrażenia? – docieka mężczyzna, gdy wyciągam dłoń w stronę radia.

– Jest okej. Tutaj ciągle coś się dzieje. – Przechyłam głowę. – Skręć w lewo.

Już po chwili po samochodzie rozbrzmiewa *Confetti* od Little Mix. Uśmiecham się od razu. Matko, jak ja uwielbiam tę piosenkę. Wygodniej usadowiam się na miejscu pasażera, uchylając przyciskiem szybę. Sportowe auto mknie z zawrotną prędkością przez ulice Las Vegas, gdy śpiewam sobie pod nosem wersy piosenki:

– *Baby we're done, c'est la vie...*

– Brzmisz niezmiennie beznadziejnie – dogryza mi Gabriel.

– Hej, spodziewałam się czegoś w stylu „twój francuski akcent jest cudowny” – wypalam pretensjonalnie. – Próbowałam go wyrobić przez wszystkie lata ogólniaka. – Opieram zgiętą w łokciu rękę na drzwiach samochodu. – Teraz skreć... chyba w prawo.

– Chyba? – Czarnowłosa marszczy czoło.

– Nie znam jeszcze Vegas jak własnej kieszeni. Po prostu podobno w północnej części miasta organizują dzisiaj jakąś świetną atrakcję, więc pomyślałam, że możemy tam wpaść. Na chwilę albo... dłuższą chwilę? – Spoglądam na Gabriela.

– Masz jutro trening? – W głosie mężczyzny pobrzmiwa zaciekawienie.

– Tak, jak codziennie. Strzelam, że ty też. – Przesuwam językiem po dolnej wardze. – Mayson nie wygląda na takiego, który daje swoim zawodnikom fory. – Na wspomnienie dzisiejszego ekscesu związanego z trenerem Diabłów na jezdni przeszywa mnie dreszcz.

*Ten facet mógł mnie przecież zabić*, stwierdzam z przerażeniem.

– Ale wygląda na takiego, który jest na ciebie cięty. – Kącik ust Gabriela unosi się ledwie zauważalnie.

Zagryzam policzek od środka. Tak dawno nie widziałam, żeby ten facet się uśmiechał. Zdecydowanie robił to za rzadko, a ja, cóż, lubiłam jego uśmiech.

– No co ty nie powiesz – wypalam drwiąco. – Trochę mu nawtykałam...

Gabriel kiwa głową w geście zgody, tym samym przyznając mi rację. Po chwili mówi:

– Podczas wywiadu. Tak, wziął sobie twoje słowa do serca.

– Jak bardzo mnie nie trawi? – wzdycham, przeczesując dłonią włosy u nasady.

– Ma cię za... – Mężczyzna robi krótką pauzę, a jego uśmiech staje się odrobinę szerszy.

– Za? – ponaglam go.

– Ma cię za podstępną sikse, która zagraża renomie Inferno. – Gabriel sprawnie manewruje kierownicą. Już po chwili wjeżdża we właściwą aleję, którą uprzednio wskazuję mu palcem po tym, jak udaje mi się spojrzeć na nawigację. – Innymi słowy, widzi w tobie

niebezpieczeństwo, którego wszyscy z drużyny powinni się wystrzegać jak pieprzonego ognia.

Sznuruję usta. W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy skazani na bycie sobie wilkiem. Diabły Vegas nienawidzą UnderScore, a my... Cóż, my odwdzięczamy im się tym samym. Nasze stosunki nigdy nie były dobre. Ba, z każdym plebiscytem czy galą stają się gorsze.

– To wyjaśnia, dlaczego chciał mnie zabić... – mruczę pod nosem.  
– O, jesteśmy.

Gabriel spogląda na mnie z niemym pytaniem. Odzywa się dopiero po chwili:

– Stand-up?

– Mhm. Zaparkuj gdzieś na uboczu, mamy być tutaj incognito. – Zsuwam nieco bardziej szybę, a zimne powietrze w sposób przyjemny rozbija się na mojej twarzy. – Wykonawca, który dzisiaj wystąpi, jest podobno świetny. To znaczy... Jeśli chcesz się wyspać przed treningiem, to nie musisz...

– Zaczekaj tutaj na mnie – przerywa mi Gabriel.

Następnie gasi silnik, po czym wychodzi z samochodu, przetrząsając zawartość swoich kieszeni. W ciemności nie jestem w stanie wyłapać, gdzie kieruje się ten drań.

Spoglądam na dużą scenę znajdującą się naprzeciwko nas. Mój sportowy mercedes zaparkowany jest w dalekiej odległości od niej, ale jak tylko Gabriel wróci, zajmiemy miejsce w którymś z rzędów szerokich ławek. Przestrzeń, gdzie organizowany jest stand-up, to ogromny plac okalany przez rzędy wysokich budynków. Jesteśmy chyba na obrzeżach miasta, bo zgiełk dochodzący z jego centrum jest praktycznie niesłyszalny. Wciskam głowę w zagłówek fotela, pogrążając się w ciszy, która wypełnia samochód.

Gabriel wraca dopiero około piętnastu minut później.

– Cud, że nikt mnie nie rozpoznał – mówi, wciskając mi na kolana porcję frytek i zapakowanego w papier burgera. Sam zasiada na miejscu kierowcy. Mężczyzna, jakby wyczuwając, że na niego patrzę, odwraca głowę, ściągając nieznacznie brwi. – Co jest?

– Gdyby dowiedział się o tym mój albo twój trener, prawdopodobnie...

– Myślę, że gorzej zareagowaliby, gdyby dowiedzieli się, że jesteście tutaj razem, Mercy. – Gabriel unosi brew, po czym wgryza się w burgera. – To nie tak, że przez jednego fast fooda nie będziesz umiała wybić się w powietrze.

Wywraca oczami, opierając rękę na podłokietniku. Przez głowę przemyka mi myśl, że ostatnio zdecydowanie częściej pozwalam sobie na takie zachcianki, ale zanim zdążę ją w sobie stłumić, Gabriel wciska mi w usta frytkę. Gromię go wzrokiem, przełykając przekąskę.

– Jak myślisz, kto wkurzyłby się bardziej, gdyby dowiedział się, co wyrabiamy? – Wypuszczam ze świstem powietrze. – Mayson, który pała do mnie nienawiścią, czy Caleb, który wciąż nie może przetrwać myśli, że ukradłeś mi moją statuetkę? – pytam.

Gabriel uśmiecha się kpiąco, wzruszając swobodnie ramionami.

– To bez znaczenia, bo będziemy ostrożni – mówi ze spokojem. – A jeśli chodzi o statuetkę... Ma honorowe miejsce w mojej sypialni. Mogę przysłać ci fotkę, jeśli potrzebujesz zapewnienia, że troszczę się o nią tak, jak powinienem – dokańcza zgryźliwie.

– Wygrałeś tylko dlatego, że znajdujemy się na waszym terytorium. – Łypię na mężczyznę z niebywałym przekonaniem, przesuwając kciukiem po dolnej wardze. – Za rok cię wygryzę, zobaczysz. Będziesz zbierał szczękę z podłogi.

– Nie bądź naiwna, Mercy. – W głosie Gabriela słyszę pobłażanie.

Prostuję się na fotelu, żeby oprzeć ramię o jego oparcie. Teraz, siedząc przodem do mężczyzny, widzę na jego twarzy załączek rozbawienia. Taki, na który naprawdę długo kazał mi czekać. Mimowolnie się uśmiecham. Zabranie go tutaj chyba było dobrym pomysłem.

Naprawdę dobrym.

– Jezu, tobie serio przyda się lekcja pokory – wypalam po chwili.

– Twoja była bardzo bolesna, co?

Gabriel nie ma dla mnie litości.

– Od trzech lat w plebiscycie tego czasopisma wygrywają Diabły. To już zaczyna śmierdzieć łapówkami, więc bądźcie bardziej ostrożni, bo ludzie zaczynają coś podejrzewać. – Posyłam mu

ironiczny uśmieszek, który nie sprawia, że mój rozmówca czuje się nieswojo.

– Przyjdź na mistrzostwa, a udowodnię ci, że to talent – rzuca swobodnie Gabriel.

– W porządku. – Kiwam głową. – Możesz liczyć na to, że zasiądę w pierwszym rzędzie.

– To dobrze, bo wydaje mi się, że tym razem też możesz być moim pieprzonym talizmanem. – Mężczyzna spogląda na mnie z powagą.

W grafitowych oczach nie odnajduję nawet krzty drwiny, więc pozwalam, żeby z moich ust wydostało się szczere:

– Jesteś Diabłem. Ten tytuł sam w sobie jest łutem szczęścia. – Mrugam powoli.

– Ale to ty kiedyś byłaś dla mnie jego definicją.

Mimowolnie napinam mięśnie. Słowo „kiedyś” sprawia, że serce ściska mi się boleśnie. Niewidzialny supeł zawiązuje się gdzieś w moim gardle, gdy staram się wyglądać na absolutnie nieporuszoną jego odpowiedzią. Spuszczam wzrok na swoje kolana, czując jedynie przedzierającą się przez całe ciało falę wstydu, ale Gabriel unosi dwoma wytatuowanymi palcami mój podbródek. Nie mam drogi ucieczki od jego spojrzenia, gdy dokańcza:

– Więc bądź nią też teraz. A nawet i później.

## ROZDZIAŁ 7

Gabinet Caleba wypełnia jedynie dźwięk tykającego zegara, gdy upijam łyk owocowej herbaty z papierowego kubka, wpatrując się w panoramę Vegas skąpanego o poranku w lekkiej mgle.

Nogi, które ułożyłam wygodnie na podłużnym stole, zdążyły mi już zwiotczeć od beczynnego siedzenia na tyłku. Prostuję się lekko. Usadawiam się wygodniej na obitym skórą fotelu i skubię zębami wargę, zastanawiając się, ile jeszcze, na Boga, Wright każe mi na siebie czekać. Myślałam, że jakieś zebranie z resztą zarządu zajmie mu mniej niż półtorej godziny.

Wzdycham ciężko, opierając głowę o oparcie mebla.

Nie cierpię podpisywania umów, czytania drobnych druczków i podobnych bzdet. Fakt, że właśnie z tym związana jest moja poranna wizyta w siedzibie UnderScore, już z samego rana zabrał mi chęci do życia. Więc teraz, ślęcząc tu już zdecydowanie zbyt wiele godzin i czekając na sporą warstwę dokumentów do przejrzania, czuję się niepoczyszona.

*Uroki bycia gwiazdą*, mimo wszystko uśmiecham się w duchu.

– Co za nonsens – trzask drzwi, a potem głos Caleba dobiega do moich uszu.

– Wow, co wy tam wyprawialiście? Selekcjonowaliście najlepsze umowy czy co?

Odwracam delikatnie głowę przez ramię, by skrzyżować spojrzenie z mężczyzną, który w paru krokach dociera do znajdującego się naprzeciwko mnie fotela. Zasiada na meblu, splatając palce na kolanach.

Dopiero po krótkiej chwili wypuszcza powietrze i zaczyna mówić:

– Od feralnej gali firmy zabijają się o współpracę z tobą, dziennikarze błagają o możliwość przeprowadzenia wywiadu, a fani skomlą o jakieś spotkanie z idolką. – Caleb mruga powoli. Przesuwa kciukiem wzdłuż grzbietu nosa w geście kontemplacji. – Innymi

słowy, rzucają się na ciebie jak hieny na pierdoloną padlinę, a ja szukam jakiegoś magicznego sposobu, jak wydłużyć dobę, nadażyć za twoimi wybrykami lub nie oszaleć z tym całym rozgardiaszem.

Zagryzam wnętrze policzka. Cóż, to chyba dobrze, że jestem na topie.

– Masz głowę na karku. Poradzisz sobie, Cal. – W moim głosie pobrzmiwa troska.

– Kiedy mi ciebie przydzielili, wiedziałem, że nie będę miał z tobą lekko – przyznaje.

– Uwierzysz, że to było prawie dwa lata temu? – wspominam z uśmiechem. – Wytrzymałeś ze mną szmat czasu. To powinno być dla ciebie w jakiś beznadziejny sposób motywujące... – zastanawiam się na głos, w międzyczasie upijając kolejny łyk herbaty.

– Gdy tak myślę o tym dłużej, czuję się jak pieprzony bóg – wypala męczeńsko.

– Dobra, dobra. – Macham ręką w powietrzu. – Lepiej powiedz, co robiłeś tyle czasu.

– Ta selekcja to katorga. Ostatecznie wybraliśmy propozycje, które wydały się nam najbardziej opłacalne. Sesja dla domu mody, kolejny występ w plenerze i jakiś wywiad dla internetowego radia. Było w czym przebierać, uwierz mi.

Z tymi słowami Caleb podsuwa mi pod nos jakieś świstki papieru. Marszczę czoło, chwytając je w dłoń. Przesuwając wzrokiem po dokumentach, czuję jedynie ogarniające mnie znużenie. Matko, nie cierpię prawniczego żargonu.

Westchnąwszy ciężko, odpowiadam mężczyźnie:

– W porządku. Biorę się za czytanie.

Caleb posyła mi pokrzepiający uśmiech. Splata palce na udach, wygodniej rozsiadając się na fotelu. Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu, dopóki nie spuszczam wzroku na dokumenty. Zanurzam się w lekturze, ale głos Wrighta szybko rozbrzmiewa po gabinecie:

– Niedługo odbędą się mistrzostwa świata.

– Mhm – bąkam pod nosem. – Niby w czym? Chyba nie w łyżwiarstwie figurowym.

– W boksie. Kategoria ciężka.

W głosie mężczyzny słyszę zaintrygowanie.

– Zmieniłeś branżę? – Unoszę prowokująco brew, choć w głębi duszy domyślam się, do czego zmierza Caleb. Mimo wszystko nie pozwalam, żeby na mojej twarzy pojawił się choćby cień jakiegokolwiek emocji. Po prostu wpatruję się beznamiętnie w minę swojego menadżera.

– Proszę cię – wypluwa. – Jestem zwyczajnie ciekaw, jak poradzi sobie na nich Gabriel Crade. Media huczą o jego występie od dobrych tygodni. To chluba tego całego Inferno. – Wright opiera przedramiona na podłokietnikach fotela. – Sam wybrałbym się najchętniej do Phoenix. W sumie Arizona nie jest wcale tak daleko... – dopowiada z zastanowieniem.

– A ty znowu o nim – stwierdzam niechętnie. – Kup sobie jego plakat i powieś nad łóżkiem, skoro taki z ciebie fan. – Udaję absolutnie rozjuszoną samą wzmianką o facecie, z którym parę dni temu zakopałam topór wojenny.

Caleb nie może wiedzieć o tym, że się dogadujemy. W opinii publicznej jesteśmy wrogami. Jesteśmy dla siebie jedynie konkurencją.

– Ktoś wspomniał o tym na spotkaniu – usprawiedliwia się.

– Wolę nie wiedzieć, na jakie tematy tak naprawdę tam dyskutujecie.

Odkładam na stół papierowy kubek, uważnie skanując wzrokiem dokumenty. Myśl, że za niedługo odbędą się mistrzostwa świata w cholernym boksie, nie opuszcza mnie jednak nawet na chwilę. Szlag by to. Chyba naprawdę nie mogę stłumić w sobie ochoty na to, żeby się na nich pojawić.

Zawsze miałam słabość do oglądania go na ringu.

– Istotnie – podkreśla Caleb. – Jeśli ten cały Crade wygra mistrzostwa, będzie nie do zatrzymania, więc albo życz mu przegranej, albo pogódź się z tym, że wciąż będzie kradł ci statuetki i tytuły. – Wzrusza ramionami. – A tak poważnie... Im o nim będzie głośniejsz, tym głośniejsz będzie o tobie. Ludzie zastanawiają się, kiedy ponownie pokażecie pazurki.

– Ich niedoczekanie.

Kręcę głową z politowaniem.

– Chyba raczej zbiorowe modły – kwituje kpiąco Wright. – Dobra, zajmij się papierami. Nie masz zbyt wiele czasu, bo za pół godziny zaczynasz trening. Uwiń się z tym szybko, Mer.

Z moich ust wypada ciężkie westchnienie. Ponownie przenoszę wzrok na drobną czcionkę, zastanawiając się w duchu, jak oszukać własnego pecha, uciec do Phoenix na jedną cholerną noc i pozostać przy tym zgoła niezauważona. Czy to jest właściwie możliwe?

Och, zamierzam się o tym przekonać.

Kiedy docieram na lodowisko, jest już parę minut po dziesiątej. Od razu kieruję się w stronę właściwej części obiektu, nie zwracając uwagi na ludzi, których mijam po drodze. Siadam na plastikowym krześle na trybunach i wygrzebuję z torby parę czarnych łyżew, z których od razu ściągam ochraniacze. Dopiero głos, który rozbrzmiewa po mojej prawej stronie, wytrąca mnie z chwilowego letargu. Odwracam leniwie głowę w bok, napotykać spojrzenie mężczyzny. Staram się odnaleźć w głowie jego imię, ale cóż, robię to nadaremnie.

Nie mam pamięci do detali.

– Ach, dzień dobry pani. Jak tafla? – pyta uprzejmie, zasiadając obok mnie. – Wszystko z nią w porządku? – Mężczyzna zakasuje rękawy wełnianego swetra, posyłając mi przy tym serdeczny uśmiech, który odwzajemniam.

Sznuruję łyżwy i odpowiadam:

– W porządku. Jeździ się po niej z przyjemnością.

– Moja córka też uwielbia jazdę figurową. – W głosie faceta pobrzmiwa nostalgia, a ja doznaję nagle olśnienia. To Quinten. Gość, który odpowiada za lód, nazywa się Quinten. – Cały czas mówi tylko o tym, że marzy, by pewnego dnia umieć wykonać każdą figurę...

Uśmiecham się szerzej. Też kiedyś o tym marzyłam. I wciąż marzę.

– Jeśli będzie dużo ćwiczyć, to marzenie przybierze realny kształt. – Wyglądam dłońmi materiał sukienki, po czym rozglądam się po lodowisku, próbując odnaleźć wzrokiem postawną sylwetkę Rhysa. Nie znajduję jej jednak. Mój trener zapewne szwenda się po budynku.

– Tak. Z pewnością tak będzie.

Przez moją głowę przedziera się myśl, że Quinten odrobinę spochmurniał.

– Ile twoja córka ma lat? – zagajam nagle, na co mężczyzna odpowiada:

– Niedługo skończy sześć. – Unosi nerwowo kącik ust.

– To dobry wiek, żeby zacząć jeździć. Im szybciej oswoi się z taflą, tym łatwiej będzie jej w przyszłości uczyć się bardziej skomplikowanych elementów. – Wstaję na równe nogi, uprzednio wkładając telefon do sportowej torby. – W każdym razie życzę jej powodzenia.

Mężczyzna kiwa głową w geście podziękowania. W jego spojrzeniu wyłapuję coś niejasnego, ale nie zastanawiam się nad tym dłużej. Ruszam w kierunku tafli, a kiedy na niej staję, od razu czuję przedzierający się przez całe ciało spokój. Czas na relaks.

– Caleb wspomniał, że cię trochę przetrzymał – słyszę za plecami.

Odwracam głowę. Rhys akurat wchodzi na lód.

– Czyli nie będę odrabiać spóźnienia?

Mrugam do niego porozumiewawczo.

– Tego nie powiedziałem. – Mężczyzna uśmiecha się kpiąco.

– Drań. – Wydymam dolną wargę, przyzwyczajając się do twardej powierzchni. Płozy suną po tafli, gdy przejeżdżam parę metrów. Dopiero po paru minutach ciągłej jazdy wracam do Dawsona, który chowa do kieszeni swojej bluzy telefon. – Już? Okażesz mi trochę uwagi?

– Oszczędź mi pretensji. Daję ci tyle uwagi, że powinnaś mieć jej dość. – Opiera ręce na balustradzie, unosząc zaczepnie brew. – A teraz zdawaj raport z ostatniego występu. Podobno dałaś czadu, ale nie wiem, ile prawdy jest w słowach twoich fanów.

– Było... okej – stwierdzam po krótkiej chwili namysłu. – Nic nadzwyczajnego. Zwykły, kameralny występ z okazji otwarcia lodowiska. Nie szurałam tyłkiem po lodzie, a ludzie nie wyglądali, jakby chcieli mnie stamtąd wyrzucić.

Za to reszta tamtej nocy... Cóż. Ona zdecydowanie mile mnie zaskoczyła. Nie spodziewałam się tego, że wyląduję w swoim sportowym mercedesie z Gabrielem Crade'em. Nie spodziewałam się tego, że pojedziemy w trasę, a później przystaniemy gdzieś na

obrzeżach miasta, żeby przekonać się, że stand-up to całkiem niezła atrakcja. Nie wiem, czy temu wypadowi bliżej było do przyjacielskiego wypadu, czy zwykłej randki, ale, och...

Wiem, że bawiłam się świetnie nawet wtedy, gdy ubrudziłam sosem tapicerkę.

– Spróbowałabyś tylko bawić się w łamagę na oczach tyłu ludzi – ochrzania mnie Rhys.

Ton jego głosu sprawia, że momentalnie odzyskuję fason.

– Za błędy zawodnika w końcu po części odpowiada jego trener. – Puszczam mu oczko.

– Mhm. Mam nadzieję, że wybrałaś już piosenkę do choreografii.

Dawson spogląda na mnie z prowokacyjnie uniesioną brwią. Uśmiecham się niewinnie, kręcąc powoli głową w geście protestu. To nie jest takie proste wybrać utwór, który tak naprawdę będzie fundamentem twojego występu. To musi być coś... jednocześnie spokojnego i z pazurem. Coś naprawdę cholernie przykuwającego uwagę. Coś absolutnie nietuzinkowego.

– Daj mi jeszcze parę dni. Sprzężę się. – Splatam dłonie za plecami.

– Och, po prostu idź już się rozgrzać. Współpraca z tobą to jakiś koszmar...

– I wzajemnie, lowelasie. – Salutuję mu.

Ruszam w kierunku przeciwległej części lodowiska z szerokim uśmiechem na twarzy.

Dopiero po dwóch godzinach dostaję pozwolenie na to, żeby opuścić lodowisko. Zmęczona jak diabli ruszam cierpiętniczym krokiem w stronę parkingu, czując, jakbym zaraz miała wyzionąć pieprzonego ducha. Włosy przyklejają mi się do szyi i dekoltu, kiedy otwieram drzwi mercedesa. Wrzucam na tylne siedzenie sportową torbę, po czym siadam na miejscu kierowcy. Oddycham ciężko, marząc jedynie o tym, żeby znaleźć się już w posiadłości.

To był ciężki dzień. Naprawdę... ciężki.

Przekręcam kluczyk w stacyjce, a już parę minut później mogę dojrzeć na ulicach Vegas standardowe pustki. Jest pora obiadowa, pogoda pozostawia wiele do życzenia, więc wcale nie dziwi mnie fakt, że ludzi nie ma tu praktycznie wcale. Ze spokojem manewruję kierownicą, dopóki nie słyszę, że telefon daje o sobie znać.

– Co jest? – pytam Caleba, odebrawszy połączenie.

– Co jest?! – powtarza, parszkając śmiechem. – Skarbie, Diabły Vegas dały ci w pysk. I to porządnie. Swoją drogą zastanawiam się, czy ci jeszcze bardziej nie dawała... To chyba zemsta za tę wzmiankę o nich podczas wywiadu. Biedactwo, teraz nie dadzą ci żyć. Mogliśmy przewidzieć, że za tymi ich ugodowymi komentarzami czai się jakaś bomba. No i proszę, właśnie ją zrzucili.

Mrużę oczy w niezrozumieniu.

*Co, do diaska?*, myślę skonsternowana.

– Cał, mów do mnie jak człowiek. – Instynktownie zaciskam dłoń na kierownicy.

– Nie widziałaś jeszcze tego całego szumu w mediach? – docieka Wright.

– Jezu, serio. Bądź konkretny, dobra? – Wywracam teatralnie oczami.

Z każdą upływającą sekundą w moim ciele kotłuje się coraz więcej wątpliwości. Szlag, nie mam zielonego pojęcia, co jest grane, ale przecucie podpowiada mi, że wydarzyło się coś złego. Coś, co pociągnie za sobą dużo, kurewsko dużo złych konsekwencji. Wypuszczam ze świstem powietrze. Parkuję samochód na uboczu, stukając palcami o drzwi auta.

– Zdjęcia, które ukazały się na łamach czasopisma, to nie te, które wybraliśmy wspólnie we czwórkę – tłumaczy mi Caleb. – To te... bardziej pikantne. Te, których nie chciałaś nawet widzieć na oczy, bo twierdziłaś, że patrząc na nie, zbiera ci się na wymioty. – W głosie mężczyzny pobrzmiwa rozbawienie, które sprawia, że pochmurnieję jeszcze bardziej.

*Ja pierdolę, klnę w duchu. To chyba jakiś nieśmieszny dowcip.*

– Inferno zrobiło nas w balona? – Mrużę oczy.

– Najwyraźniej – odpowiada Wright.

Och, to niemożliwe. To znaczy dobra. Może trochę możliwe, bo gdy zgarnęłam folder z wybranymi zdjęciami od Gabriela, nie sprawdzałam, czy zaznaczone w nim są te, które wspólnie wybraliśmy. Tamtego dnia miałam sporo na głowie i ufałam, że nikt nie pokusił się o zaznaczenie innych fotek. Kurwa. Dlaczego myślałam, że mogę ufać temu pajacowi?

Gabriel Crade to podstępny drań. To pieprzony, podstępny drań.

– Jak bardzo jest źle? – pytam ostrożnie, starając się trzymać w ryzach własny gniew.

Chryste, ja chyba naprawdę coś zaraz rozszarpię. Coś albo kogoś.

– Cholernie. Ale, Mer. Nie ma się czym przejmować. Wszyscy myślą, że to ustawka...

– Gdzieś mam to, co myślą wszyscy. Nienawidzę, gdy ktoś sobie ze mnie drwi, Caleb. – W moim głosie króluje irytacja. Ponownie przekręcam kluczyk w stacyjce, mając w głowie jedynie jedną myśl: czas rozmówić się z facetem, który podobno już nie zachowuje się jak szczeniak. *Dał mi tego idealny dowód.* – Na razie. Zdzwonimy się później.

Z tymi słowami kończę połączenie. Szybko upewniam się, że Wright nie robił sobie ze mnie żartów. Och, widok tych wszystkich zdjęć w magazynie sprawia, że moje policzki robią się czerwone jak pierdolone buraki. Boże, sama już nie wiem, czy to zasługa złości, czy przekłętogo zawstydzenia. Te fotki nie powinny zostać opublikowane na łamach czasopisma.

Ruszam w drogę. I nie zamierzam być, do cholery, pobłażliwa.

Kiedy docieram pod właściwy adres, niemal uderzam pięścią w dzwonek przy bramie, wciąż siedząc w samochodzie. Dopiero po paru minutach bezczynnego oczekiwania na zaproszenie ogromna, ciężka brama zaczyna się rozsuwać. Wjeżdżam na posesję Gabriela z myślą, że w przypiływie złości naprawdę byłabym skłonna obedrzeć go ze skóry.

Wysiadam z samochodu dopiero, gdy parkuję na podjeździe jego rezydencji. Zauważam go opartego o futrynę drzwi. Ubrany w zwykły, przylegający do ciała czarny sweter i tego samego koloru spodnie prezentuje się jak cholerny model, ale nawet to wrażenie nie studzi we mnie pokładów agresji. W kilkunastu krokach docieram do mężczyzny i wymierzam w niego oskarżycielsko palec wskazujący, sycząc krótko:

– Ale z ciebie prostak. Dupek, drań, skończony kretyn.

Gabriel mruży delikatnie oczy. Powieka mu nie drży, gdy odpowiada ze spokojem:

– A ty jesteś wpieniona.

– Geniusz. – Przykładam dłoń do serca. – Co to za akcja ze zdjęciami, co? Jakaś zemsta? Chciałeś rewanzu? Doskonale wiedziałeś, że nie chcę, by te fotki rozsiały się po całym internecie. Przyznaj, że uknułeś to z tym całym Maysonem. Pewnie od samego początku...

– Od samego początku byłem w każdej kwestii z tobą zgodny, okej? – przerywa mi.

Przymykam powieki. Nie mogę patrzeć mu w oczy. Nie mogę tego robić, bo momentalnie kotłuje się we mnie coś cholernie nieodpowiedniego. Instynktownie wciskam mocniej obcas szpilki w posadzkę.

Zakładając ramiona pod biustem, wzdycham ciężko.

– Nie okej.

– Ktoś musiał przetrząsnąć te zdjęcia i wyręczyć nas w wyborze, gdy myśleliśmy, że wszystko jest już domknięte. – Gabriel kładzie dłoń na moim krzyżu.

Wzdrygam się, gdy sprawnie mnie do siebie przyciąga, a następnie prowadzi w głąb posiadłości. Od razu wyswobadzam się z jego uścisku i pewnym krokiem idę przez znajomy korytarz.

– Mhm. – Przysiadam na podłokietniku sofy wciąż wkurzona. – Ktoś niby przetrząsnął zdjęcia? – Napieram zębami na wargę, starając się wyprzeć z umysłu te wszystkie wątpliwości. Nie wiem, czy mogę mu ufać. Nie zamierzam wierzyć w jego słowa od razu. Nie jestem głupia. – I kto niby miałyby robić nam na złość, co? To nie trzyma się kupy.

– Moment. – Gabriel opiera ramię o ścianę. Przez chwilę milczy. – Kiedy z Maysonem odjechaliśmy z UnderScore, pojechaliśmy do Inferno. Tylko tam ktoś mógł maczać palce w oznaczeniu niewłaściwych zdjęć – zastanawia się na głos, pocierając w skupieniu szczękę.

– Z Inferno zawsze są jakieś problemy – wypluwam niczym obrazę.

Gabriel mruży oczy, na co prychem pogardliwie.

– No co? Może to córeczka twojego trenera, co? Ta cała... Beatrice.

Zaciskam palce na obiciu sofy, przypominając sobie te wszystkie artykuły o niej, które przeczytałam w internecie. Od razu mam przed

oczami scenę z restauracji, która klarownie mówiła, że dziewiętnastoletnia córka Ethana Maysona ostrzy kły na pewnego boksera. Niby dlaczego ta mała kanalia nie chciała by utrzyć mi nosa? Może tak bardzo wkurzył ją widok tych fotek, że nie wytrzymała i zakreśliła te nieodpowiednie?

– Skąd o niej... – próbuje dociec Gabriel, ale szybko formułuje swoje myśli w kolejne pytanie: – Czy ty widzisz w niej konkurencję? – Unosi brew.

– Niby w czym? – parskam śmiechem. – W starciu o ciebie?

Gabriel milczy. Ja również milczę, bo coś do mnie dociera.

– Szlag. – Mrugam powoli. – Może... widzę.

Mężczyzna uśmiecha się kpiąco, kręcąc głową z jawnym politowaniem. Robi dwa kroki w moim kierunku i tyle wystarczy, żeby coś się we mnie obudziło. Jezu, w jednej sekundzie wszystkie moje mięśnie napinają się zupełnie samoistnie. Oddech więźnie mi gdzieś w płucach, dreszcz przeszywa ciało, a dziwne zamroczenie ogarnia umysł. Przetykam ślinę, kiedy Gabriel staje przede mną. Moja głowa jest na wysokości jego brzucha, więc zadzieram brodę.

– Sądzę, że to nie ona. Ale domyślam się, kto z Inferno lubi się rządzić – mówi Gabriel z powagą wymalowaną na twarzy, ujmując w dłoń mój podbródek. – Nawet nie wiesz, jak kurewsko cię chcę, gdy patrzysz na mnie z tą furią w oczach, Mercy. – Jego spojrzenie ciemnieje.

Rozdziawiam usta. Żołądek skręca mi się z nerwów w zbyt szybkim tempie. Para grafitowych tęczy wpatruje się we mnie z jasną intencją. Wprawia w dziwny stan odrętwienia. Sprawia, że pojedyncze bodźce docierają do mnie w zwolnionym tempie. Serce łomocze mi w piersi, niemal miażdży inne narządy, gdy Gabriel przesuwając wytatuowanym kciukiem po mojej dolnej wardze. Jego dotyk jest zmysłowy. Chryste, to jak hipnoza.

– Musimy być teraz bardziej ostrożni – odpowiadam półszepem, próbując wstać na nogi.

Zanim zdążę się podnieść, Gabriel jednym szarpnięciem rzuca mnie na sofę. Wytrzeszczam oczy, gdy nagle nade mną zawisa. Mój oddech miesza się z jego, kiedy kładzie jedną dłoń na moim biodrze, a drugą stabilizuje całe swoje ciało, którym przytwierdza mnie do

skórzanego obicia mebla. Fala dreszczy przedziera się przez każdy mój pojedynczy nerw. Strach, który odczuwam, podszyty jest ekscytacją, gdy instynktownie zaciskam uda. Gabriel jednak zwinnie rozsuwa je kolanem, zanim przyciska zimne usta do mojego napiętego gardła. Zaraz potem połyka moje zdławione westchnienie.

Spogląda mi w oczy, kiedy odpowiada po dłuższej chwili:

– Będziemy.

Odnajduje drogę do moich ust. Muska je przelotnie. Zwykła pieszczota wyzwała we mnie milion emocji, sprawia, że czuję się, jakby stutonowy głaz osiadł mi gdzieś w płucach i nie pozwalał odetchnąć pełną piersią. Przymykam powieki, orientując się, że mężczyzna coraz śmieiej przesuwając dłońmi po każdym skrawku mojego ciała. Rozsuwa wytatuowanymi palcami zamek sukienki. Znaczą szlakiem pocałunków nagie ramię. Dociera wargami do wewnętrznej strony moich ud. Wciskam paznokcie w jego łopatkę, przyciągając go do siebie zaborczo.

Boże, miałam rację za każdym razem, gdy przez głowę przemykała mi myśl, że nigdy nie znajdę kogoś, kto by go zastąpił. Bo ten facet zadomowił się w moim sercu. Sprawił, że wszystkie rany, którymi było naznaczone, zabiłniły się za jego sprawą. Gabriel był jak płomień, który trawił każdą moją klęskę.

A teraz jest jak mrok, któremu pozwalam się pochłonać.

– Byłem głupcem, wierząc w to, że zapomnienie o tobie będzie czymś słusznym. – Całuje mnie w skroń, zanim sprawnym ruchem wysuwam spomiędzy szlufek jego spodni skórzany pasek. Już po chwili zawisa nade mną zupełnie nagi, namiętny, poważny jak diabli.

Podgryzam jego dolną wargę. Uśmiecham się powabnie, czując, że wytatuowane dłonie zsuwają ze mnie czarną bieliznę. Studiują moje ciało z nieopisaną starannością. Znajome usta przesuwają się wzdłuż mojego dekoltu, pozostawiając po sobie jedynie błogie uczucie ulgi. Każdy mój mięsień wiotczeje, staje się odrętwiały i nieskory do ruchu. Ucisk w podbrzuszu pojawia się nagle, gdy czuję, że para grafitowych oczu patrzy na mnie uważnie.

Pod palcami, które kładę na jego linii szczęki, czuję jedynie wrzenie własnej krwi.

– Tym razem nie dopowiadaj za mnie tego, czego boję się powiedzieć – mówię półszepem, a w moim głosie tkwi błaganie, gdy dodaję zawstydzona: – Proszę cię... – Gabriel lekko się uśmiecha. *Pamięta*, łudzę się w duchu. – Chcę, żebyś usłyszał ode mnie wszystko. Absolutnie wszystko – dokańczam.

– Będę cię słuchał bardzo uważnie, Mercy.

Jego usta ponownie docierają do mojej szyi, przesuwają się leniwie wzdłuż krtani, a później obojczyków. Gabriel sam zabiera sobie moje kolejne zduszone sapnięcie, gdy czuję jego palce tuż przy swoim centrum. Mrowienie, jakie pozostawia po sobie znajomy dotyk, jest jak rześki deszcz. Nie mogę ufać już nawet swoim zmysłom. Za sprawą Gabriela płatają mi figle.

Jego wzwód ociera się o wewnętrzną stronę mojego uda. Mimowolnie wciskam tył głowy w skórzane obicie kanapy, nie mogąc poradzić sobie z elektryzującym napięciem kumulującym się gdzieś w każdej komórce ciała. Pod językiem czuję wręcz rdzawy posmak krwi, gdy napieram zębami na wargę zdecydowanie zbyt mocno. Wciskam paznokcie w wytatuowany bark, gdy Gabriel wsuwa się we mnie raptownie.

Czując znajome uczucie wypełnienia, podkurczam palce u stóp. Pierwsze pchnięcie, które wykonuje Gabriel, sprawia, że popadam w stan, w który wprawia mnie sama obecność i dotyk tego mężczyzny. Tego, który mnie obchodzi nawet po upływie dwóch pieprzonych lat. Spojrzenie Gabriela pozostaje nieczytelne, ale sposób, w jaki się we mnie porusza, sprawia, że nie skupiam się na nim dłużej, niż powinnam. Kładę podbródek na jego ramieniu. Palcami badam każdą krzywiznę jego ciała, twarde mięśnie, wymyślne tatuaże.

Kolejne porywcze ruchy bioder, jakimi raczy mnie mężczyzna, wypierają z mojej pamięci każdą noc po powrocie do domu, którą spędziłam na samotnym wspomnianiu chwil, kiedy tamtego feralnego lata byliśmy naprawdę szczęśliwi. Sycę się jego obecnością. Nasiąkam nią do szpiku kości, kiedy solidne pchnięcia nie przestają powodować, że gubię oddech. Mroczną posiadłość wypełniają jedynie moje sapnięcia i jego nierównomierny oddech,

ale równie dobrze mogłabym stwierdzić, że to kołatanie mojego serca wyrzuca z niej głuchą ciszę.

Przestaję rejestrować, co dzieje się wokół mnie. Po prostu akceptuję fakt, że moje ciało pozostaje bezwładne w obliczu sposobu, w jaki pieści je Gabriel. Czując chłodne knykcie sunące wzdłuż przestrzeni pod lewą pierś, udaje mi się wykrztusić z siebie niemy skowyt. Gabriel nie przestaje wsuwać się we mnie aż po nasadę, zupełnie tak, jakby miał świadomość tego, że każdy jego ruch przypomina lawinę rozbijającego ukojenia. Chyba jakimś cudem udaje mi się skrzyżować nogi za jego łądzwiami. Moje plecy prawie boleśnie przesuwają się wzdłuż chropowatego obicia mebla, gdy tkwiący nade mną mężczyzna przywiera do mnie gwałtowniej.

Kontury tatuażu kruka mającą mi przed oczami, kiedy Gabriel trąca nagle swoim nosem mój. Grafitowe oczy mają odcień najprawdziwszej stali, kiedy skanują mnie szczegółowo. Mężczyzna sunie mozolnie ustami wzdłuż linii mojej szczęki, a gardło zasycha mi w ułamku sekundy na przekłęty wiór. Szczytuję w sposób tak żywiołowy i nagły, że zapominam na moment, że znajduję się w mrocznej rezydencji. W głowie krystalizuje mi się jeden, jedyny wniosek: potrzeba posiadania tego faceta zawsze będzie dla mnie tą pierwszorzędną.

## ROZDZIAŁ 8

Kolejna próba zagrania czystego dźwięku kończy się dla mnie fiaskiem.

W duchu przeklinam przeklętą harfę i swoją cholerną naturę, która nie pozwala mi wyprzeć z głowy tej głupiej obietnicy, którą złożyłam sobie jeszcze w Reno. A ta zakładała, że skoro nie mam szans na zostanie wirtuozem, to chociaż nauczę się jako tako grać na tym ustrojstwie.

*Do diabła z tym, myślę, zarządzając sobie krótką przerwę.*

Wstając na równe nogi, spoglądam w kierunku zegara wiszącego na ścianie. Widok wskazówek układających się w godzinę pierwszą sprawia, że biorę głęboki oddech. Zagryzam dolną wargę, próbując nie myśleć o tym, że dzisiaj w nocy odbędą się mistrzostwa świata w boksie w kategorii ciężkiej. Pieprzone Phoenix jest prawie pięć godzin drogi od Vegas.

Ciągnę z frustracją za włosy, by zdusić w sobie naprawdę niewłaściwą zachciankę.

Docieram do kuchni i zaparzam herbatę. W tym samym momencie, w którym sięgam po kubek, po rezydencji rozbrzmiewa dźwięk dzwonka do drzwi. Mrużę wątpięco oczy, odwołając w czasie swoją chwilę relaksu. Naciągam na dłonie materiał czarnego swetra, a po niecałej minucie znoszę widok perlistego uśmiechu Pearly Powell.

*Och, szlag.*

– Musisz pomóc mi wybrać ciuchy na koncert – wypala moja przyjaciółka już na samym wstępie, wchodząc w głąb posiadłości z wrodzoną gracją. Jej stopy poruszają się tanecznym krokiem po marmurowej posadzce, aż w końcu dziewczyna opada na jeden z foteli w salonie.

– Zapowiadaj się, Powell – przypominam jej. – Co, jakbym miała coś ważnego do zrobienia, hm? Następnym razem będziesz ślęczyć

na wycieraczkę. – Posyłam jej sugestywne łypnięcie, po czym czmycham do kuchni tylko po to, żeby zgarnąć swoją herbatę.

– Już dawno przestałam liczyć na to, że przyłapię cię z jakimś gorącym Hiszpanem. – Pearly przykłada teatralnie dłoń do serca, machając mi przed nosem ogromnym tabletem. – Mam niedługo koncert, więc muszę znaleźć coś wystrzałowego. Coś z pazurem, niekoniecznie niewinnego. Może jakieś... cekiny? Piórka? Och, jest tyle opcji...

Mrugam powoli. Moja przyjaciółka naprawdę lubi dużo mówić.

– Jesteś świrnięta – bąkam pod nosem. – Ale daj to. Znajdziemy coś.

Z tymi słowami chwytam za tablet. Przesuwam wzrokiem po jego wyświetlaczu, zawieszając spojrzenie na paru ładnie prezentujących się kieckach. Wygodniej usadawiam się na podłokietniku fotela i przejeżdżam palcem po ekranie urządzenia. Przeczucie podpowiada mi, że znalezienie perfekcyjnej kreacji dla tej zołzy będzie, cóż... bardzo trudnym zadaniem. Pearly ma bowiem wysublimowany gust, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi tak ważne dla niej przedsięwzięcie jak pierwszy występ jej nowej kapeli.

– Jak tam Elliot? – pytam nagle, kiedy coś sobie przypominam.

– Nie widziałam go dzisiaj. – Powell wzrusza ramionami. – Zaszył się w pokoju. A dlaczego pytasz? Znowu zrobił coś głupiego? Nawet nie mów, nie mam już do niego siły.

– Nie – zaprzeczam od razu. – Po prostu byłam ciekawa.

Odstawiam na stolik kubek, unikając spojrzenia przyjaciółki. Prawda jest taka, że pytając o jej brata, chciałam usłyszeć, jak trzyma się przed mistrzostwami świata. W końcu ten mały knypek jest pierwszorzędnym fanem Diabłów Vegas, a jeden z nich wystąpi dzisiaj na ringu w Phoenix. Fakt, że Elliot zaszył się we własnym pokoju, na dobrą sprawę nie mówi mi praktycznie niczego. A szkoda.

– Pożarł się dzisiaj o coś z tatą, ale nie wnikałam – dodaje Pearly.

– Buntownik – kwituję. – Te piórka są konieczne? – pytam po chwili.

– Daj. – Dziewczyna wyciąga dłoń po swoją własność. – O, niezła.

– Składa usta w ciup. – Myślałaś już o kreacji na Igrzyska? Jakby nie

patrzyć, zbliżają się wielkimi krokami, a ty jesteś z tych osób, które zostawiają wszystko na ostatnią chwilę.

Powell łypie na mnie sugestywnie, na co wzdycham pod nosem. Cholera, ma trochę racji.

– Nawet nie mam wybranej piosenki, do której zatańczę. – Krzywię się.

– Hej, najwyższa pora poszperać, bo przystojniak będzie na ciebie cięty.

Przyjaciółka mruga do mnie porozumiewawczo. Na twarzy pojawia mi się jeszcze większy grymas, bo ton Pearly jest podszyty prawdziwym podekscytowaniem. Ona naprawdę leci na Rhysa. Ba, nawet się z tym nie kryje.

*Chyba żyję w jakimś wariatkowie, myślę.*

– Coś wyhaczę. Przejrzę playlisty.

– To twój? – pyta nagle moja rozmówczyni, gdy czyjś telefon zaczyna wibrować.

– Nie. Mój jest... Och, nawet nie wiem gdzie – odpowiadam, uświadamiając sobie jednocześnie, jak bardzo jestem dzisiaj nierozgarnięta. Pearly w tym czasie wyciąga z kieszeni swojego płaszcza komórkę. Odbiera połączenie, nawet nie patrząc na jej wyświetlacz.

– Co jest? – wzdycha bez zbędnego zainteresowania. – Nie ma opcji. Nie jestem szoferem. Zresztą... dobrze wiesz, że mam dzisiaj ważną próbę. – Wywraca teatralnie oczami. – Nie będę uszczęśliwiać całego świata. To kolejna zachcianka gnojka, który powinien skupić się na nauce. Widziałeś jego oceny? Nie? – W jej głosie słyszę irytację.

Dopiero parę minut później Pearly wkłada telefon do kieszeni.

– Nonsens. Pieprzony nonsens. Tata zapytał, czy marzy mi się wycieczka do Phoenix, uwierzysz? Sam obiecał młodemu, że go zawiezie, ale wypadło mu jakieś spotkanie z innymi deweloperami, więc szuka teraz sposobu, żeby udobruchać małolata. Niedoczekanie. Nie będę przecież przestawiać swojego porządku dnia tylko dlatego, że jakieś Diabły Vegas...

Skubię zębami dolną wargę, puszczając mimo uszu następnę słowa dziewczyny. Przez głowę znowu przemyka mi naprawdę

dziwna myśl, którą, Bóg mi świadkiem, dzielnie próbowałam wyprzeć przez cały poranek. Mrugam powoli powiekami, wpatrując się beznamiętnie w martwy punkt przed sobą. To szalone. Naprawdę kurewsko szalone, ale przy tym... w jakiś pokręcony sposób ekscytujące. Zwieszam delikatnie głowę, podczas gdy rozentuzjasmowany ton przyjaciółki nagle uderza we mnie jak grom:

– Spójrz, ta ma pióra, chyba ją wezmę – obwieszcza wesoło.

Posyłam jej niemrawy uśmiech, kiwając głową w geście zgody. I nawet gdy niecałą godzinę później zostaję w posiadłości sama, nie udaje mi się stłamsić w sobie beznadziejnych zamiarów. Dlatego po prostu wykonuję krótki telefon do Rhysa z prośbą o to, żeby jutrzejszego dnia oszczędził mi treningu. Tłumaczę się ważnym wyjazdem rodzinnym, ale to nic, co wzbudziłoby w nim jakiegokolwiek wątpliwości.

W dalszej kolejności dzwonię do Elliota.

– O, Mercy. Czyli za każdym razem, gdy mówiłaś, że usunęłaś mój numer...

– Podobno zachowujesz się dzisiaj, jakby coś cię ugryzło – przerywam mu, opierając plecy o krawędź długiego stołu w jadalni.  
– Co się dzieje, hm? – pytam, mając nadzieję, że odpowiedź, którą uzyskam, będzie związana z cholernym Phoenix.

Chłopak pociąga delikatnie nosem, jakby dokładał wszelkich starań, żebym tego nie usłyszała. Moje serce topi się momentalnie, bo, szlag, jemu naprawdę na czymś zależy. Krople deszczu rozplývają się po przeszklonej ścianie, gdy spoglądam w poszarzałe niebo.

– Tata przyłapał mnie na próbie ucieczki z domu... Mam szlaban. Pieprzony szlaban.

– Elliot – karcę go. – Aż tak chcesz już wyjść na swoje?

– Właściwie bardzo chciałem odwiedzić Arizonę, wiesz? Ale to bez znaczenia, bo ugrzęzłem w jeszcze większym bagnie, Mercy. – W jego głosie słyhać zawód, który sprawia, że nie zastanawiam się dłużej niż to konieczne nad swoją decyzją, którą podejmuję cholernie spontanicznie. – Chciałem jechać na mistrzostwa świata w boksie... – dokańcza.

– Są jeszcze bilety? – Przechyliam głowę w bok.

– Tata mi kupił, ale nie mam jak się tam dostać – odpowiada młody Powell.

– Może wpadniesz do mnie dzisiaj? Zrobimy jakiś dobry makaron, obejrzymy film Marvela, a później postaram się jakoś cię pocieszyć. Pogadam z twoimi rodzicami na temat twojego szlabanu. Wiesz, że mają do mnie słabość. – Uśmiecham się lekko, gdy Elliot po chwili stwierdza, że bardzo chętnie to zrobi, jeśli tylko uda mi się udobruchać Eleanor i Marka.

Kończę połączenie ze świadomością, że mam półtorej godziny na to, żeby znaleźć się u Powellów, odszukać w pokoju tego małego knypka bilety, a później... pomóc mu dostać się do oddalonej o jakieś trzysta mil od Vegas Arizony. Ale on wcale nie musi o tym wiedzieć.

Zanim jednak wcielam w życie swój plan, około drugiej docieram do budynku, w którym mieści się siedziba UnderScore. Dzierżąc pod pachą te wszystkie podpisane kontrakty, które otrzymałam parę dni temu od Caleba, wchodzę do windy. Docieram na siedemnaste piętro i staram się szybkim krokiem pokonać dystans dzielący mnie od gabinetu mężczyzny.

Odrzucam za plecy pukle ciemnych, wilgotnych od deszczu włosów, aż w końcu bez ceregieli wchodzę do właściwego pomieszczenia. Papiery rozsypują się po podłodze, gdy oszołomiona opuszczam bezwiednie ręce wzdłuż tułowia na widok szarych oczu wpatrujących się we mnie z uwagą. Przełykam ślinę. Wyglądają tak samo jak wtedy, gdy patrzyły na mnie bez krzty zwykłej litości.

Ace Crawford nigdy nie miał dla mnie litości. I teraz stoi przede mną, dumny i poważny, jak gdyby wcale trzy lata temu nie zdeptał mojego nastoletniego serca jak niepotrzebnego śmiecia. Jak gdyby wcale... nie przyłożył ręki do mojej zguby. Chwilę patrzę na niego w absolutnym osłupieniu, słowa więzną mi gdzieś w gardle, a oddech spowalnia. Pojedyncze bodźce docierają do mnie jakby w zwolnionym tempie, aż w końcu odzyskuję rezon.

Zbieram z podłogi dokumenty, które upuściłam w całym tym ferworze. Chrząkam nieznacznie. Zadzierając brodę, zwracam się do stojącego przy jednym z regałów Caleba:

– Kontrakty. Wszystkie podpisałam. – Odkładam je na stół. Mimo tego, że nogi mam jak z waty, nie odmawiają mi posłuszeństwa. –

Uprzedzam, że dzisiaj nie będzie ze mną kontaktu, więc nawet nie dzwoń, bo i tak nie ma szans, że odbiorę. – Mój głos jest zimny.

Menadżer kiwa głową w geście zgody. Zakasuje rękawy koszuli, odpowiadając:

– W porządku. – Wskazuje sugestywnie na drugiego mężczyznę. – To...

Kręcę głową, odpowiadając od razu:

– Mam to gdzieś.

Wzruszam niedbale ramionami, po czym ruszam do wyjścia.

– Mercy, do cholery! – woła za mną Caleb.

Nie zatrzymuję się. Dopiero czując gwałtowny dotyk na ramieniu, mam wrażenie, jakby ktoś potraktował mnie pierdolonym paralizatorem. Odwracam głowę. I właśnie wtedy serce ściska mi się boleśnie, a niewidzialny supeł zawiązuje gdzieś w podbrzuszu. Momentalnie wyswobadzam się z uścisku Crawforda, jakby miał zamiar znowu wyrzucić mi krzywdę.

Jakbym przez niego znowu miała zaszyć się gdzieś w samotności, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Jakbym znowu miała zastanawiać się, co było ze mną nie tak. Jakbym... czuła się gorsza od własnej siostry pod każdym pieprzonym względem. Jego odejście już zawsze będzie kojarzyć mi się z czasem, kiedy moje życie posypało się jak cholerne domino, a na jego końcu... Na jego końcu była tylko świadomość, że zasłużyłam na to, by tracić.

By ciągle *tracić*.

– Nie waż się – cedzę cicho przez zaciśnięte zęby, nie spuszczać wzroku z twarzy Ace'a. – Nie waż się nawet na mnie patrzeć, Crawford. Dlaczego masz czelność to robić, co? – Spoglądam na niego z furią w oczach. Patrzę na niego z wyrzutem, który powinien uzmysłować mu, jak bardzo go nienawidzę. Jak bardzo chcę, żeby ktoś wyrzucił mu taką krzywdę, jaką on wyrzucił mnie. – Dlaczego? – mówię półszepem, by Caleb nie był w stanie tego dosłyszeć.

– Powinniśmy porozmawiać. – Kręci głową, jakby nie mógł uwierzyć.

Jakby nie mógł uwierzyć, że stoję przed nim i nie mam zamiaru mu wybaczyć.

– Mercy? Może wytłumaczysz mi, dlaczego jesteś dzisiaj taka cięta  
– wtrąca się Wright.

Spoglądam na niego niewzruszona. Nie mam zamiaru mówić mu, kim jest Ace Crawford. Nie mam zamiaru mówić mu, kim dla mnie był. O tych wszystkich momentach, które wciąż przeplatały się w moich snach, przeistaczając je w koszmary. Nie mam zamiaru pamiętać o tym, jak pierwszy raz mnie dotknął. Jak zabierał mnie na loty cholerną awionetką. Jak beztrąsko czułam się, gdy nazywał mnie swoją *łaską*.

Swoją nagrodą za całe zło, którego doświadczył w życiu.

– Caleb, spójrz za okno. Pogoda dzisiaj nie dopisuje, więc humor idzie z nią w parze...

Zachrypnięty głos Crawforda rozchodzi się gdzieś blisko mojego ucha. Sztywnieję. Staram się wygonić go ze swojego umysłu, ale w tej sekundzie staje się on jedną wielką breją, którą bardziej memła jedynie świadomość, że Ace stoi za mną. Stoi w tym samym pomieszczeniu, mając się świetnie. I ma czelność siać chaos w moim na pozór spokojnym życiu.

Zaciskam palce w pięści. Knykcie mi bieleją, ale nie zwracam na to uwagi.

– W każdym razie – kontynuuje Caleb. – Mercy, to Ace Crawford. Mój nowy asystent.

*A moje przekleństwo*, mówię w duchu, patrząc na łagodną twarz swojego menadżera.

Nie łudzę się, że to dowcip. Nie myślę o tym, jak bardzo chce mi się wymiotować. Po prostu znoszę dzielnie gwałtowne kołatanie własnego serca, niemiłosierne pulsowanie skroni, znoszę to wszystko, na co nie zasłużyłam. Przeszuję nagle z nogi na nogę. Zadzieram nos.

Robi mi się duszno, ale zamiast się zreflektować, mówię na odchodne:

– Wierzę, że się dogadacie. Na razie.

Z budynku agencji wychodzę z nadzieją na to, że jakoś to wszystko sobie poukładam. Jakoś zdzierzę konfrontację z ucieleśnieniem wszystkich mar. Jakoś... uda mi się usunąć ze swojego życia kogoś, kogo nieobecność nie doskwierała mi w żaden sposób, odkąd

spotkałam mężczyznę, który posklejał mnie na nowo. Tego, który dzisiaj w nocy miał pokazać, dlaczego ludzie zwą go tak naprawdę Diabłem z Vegas.

Jest trzecia, kiedy kładąc poduszkę pod policzek Elliota, spoglądam w stronę zegara. W dalszej kolejności mój wzrok przykuwają bilety bezwiednie leżące na stole. Uśmiecham się delikatnie, biorąc je do ręki. Ruszam w kierunku sypialni, by schować świstki papieru do niewielkiej torebki. Liczę, że ten gnojek się ucieszy.

Biorę szybki prysznic. Makijażu nie nakładam na twarz praktycznie wcale, dbając o to, żeby nikt nie był w stanie mnie rozpoznać. Swoje nieśmiertelne sukienki tym razem zamieniam na za dużą koszulkę z logiem Kings of Leon oraz skórzane spodnie i ciężkie glany. W takim wydaniu nie będę zwracać na siebie szczególnej uwagi. Włosy spinam w wysokiego koka, a na nos nakładam parę okularów przeciwsłonecznych, które, choć są beznadziejnie kiczowatym wyborem, z pewnością finalnie sprawią, że będę czuła się odrobinę bezpieczniej.

Byłoby źle, gdyby ktoś rozpoznał mnie w tłumie podczas gali bokserskiej w Phoenix.

Kiedy wracam do salonu, jest już czwarta. Biorąc pod uwagę fakt, że droga do celu zajmie nam około pięciu godzin, decyduję się obudzić Elliota. Potrząsam delikatnie za jego ramię, dopóki para zielonych oczu nie wpatruje się we mnie ze zdezorientowaniem.

– Wychodzisz gdzieś? – Chłopak mruga parokrotnie.

– Wychodzimy – odpowiadam jak gdyby nigdy nic, krzyżując ręce pod biustem. Elliot w tym czasie trawi w duchu moje słowa. – A właściwie wybieramy się w długą podróż. Czeka nas około pięciu godzin drogi, więc dobrze, że się wyspałeś. Przetrwasz jakoś te trzysta mil, hmm? – Unoszę zaczepnie brew, gdy młody Powell powoli łączy elementy układanki w jedną spójną całość. Jego usta wyginają się w perlistym uśmiechu.

– Jezu, wielbię cię, Mer. – W jego głosie pobrzmiwa wręcz namacalna wdzięczność.

– Spróbowałbyś nie.

Przykładam teatralnie dłoń do serca, na co Elliot rzuca mi się w ramiona. Głaszczę go po głowie, dopóki nie odsuwa się nagle, by skrzyżować ze mną spojrzenie. Jasne tęczaówki iskrzą wesołym blaskiem, gdy ich właściciel mówi:

– Ale ty przecież nie lubisz Diabłów... – Wydyma dolną wargę.

– Jak dorośniesz, zrozumiesz, że czasami trzeba zacisnąć zęby. – Mierzwię dłonią jego włosy. – A teraz pakuj się do samochodu. Po drodze zatrzymamy się na jakiejś stacji, żebyś nie padł z głodu. – Ruszam w kierunku garażu, uprzednio zgarniając torebkę.

Uśmiech Elliota staje się szerszy. I, cóż, pozostaje szeroki nawet wtedy, gdy dojeżdżamy do Phoenix. Rozglądam się wokoło, by dostrzec przez moment znak informujący o wjeździe do stolicy stanu Arizona. Jej ulice nie są opustoszałe, ale to wciąż nie jest ten poziom zatłoczenia, którym może pochwalić się Vegas w godzinach szczytu. Wzdycham ciężko.

Przenosząc wzrok na deskę rozdzielczą i znajdujący się na niej zegar elektroniczny, orientuję się, że jest już wpół do dziesiątej. Za pół godziny zacznie się pierwszy dzień mistrzostw świata, w których, jak zdradził mi Elliot, weźmie udział kilkunastu zawodników. Dzisiaj zawalczą ci, którzy kwalifikują się do kategorii półciężkiej i ciężkiej. W tej drugiej zmierzy się Gabriel. Podobno mistrzostwa mają być dla niego okropnie trudnym sprawdzianem.

Mają sprawdzić, jak wiele nauczył się w ciągu dwóch ostatnich lat w Inferno.

– Mercy? – zaczyna nagle Elliot. – Jeśli to przeze mnie jesteś taka smutna, to... Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że czasami nie powinnaś uszczęśliwiać innych swoim kosztem. – Zerkając kątem oka na rudowłosego chłopca, marszczę nieznacznie czoło.

– Skąd wniosek, że jestem smutna, co? – Siłę się na uśmiech.

Sprawnie manewruję kierownicą. Uchylam nieco szybę. Lekki wiatr mierzwi moje włosy, gdy jadę ulicami Phoenix i myślę, że siedzący na miejscu pasażera dzieciak w ciągu tych pięciu godzin zdążył wyłapać w moim zachowaniu coś, czego zdecydowanie nie powinien.

Powrót Ace'a wiele skomplikował. A ja wcale nie mam ochoty go widywać. Nie mam ochoty znosić jego obecności ani udawać, że

wszystko gra tak, jak powinno. Bo nie gra. I nigdy nie będzie. Dopóki ktoś nie wymaże mi pamięci, będę nienawidzić go w sposób, w jaki robiłam to przez ostatnie trzy lata. Zupełnie tak samo, jak nienawidziłam Faye Withford.

Moja nienawiść ma smak destrukcji. Reno feralnego lata przekonało się o tym dobitnie.

– Siedziałaś cicho, gdy leciało One Direction – zauważa słusznie.

– Och – wykrztuszam z siebie. – Serio?

Mina Elliota mówi sama za siebie. Zaczესuję kosmyk włosów za ucho, odpowiadając:

– Nie chodzi o ciebie. Chodzi o ludzi, którzy sądzą, że zasługują na przebaczenie. Ale niektóre decyzje są po prostu niewybaczalne, wiesz? – Spoglądam na Powella z cierpkim uśmiechem, który, mam nadzieję, uzmysłowi mu, że wszystko ze mną w porządku. – W takim przypadku przeprosiny to zawsze za mało, by odnaleźć w sobie siłę na to, by przyznać na głos, że mimo tego, jak bardzo ktoś cię skrzywdził, chcesz go ponownie w swoim życiu. – Wzruszam ramionami, a grymas szybko pojawia się na mojej twarzy. – Kurwa, czemu ja ci to mówię?

– Rozchmurz się, Mercy. – Elliot mruga powoli oczami. – Podbijamy dzisiaj Phoenix.

*No tak, przypominam sobie. Podbijamy Phoenix...*

– To chyba tutaj – obwieszczam, gdy moim oczom ukazuje się ogromna arena.

Wokół niej nagromadzona jest spora ilość samochodów. Cały parking wręcz pęka w szwach. Znalezienie wolnego miejsca zajmuje nam przynajmniej dziesięć minut. Wsiadając ze sportowego mercedesa, zaciągam się nosem. Rześkie powietrze przyjemnie orzeźwia mój umysł.

– Mam wejściówki. Możemy iść. – Elliot chwyta mnie za rękę, ciągnąc w stronę hali.

– Zwolnij, młody. – Parskam śmiechem, kiedy czuję, że ciężko mi za nim nadążyć.

– Jezu, te twoje okulary wyglądają tandetnie.

Chłopak patrzy na mnie z politowaniem.

– Z czystej wdzięczności mógłbyś po prostu nie komentować tego, jak dzisiaj wyglądam. – Czochram jego włosy wolną ręką, gdy Powell podaje ochroniarzowi nasze bilety.

Po wzmówieniu facetowi, że jesteśmy rodzeństwem i przejmę nad tym knypkiem całkowitą opiekę, wchodzimy w głąb areny. Ludzi jest tutaj od groma. Większość ubrana jest we wszelkie odcienie czerwieni. Zakładam, że to znak rozpoznawczy Inferno, które chyba każdemu kojarzy się z tym kolorem. Rozglądam się po obiekcie. Na ścianach i w gablotach dostrzegam plakaty promujące mistrzostwa, a na nich nazwiska zawodników. Wszechobecny harmider szybko daje mi się we znaki. Ostrożnie nasuwam na nos okulary, dbając o anonimowość.

– Chyba powinniśmy iść tędy. Mamy miejsca na płycie. – Elliot rusza w tylko sobie znanym kierunku. – Wow, rzeczywiście dużo tutaj telewizji. Mija nas chyba już dziesiąty fotograf albo fotoreporter. Nie wiem, szczerze mówiąc, nie odróżniam ich – dodaje po chwili.

– Świetnie – bąkam z przekąsem. – Która godzina? Nie spóźnimy się?

– Zdążymy, bo nie masz tych zabójczych szpilek. – Elliot szczerzy się szyderczo.

Nie komentuję jego słów. Wchodząc na właściwą część hali, czuję przedzierającą się przez ciało ekscytację. Cała arena skąpana jest w światłach reflektorów. Rozglądając się wokoło, widzę jedynie multum zgromadzonych w obiekcie kibiców. Ciężkie basy jakiejś piosenki wypierają z mojej głowy wszelkie niepotrzebne myśli. Kierując się w stronę naszych miejsc, skupiam się tylko i wyłącznie na tym, by stłamsić jakąś dziwną obawę kumulującą się w każdej komórce organizmu. W milczeniu siadam na jednym z krzeseł, czując pod skórą dziwne wrzenie własnej krwi. Matko, to mistrzostwa świata.

Pieprzone mistrzostwa świata w boksie, na których nie powinno mnie być.

Nie dostaję szansy na to, by przyzwycząić się do tego całego zgiełku. Na ogromny ring wchodzi obcy mi ludzie. Wszystko dzieje się tak szybko, że zanim zdołam przetrwać w myślach fakt, że och,

jednak to zrobiłam – uciekłam do cholernego Phoenix – zaczyna się pierwszy pojedynek. Poprawiam okulary, które mam na nosie. Wygodnie rozsiadając się na swoim miejscu, wpatruję się z nieprzeniknioną miną w pierwszą parę bokserów.

To będzie mistrzowska noc.

– To Ethan Mayson – mówi nagle Elliot, tym samym wytrącając mnie z letargu.

Instynktownie patrzę na wyświetlacz telefonu. Orientując się, że jest już wpół do pierwszej, dociera do mnie, że całe wydarzenie skończy się za około godzinę, przed drugą.

– Gdzie? – pytam zaalarmowana.

*Cholera, lepiej, żeby mnie tutaj nie zobaczył, myślę.*

– Pod ringiem. Czyli zaraz wyjdzie Gabriel.

Oczy chłopaka iskrzą z ekscytacji. Mimowolnie prostuję się jak struna. Kładę dłonie na kolanach, z zapartym tchem wpatrując się w okalany przez grube liny ring. I parę minut później...

Cóż, rzeczywiście wchodzi na niego Gabriel. Jego twarz jest jak zwykle nieprzenikniona. Minę ma pokerową, gdy zacieśnia zębami sznurowanie rękawic, tym samym upewniając się, że leżą na jego dłoniach jak ulał. Jego wyrzeźbione mięśnie są dobrze widoczne nawet z dalekiej odległości. Siedząc daleko od ringu, czuję jedynie, jak świerzbą mnie palce. Przypominam sobie każdą krzywiznę jego ciała.

Oddech więźnie mi gdzieś w gardle na widok ogromnego tatuażu, który pokrywa całe jego ramię i kawałek piersi. Ten wzór nigdy mi się nie znudzi. Może dlatego, że niesie za sobą pewną historię, a może dlatego... Może dlatego, że Gabriel jest jak ten kruk – mroczny, tajemniczy i niebezpieczny. Może dlatego, że tak jak on wzbija się coraz wyżej. Ten facet nie tkwi na dnie. Sukcesywnie pnie się po kolejnych szczeblach kariery.

A to jest ten ostatni.

Ten ostatni stopień, który dzieli go od bycia *najlepszym*.

Oboje z Elliotem milkniemy w chwili, w której rozpoczyna się pojedynek. Błysk fleszy oślepia mnie na moment. Wszyscy ludzie podrywają się z miejsc tak, jakby w jednej sekundzie cała hala ożyła. Napieram zębami na wargę, wpatrując się ze zdławionym w płucach

oddechem w ring znajdujący się na podeście. Pierwszy atakuje Gabriel.

Jego pięść lawiruje w powietrzu, gdy wymierza cios. Przeciwnik mężczyzny, rosły blondyn o bladej jak wampir cerze, cofa się o pół kroku tylko po to, by przymierzyć się do kontrataku. Wyprowadza uderzenie. Gabriel jednak skręca tułów, robi to tak zwinnie i szybko, że ciężko mi nadążyć wzrokiem za płynnością jego uników. Połykam kolejne westchnienie.

Żołądek kurczy mi się do filigranowych rozmiarów, kiedy Gabriel naciera gwałtownie na swojego rywala. Ten przyjmuje na siebie cios za ciosem, dzielnie trzymając gardę. Mimowolnie wciskam paznokcie w wewnętrzną część dłoni. Sprawiam sobie tym samym ból, ale taki uspokajający, kojący wręcz, przez co czuję jedynie strach podszyty troską o faceta, który mimo upływu tych pieprzonych dwóch lat wciąż obchodzi mnie bardziej, niż rzeczywiście powinien.

Miętołę między palcami materiał za dużej bluzki, gdy cios nieznanego mi blondyna przeszywa powietrze. Niemal jestem w stanie dosłyszeć w uszach świst, kiedy uderzenie dosięga Gabriela. Powietrze, którym oddycham, wydaje się parne. Sama już nie wiem, kto jest bardziej pochłonięty pojedynkiem, ja czy niesforny Elliot. Przesuwam językiem po przednich zębach. Nieodparte wrażenie, jakby niewidzialna dłoń oplatała moje gardło i odcinała dopływ tlenu do płuc, uczepia się mnie jak pierdolony rzep. Gabriel ponownie przystępuje do ataku.

Ta walka zdecydowanie ma w sobie mistrzowski wydźwięk. Porównując z tą amatorską, którą oglądałam w Reno, ta jest po stokroć bardziej emocjonująca. Tutaj bitwa toczy się o ogromną stawkę. I Gabriel jest tego świadomy. Och, jest tego na pewno świadomy, bo nawet gdy jego rywal sprzedaje mu uderzenie w bark, on rozpoczyna na niego natarcie. Jego wytatuowane bicepsy pracują tak, jakby ten facet miał to we krwi – jakby znał każdą technikę, wszystkie tajniki boksu i był stworzony do tego, by naparzać w przeciwnika.

W momencie ogłoszenia werdyktu uśmiecham się szeroko.

– Mercy! – wrzeszczy mi do ucha rozradowany Elliot.

– Hej, cicho... – rzucam w jego stronę, mając na uwadze fakt, że tutaj ściany mają uszy.

– Diabeł został mistrzem świata. – W jego głosie pobrzmiwa euforia, której nie kwestionuję. Ja po prostu ją podzielałam. Po raz kolejny spoglądam na ring. Gabriel rozgląda się po całej hali, a jego ręka bezwiednie unosi się za sprawą uścisku sędziego.

Kolejne błyski fleszy rozchodzą się po hali. Idący wraz z nimi charakterystyczny dźwięk walczy z wiwatami publiczności. Wszyscy skandują imię, które sprawia, że nie potrafię powstrzymać uśmiechu. I tak jak dwa lata temu w Reno, tak samo dzisiaj czuję się cholernie dumna. Wciskając dłonie do kieszeni skórzanej kurtki, myślę, że...

Myślę, że uwielbiam obserwować, jak ten mężczyzna podbija świat.

Jest już parę minut po szóstej, kiedy wracamy z Elliotem do Vegas. Zmęczona odwracam głowę, żeby przyjrzeć się na wpół przytomnemu chłopakowi. Przecierając dłonią twarz, wzdycham ciężko. Tak, to była zdecydowanie... ekscytująca i wycieńczająca noc, biorąc pod uwagę fakt, że gęszcz samochodów poruszających się po ulicach, który przywitał nas w Phoenix, nie zmniejszył się nawet odrobinę, odkąd wjechaliśmy na tereny Nevady.

– Zmykaj, zanim siostra zauważy, że wróciłeś – parskam pod nosem.

Elliot wygina usta w szerokim uśmiechu.

– Naprawdę cię wielbię, Mercy. Bardzo, bardzo. – Przytula się do mnie jak mała małpka. Odwzajemniam gest. Przymykając na moment powieki, po prostu pozwalam, żeby ten mały gnojek jeszcze parę razy przyznał na głos, jaka to jestem cudowna.

– Śpij dobrze. I ochłoń, bo wyglądasz, jakbyś to ty popisał się dzisiaj na ringu. – Odsuwam się, dając Powellowi znak, że najwyższa pora, by zameldował się w posiadłości.

– A ty... po prostu kopnij w dupę tych, którzy sprawiają, że jesteś smutna – odpowiada mi na odchodne, nawiązując do naszej rozmowy w Phoenix. Mrużę oczy. Zanim zdążę chociażby rozchylić usta, Elliot znika za drzwiami rezydencji. Wzdycham tylko ciężko.

Już parę minut później ruszam w dalszą trasę. Vegas mieni się milionami świateł, kiedy mknę w sportowym mercedesie przez

zatłoczone ulice. Wciskam tył głowy w zagłówek fotela. Opierając zgiętą w łokciu rękę na drzwiach samochodu, myślę, że nienawidzę niespodzianek.

A już zwłaszcza powrotów ludzi, którzy mają wobec mnie niejasne intencje.

# ROZDZIAŁ 9

## GABRIEL

Myślałem, że zdobycie tytułu Diabła uderzyło we mnie najbardziej.

A potem zostałem mistrzem świata. I to chyba właśnie ta wygrana uzmysłowiła mi, jak ciężkie brzemie dźwigam na barkach. Wciąż otumaniony tym całym zamieszaniem związanym z walką przecieram dłonią poobijaną twarz z nadzieją, że pomoże mi to jakkolwiek oczyścić umysł.

Siedząc w prywatnym samolocie i znosząc pochwały Maysona, naprawdę zaczynam odliczać minuty, które dzielą nas od lądowania w Vegas. Z miną, która nie wyraża absolutnie niczego, chwytam za szklankę z alkoholem. Wypijam jej zawartość jednym haustem, po czym odstawiam ją na niewielki stolik i przymykam powieki. Chełpliwy ton mojego trenera wciąż roznosi się po samolocie, ale nie skupiam się na nim. Jestem zbyt wykończony, żeby trawić sens jego słów. Dopiero słysząc stukot obcasów, otwieram powoli oczy.

Żona Maysona spogląda na mnie z powabnym uśmiechem.

Unoszę brew, pytając:

– Spełniłem twoje oczekiwania, Marie? – Przechyliam leniwie głowę w bok.

– Miałam nosa – stwierdza nonszalancko kobieta, siadając obok Ethana. – Już na tej amatorskiej gali wiedziałam, że czymś mnie zaskoczysz, Gabrieli. – Mruga do mnie porozumiewawczo, gdy nie spuszcza wzroku z jej twarzy.

– I pomyśleć, że za składem sławnych Diabłów Vegas stoi kobieca intuicja – mówię ze spokojem, prostując nogi na stole.

Zębami poprawiam bandażę, którymi owinięte mam poobdzierane knykcie. Znajome szczypanie wciąż daje o sobie znać, ale nie

koncentruję uwagi na pamiątkach po pojedynku. Zamiast tego ponownie unoszę wzrok na Maysonów.

– Nie tylko ona – protestuje Ethan. – Też mam coś do gadania. Ale fakt, nie można odmówić ci tego, że wyłapujesz prawdziwe diamenty – tym razem zwraca się do żony, której uśmiech staje się szerszy.

I jeszcze bardziej dumny, o ile to w ogóle możliwe.

– Co ty byś beze mnie zrobił, co? – Marie unosi wyzywająco brew.

– Zapewne przedwcześnie nie osiwiiał – odgryza się Mayson, na co jego rozmówczyni prycha pogardliwie. – W każdym razie popisałeś się dzisiaj, Gabrielu. Należy ci się odpoczynek. Wszystkie wywiady, które zaplanowaliśmy ze sztabem, odbędą się dopiero w przyszłym tygodniu. Teraz wykorzystaj czas na regenerację. – Mężczyzna patrzy na mnie z uwagą.

– Mhm. – Nasuwam kaptur na część twarzy, ponownie przymykając powieki.

– Pójdę zapytać pilota, za ile dotrzemy do Vegas. – Ethan wstaje na równe nogi.

Jego kroki wyrzucają ciszę z pomieszczenia, w którym się znajdujemy. Dopiero w momencie, w którym już ich nie słyszę, przejeżdżam palcami wzdłuż grzbietu nosa. Korzystając z okazji, że zostałem sam na sam z Marie, otwieram oczy i spoglądam na nią podejrzliwie jak diabli.

Dopiero po chwili pozwalam, żeby z moich ust uleciało nurtujące mnie pytanie:

– Dlaczego podmieniłaś zdjęcia dla magazynu, gdy zostawiłem je w gabinecie Ethana?

Mój ton głosu nie jest oskarżycielski. Nie jest nawet pretensjonalny. Jest zwyczajnie spokojny i pozbawiony emocji. Prostuję się lekko na wygodnym fotelu, stukając palcami o uda.

Marie z początku mruży wąpiąco oczy, jakby nie spodziewała się usłyszeć ode mnie podobnych słów. Poskładanie wszystkich wątków w jedną spójną całość naprawdę nie było wybitnie trudne. A już zwłaszcza, gdy mieliśmy na korytarzach Inferno monitoring, z którego jasno wynikało, że tamtego dnia do gabinetu Maysona wchodziła tylko jego żona.

Dobrze, że Ash wyręczył mnie w przekupywaniu ochroniarza.

– Jakie zdjęcia? – Marie marszczy dla niepoznaki czoło, udając zaskoczoną.

– Nie bądź paskudną kłamczuchą. – Kręcę głową z politowaniem.

– Chcę tylko wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. Te fotki były naprawdę odważne, więc... chciałaś szumu? Chciałaś, żeby było o mnie głośniejsze? Uwikłać mnie w jakiś romans tylko po to, żeby ludzie mówili?

Kobieta zadziera hardo brodę. W jej oczach dostrzegam dumę i... rozbawienie.

– Och, Gabrielu... To dobra reklama. – Mruga do mnie porozumiewawczo.

– Nie chcę takich reklam, Marie. Ta sesja miała być dla nas czysto biznesowa. Mieliliśmy zareklamować drogie ciuchy, napędzić rekordową sprzedaż czasopisma jedynie swoim nazwiskiem i faktem, że pozujemy wspólnie, a nie przez kilka pikantnych fotek zostawać uznani za najgorętszą parę Las Vegas, kiedy prędejsz zamarnie piekło, niż rzeczywiście nią zostaniemy. Nie będę spoufaliał się z wrogiem. Nigdy.

– Teraz to ty wydajesz się paskudnym kłamcą – kontruje kobieta.

– Doprawdy? – Unoszę prowokująco brew.

Patrzę na nią w niezrozumieniu. Jednocześnie nie pozwalam, by moja twarz wyrażała choćby jedną pieprzoną emocję. Nie mam bladego pojęcia, o co tej kobiecie chodzi, ale intuicja podpowiada mi, że za moment wydarzy się coś złego. Coś naprawdę kurewsko złego.

– Twoje „nigdy” znaczy tyle, co moje „kiedyś przestanę wydawać fortunę na ciuchy”. – Marie parska śmiechem, krzyżując ręce pod biustem. – Nie tylko wy lubicie stand-upy. Tak się składa, że ja również mam do nich słabość, mój drogi. Konspiracja to trudna sztuka, wiesz? – Jej słowa uderzają we mnie jak pierdolony huragan. Momentalnie sztywnieję. – Z Ethanem również mieliśmy podobne ekscesy w młodości. Ba, myślę, że śmiało mogę uznać was za naszą marną podróbkę. Ciebie, obrażonego na cały świat drania i ją, pyszałkową diablicę... Dam ci tylko jedną radę, Gabrielu. Bądź bardziej dyskretny. Świat jest zbyt okrutny, by żałować kolejnych nieprzeznaczonych sobie kochanków. – Marie podnosi się do pionu.

– To hipokryzja. Dlaczego najpierw zamieniasz te zdjęcia, a potem mówisz mi coś takiego? – pytam zdezorientowany, nie do końca pojmując tok rozumowania tej kobiety.

Chryste, ona przypomina pieprzony szyfr, gdy ubiera myśli w tak niedosłowne zdania. Słyszając charakterystyczny dźwięk rozbrzmiewający po pokładzie samolotu, orientuję się, że przymierzamy się do lądowania.

Najpewniej znajdziemy się już nad grzesznym Vegas.

– Jak myślisz, czy teraz, gdy nastąpił dobry czas na to, żebyście wybili się na waszym rzekomym romansie, ktoś pomyśli, że rzeczywiście kryje się za tym coś więcej? – Kobieta kręci głową z pobłażaniem. – Czasami podanie ludziom jak na tacy tego, czego od ciebie oczekują, sprawia, że przestają tego pragnąć, bo... Po co pragnąć czegoś, co można mieć ot tak? – Pstryka palcami w powietrzu. – A wy daliście im siebie od ręki. Bez żadnych znaków. Bez żadnych uprzedzeń. Bez żadnych argumentów. To śmierdzi jak powód, by utrzymać rozgłos. Więc zróbcie to. Wmówcie im, że tak jest. Zróbcie to tak, by myśleli, że to oszustwo.

– Chcesz mi teraz wmówić, że pomogłaś nam tymi zdjęciami? – pryham.

– Rozegraj to dobrze, Gabrielu. Tylko od ciebie zależy, czy przechytrzysz show-biznes, czy to on przechytrzy ciebie – mówi na odchodne Marie, po czym wychodzi z pomieszczenia.

Przez chwilę trawię w duchu sens jej słów. Zastanawiam się, ile w jej planie tkwi cholernych szans na powodzenie. Może rzeczywiście najlepiej będzie pozwolić ludziom myśleć, że to wszystko to jedna wielka, marketingowa farsa?

Nie ma jeszcze szóstej, gdy przekręcam klucz w zamku drzwi. Zapach cedru pomieszany z wonią kawy wdziera się do moich nozdrzy, kiedy ruszam w głąb spowitego w mroku korytarza. Nie włączam światła. W trakcie drogi do sypialni towarzyszy mi jedynie odgłos ciężkich kroków, które stawiam. Docieram do właściwego pomieszczenia i przechodzę przez próg połączonej z nim łazienki.

Jedynie snop światła odbijanego przez księżyc oświetla moją twarz, gdy opieram wyprostowane ręce na umywalce. Spoglądając w lustro, nie widzę mistrza świata, tylko faceta, który po dwóch

latach gwiazdorzenia czuje się w końcu wycieńczony ciągłym tonięciem w rutynie. Zwieszam głowę. Mrugam powoli, starając się wyostrzyć obraz, który po alkoholu wydaje się jedynie jeszcze bardziej rozmazany. Oddycham ciężko, zupełnie tak, jakbym przebiegł jakiś pierdolony maraton.

Odbiwszy się od umywalki, wplatom palce we włosy. Ciągnę z frustracją za ich końcówki, przeklinając w duchu dziwny stan, który ogarnął mnie jeszcze w samolocie. Czy to właśnie tak wygląda konfrontacja z myślą, że doskwiera ci samotność?

To nedorzeczne.

To nedorzeczne, bo przez dwa ostatnie lata myślałem, że zdołałem do niej przywyknąć.

Opadam z łoskotem na miękką pościel. Chcę zasnąć, ale zamiast spokoju nachodzi mnie fala niechcianych myśli. Przecieram dłońmi twarz. Nie wiem, ile mija. Może minuta, a może kilkanaście. Wiem natomiast, że dziwna pustka zżera mnie od środka i nie istnieje sposób, żebym był w stanie się jej pozbyć. Wstając gwałtownie, chwiję się lekko na nogach. Nie mam pojęcia, czy to zasługa whisky, czy tego, że po walce czuję się jak wrak. Zaciskam usta w cienką kreskę. Nie potrafię zdusić w sobie tej szczeniackiej potrzeby.

Potrzeby zobaczenia *jej*.

Drzwi frontowe trzaskają, gdy wychodzę z posiadłości. Zamknąwszy ją, ruszam powolnym krokiem w stronę wyjścia z posesji. Nie wiem, na co liczę. Nie wiem, czy w ogóle na coś liczę. Przesuwając wzrokiem po zalesionej przestrzeni, staram się odnaleźć w pamięci właściwy adres, który ujrzałem na dokumentach podczas podpisywaniu kontraktu związanego z feralną sesją zdjęciową. Nie mija kwadrans, a na zwiotczałych nogach docieram do metra.

Każdy miesiąc pali mnie żywym ogniem, kiedy po około dziesięciu minutach wysiadam na właściwej stacji. Oddech więźnie mi gdzieś w płucach, gdy docieram pod jej posiadłość. Serce łomocze w piersi jak pierdolony dzwon, ponieważ widzę, że palą się w niej światła. Skostniałą dłońią wciskam przycisk przy furtce.

I czekam jak ostatni debil, aż ktoś mi otworzy.

– Boże, jaki z ciebie dureń – znajomy głos roznosi się po ciemnym ogrodzie.

Nie mija minuta, a staje przede mną Mercy Stone. Mój talizman.

Moja pieprzona *łaska*.

– Dureń? Dlaczego nie romantyk? Pofatygowałem się tutaj o szóstej nad...

– Jeszcze parę godzin temu walczyłeś o mistrzostwo świata, a teraz stoisz przed moim domem jak gdyby nigdy nic, z rękami w kieszeniach i jakąś naiwną nadzieją na to, że ci otworzę. Tak zrobiłby jedynie dureń, Gabrielu. – Pierwszym, co widzę, gdy kobieta podchodzi bliżej furtki, jest jej blada twarz. Szybko pojawia się na niej dumny uśmiech i politowanie w najczystszej postaci. Unoszę zaczepnie brew.

Mercy wygląda, jakby właśnie skądś wróciła.

Ubrana jest... inaczej niż zwykle. Od kiedy, do diaska, zamiast szpilek nosi glany?

– Mam nadzieję, że chociaż mi kibicowałaś – mówię zaczepnie.

– Wygrałeś. Nie myśl, że to nie moja zasługa. Moje wsparcie przynosi ci farta. – Puszczą mi oczko, jednocześnie otwierając furtkę. Mozolnym krokiem wchodzę na obco prezentującą się posesję. Mercy rusza przed siebie w stronę dużej, jasnej rezydencji.

Zerkam na nią kątem oka. Matko, ona nawet nie zapytała, co ja tu robię. Głupio byłoby mi przyznać, że powoli znowu się od niej uzależniam. Uzależniam się od sposobu, w jaki patrzy na mnie spod kruczoczarnych rzęs. Od przeklętych oczu w kolorze pieprzonego malachitu, które iskrzą niebezpiecznym blaskiem za każdym razem, gdy jestem w pobliżu. Przepadam w jakiejś głupiej gorączce potrzeb związanych z kobietą, która nigdy nie była dla mnie odpowiednia.

Ale tym razem... Tym razem sam wmówię sobie, że Mercy Stone taka dla mnie jest.

Jest dla mnie odpowiednia.

– Gdzie byłaś całą noc? – pytam zaintrygowany.

– Tu i tam... – Wzrusza ramionami, krzyżując ręce pod biustem.

Wyprzedza mnie o parę metrów. Domyślam się, że to świadome zagranie. Takie, które sprawi, że nie będę mógł poznać po jej minie, czy kłamie, czy też jest ze mną absolutnie szczerą.

Mrużę podejrzliwie oczy.

Spuściwszy nieco wzrok, dostrzegam świstek papieru wystający z tylnej kieszeni jej spodni. Nagle po prostu sięgam po niego dłonią. Zanim zdąży zaoponować i wyrwać mi go z ręki, orientuję się, że miętolę między wytatuowanymi palcami... cholerny bilet na galę mistrzowską w Phoenix. Uśmiecham się delikatnie.

*Co za mała, wredna kłamczucha.*

– Myślę, że powinnaś pochwalić mi się, że byłaś w tak pięknym mieście jak Phoenix – rzucam kpiąco, gdy twarz Mercy wykrzywia grymas. Kobieta masuje dłonią kark, ale szybko się reflektuje.

Bierze ode mnie wejściówkę, odpowiadając mi niemrawo:

– Idź do diabła, Crade.

Z tymi słowami rusza szybkim krokiem w stronę posiadłości. Podążam za nią ślamazarnym krokiem, bo cóż, wciąż odczuwam cholerne skutki po pojedynku. Każdy ruch mięśni przychodzi mi z coraz to większym trudem, ale nie okazuję tego w żaden sposób. Zaciskam zęby, koncentrując uwagę na podrygujących mi przed nosem, ciemnych jak noc kosmykach włosów. Nieusatysfakcjonowana Stone wbiega do domu jak torpeda.

– Nie ma nic złego w tym, że nie wytrzymasz beze mnie jednego dnia – rzucam nonszalancko, rozglądając się mimochodem po jasnych wnętrzach rezydencji. Króluje w nich przede wszystkim biel. Chwilę zajmuje mi przyzwyczajenie się do jej przewagi.

– Po prostu spełniłam marzenie tego dzieciaka-niemowy, okej? – wypala cierpko.

Unoszę ręce w obronnym geście, odpowiadając ze spokojem:

– Tego, który chciał ci kupić pierścionek z brylantem?

– Nie mów, że widzisz w nim konkurencję. – Unosi lekko kącik ust, co szybko przemienia w powabny uśmiech.

Odwzajemniam gest, leniwym krokiem podchodząc do kobiety. Wplatom dłoń w jej długie jak diabli włosy. Miętolę je między palcami, napawając się tym, jak miękkie są w dotyku. Drugą rękę opieram o ścianę, stabilizując całe wciąż odrętwiałe ciało. Zielone oczy Mercy jaśnieją nagle. Zalewa je fala figlarnych iskier, podszyta najprawdziwszym podekscytowaniem. Przesuwam nosem wzdłuż jej rozgrzanego policzka.

Jej oddech łąduje na mojej twarzy, gdy mówię z powagą:

– Chyba widzę ją w każdym, kto chce cię dotknąć w sposób, w który tylko ja mogę to zrobić.

Mercy zadziera hardo brodę. Nasze usta spotykają się w połowie drogi. Całuję ją raptownie, zapalczywie, z pasją, której nie próbuję w sobie gasić. I dopiero jej bliskość zabija we mnie ten dziwny stan. Dopiero smak jej ust wypiera z mojej głowy wszelkie wątpliwości, pozwala odetchnąć pełną piersią, jest impulsem, dzięki któremu umiem odnaleźć w sobie spokój. Kładę dłonie na jej policzkach. Mój uścisk jest zaborczy, silny, ale połykając zdławiony jęk Mercy, nie zastanawiam się nad tym, czy powinienem go poluźnić.

Przypieram ją do ściany mocniej. Zupełnie tak, jakby miała zaraz rozpuścić się w powietrzu, a ja nie znałbym sposobu, jak ponownie poczuć, że jest obok mnie, prawdziwa, piękna i zmysłowa do przesady. Jej usta spijają z mojego umysłu każdą dozę niepewności, westchnienia zapisują się w głowie niczym piękna melodia, a słowa, które ta kobieta po chwili szepcze mi między wciąż rozchylone nieznacznie wargi, sprawiają, że na końcach moich nerwów eksploduje ta cholerna nostalgia:

– Zimno mi – mówi półszepem.

Jej ton to czysta sugestia podszyta prowokacją.

– Marzniesz? – Patrzę wprost w jej oczy, mając świadomość, że są moją zgubą.

Mercy kiwa powoli głową. Spragniony jej dotyku, złakniony jej obecności, zatracony w jej każdym wydaniu nie zastanawiam się dłużej. Zwinnym ruchem podnoszę jej zgrabne ciało, kładąc dłonie pod udami. Jest tak kurewsko zmysłowa, kiedy wciska paznokcie w moje barki i szepcze mi do ucha:

– Ten pretekst nigdy mi się nie znudzi. – Czuję, że się uśmiecha. – Musisz iść spać.

– Nie zasnę. Po takich ekscesach nigdy nie zasypiam.

Podążam w kierunku pomieszczenia, do którego drzwi są otwarte na oścież. Szybko orientuję się, że to jej sypialnia. Rzucam ją na łóżko, ale zanim sam zdążę na nią usiąść, ta mała bestia mnie do siebie przyciąga. Sama przyciska policzek do mojej piersi i pilnuje,

żeby nie wstał, przekładając rękę przez mój brzuch. Jej dotyk jest palący i tak cholernie absorbujący.

– Więc możesz powiedzieć mi, jak to jest być mistrzem świata – odpowiada.

– To tylko tytuł. Cieszę się, że sprostąłem oczekiwaniom Maysona, ale to wciąż... tylko tytuł – stwierdzam po chwili namysłu, opierając brodę na czubku jej głowy.

Wciąż trudno mi uwierzyć w to, że dotarliśmy do tego punktu, gdy swobodne leżenie w jednym łóżku po dwóch latach rozłąki nie jest dla nas choć w najmniejszym stopniu niekomfortowe. To szalone, jak bardzo potrzebuję mieć przy sobie tę pokręconą świruskę.

Odurzanie się jej bliskością to stan, którego nigdy nie będę miał dosyć.

– Jestem z ciebie tak dumna, że bardziej bym nie mogła. – Unosi wzrok na moje usta.

– Mów dalej. – Przesuwam kciukiem po jej policzku. – Nawet jeśli masz pleść głupoty.

– Och, czyżbyś nabawił się już innego poziomu tolerancji względem mojej osoby?

Jej uśmiech wyciąga ze mnie wachlarz pieprzonych emocji. Przełykam ślinę. Wręcz całym sobą czuję, jak moja grdyka nieostrożnie drży pod wpływem ciepłych ust zderzających się z moim napiętym gardłem. Mercy coraz śmielej przesuwa nimi pieśczołtliwie wzdłuż krtani, idąc w dół, aż dociera do obojczyków. Jest przy tym subtelna. Niemożliwie uwodzicielska. Jest moją wyśnioną muzą. Nigdy nie przestała nią być.

– Przekonaj się. – Odgarniam jej włosy za ucho. – Dam ci do tego tyle okazji, ile tylko będziesz chciała. – Patrzę na nią jak urzeczony.

Mercy wstrzymuje oddech, widzę to, gdy jej klatka piersiowa nie unosi się ani nie opada. Ciepłe powietrze nie smaga już mojej szyi. I jeśli ktoś jeszcze parę miesięcy temu powiedziałaby mi, że po mistrzostwach skończę tutaj, w łóżku kobiety, która kiedyś była dla mnie ważniejsza, niż rzeczywiście powinna być, zapewne roześmiałbym się w głos, nie wierząc w to, że nasze ścieżki jeszcze kiedyś się ze sobą splotą.

– Więc prześpij się. Nawet parę głupich godzin, a później cię gdzieś zabiorę. Tym razem gdzieś, gdzie nie będzie tłumów. – Jej głos rozbrzmiewa gdzieś obok mojego ucha.

Mrużę delikatnie oczy. *Co ona niby planuje?* W głowie pojawia mi się myśl, że musimy obmyślić jakąkolwiek taktykę na wypadek, gdyby ktoś nas nakrył. Im dłużej zastanawiam się nad planem Marie, tym bardziej się do niego przekonuję. Ustawka nie brzmi wcale tak okropnie.

Zwłaszcza wtedy, gdy ma uratować nam tyłki.

– To randka? – Unoszę zaczepnie brew.

– To nagroda za tytuł, który zdobyłeś. A teraz śpij.

Kładę wytatuowaną dłoń na jej krzyżu. Studiuję palcami każdy krąg jej kręgosłupa, popadając w przyjemny trans. Tej nocy nie słyszę skrzeku wron, tylko spokojne bicie serca kogoś, kim nasycenie się nigdy nie będzie dla mnie możliwe do urzeczywistnienia.

Budzi mnie dopiero siarczyste przekleństwo idące w parze z dziwnym trzaskiem. Zamiast ciężkich zasłon zwisających z mosiężnych karniszy dostrzegam biel ścian. Podniósłszy się do siadu, orientuję się, że w sypialni Mercy nie ma jej właścicielki. Rozkopuję nieostrożnie kołdrę, by po chwili wstać na równe nogi. Dopiero teraz czuję, jak odrętwiałe jest całe moje poobijane ciało. Nie zwracam jednak uwagi na znajomy dyskomfort. Ruszam przed siebie.

Przejsie do sąsiedniego pomieszczenia połączonego z sypialnią przypomina swoim kształtem łuk. Zdobienia, które się na nim znajdują, wyglądają, jakby były robione ręcznie. Przechodząc przez próg pokoju, dostrzegam siedzącą na niewielkim taborecie Mercy. I początkowo ciężko uwierzyć mi w to, że przed nią znajduje się ogromna, klasyczna harfa. Łatwiej mi z kolei uznać, że ta kobieta nie dość, że nie umie na niej grać, to jeszcze nie ma do niej cierpliwości. W jej dłoni widzę wyszarpaną strunę.

Kręcę głową z politowaniem.

– Kiedyś powiedziałem ci, żebyś odpuściła sobie tę farsę – wzdycham pobłaźliwie.

Mercy odwraca głowę. W jej spojrzeniu wyłapuję figlarną iskrę.

– A ja odpowiedziałam, że kiedyś zostanę wirtuozem. – Z tymi słowami wstaje na równe nogi, leniwym krokiem kierując się w moją stronę.

Opieram ramię o framugę, patrząc na swoją cholerną słabość. Mercy kołysze subtelnie biodrami, a długie, kruczoczarne włosy opadają swobodnie wzdłuż jej ramion, które zakrywa satynowy materiał białego szlafroka.

– To pobożne życzenie – stwierdzam, gdy kładzie smukłą dłoń na moim policzku.

– Jak spałeś? – Patrzy na mnie z dołu. Dopiero po chwili dociera do mnie, że jej oczy śledzą mapę moich zadrapań na twarzy. Odetchnąwszy głęboko, zakrywam dłonią jej rękę.

– W porządku. Muszę jechać do siebie po jakieś rzeczy i zadzwonić do Maysona.

– Nawet po mistrzostwach nie dadzą ci spokoju? – Twarz Mercy wykrzywia grymas.

– Wyprawiają jakąś imprezę w Inferno. Zamierzam się wykręcić.

Kącik jej ust unosi się nieznacznie w powabnym uśmiechu. Para zielonych oczu spogląda na mnie spod wachlarza czarnych rzęs, przyprawiając o znajome uczucie spokoju. Mocniej zaciskam dłoń na jej ręce, gładząc kciukiem aksamitną skórę. Czuję, jak jej palce zaczynają drżeć. Czuję nawet, jak spomiędzy jej warg wydostaje się przyśpieszony oddech.

Nigdy nie podejrzewałbym siebie o taką drobiazgowość.

– Gorzej, jeśli nie spodoba ci się miejsce, w które cię zabiorę. – Mercy unosi brew.

– Wtedy stwierdzę, że twoja kreatywność zeszła na psy. – Pstrykam ją delikatnie palcem w policzek, po czym odwracam się, by ruszyć w stronę właściwej sypialni.

Tam odnajduję na fotelu swoją bluzę i narzucam ją na ciało. Mercy ani na sekundę nie spuszcza ze mnie wzroku. Z jej twarzy z kolei nie znika ten niemrawy uśmiech, który jedynie mnie pobudza.

– Podrzucić cię? – pyta cwaniacko. – Bieganie powinieneś sobie dzisiaj odpuścić.

– Przejadę się metrem. Przy odrobinie szczęścia nikt mnie nie rozpozna – wypalam, mając szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie.

Nie na rękę byłoby mi rozdawanie autografów i robienie sobie zdjęć z fanami, gdy wyglądam gorzej niż beznadziejnie. Mierzwię dłonią włosy. Rozbudzenie się nie przychodzi mi z aż tak wielkim trudem, gdy pierwszym, co widzę po uchyleniu powiek, jest ta kobieta. Jej spojrzenie naprawdę potrafi działać na człowieka jak kubek pieprzonej, lodowatej wody.

Dopiero po chwili Mercy dodaje:

– Zadzwoń, jak będziesz gotowy.

W paru krokach podchodzi do mnie tylko po to, by cmoknąć mnie przelotnie w policzek. Patrząc na nią przez krótką chwilę. Po niecałej minucie odwracam się na pięcie, w milczeniu ruszając w kierunku drzwi frontowych. Zostawiam ją samą w pustej rezydencji.

Do własnej posiadłości docieram pół godziny później. Tyle samo zajmuje mi doprowadzenie się do względnego porządku. Opadam na sofę i wyciągam z kieszeni telefon. Doskonale wiem, że Mayson, organizując jakąś imprezę w Inferno, chciał w pewnym sensie uczcić moje zwycięstwo, ale prawda jest taka, że, cóż... nie oczekiwałem tego od niego. Nigdy tego nie robiłem. Po żadnej walce. A już szczególnie po walce takiej wagi.

– I jak? Udało ci się odsapnąć? – pyta już na wstępie Ethan, gdy odbiera po zaledwie dwóch sygnałach. – Ach, pewnie wciąż nie dotarło do ciebie to, co się wczoraj stało. Spokojnie, dzisiaj dobitnie wszyscy w Inferno uświadomią ci, że zostałeś cholernym mistrzem świata...

– Właściwie nie przyjadę do klubu – mówię wprost.

– Słucham? – W głosie Maysona pobrzmiwa zdezorientowanie. – Wszyscy są przekonani, że wpadniesz. Drużyna chce ci pogratulować, Marie zadbała o wystrój, a Bee nawet upiekła tort. – Na wzmiankę o córce mężczyzny krzywię się nieznacznie.

– Wciąż czuję się jak gówno. Dacie sobie beze mnie radę. – Przecieram twarz dłonią.

– Po gorszych walkach byłeś w stanie wykaraskać się w parę godzin – zauważa słusznie mój trener. – Spróbuj jeszcze zasnąć. Za parę dni czeka cię bilans, medycy z klubu sprawdzą, jak szybko możesz wrócić do treningów. Na razie odpoczywaj, a później bierz tyłek w troki.

– Mhm. – Prostuję nogi na stole. – Po prostu wyszalejcie się za mnie.

Nie koncentruję się na tyradzie Ethana Maysona. Usłyszawszy słowa pożegnania, kończę połączenie. Przez parę następnych minut czekam na odpowiedź Mercy. Kiedy ją dostaję, z leniwym ociąganiem podnoszę się do pionu i ruszam w stronę garażu, gdzie znajduje się samochód. Dotarcie pod znajomy adres zajmuje mi zaledwie kwadrans.

– Mogliśmy jechać moim – bąka kobieta, siedząc już na miejscu pasażera.

– Jesteś paskudnym kierowcą, więc nie łudź się, że kiedyś się na to zgodzę. – Posyłam jej znaczące łypnięcie, na co fuka na mnie urażona pod nosem. Krzyżując ręce pod biustem, zadziera hardo brodę i odwraca głowę w kierunku szyby, za którą widać jej posiadłość.

– Jezu, stałeś się taki upierdliwy – stwierdza po chwili namysłu.

– Po prostu nie dam sobie wejść na głowę, panno Stone. – Spoglądam na jezdnię.

– Przekonamy się – prycha pod nosem z myślą, że tego nie słyszę.

Uśmiecham się nieznacznie. Przystaję jednak tak szybko, jak orientuję się, że ta podstępna zołza majstruje przy radiu. Już po chwili udaje jej się podłączyć do niego swój telefon, a ja, cóż – jestem skazany, bo inaczej nazwać tego nie można – na prawdziwe katusze. Droga do miejsca, które wskazuje nawigacja, upływa mi na znoszeniu wycia kobiety.

– Więc... gdzie tak właściwie jesteśmy? – pytam, przekręcając kluczyk w stacyjce około dwadzieścia minut później. Mercy uśmiecha się szeroko, jakbym przynajmniej powiedział jej, że wygrała na loterii. Odpina pas, po czym zerka na mnie ukradkiem.

– Chodź. Mam ochotę się trochę z ciebie ponabijać.

Z tymi słowami wychodzi z samochodu. Ruszam jej śladem, a gdy staję przed niewielkim budynkiem, który znajduje się między rzędami kasyn, orientuję się, że ta świruska zabrała mnie do cholernego salonu gier.

– Zapomniałem, że masz słabość do automatów i innego gówna – stwierdzam zgryźliwie.

– A przypomniałeś sobie chociaż, jak dobra jestem w te klocki? –  
Puszcza mi oczko.

– Chyba musimy sprawdzić, kto jest w nie lepszy.

W moim głosie pobrzmiewa prawdziwa prowokacja. Wchodząc do budynku, orientuję się, że nie ma w nim absolutnie nikogo prócz jakiegoś faceta siedzącego na recepcji. Mercy zamienia z nim parę zdań, z których łatwo mogę wywnioskować, że wynajęła cały pieprzony lokal na parę godzin tylko po to, żebyśmy mieli go jedynie dla siebie.

Spoglądam na nią unosząc kącik ust.

– Dostałaś podwyżkę w UnderScore? – pytam kpiąco.

– Mhm. To nawet po części twoja zasługa. – Mercy rusza w stronę zaciemnioną sali. – Jakby nie patrzeć, wybijanie się na twojej popularności dostarcza mi wiele nowych zleceń, które przekładają się na ładne sumy. – Wzrusza swobodnie ramionami. – Gdzie idziemy najpierw?

– Raczej gdzie moje „dziękuję, skarbie”? – wypalam kąśliwie.

– Dobra, możemy się pościgać – decyduje Mercy, puszcżając mimo uszu moją uwagę.

Wkłada dłonie do kieszeni sztruksowej spódnicy, rozglądając się wokół. Na jej twarzy widzę perlisty uśmiech, a oczy iskrzą się naprawdę niebezpiecznym podekscytowaniem. Stukot jej obcasów jest jedynym dźwiękiem, który przerywa ciszę w pomieszczeniu. Omiatając je wzrokiem, dostrzegam znajdujący się w nim ogrom przeróżnych automatów i stołów do gry. Cała sala pozostaje rozświetlona neonami. Stanowią one kontrast dla spowijającego ją mroku.

– Wsiadasz czy nie? – pyta zniecierpliwiona Mercy, usadawiając tyłek na motocyklu.

– Tylko nie wczuj się za bardzo – rzucam z politowaniem, idąc w jej ślady.

Na ekranie dostrzegam, że mój sprzęt jest kompatybilny z maszyną Mercy.

– Wszystkie chwytaki dozwolone – stwierdza pośpiesznie, zanim odpala grę.

Gapię się na nią jak ostatni kretyn. Sposób, w jaki ta kobieta manewruje swoim ciałem, doprowadza mnie do obłądu. Dopiero po chwili, odzyskawszy rezon, koncentruję uwagę na wyścigu. Kładę dłonie po obu stronach cacka, a motocykl kołysze się na boki, gdy gonię widniejący na ekranie motocykl Mercy. Jej siarczyste przekleństwa są tym, co sprawia, że nie potrafię powstrzymać drwiącego uśmiechu, który pojawia się na mojej twarzy mimowolnie.

– To chyba jakieś jaja. – W jej głosie pobrzmiwa niedowierzanie.

– Vegas nie ma dla ciebie litości. To już druga porażka, Mercy.

Zwęzłam oczy, kiedy dociera do mnie, że tylko jeden zakręt dzieli mnie od utarcia nosa tej podstępnej bestii. Napieram mocniej na kierownicę, ale nie spodziewam się, że na ostatniej prostej zostanę wyprzedzony. Zanim zdążę zastanowić się, jak to się stało, odwróciwszy głowę w lewo, dostrzegam już niemal leżącą na sprzęcie, zmachaną jak diabli kobietę.

– Jezu, to było świetne – wykrztusza z siebie entuzjastycznie. – Hej, to dla ciebie Vegas nie ma litości, mięczaku. – Z tymi słowami zeskakuje na parkiet. Idę w jej ślady.

Moja duma, mimo tego, że otrzymała potężny cios, ma się jednak dobrze. *Przynajmniej na razie*, przechodzi mi przez myśl, gdy Mercy podchodzi do maszyn z otworem wmontowanym w sam środek tarczy i dwoma piłkami. Patrząc na ich ekran. Szybko orientuję się, że chodzi tu o to, kto zaliczy więcej trafień do dziury. Zagryzam policzek.

To nie może być aż tak ciężka konkurencja.

– Jak przegrasz, idziemy dzisiaj do kasyna – oznajmia dumnie Mercy.

– Wciąż uważasz się za mistrzynię pokera? – Unoszę zaczepnie brew, podczas gdy Mercy wciska biodra w barierkę, która oddziela ją od sprzętu. Przechyliła leniwie głowę w bok, posyłając mi naprawdę kurewsko wyzywający uśmiech, którego nie potrafię zignorować.

– Nigdy nie straciłam wprawy.

Kręcę głową z politowaniem. Ta kobieta naprawdę nie ma hamulców. Szybko okazuje się, że nie ma również wystarczająco dużo pokładów szczęścia. Moment, w którym dociera do niej, że

zarobiła mniej trafień podczas rozgrywki niż ja, jest dla mnie naprawdę satysfakcjonujący.

Prawie tak jak ten, w którym po kilkunastu minutach gry zmęczony siadam na obitej czarną skórą sofie, a uśmiechnięta mimo przegranej Mercy usadawia się na moich kolanach. Jej oczy jaśnieją za sprawą neonów przyczepionych do ciemnych ścian, gdy mówi:

– Ale ciebie straciłam o jeden raz za dużo.

# ROZDZIAŁ 10

## GABRIEL

Szum wiatru i skrzek, jaki wydają z siebie kruki, brzmią znajomo.

A jeszcze bardziej znajoma wydaje się wizja wygranej partii pokera z Ashem, który wciąż stara się sprawiać wrażenie zrelaksowanego jak diabli. Ten cwaniak ponownie wzdycha ciężko, wciskając plecy w oparcie ogrodowej sofy znajdującej się na balkonie wychodzącym z dachu posiadłości. Patrząc ukradkiem na kamienną balustradę, która została wyrzeźbiona w stylu korynckim. Za nią dostrzegam jedynie korony drzew targane przez wicher, a idąc wzrokiem dalej, gdzieś w oddali jestem w stanie wyłapać wcale nie tętniące życiem centrum miasta.

– Już? Męska decyzja, Price. Albo pasujesz, albo przebijasz – ponaglę go znudzony.

Ash łypie na mnie spode łba. Odkłada karty na stół, mówiąc przy tym:

– Teraz już rozumiem, dlaczego Mayson wspomniał kiedyś, że nie warto rzucać ci, do cholery, rękawicy. – Przeciera dłonią twarz. – Swoją drogą, gadałeś z nim od czasu imprezy, na której się nie zjawiałeś?

Unosi sugestywnie brew, kładąc dłoń na oparciu kanapy.

– Nie – odpowiadam krótko. – Dopiero wieczorem się z nim widzę.

Również odkładam swoje karty na stół. Ich różowy kolor kontrastuje z ciemną fakturą drewna. Sam wygodnie rozsiadam się na sofie. Przez głowę przechodzi mi myśl, że i tak długo odwlekałem wizytę w Inferno od czasu wygrania mistrzostw świata. Całe trzy dni, które spędziłem w rezydencji, wystarczyły, żebym poczuł ochotę na naparzenie w worek treningowy.

Zakasuję rękawy czarnej koszuli, spoglądając niezwruszony na Price'a.

– Pewnie da ci teraz trochę wolnego – stwierdza po chwili namysłu.

– Może parę dni. Na więcej bym nie liczył. – Wzruszam ramionami.

– No tak, trzeba „zachować pewną ciągłość, żeby nie spaść z piedestału” – cytuje Ash.

W jego głosie pobrzmiewa prawdziwa kpina, bo, cóż, słowa, które zdecydowanie zbyt często powtarzał nam Mayson od dnia, kiedy dołączyliśmy do Diabłów, zdążyły zapisać nam się w głowach naprawdę dobitnie tak gdzieś pomiędzy rozpoczęciem okresu przygotowawczego a jego zakończeniem. Dla Ethana liczył się rozgłos – nasze zaangażowanie w interesy Inferno i wystawianie życia do sfery publicznej mogło mu go zapewnić.

– Uwierz. Stąпам po nim twardo, Ash. – Przechyliam mozolnie głowę w bok.

– Nawet nie będę się spierał. Ostatnio jest o tobie kurewsko głośno. – Price kiwa głową w geście zgody. Po chwili mruży podejrzliwie oczy, wpatrując się zaciekle w moją twarz, na której mam minę niewyrażającą absolutnie niczego. – Swoją drogą, ugryzłeś to od dobrej strony. Ustawka z tą całą Stone brzmi opłacalnie, nawet jeśli musisz się zmuszać, by nie udusić jej gołymi rękami za ten irytujący charakter. Plus za kreatywność. Sam raczej nie wpadłbym na to, by pakować się w takie szambo – dokańcza mój rozmówca, sięgając dłonią po butelkę wody.

Udaje mi się zdusić w sobie pogardliwe prychnięcie. Kurwa, chyba naprawdę wszyscy w Inferno myślą, że z Mercy Stone łączy mnie jakaś cholerna, medialna farsa. W głowie udaje mi się odnaleźć słowa Marie. Podążam więc za jej radą i odpowiadam ze spokojem:

– Zwyczajnie mam głowę na karku. – Stukam palcami o podłokietnik kanapy.

– I nadzwyczajnie udało ci się przekabacić ją na swoją stronę – kwituje Ash.

– Podpisanie cyrografu brzmi bardziej kusząco, gdy namawia cię do tego cholerny Diabeł – rzucam kpiąco, nachylając się nad stołem.

Zaczynam zbierać różowe karty w jedną stertę. Ostatni raz je tasuję, po czym wrzucam do jaskrawego pudełka leżącego nieopodal. Jego widok już dawno przestał wprawiać mnie w stan dziwnej nostalgii.

– Słuszne słowa – potwierdza Ash, po czym spogląda na karty i dodaje: – Wieje od nich tandetą.

– Mówisz tak, bo przynoszą ci pecha, czy dlatego, że myślisz, że to mnie ruszy?

Unoszę leniwie brew, przesuwając palcami po odrobinę zniszczonej talii. Sam nie wiem, dlaczego lubię nimi grać. Wydają się po prostu... fartowne w sposób, jakiego nie umiem wytłumaczyć nawet przed samym sobą. Wypuszczam ze świstem powietrze, spoglądając na wyświetlacz telefonu. Widząc na nim godzinę czwartą, mrużę oczy.

Ash również patrzy na ekran urządzenia.

– Och, pierdolę tę twoją gadkę. Będę się zbierał. – Z tymi słowami podnosi się do pionu.

– Przegadałeś chociaż ze sztabem tę sesję, którą masz za parę dni? – pytam nagle.

Price zatrzymuje się w połowie drogi do drzwi balkonowych. Przez chwilę po prostu stoi nieruchomo w miejscu, jakby ktoś przyspawał mu nogi do pieprzonej, kamiennej posadzki. Przesuwam kciukiem wzdłuż linii szczęki. Wstając na równe nogi, wciskam talię kart do kieszeni.

– Chyba nie tylko ty odwiedzisz dzisiaj Inferno – wzdycha w końcu. – Zgarnąć cię?

– Nie – odpowiadam szybko. – Jestem umówiony z Maysonem dopiero za dwie godziny.

– Dam ci znać, jaki ma humor.

Ash klepie mnie po plecach, po czym znika za drzwiami prowadzącymi na strych. Wiatr mierzwi moje włosy, gdy jeszcze przez krótką chwilę stoję na tym przeklętym balkonie i wymyślam sposób, w jaki spożytkuję dwie godziny, po których powinienem stawić się w klubie.

I cóż. Ten sposób brzmi jak czysta głupota.

Przekonuję się o tym coraz dosadniej, gdy docieram pod adres niewielkiego lodowiska. Lodowiska, które należy do pieprzonego

UnderScore. Wysiadając z lexusa, rozglądam się po niemalże pustym parkingu. Szybko odnajduję na nim sportowego mercedesa. Jest zaparkowany tak krzywo, że naprawdę nie muszę zastanawiać się, kto za tym stoi.

Recepcjonistka nie pyta mnie o nic więcej prócz tego, do kogo przyszedłem. Bez problemu udaje mi się dotrzeć na niewielką halę, z której dobiegają nieco przytłumione głosy. Stojąc przy wejściu na taflę, opieram nonszalancko ramię o framugę drzwi i omiatam wzrokiem lodowisko. Zauważam na nim zmachaną Mercy Stone. Kręcę głową z pobłażaniem.

Może dlatego, że nagle pada jak długa na lód. A może dlatego, że długo się z niego nie zwleka, zapewne przeklinając w duchu fakt, że skok nie do końca wyszedł jej tak, jak powinien. Wzdycham kpiąco pod nosem, gdy kobieta przesuwając dłoń wzdłuż policzka, by zmieść sprzed twarzy ciemne jak smoła kosmyki włosów. Rozmawia z jakimś facetem, jak mniemam, ze swoim trenerem. Wygląda jak pieprzona bogini nawet wtedy, gdy po prostu podnosi się do kłeczek, a później na równe nogi.

Ponownie przymierza się do skoku. A ja znów popadam w jakiś beznadziejny trans.

– Co za odstępstwo od reguły – nieznamy głos rozbrzmiewa gdzieś za moimi plecami. – Po Vegas krążą pogłoski, że Diabły nie wyściubiają nosa z tej swojej obskurnej jaskini.

Odwracam głowę. Obco wyglądający facet spogląda na mnie z kpiną wymalowaną na twarzy. Założywszy ramiona na torsie, unoszę brew. Ten fagas chyba naprawdę ma mnie za kogoś równego sobie. To jego pierwszy błąd. Z niecierpliwością wyczekuję następnych.

– Jestem Ace. – Wyciąga w moją stronę dłoń. – Ace Crawford.

Kurwa. Jeśli to ten sam Ace, to właśnie moment, w którym zdradził mi swoje imię, jest jego największym pierdolonym błędem. Pozostaję opanowany. Moja mina nie zdradza absolutnie niczego, gdy podaję mu dłoń. Mój uścisk jest silny. Widzę po jego twarzy, że doskonale to wyczuwa. Krzywi się nieznacznie, ale szybko odzyskuje rezon.

– Chyba nie muszę się przedstawiać, skoro wiesz, kim jestem – kontruje.

*Kimś, kto cię, do kurwy nędzy, zastąpił, myślę ze złością.*

– Gwiazdeczką Maysona – rzuca drwiąco.

– Diabłem Vegas – poprawiam go.

Patrzę na niego z góry. Jest ode mnie niższy o parę centymetrów. Z całych sił staram się stłumić w sobie ochotę na obicie mu mordy. Ręka naprawdę zaczyna mnie świerzbic. Nie mam pewności, że to ten sam kutas, który zostawił Mercy dla Faye Withford, ale przecucie podpowiada mi, że taki zbieg okoliczności byłby zwyczajnie... mało prawdopodobny.

– No tak – odpowiada szyderczo. – Powiedz mi, na co ty właściwie liczysz, co?

Od razu orientuję się, że to musi być *on*. Jego głos szybko staje się jadowity. Przesiąknięty niewerbalnym ostrzeżeniem, które ignoruję. Uśmiecham się zajadle. Czy on naprawdę uważa, że uznam go za zagrożenie? To przykre, że ma mnie za głupca.

Jednym ciosem mógłbym sprawić, że nie zwlekłby się z posadzki.

– Chciałbyś, żebym odpowiedział: „na to, że usuniesz się z jej życia”. – Przechyliam leniwie głowę w bok, obserwując jego skupioną twarz. Robię krok w jego kierunku niczym drapieżnik podchodzący do spłoszonej zwierzyny. – Ale prawda jest taka... – Nachyliam się nad jego uchem, dbając o to, by mój ton pozbawił go tej jebanej brawury. – Że sam cię z niego usunę, jeśli będziesz próbował coś ugrać. Nie słynę z bycia litościwym, Crawford. A już zwłaszcza dla tchórza twojego pokroju. – Z tymi słowami odwracam się na pięcie.

Zamierzam odejść, ale wtem korytarz wypełnia jego bezpretensjonalny głos:

– Powiedziała ci – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Owszem, i mam ochotę ukreć ci ten jebany kark.

Zakładam dłonie na biodrach. Mina Crawforda pozostaje pokerowa.

– Z tego, co widzę, wynika, że bardziej masz ochotę pociągnąć ją na samo dno. – W jego głosie pobrzmiwa wręcz namacalne przekonanie. Zaciskam palce w pięści. Moje poobdzierane knykcie bieleją w ciągu jednej pierdolonej sekundy. – Spójrz, co robisz.

Rozpraszasz ją przed igrzyskami. Niby chcesz dla niej dobrze, ale powiedz mi, czy przegrana w nich ją uszczęśliwi?

Zaciskam szczękę. Napinam każdy mięsień. Ostudzenie w sobie chęci na wyrządzenie krzywdy temu fagasowi powoli staje się dla mnie czymś niemożliwym do urzeczywistnienia. Biorę głębszy oddech. Odwracam głowę przez ramię, żeby dostrzec uśmiechniętą od ucha do ucha Mercy Stone. Rozmawia z trenerem. Wygląda na zrelaksowaną. Zupełnie tak, jakby łyżwiarstwo było dla niej najważniejsze na całym cholernym świecie.

– Widzę, co robisz. Chcesz mieć ją dla siebie, ale spójrz na nią i pomyśl, jak wiele straci, jeśli będziesz się kręcił koło niej. Jak zacnie gubić rytm. Zapominać kroków. Mieszać kolejność elementów tylko dlatego, że nie mogłeś przestać bawić się w zakochanego cierpiętника. Spójrz na nią i wyobraź sobie dzień igrzysk. Zawód na jej twarzy. Rozczarowanie swoim występem. Spójrz na nią i przyznaj przed samym sobą, że to wszystko przez ciebie – dokańcza Ace ze spokojem, co najmniej jakby nauczył się już wcześniej tej formułki na pamięć.

Nie mrugam. Oddech więźnie mi gdzieś w płucach, gdy wciąż patrzę na Mercy. Kiedy wybija się w górę, wygląda tak cholernie lekko. Zupełnie jakby latała. Przez głowę przemyka mi myśl, że to ja miałbym podciąć jej skrzydła. Mocniej zaciskam palce. Dobrze wiem, że Crawford bawi się teraz w cholernego manipulatora, ale coś kotłuje się nagle w moim wnętrzu. To coś przypomina mi strach.

Strach przed tym, że mógłbym być dla tej kobiety pierdoloną kotwicą.

– Jakim cudem masz czelność posądzać mnie o to, że moja obecność ją zniszczy, skoro to przez twoją nieobecność stała się wrakiem, co?! – wypluwam słowa niczym najgorszą obrazę, chwytając tego sukinsyna za fraki. Nie panuję nad sobą, gdy dysząc ciężko, przygważdżam go do ściany. – Jesteś taki zabawny. Tak kurewsko zabawny, jeśli sądzisz, że odpuszczę...

– Egoista – wydycha, próbując się wyswobodzić.

– Myślisz, że uwierzę w te twoje dobre intencje? – Patrzę z furią w oczach na to, jak jego twarz czerwienieje. Zaciskam palce na jego gardle, wsłuchując się w jęki. – Jesteś świetnym krętaczem,

Crawford. Ale bądź świadom tego, że żadne kłamstwo nie sprawi, że będziesz blisko niej. Z chęcią pokażę ci, jak niebezpieczny jest tytuł, który posiadam. Zgotuję ci piekło. Jeszcze tylko jeden wybryk...

Puszczam go. Skóra na knykciach znowu zaczyna mnie szczypać. Rany mi się otwierają, ale nie zwracam na to uwagi. Patrzę beznamiętnym wzrokiem na Crawforda, który unosi nagle spojrzenie na moją lodowatą twarz. Jego wzrok jest nienawistny, kiedy odpowiada:

– Będziesz skomlał jak jebany pies, gdy w końcu uzna cię za zmarnowany czas.

– Najpierw zadbam o to, żeby miała do ciebie milion pieprzonych pretensji – rzucam na odchodne, po czym ruszam w kierunku wyjścia z budynku. Dobrze wiem, że czeka mnie rozmowa z Mercy. I dobrze wiem, że zanim do niej dojdzie, muszę pogadać z kimś, kto pozbawi mnie wszystkich pokładów agresji. A najlepiej zrobi to Ethan Mayson.

Droga do Inferno zdaje mi się trwać w nieskończoność. Kiedy docieram do klubu, wciąż nie mogę wygonić z umysłu widoku parszywej gęby Crawforda, ale przynajmniej mogę spojrzeć na tę farsę na chłodno. To mało prawdopodobne, by za jego powrotem nie stała jakaś, paskudna intencja.

Mercy nie jest głupia. Z pewnością sama już do tego doszła.

Korytarze klubu są praktycznie puste, gdy przemierzam je szybkim krokiem. Wyciągam z kieszeni spodni telefon, czując jego wibracje. Wiadomość od Asha, który sprzedaje mi w niej cenną informację o dobrym nastroju Maysona, mogę uznać za przydatną. Wystukuję na ekranie odpowiedź, ale zanim zdążę ją wysłać, wpadam na kogoś o drobnej posturze.

– Nie było cię, kiedy świętowaliśmy twój sukces na mistrzostwach... – świergocze Beatrice Mayson, zanim kładzie dłoń na mojej piersi.

Twarz wykrzywia mi się w grymasie, gdy odsuwam się nieznacznie. Jezu, tyle razy wałkowaliśmy ten temat, a ona wciąż jest święcie przekonana, że poddam się jej flirciarskim sztuczkom.

– Odsypiałem tamtą noc – odpowiadam bez cienia emocji.

– Och, to zrozumiałe. – Ciemne oczy świdrują mnie wręcz nachalnie. – Tyle że... sędzę, że mogłeś poprosić o pomoc mnie. Z przyjemnością pomogłabym ci się zrelaksować – mówi półszepem, a jej głos rozbrzmiewa gdzieś obok mojego ucha. Sposób, w jaki sunie dłonią wzdłuż mojego bicepsa, sprawia, że mimowolnie napinam mięśnie.

– Dzięki, ale pogawędki z twoją mamą relaksują mnie wystarczająco – bąkam na odchodne, po czym strącam jej dłoń. – Pozdrów Marie. – Z tymi słowami ruszam w kierunku gabinetu Maysona, zanim ta mała kokietka zdąży mnie dorwać. Chryste, Marie i Ethan są naprawdę w porządku i chyba tylko dlatego nie chcę dokładać im problemów.

Ale chyba w pewnym momencie będę musiał.

– O, jesteś wreszcie. – Mój trener wstaje na równe nogi, gdy wchodzę do właściwego pomieszczenia. – Minęło parę dni i wyglądasz, jakbyś wrócił do żywych. To dobry znak – stwierdza po chwili, gdy zasiadam wygodnie na sofie obitej czerwoną skórą.

– To znak, że mogę już wrócić do ćwiczeń – odpowiadam ze spokojem.

– No, tak. Niedługo będę mógł powiedzieć strażnikowi, żeby wpuszczał cię tutaj w godzinach treningu... – wzdycha mężczyzna. – Ale zanim pójdziesz do sztabu fizjoterapeutów, którzy rzeczywiście ocenią, czy nadajesz się do tego, żeby wrócić do nas tak szybko, odpowiedz mi na parę kluczowych pytań, Gabrielu.

Z miną, która nie wyraża absolutnie niczego, wpatruję się w Maysona, który ponownie siada na swoim miejscu przy biurku. Jego oczy skanują mnie ze spokojem. Nie mam bladego pojęcia, czego może dotyczyć ten szereg pytań, ale to nic, czym powinienem się przejmować. Wiem, że zagrzałem tyłek w Inferno na długo. I że Ethan będzie chciał, żebym zagrzewał go tutaj tak długo, jak to tylko możliwe.

– Więc słucham.

– Marie powiedziała mi o twoim pakcie z tą całą Mercy Stone – obwieszcza nagle.

Nie pozwalam, by na mojej twarzy odbiła się chociaż jedna emocja, kiedy odpowiadam:

– Mhm. Nie konsultowałem tego z tobą, bo to świeży temat.

Gdy parę dni temu w salonie gier przedyskutowałem go z Mercy, ta przyznała, że to wcale nie jest głupi pomysł. Zwyczajnie... przyniosłoby nam trochę więcej rozgłosu, a przy okazji chronił nam tyłki. Ale o tej drugiej kwestii nie musiał wiedzieć absolutnie nikt prócz nas.

– To w pewnym sensie temat, który może okazać się lukratywny dla was obojga. – Mężczyzna pociera dłonią linię szczęki w geście zastanowienia. – Ale miej z tyłu głowy myśl, że powinieneś być ostrożny. Nie zafiksuj się za bardzo.

Między wierszami jego odpowiedzi słyszę niewerbalne „nie zakochuj się w niej”.

A ja nie jestem pewny, czy nie zrobiłem tego już dwa lata temu.

Do posiadłości wracam parę godzin później. I naprawdę nie spodziewam się ujrzeć przed swoim pojazdem sportowego mercedesa, a co ważniejsze – opartej o jego karoserię Mercy Stone. Otworzywszy bramę, czekam, aż wjedzie na posesję pierwsza. Dopiero gdy to robi, ruszam powoli za czarnym cackiem. Zatrzymuję się tuż za nim.

– Długo kazałeś na siebie czekać – stwierdza Mercy, wysiadając z pojazdu.

– Nie pisałaś, że wpadniesz. – Ruszam mozolnym krokiem w kierunku drzwi.

Sam nie wiem, dlaczego jestem na nią cięty. Nie mogę mieć do niej pretensji o to, że nie zdradza mi każdego niuansu ze swojego życia. W końcu wciąż jesteśmy niepewnym gruntem, czymś, czego nie można zdefiniować. A jednak widok tego skurwiela uderzył we mnie jak pieprzony grom. Sprawił, że w mojej głowie narodziły się naprawdę czarne scenariusze.

Instynktownie zaciskam palce na materiale kurtki, którą trzymam w dłoni. Nie potrafię ostudzić tych pokładów gniewu, które w sobie noszę. Mój wybuch to jedynie kwestia czasu. Będąc już w kuchni, chwytam za butelkę z wodą. Upijam duży łyk z nadzieją, że uda mi się odnaleźć w sobie jakiś beznadziejny załączek spokoju.

– Tak samo jak ty nie wspomniałeś słowem, że wpadniesz na lodowisko.

Odwracam głowę. Dziewczyna stoi z założonymi rękami na korytarzu i patrzy na mnie wzrokiem, który podpowiada, że ta nie ma zamiaru ustąpić. Opieram wyprostowane ręce na wyspie kuchennej. Nie spuszczam z Mercy wzroku. A ona nie ugina się pod ciężarem mojego spojrzenia, nawet jeśli wlewam w nie kurewsko dużo nieustępliwości.

– Zamierzasz się licytować? – Unoszę wyzywająco brew.

Znowu oczami wyobraźni widzę parszywą gębę Crawforda. Odbijam się od blatu. Moje mięśnie pozostają napięte, gdy leniwym krokiem podchodzę do kobiety. Zwężam mimowolnie oczy. Ciężkie kroki, które stawiam w powolnym jak diabli tempie, wypierają ciszę, jaka panuje w rezydencji. A Mercy Stone po raz pierwszy cofa się o krok. Prawie potyka się o próg salonu, gdy zbliżam się do niej jak jebana bestia. Jakbym chciał wymusić na niej uległość, której wiem, że i tak nie uda mi się osiągnąć.

– Bo tak się składa, że jest coś, co powinnaś mi powiedzieć już wcześniej, kochanie.

Z tymi słowami staję tuż przed nią. Chwytam jej podbródek w dłoń tak, że nie ma już drogi ucieczki od mojego spojrzenia. Jej oddech odbija się od mojej skóry, w jej oczach majaczą dziwne iskry, a wyraz twarzy pozostaje absolutnie niewzruszony. To Mercy Stone.

Moja łaska przybierająca milion wcieleń.

– Zaczepił cię... – wykrztusza z siebie, na co uśmiecham się lekko.

Jednym ruchem bioder przygważdżam ją do krawędzi podłużnego stołu. Przywieram do niej tak raptownie, że wyrywam z jej piersi zduszone westchnienie. Przesuwam palcami wzdłuż kręgow jej kręgosłupa, aż w końcu chwytam w dłoń ciemny pukiel włosów.

– Zaczepił – potwierdzam, przyciskając usta do najczulszego punktu na jej szyi.

W odwecie czuję, jak długie paznokcie pozostają wciśnięte w moją szyję. Zupełnie tak, jakby chciały pozbawić ją czarnego tuszu. Puszczam jej podbródek. Zamiast niego zamykam w żelaznym uścisku jej przeguby, by zabrać jej szansę na to, by mnie dotknęła.

Doskonale wiem, że nie cierpi czuć się od kogoś zależna. Ale teraz mnie to nie rusza.

– I stwierdził, że powinienem cię sobie odpuścić. – Przejeżdżam dłonią wzdłuż jej ramienia, jednym ruchem zsuwając z niego ramiączko sukienki, a później czarnego stanika.

Mój oddech spotyka się z jej nagą skórą, sprawia, że w zatrważająco szybkim tempie ogarnia ją gęsia skórka. Przytykam usta do barku. Sunę nimi przez obojczyk, aż do krtani kobiety.

Nie uśmiecham się. Pozostaję poważny, leniwym ruchem zsuwając z niej kieckę. Władza, którą posiadam, smakuje jak pieprzone zwycięstwo. Mercy szarpie się lekko, jakby nie mogła tego znieść. Jakby nie mogła znieść myśli, że to nie ona jest na moim miejscu. Dociskam ją jeszcze mocniej do krawędzi stołu, wymuszając jej przeciągły jęk.

– Nie posłuchasz go... – wykrztusza z siebie.

Policzki jej pąsowieją, a dolna warga drży, gdy rozchyłam usta i mówię:

– Nie powiedziałaś mi o tym, że wrócił.

W moim głosie pobrzmiwa surowość. Całkowicie rozbieram Mercy z sukienki. I kiedy stoi przede mną w żelaznym uścisku, całkowicie naga i piękna jak bogini, naprawdę zaczynam zastanawiać się, jak wiele musiałbym odnaleźć w sobie samodyscypliny, by stwierdzić, że ją sobie odpuszczam.

– Próbowałam najpierw sama to przetrwać.

Jej spojrzenie jest zamglone.

– Po prostu zaprzecz, jeśli zapytam, czy uważasz go za niezamknięty rozdział. – Zaciskam palce na linii jej szczęki. Pełne usta jej dygoczą, kiedy przesuwam po ich dolnej wardze kciukiem. Mercy mruga powoli powiekami, aż w końcu wzdycha nieśpiesznie:

– Dlaczego pytasz, skoro to ty zamknęłaś go nieodwracalnie dwa lata temu?

Kładę obie dłonie na jej policzkach. Wmuszam w jej usta krótki pocałunek, ale zanim Mercy zdąży go pogłębić, odsuwam się od niej nieznacznie tylko po to, by krótkim szarpnięciem obrócić ją do siebie tyłem. Z jej ust wypada nieostrożne sapnięcie, gdy jest zmuszona oprzeć przedramiona na twardej powierzchni stołu.

– Bo chciałem upewnić się, że zrobiłem to porządnie – mówię ze spokojem, uprzednio nachylając się nad jej ciałem. Odgarniam jej ciemne jak smoła włosy do przodu, tym samym uzyskując dostęp do jej odkrytego ramienia. Całuję je przelotnie, wciąż napierając na nią zaborczo biodrami. Sposób, w jaki cofa swoje i ociera się o moją męskość, sprawia, że zaczynam rozumieć, co to znaczy postradać w jednej cholernej sekundzie wszystkie zmysły.

– Nie wymagaj ode mnie czułości. – W moim głosie pobrzmiwa prośba.

– Nie chcę... – odpowiada po chwili. – Nie oferuj mi jej.

Śledzę palcami każdą pojedynczą część jej kręgosłupa. Robię to mozolnie, ale po chwili przytomnieję. Napierając przedzierającą się przez spodnie erekcją na jej pośladki, słyszę, jak z pełnych ust Mercy wypada niemal bezdźwięczne tchnienie. Z nieprzeniknioną miną przesuwam kciukiem wzdłuż niewielkich wgłębień nad jej tyłkiem.

Dźwięk sprzączki od paska moich spodni spotykającej się z podłogą konfrontuje mnie z dziką falą pobudzenia. Pozostając zupełnie nagi, po raz ostatni przesuwam dłonią wzdłuż łopatk kobiety, jej pleców, aż w końcu docieram do smukłej talii, którą zamykam w bezkompromisowym uścisku. Już przy pierwszym pchnięciu wypełniam ją całą swoją długością. Pchając biodra do tyłu, a potem do przodu, wsłuchuję się w skomlenie, które wydostaje się z piersi kobiety.

Jej ciało porusza się w rytmie determinowanym moimi ruchami, a nogi drżą w sposób, który pochłania mnie bez reszty. Poruszam się w niej szybko, coraz bardziej gorączkowo i wręcz maniakalnie. Odgłos jej prześlizgujących się wzdłuż twardego stołu przedramion uzmysławia mi, że zapewne nabawi się otarć. Opieram wyprostowane ręce na krawędziach mebla, nachylając się nad nieruchomym ciałem i nie przestając wsuwać się w nią coraz impulsywniej i niecierpliwiej.

Widok jej napiętych mięśni i zasłony włosów podrygujących w powietrzu sprawia, że oddech na moment więźnie mi gdzieś w płucach. Każda sekunda, w trakcie której góruję nad nią, wypełniam ją aż do końca swoim rozmiarem, działa na mnie jak czerwona płachta na rozwścieżonego byka. Zdławione sapnięcia

kobiety wypierają z mojego umysłu każdy pojedynczy czarny scenariusz, który powstał przez pojawienie się Crawforda. Koncentruję uwagę tylko i wyłącznie na świadomości, że ta kobieta jest ze mną, jest moja, jest tą, którą zawsze potrzebowałem przy sobie.

Kolejnymi pchnięciami wyrywam z jej piersi następne westchnienia. Śmielej zaciskam palce na solidnym stole, wciąż niwelując między nami jakikolwiek dystans. Pod skórą czuję jedynie wrzenie własnej krwi, kiedy kształtne biodra ocierają się o moje. Delikatność to słowo, które wyganiem z zamroczonego umysłu. Stawiam na usatysfakcjonowanie tkwiącej pode mną kobiety, usatysfakcjonowanie samego siebie kojącym wysiłkiem. Wyzwalam z siebie dziwne zdziczenie, odnajduję rytm, dając ujście własnej niepoprawnej żądzy posiadania tej kobiety tylko dla siebie. Każdy mój pieprzony nerw jest wypełniony znajomym napięciem, kiedy przywieram do niej mocniej, zapalczywiej, raptowniej. Nawet czując, że szczytuje, nie zastygam w bezruchu.

W głowie zaraz obok chaosu, który sieje w niej obecność Mercy Stone, krystalizuje mi się jedna myśl: dla tej kobiety straciłem głowę. Nigdy nie zatraciłem się w nikim tak nagle i niespodziewanie. A potem los skonfrontował mnie z nią.

Z moją cholerną łaską.

# ROZDZIAŁ 11

Siedziba UnderScore w Las Vegas jest dzisiaj opustoszała.

Szczelniej opatulam się materiałem futra, pokonując kolejne stopnie schodów. Spoglądając mimochodem na widoki malujące się za oknem, na myśl nasuwa mi się jeden jedyny wniosek: koniec listopada w tym roku jest wyjątkowo nieznośny. Porywiste wichury to już codzienność, do której zdołałam przywyknąć przez minione tygodnie. Ba, zdołałam w tym czasie przyzwyczaić się nawet do zwykłego funkcjonowania w stolicy hazardu, ale za nic nie mogłam przeboleć uzasadnionej awersji do kogoś tak irytującego jak pieprzony Ace Crawford.

Mijając go na korytarzu, nawet nie patrzę w jego stronę. Na moje nieszczęście mężczyzna zatrzymuje się w pół kroku, tym samym uniemożliwiając mi dotarcie do gabinetu Caleba Wrighta. Przechyliłam leniwie głowę w bok, wzdychając ciężko.

– Serio? – odzywam się z pretensją. – Jesteś asystentem Caleba, nie moim, więc tak na dobrą sprawę nawet nie musimy ze sobą rozmawiać. Skup się na tym, żeby odciążyć go od obowiązków, a nie na zaprzątaniu mi głowy jakimiś bzdurnymi gadkami.

Zakładam ręce pod biustem, spoglądając na mężczyznę z jawnym wyrzutem. On natomiast niewiele sobie z tego faktu robi, gdy przestępuje z nogi na nogę, posyłając mi delikatny uśmiech, którego ani mi się śni odwzajemniać.

– Sądzę, że powinniśmy gdzieś wyskoczyć i... – zaczyna, ale ucinam jego wypowiedź zwykłym, pogardliwym prychnięciem.

*Chryste, co za pajac, myślę wzburzona.*

– Naprawdę ludzisz się, że jeszcze kiedykolwiek będę chciała mieć z tobą do czynienia? – Kręcę głową z jawnym pobłażaniem, wydymając fałszywie cnotliwie dolną wargę. – Matko, czy ty masz na oczach jakieś przekłete klapki? Nie wiem, co robisz w UnderScore. Nie wiem, jak się tutaj znalazłeś. Ale mam nadzieję, że szybko się

zorientujesz, jak bardzo nie chcę, żebyś podchodził do mnie nawet na pieprzony metr i proponował Bóg wie co i w jakim celu. – Z tymi słowami chcę odejść, ale Crawford zagradza mi drogę.

– Chcesz wiedzieć, jaki mam cel? – Mężczyzna zniża ton.

Wzdycha powoli. Znam ten rodzaj manipulacji głosem, który stosuje Ace. Znam go, ponieważ tak wiele razy potrafił za jego pomocą rozpalić mnie do czerwoności, wzbudzić współczucie czy wyperswadować z głowy resztki zdrowego rozsądku. Był wybitnym kłamcą, paskudnym kombinatorem i moją zgubą.

Był... pomyłką.

– Nie chcę... – odpowiadam pośpiesznie. – Nie chcę tego wiedzieć.

– Ale ja chcę. – Omiata wzrokiem moją niewzruszoną twarz. – Chcę cię z powrotem.

Przemykam powieki. Z chwilą, w której je uchylam, Ace wciąż na mnie patrzy. Jego spojrzenie jest natarczywe i tak kurewsko nieustępliwe. Od tego mężczyzny bije najprawdziwsza determinacja. Każdy nerw w moim ciele przesiąka dziwnym niepokojem. Świadomość tego, że w słowniku stojącego przede mną faceta nie istnieje taki wyraz jak *rezygnacja*, sprawia, że narasta we mnie prawdziwy popłoch, którego nie umiem poskromić. Nie potrafię czuć się spokojna, gdy ten mężczyzna wciąż mnie osacza.

Jego intencje są zagadką, której nie mogę rozwikłać.

– Możesz wrócić do Faye – cedzę przez zaciśnięte zęby, próbując go ominąć.

Ponownie moja próba kończy się pieprzonym fiaskiem. Wywracam teatralnie oczami, mocniej wciskając szpilki w posadzkę. Korytarz, na którym stoimy, jest opustoszały. Nie szwenda się po nim żadna żywa dusza, co jedynie wzmacnia we mnie dziwny niepokój.

– To miał być tylko niewinny dowcip... – broni się Crawford.

W jego szarych jak gęsta mgła oczach wyłapuję politowanie. Zaciskam szczękę.

– Wiesz, co właśnie wyprawiasz? – bąkam znudzona, zadzierając nos. – Upadłasz się, Ace.

– To takie urocze, Mer. To, że masz w sobie tyle uporu i żyjesz z tym naiwnym przeświadczeniem, że nie żywisz już do mnie

absolutnie żadnych uczuć, nawet zwykłych, głupich sentymentów. – Jego dłoń łąduje nagle na moim policzku, zanim zdążę chwycić ją w locie.

Wzdrygam się, jakby ktoś potraktował mnie paralizatorem. Ten dotyk jest wstrętny. I, co gorsza, jego obrzydliwy wydźwięk sprawia, że moje demony budzą się niespodziewanie ze snu. Wytrzeszczam oczy. Oddech na moment więźnie mi w płucach, kiedy robiąc krok do tyłu, zataczam się lekko, nieświadoma tego, że mięśnie nóg nagle zdążyły mi zwiotczeć.

– Dołożę wszelkich starań, żebyś wyleciał – wypluwam słowa niczym obelgę, po czym ruszam przed siebie, ignorując to palące uczucie rozchodzące się po ciele z każdym coraz mocniejszym uderzeniem kołatającego serca. Czuję, jakby miało mi ono zaraz wybuchnąć. Jakby powrót faceta, który wziął je sobie jako pierwszy, obudził uśpione w nim koszmary.

Mrugam pośpiesznie powiekami. Uspokojenie przyspieszonego oddechu przychodzi mi z małym trudem, ale wchodząc do gabinetu Caleba, wyglądam jak pieprzona bryła lodu. Z beznamiętną miną, hardo zadartą brodą i opanowaniem czającym się w oczach spoglądam w stronę Wrighta, który posyła mi lekki, niewymuszony uśmiech. Siłę się na odwzajemnienie go.

– Pewnie minęłaś Ace’a – wzdycha mężczyzna. – Opowiadał mi o tym, że po godzinach jest pilotem, uwierzysz? To musi być wspaniała praca, a już zwłaszcza w Vegas. Wyobraź sobie te wszystkie neony i światła widoczne z góry... – W jego głosie słychać rozmarzenie.

– Ta. – Przysiadam na stole, chwytając za leżące na nim dokumenty.

– Jesienna chandra dopadła cię z opóźnieniem? – pyta z przekąsem Caleb.

Wzruszam niedbale ramionami.

– To ta nowa propozycja od domu mody? – zmieniam temat, spoglądając na menadżera, który zakasuje rękawy nieskazitelnie białej koszuli. Kiwa głową, tym samym udzielając mi niewerbalnej odpowiedzi. Mrużę oczy w zastanowieniu, po czym dodaję: – Wow, w końcu coś godnego zachodu. Reklamuję ich nową linię biżuterii.

– I masz nawet pomagiera – zauważa Wright.

Zakładam nogę na nogę, wygładzając materiał czarnej kiecki.

*Co, u licha?*, dziwię się.

Omiatam wzrokiem wstępną propozycję domu mody. I zjeżdżając spojrzeniem odrobinę niżej, orientuję się, że drugą twarzą kampanii jest nie kto inny jak mój ulubiony bokser z Inferno. Moja twarz pozostaje absolutnie beznamiętna.

Dopiero po chwili łypię ukradkiem na Caleba.

– Och – wykrztuszam z siebie. – Mój facet – ironizuję.

– No tak. Nie wiem, kiedy umknął mi moment zawarcia twojego układu ze sławnym Gabrielem Crade'em. – Mężczyzna wciska dłonie do kieszeni czarnych, garniturowych spodni. – To był pomysł Maysona, czy wasz? – dopytuje, unosząc wyzywająco brew.

– Czy to istotne? – Przechyliłam mozolnie głowę w bok. – Mam niewiele czasu, więc lepiej powiedz mi, co z igrzyskami. Podobno masz jakieś wieści. – Odłożywszy papiery na stół, kładę wyprostowane ręce za plecami na powierzchni solidnego stołu.

Caleb kiwa głową. Już po chwili sprzedaje mi cenne informacje.

Kiedy docieram do restauracji, którą prowadzi Eleanor Powell, jest już południe. Ostatni raz zaciągam się rześkim powietrzem, zanim wchodzę do luksusowego budynku. Już od progu wita mnie zapach orientalnych przypraw oraz widok niewielu zajętych stolików. Wetknąwszy dłonie do kieszeni futra, kieruję się w stronę baru, przy którym zasiada mama Pearly. Kobieta unosi delikatnie głowę i prawie od razu napotyka moje spojrzenie.

– O, Mercy. Rzeczywiście szybko śmigasz po ulicach Vegas.

Siadam na wysokim krześle, posyłając jej cwany uśmiech.

– Podobno masz dla mnie sprawę niecierpiącą zwłoki – rzucam swobodnie, opierając łokcie na twardej powierzchni blatu. Eleanor odkłada na bok laptopa i stertę dokumentów, po czym siada naprzeciwko mnie. Jej wzrok nie jest natarczywy, raczej nazwałabym go czujnym.

– Na początku chciałabym ci podziękować. Elliot był wniebowzięty, gdy wrócił z Phoenix – zaczyna dźwięcznie kobieta. –

Markowi coś wypadło, ja musiałam być tutaj, więc gdyby nie ty, prawdopodobnie obraziłby się na nas i na cały świat.

Macham lekceważąco ręką w powietrzu.

– Ja też się świetnie bawiłam. To nie była wcale katorga. – W moim głosie pobrzmiwa szczerłość. Na myśl o mistrzostwach świata czuję przebiegającą wzdłuż kręgosłupa falę dreszczy. Och, szlag. Z chęcią wybrałabym się na nie ponownie. Lubię nietuzinkowe atrakcje.

Kącik ust Eleanor porusza się, ale nie dociekam genezy jej uśmiechu. Zamiast tego unoszę zaczepnie brew, gdy widzę, że jej wzrok raz pada na moją twarz, a raz na salę, której nie jestem w stanie dostrzec przez to, że siedzę odwrócona do niej plecami. Moja rozmówczyni zaczesuje za ucho kosmyk włosów w kolorze miedzi, mówiąc przy tym zwykle:

– W końcu lubisz sport – stwierdza po chwili namysłu. – Ale dobra, konkrety. Pewnie jesteś strasznie zabiegana, a nie chcę zabierać ci więcej czasu, gdy mogłabyś spędzić go na lodowisku albo ze swoim lubym. – Mruga do mnie porozumiewawczo, na co omal nie zachłystuję się powietrzem.

*Ze swoim lubym*, powtarzam w myślach.

To brzmi naprawdę... dziwnie. Może nawet odrobinę irracjonalnie. Nie mogę jednak nic poradzić na fakt, że fala ciepła eksploduje gdzieś w moim podbrzuszu. Nigdy nie wyobrażałam sobie, jak przyjemnie byłoby nazywać Gabriela swoim. Nie na pokaz, nie dlatego, by zaspokoić naszych fanów, a po to, żebym miała świadomość tego, że to się dzieje naprawdę.

Opieram brodę na zgiętej w łokciu ręce, odpowiadając Eleanor:

– Więc słucham.

Patrzę na nią ze spokojem wymalowanym na twarzy.

– Zbliżają się święta... Może chciałabyś spędzić je z nami, Mercy?  
– pyta nagle kobieta.

Dokładam wszelkich starań, by na mojej twarzy nie pojawił się nawet cholerny załazek grymasu. Pytanie mamy Pearly wytrąca mnie z równowagi. Och, cholera. Nie cierpię świąt. Może dlatego, że od śmierci taty przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. A może dlatego, że od śmierci mamy nie miałam z kim ich spędzać...

Cóż. Zazwyczaj w dniu, w którym wszyscy gloryfikowali święta, ja zaszywałam się w czterech ścianach ze świadomością, że tak po prostu musiało być. Musiałam liczyć jedynie na siebie.

Dopiero po chwili, odzyskawszy rezon, odpowiadam:

– Dziękuję, ale odmówię. Mam już plany, El. – Siłę się na przepraszający uśmiech.

– Och, jasne... – Entuzjazm kobiety nieco gaśnie. – Pewnie wybierzesz się do przyszłych teściów, co? – Pani Powell mruga do mnie porozumiewawczo, a palące uczucie dziwnego zażenowania przedziera się nagle przez każdą komórkę mojego ciała.

*Teściów?*, bąkam w duchu. *Rodziców Gabriela? O Boże.*

– Tak – odpowiadam bez wahania. – Mieszkają w Henderson, obok Vegas.

Nawet się nie jąkam, gdy kłamię jak z nut. Gdzieś w odmętach podświadomości odnajduję wspomnienie tego, jak Gabriel mówił mi kiedyś, że jego rodzice mieszkają właśnie w Henderson. Z uwagą obserwuję twarz Eleanor.

– To tylko jeden dzień, będzie dobrze – pociesza mnie.

Kiwam głową. Zgarnąwszy z blatu torebkę, rzucam w stronę kobiety krótkie:

– Będę już lecieć.

– Na razie, Mercy. Wpadaj tutaj, kiedy chcesz.

Odwracam głowę, by ruszyć żwawym krokiem w stronę wyjścia z restauracji. Nie spodziewam się jednak wpaść z impetem na czyjąś twardą klatkę piersiową. Odruchowo zaciskam dłoń na łańcuszku torebki. Każdy mięsień w moim ciele mimowolnie napina się, gdy unosząc leniwie wzrok, a później ostrożnie przesuwając nim wzdłuż rzędu czarnych guzików przyczepionych do tego samego koloru koszuli, orientuję się, że ugrzęzłam w naprawdę głębokim bagnie. Grafitowe oczy skanują mnie z niezachwianym spokojem.

I gdyby nie fakt, że Gabriel Crade nie jest sam, czułabym się naprawdę swobodnie.

– Zaplanowaliście to? – Nieznajomy głos rozplywa się gdzieś w powietrzu.

Słysząc w nim przede wszystkim podekscytowanie. Patrzę na jego właściciela. Mężczyzna, który łudząco przypomina Gabriela,

obserwuje mnie z dziwnym błyskiem w oku, ale i... niedowierzaniem? Z góry mogłabym założyć, że jest to jego ojciec. Połykam powietrze.

*Jezu, ale farsa*, przechodzi mi przez myśl.

– Nie... Mercy miała być na treningu – odpowiada za nas oboje Gabriel.

Fakt, że nie spuszcza ze mnie wzroku, nie dodaje mi otuchy.

– Palicho, czy to zbieg okoliczności. – Niewysoka brunetka macha ręką w powietrzu. Po chwili wyciąga ją w moją stronę. Między brwiami kobiety widnieje pojedyncza bruzda, gdy przedstawia mi się ze spokojem: – Josephine Crade. Bardzo miło mi cię poznać.

– Mercy – kontruje. – Mercy Stone.

– Edward – dodaje również mężczyzna, który po chwili gestem dłoni wskazuje, żebyśmy wszyscy usiedli przy najbliższym stoliku. – Już myślałem, że poznam swoją synową dopiero w dniu ślubu – rzuca żartobliwie, gdy wykonujemy jego prośbę. W pierwszej chwili mam ochotę wymigać się z tej rodzinnej szopki, ale w spojrzeniu Gabriela wyłapuję prośbę.

Dlatego zdenerwowana siadam obok niego przy stole.

– Mamy napięte grafiki – odpowiadam przepaszająco. – Ciężko nam się zgrać.

– Zwłaszcza że zimowe igrzyska, w których bierze udział Mer, zbliżają się nieubłaganie – dodaje Gabriel, zerkając na mnie mimochodem. Modlę się w duchu o to, by nie spalić buraka, ale Chryste. Sposób, w jaki ten facet pieszczotliwie zdrabnia moje imię, przyprawia mnie o pieprzone dreszcze. Zastygam w bezruchu, podczas gdy Josephine odpowiada:

– Byłaś może na mistrzostwach w Phoenix? Wydaje mi się, że cię widziałam...

Czując na udzie dłoń Gabriela, pozwalam, by z moich ust uleciał powolny oddech. Posyłam jego mamie lekki uśmiech, ale w momencie, w którym kobieta kładzie dłonie na powierzchni stołu, rzędnie on nieznacznie. Jej ręce są jednym wielkim skupiskiem blizn. Zupełnie tak jak ręce Edwarda, który przygląda mi się w skupieniu. Od razu uzmysławiam sobie, że to właśnie pamiątki po pożarze, który ogarnął całe piętro w ich domu w Reno.

– Byłam. – Potwierdzam skinieniem głowy. – Myślałam, że nikt mnie nie rozpozna – dodaję odrobinę niepokieszona, wspominając z lekkim zawstyżeniem swoje czarne glany, za dużą koszulkę z logiem ulubionego zespołu i nieśmiertelne, czarne okulary przeciwsłoneczne.

– Mam oczy dookoła głowy. – Josephine unosi lekko kącik ust.

– Teraz w to nie wątpię. – Zaczęsuje kosmyk włosów za ucho.

– Jak długo jesteście już razem? – Edward nie kryje zaciekawienia. Spoglądam instynktownie na Gabriela, który nie pozostaje mi dłużny. Wciskam paznokieć w wierzch jego dłoni, która spoczywa na moim udzie, dając mu jednocześnie znać, by przejął inicjatywę.

Mężczyzna, odchrząknąwszy nieznacznie, odpowiada zachrypniętym głosem:

– Parę tygodni. Nie płoszcie mi jej i nie wspominajcie o żadnym ślubie – wzdycha.

– Gabrielu, jesteśmy w Vegas. Tutaj mówi się tylko o hazardzie i ślubach... – Jego ojciec mierzy go rozbawionym wzrokiem. – Ale w porządku. Musimy z mamą przejść się kiedyś na występ Mercy. Podobno to, co wyprawia na lodzie, to majstersztyk.

– Nie przesadzajmy – odpowiadam z pobłażaniem.

Wciskam plecy w oparcie krzesła, rozluźniając spięte mięśnie. Odrobinę niezręcznie jest mi spędzać czas z rodzicami Gabriela, podczas gdy za parę tygodni lub miesięcy znowu wrócimy prawdopodobnie do konspiracji, dając tym samym potwierdzenie wszystkim mediom i fanom, że mieli rację – nasz rzekomy związek był jedynie szopką wymyśloną pod publikę.

– Widziałem ją w akcji – stwierdza siedzący obok mnie Gabriel. – Jest niesamowita.

– Igrzyska odbędą się w Kolorado, tak? – pyta Josephine. – W Denver?

Skinieniem głowy potwierdzam, że kobieta ma rację.

– Na początku lutego – dopowiadam.

– Może wpadniemy? – Mama Gabriela spogląda na swojego męża, który posyła jej uśmiech.

– Chyba nic nie stoi na przeszkodzie. Chociaż... na pewno dasz radę się wyrwać?

Mrużę podejrzliwie oczy. W głosie Edwarda pobrzmiewa czysta troska.

– Nie jestem uziemiona. – Josephine kręci głową z politowaniem.  
– A chciałabym zobaczyć na własne oczy, jak kobieta mojego syna zdobywa złoto. – Mruga do mnie porozumiewawczo. Posyłam jej w odpowiedzi zwykły, bezpretensjonalny uśmiech.

– Nie nastawiam się na nic. Ostatnio, gdy byłam przekonana, że otrzymam tytuł „sportowca roku”, ktoś ukradł mi go sprzed nosa. – Zerkam niby to ukradkiem na Gabriela, który unosi zaczepnie brew. Jego dłoń wciąż studiuje materiał mojej ciemnej pończochy.

Udaje mi się stłumić w sobie westchnienie, gdy wytatuowane palce docierają pod jej zwieńczenie. Sposób, w jaki Gabriel pieszczotliwie sunie nimi wzdłuż wewnętrznej części mojego uda, naprawdę sprawia, że zaczynam obawiać się, czy zaraz nie postradam zmysłów.

– To była zacięta walka – stwierdza Edward. – Szliście łeb w łeb.

– W Vegas niestety królują Diabły... – wzdycham z fałszywym zawodem.

– Można je albo kochać, albo nienawidzić.

Słowa starszego z mężczyzną konfrontują mnie z myślą, że gdzieś już to słyszałam. Spoglądam na Gabriela. No tak. To on kiedyś zadał mi podobne pytanie. Nie odpowiedziałam mu. Gdyby zrobił to dzisiaj... chyba też bym tego nie zrobiła. Nie kocham Diabła. Nie potrafię go też nienawidzić. Balansuję gdzieś między tymi dwoma sprzecznościami.

– No tak. Podobno tak... – mówię po chwili namysłu, nie spuszczać wzroku z twarzy Gabriela. Posyłam mu uśmiech. Jego rodzice są naprawdę cholernie mili.

Nawet godzinę później, gdy zegnamy się z nimi przed restauracją, wydają się zachwyceni myślą, że ich syn jest na dobrej drodze do tego, by się ustatkować. Gdy zostajemy już sami, pozwalam, żeby westchnienie pełne ulgi opuściło moje usta. Wiatr rozwiewa moje włosy na wszystkie cztery strony świata, kiedy opieram się o karoserię samochodu Gabriela.

– Bycie dobrym masz najwyraźniej w genach. – Wzruszam nonszalancko ramionami. – Myślałam, że akurat im powiesz prawdę – dodaję po chwili, gdy mężczyzna staje przede mną.

Jego spojrzenie jest nieczytelne, a intencje niejasne, gdy okręca sobie kosmyk moich ciemnych włosów wokół palca wskazującego, na którym widać tatuaż z rzymską cyfrą cztery.

– Nie jestem gołosłowny. Gdy powiedziałem ci, że nikomu nic nie wyśpiewam, nie miałem na myśli absolutnie żadnych wyjątków, Mercy. – Jego oddech dociera do mojej twarzy, gdy uprzednio przybliżyła się do mnie raptownie. Instynktownie rozglądam się po parkingu, chociaż to ostatnia kwestia, którą powinnam się przejmować.

W końcu, jakby nie patrzeć, jesteśmy „w związku”.

– W porządku – odpowiadam krótko. – W każdym razie masz świetnych rodziców.

– Oszaleli na twoim punkcie. – Gabriel kręci głową z jawnym rozbawieniem.

Niemal od razu się uśmiecham, bo cóż, ja też ich polubiłam. Josephine i Edward Crade to małżeństwo, które nawet po godzinie rozmowy mogłabym uważać za naprawdę udane.

– Na punkcie mojego grzecznego wcielenia – poprawiam go, po czym odbijam się od jego samochodu. – Jadę dalej w trasę. Byłam tutaj tylko przejazdem, bo musiałam zamienić parę słów z Eleanor. – Wsuwam ręce do kieszeni futra, spoglądając na mężczyznę.

Gabriel kręci głową w geście protestu, zakładając dłonie na biodrach.

– Nie tym razem. Wsiadaj, później zabierzesz stąd swoje cacko – oznajmia.

Mrużę wątpiąco oczy, próbując dociec, co temu facetowi siedzi w głowie.

– Jeśli chcesz zgarnąć mnie na randkę, bądź bardziej szarmancki, kochanie – wzdycham teatralnie, ściągając niewinnie brwi. Gabriel wywraca oczami, jakby od początku przeczuwał, że przymuszenie mnie do czegokolwiek będzie naprawdę trudnym zadaniem.

– Albo wsiadasz, albo sam cię tam wrzucę, Mercy – mówi z powagą.

– Uwielbiam tego faceta z klasą, który w tobie siedzi. – Chwytam się za serce, wsiadając do samochodu, podczas gdy mężczyzna

otwiera mi drzwi. Wygodniej rozsiadam się na fotelu, spoglądając po raz ostatni z utęsknieniem na swojego sportowego mercedesa.

*Będę musiała go później stąd zabrać, stwierdzam.*

– Gdzie miałaś jechać? – pyta Gabriel, zasiadając na swoim miejscu.

– Moja przyjaciółka zostawiła w tej starej ruderze, gdzie mają próby kapeli, kostki do gry na gitarze. Od paru dni jest chora i prosiła mnie, żebym je stamtąd zgarnęła. Dopiero teraz znalazłam chwilę, żeby po nie podjechać – tłumaczę, wyciągając z kieszeni klucze do budynku.

Gabriel wyjeżdża po chwili z parkingu. Ulice Vegas nie są tego dnia zatłoczone.

– Pojedziemy tam później – mówi po chwili namysłu. – Najpierw odwiedzimy inne miejsce. – W jego głosie słyszę przede wszystkim dziwny upór. Przesuwam palcami wzdłuż pasów, spoglądając na profil mężczyzny. Na jego twarzy wciąż jestem w stanie wyłapać ślady po mistrzostwach świata w Phoenix, ale to raczej niewielkie pamiątki po pojedynku.

– Powiesz mi chociaż, czy wyjedziemy poza granice Vegas? – Unoszę brew.

– Po co ci ta wiedza, Mercy?

Wzdycham ciężko, odwracając głowę w kierunku szyby. Niebo powoli szarzeje. Z pełną świadomością, że nie uda mi się wyciągnąć od Gabriela żadnych konkretów, milknę na moment. Obserwuję rzędy kasyn i szyldy losowych knajp. Mimo tego, że mieszkam w tym mieście krótko, czuję się tutaj zdecydowanie lepiej niż w Reno czy nawet Nowym Orleanie.

– Naprawdę nie mam bladego pojęcia, czy fakt, że jesteś tak cholernie nieczytelny, bardziej mnie frustruje czy kręci – wypalam na jednym wydechu, odwracając głowę w kierunku Gabriela, który na mój pretensjonalny ton jedynie uśmiecha się cwanie. Wzrokiem spija z mojej twarzy całą irytację zupełnie tak, jakby podobał mu się fakt, że mam go za zimnego kretyna.

– Jestem kurewsko przewidywalny, Mercy – odpowiada mi po chwili.

– Czyżby? – Mrużę oczy. – Zabierasz mnie do Inferno?

– Może zgarnę cię tam wtedy, gdy Mayson przestanie być na ciebie cięty.

– Och – wykrztuszam z siebie. – Pan trener Diabłów – bąkam z przekąsem.

Gabriel skręca nagle w mniej uczęszczaną alejkę, która prowadzi Bóg wie gdzie. Przez dłuższą chwilę po prostu milczymy, aż w końcu dostrzegam przed nami średniej wielkości budynek, który otoczony jest przez pustą przestrzeń. Dopiero po chwili orientuję się, że ten facet przywiózł mnie do ośrodka lotniczego na obrzeżach Las Vegas. Utwierdza mnie w tej myśli awionetka, która właśnie wzbija się w powietrze.

– Ośrodek lotniczy – zauważam słusznie.

– Twój były mógł zabrać cię na lot jako pierwszy, ale to ten, który spędzisz ze mną, będzie twoim ulubionym. – Gabriel spogląda na mnie z nieustępliwością wymalowaną na twarzy. Jego oczy ciemnieją nieznacznie, gdy wpatruję się w nie przez dłuższą chwilę. A później... Cóż. Później pozwalam, by mój kącik ust drgnął nieznacznie.

Odpinam pas bezpieczeństwa, po czym kładę dłonie na policzkach mężczyzny. Przywieram ustami do jego warg, uśmiechając się przy tym szerzej. Gabriel to cholerny zazdrośnik. Odsuwam się od niego dopiero wtedy, gdy stłumienie w sobie chęci na wzbicie się w powietrze staje się dla mnie nie do wytrzymania. Kiedyś uwielbiałam patrzeć na wszystko z góry.

A później znienawidziłam wszystko, co przypominało mi o Crawfordzie.

– Dzięki tobie zdążyłam zapomnieć o tym, co przeżyłam z nim – mówię półszepem, zanim po raz ostatni muskam przelotnie jego usta. Wsiadając z samochodu, nie potrafię odpędzić od siebie myśli, że Gabriel jest po prostu bezkonkurencyjny. Jest kimś, kogo zawsze postawię ponad wszystkimi. Przez dwa lata dojrzałam do zrozumienia, że ten mężczyzna...

Ten mężczyzna zawsze będzie mnie obchodzić.

– Ładnie tutaj – stwierdzam, rozglądając się wokoło. – Ładniej niż w Sparks.

– Mają lepiej wykwalifikowaną kadrę. Może się nie rozbijemy.

Patrzę na Gabriela z uniesioną brwią. Niby przypadkiem zahaczam palcem wskazującym o przegub jego ręki, ale to on, wiedziony tym drobnym impulsem, splata ze sobą nasze dłonie. Chmury powoli przesuwiają się po niebie, gdy zaciągam się świeżym powietrzem.

– Może twoja randka przebije moją. – Puszczam mu oczko.

– Zaraz się przekonamy – wzdycha pod nosem Gabriel.

Kwadrans później nakładam na uszy specjalne słuchawki. Rwący prąd przedziera się przez całe moje ciało z chwilą, w której wzbijamy się w powietrze. Zaciskam usta w wąską kreskę, kiedy przez głowę przelatują mi niechciane wspomnienia. Zamiast nich skupiam się jednak na wnętrzu niewielkiego samolotu, w którym się znajdujemy. Spoglądając mimochodem na pilota, nabieram przekonania, że wie, co robi. Awionetka powoli wznosi się w górę. Ze zdławionym w płucach oddechem patrzę na to, jak budynek ośrodka staje się coraz mniejszy.

Oświetlone Vegas wygląda z tej odległości kurewsko obłądnie. Neonowe szyldy migają, gdy omiatam wzrokiem znajomo wyglądające ulice. Pierwszy dyskomfort idący wraz z myślą, że znajduję się w cholernej awionetce mija tak szybko, jak kładę brodę na barku Gabriela. Mimowolnie się uśmiecham, bo, cóż, prawda jest taka, że ten lot zdecydowanie okazuje się moim ulubionym. I nie dzieje się tak tylko dlatego, że Vegas jest lepsze od Sparks.

Dzieje się tak, bo mam przy sobie właśnie *jego*.

Mija godzina i w końcu docieramy do rudery, w której odbywają się próby kapeli Pearly Powell. Ziewam przeciągle i wysiadam z lexusa w akompaniamencie westchnienia Gabriela. Wyciągam z tylnej kieszeni stary klucz, który parę dni temu wręczyła mi dziewczyna, i rozglądam się po niewielkim parkingu. Rzecz jasna nie dostrzegam nikogo.

– Dobra, miałaś rację. To kwestia czasu, aż ta nora pójdzie do rozbiórki – stwierdza Gabriel, kiedy stajemy przed dużymi, spróchniałymi nieco drzwiami. Otwieram je kluczem, który trzymam w lewej dłoni. Mebel skrzypi, kiedy wchodzimy w głąb budynku.

– Co nie? – Wzruszam ramionami. – Znajdźmy te kostki i spadajmy stąd.

– Wiesz chociaż, jak wyglądają? – W głosie Gabriela słyszeć kpinę.

Zakładam ręce pod biustem, wywracając teatralnie oczami.

– Myślisz, że nie rozpoznam kostek do gitary? Trochę wiary w swoją kobietę – wyraźnie akcentuję każdą zgłoskę drugiej części wypowiedzi, po czym odwracam na moment głowę w stronę mężczyzny.

Jego grafitowe oczy iskrzą niebezpiecznie nawet w absolutnych ciemnościach, które spowijają wewnątrz starej rudery. Telefon mam na tyle rozładowany, że jeszcze chodzi, ale latarki już się włączyć nie da. Gabriel, jak się okazuje, ma ten sam problem. Omal nie potykam się o próg pomieszczenia, ale wytatuowana dłoń, która ląduje na moim krzyżu, stabilizuje mnie w jednej pieprzonej sekundzie. Biorę głęboki oddech. Śmierdzi tutaj stęchlizną.

– Nie wiem, czy cokolwiek tutaj zobaczysz – zauważa Gabriel.

– Do sufitu doczepione są jarzeniówki, tylko jak je włączyć? – Ściągam brwi.

Dziwny trzask, który rozbrzmiewa po budynku, przyprawia mnie o dreszcze. Zastygam w bezruchu, czując majaczący na końcach nerwów niepokój. Instynktownie mocniej wciskam szpilki w podłogę, mrużąc oczy w zastanowieniu. Nie jestem w stanie dojrzeć miny Gabriela, ale spodziewam się, że nie tylko ja usłyszałam, jak coś dziwnie hałasuje.

– Okej... Podobno są gdzieś na głośniku – mówię neutralnym tonem.

Po wykonaniu paru kroków orientuję się, że mam przed sobą podest. To zapewne prowizoryczna scena zespołu. Unoszę nogę trochę wyżej, niż powinnam, starając się wybadać, gdzie znajduje się próg. Aż w końcu staję na niestabilnych deskach, próbując wymacać ten przekłety głośnik. Chwytam omyłkowo za mikrofon. Finalnie docieram do głośnika. Czując pod palcami niewielkie kostki do gitary, uśmiecham się zwycięsko.

– To teraz zabierzesz mnie do Pearly – obwieszczę bezceremonialnie.

– Nie mów, że jestem złym materiałem na faceta – parska wymownie Gabriel.

Trącam go łokciem w bok, gdy kierujemy się w stronę wyjścia z niewielkiej klatki, a przynajmniej mam taką nadzieję. Dziwny zapach spalenizny, który dociera do mojego nosa, sprawia, że zatrzymuję się nagle w pół kroku. Rozglądam się ostrożnie po budynku.

– Hej, czy... – zaczynam, ale słowa grzęzną mi gdzieś w płucach w ułamku sekundy.

Zauważam ogień, który nadchodzi z drogi prowadzącej do drzwi. Trawi wszystko, co spotyka na swojej drodze. Rozszalałe płomienie, które migoczą mi przed oczami, sprawiają, że gubię oddech. Zupełnie tak, jakby niewidzialna pętla zacisnęła się na moim gardle.

I dopiero teraz, dzięki temu, że płomienie oświetlają całą brudną przestrzeń, mogę spojrzeć na Gabriela. Dostrzegam na jego twarzy najprawdziwszy strach. Natychmiast przypominam sobie o jego pirofobii. Boże, ten facet jest na pozór niezniszczalny, a jednak istnieje coś, co zżera go od środka. Świadomość, że ogień już raz wypalił w nim piętno.

Zaciskam palce w pięści, gdy dociera do mnie, że znaleźliśmy się w potrzasku.

Znowu rozglądam się nerwowo po sali. I nie wiem, co powinnam w tej sytuacji zrobić.



# ROZDZIAŁ 12

## GABRIEL

Do mojego nosa wciąż wdziera się zniechęcony smród spalenizny.

Ze zdławionym w płucach oddechem patrzę, jak ciemne jak smoła obłoki dymu unoszą się nad rozszalałym ogniem. Instynktownie cofam się o krok. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że zastygłem w bezruchu na wcale nie tak krótką chwilę, dając jednocześnie przyzwolenie na to, by w tym czasie zwiotczały mi wszystkie mięśnie. Odzyskawszy trzeźwość umysłu, przyciskam odnaleziony w kieszeni telefon do ucha, uprzednio wybierając właściwy numer.

– Mercy. – Mój głos jest zachrypnięty, kiedy oplatam palcami przegub jej dłoni.

– Ja... – wykrztusza z siebie, pozwalając, bym kierował jej odrętwiałym ciałem. – Kurwa. Musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Za sceną... Może za nią będzie wyłaz. – Sposób, w jaki kobieta ciągnie z frustracją za włosy, uzmysławia mi, że jest pełna obaw.

I ja też, do kurwy nędzy, przesiąkam nimi w jednej sekundzie.

Odgłos ciężkich kroków stawianych na spróchniałych deskach miesza się z informacjami, które przekazuję na głos straży pożarnej, gdy mkniemy z Mercy przed siebie, nie zaprzestając się ruszać nawet na przeklętą sekundę. Chcę nie koncentrować się na strachu, który wciąż wypełnia mnie od stóp do głów. Złe wspomnienia wdzierają się jednak do mojego umysłu nieproszone, pozostawiając po sobie mętlik i szereg wątpliwości.

Mój uścisk wokół przegubu ręki kobiety nie staje się lżejszy, a gwałtowniejszy, bardziej zdziczały i nieokrzesany. W duchu powtarzam sobie, że teraz tylko chłodna kalkulacja może mnie uspokoić. Ale prawda jest taka, że czując na karku smagnięcia dymu,

mam wrażenie, jakby ktoś przesuwiał mi po nim jebanym batem. Zaciskam usta w wąską kreskę, kręcąc głową. Chcę wyprzeć z niej całe zdenerwowanie, gorączkę lęków, widok pożaru piętra domu w Reno i poczucie winy.

– Nie ma go – głos Mercy rozmywa się w powietrzu, gdy docieramy do sceny.

Słysząc w nim przede wszystkim przerażenie. Rozdygotana kobieta błądzi spojrzeniem po dużym pomieszczeniu, do którego nie dotarły jeszcze płomienie. Jej ciałem wstrząsa obawa, kiedy chwiejnym krokiem chce ruszyć przed siebie. Nie pozwalam jej na to. Wcisnąwszy telefon do kieszeni spodni, na dosłownie krótki moment ujmuję jej bladą twarz w wytatuowane dłonie. Trzymam jej policzki w silnym uścisku, mówiąc gardłowo:

– Damy radę. Wydostaniemy się stąd, tylko... proszę, nie pozwól sobie na panikę.

Mercy pospiesznym skinieniem głowy potwierdza, że mnie rozumie. Puszczam ją.

– Chodźmy w tamtą stronę – decyduje wciąż odrobinę rozgorączkowana.

– Byłaś tutaj kiedyś? – pytam ostrożnie, żwawo mknąc za jej cieniem.

– Tak, ale niewiele razy. – odpowiada mi niemal od razu. – Gdyby tylko Pearly odebrała, może wskazałaby nam jakieś inne wyjście, ale na pewno tego nie zrobi. Wspominała, że jest wykończona i wycisza telefon.

Nie zwalniając tempa, odpinam guziki koszuli. Mercy odrzuca futro gdzieś na bok, nie zważając na nic innego prócz myśli, że musimy stąd uciec. W głowie mam bajzel, którego nie potrafię uporządkować. Wszechobecny gorąc, trzask spróchniałych desek, odór palącego się drewna i dobiegający zewsząd mrok jedynie bardziej go memłają. Znowu w uszach dźwięczy mi ten sam odgłos. Skrzek wron. Wołanie mamy o pomoc.

Zaciskam powieki. Uchylam je tak szybko, jak docieramy do niewielkiej klitki. Nie ma w niej okien, ale przez spowijającą ją ciemność nie potrafię dostrzec zbyt wiele.

– To skrajny punkt w metrażu budynku. Płomień dotrze tu najpóźniej... – wydycha Mercy, a jej podszyty niemą otuchą głos sprawia, że odzyskuję rezon. Ściągam szarpnięciem koszulę. Smagnięcia gorącego powietrza działają na mnie jak paralizator. Gorączkowo rozglądam się wokoło. Nie widzę nic prócz wszechobecnej czerni.

– Dotrą – wypalam pośpiesznie. – Dotrą na czas – powtarzam niczym mantrę.

Zszarzałe oczy kobiety wpatrują się w moje z nadzieją, która liczę, że nie zgaśnie. Sam chcę wierzyć w to, że tak będzie. Chcę wierzyć w to, że wizja czyhającej zza rogu śmierci jest nam jeszcze odległa. Z moich ust wypada ciężki oddech, gdy wciskam koszulę w próg zamkniętych drzwi. Zaraz potem po omacku podchodzę w trzech krokach do Mercy. Ściągam z niej bluzkę z długim rękawem, otrzymując w zamian zdławione westchnienie ulgi. Ona też czuje ten gorąc. Jej ruchy również są gwałtowne, niewyważone, absolutnie nieskoordynowane.

– Powiedz, że jakoś się trzymasz – prosi, opatulając szczelnie ramiona dłońmi. – W końcu masz...

Mrugam powoli. Wiem, co mam. Pierdoloną pirofobię, która sprawia, że czuję, jakby jakiś pieprzony kwas zżerał mnie od środka, kradł oddech, poniewierał zmaconym umysłem. Instynktownie zaciskam szczękę. Nie walczę z faktem, że moje mięśnie napinają się samoistnie. Przechyliwszy głowę, spoglądam w stronę, z której dochodzi głos. W ciemnościach wyłapuję parę iskrzących obawą, zielonych oczu wgapiających się we mnie z niejasną intencją.

– Trzymam się – odpowiadam krótko.

Nie mijają dwie sekundy, a rozgrzany policzek przywiera do mojej piersi. Kładę dłoń na odkrytym ramieniu kobiety, pokrytym pierwszymi kroplami potu. Czując, jak Mercy drży w moim uścisku, orientuję się, jak niewiele jestem w stanie w tym momencie zrobić. Uzmysławiam sobie, że możemy nawet umrzeć. Spłonąć żywcem w losowej ruderze na obrzeżach pieprzonego Vegas, gdzie o tej porze wszyscy kumulują się w jego centrum. Przenoszę palce na kark Mercy, gładząc jej kręgi szyjne w uspokajającym geście.

– Musimy znaleźć wyjście – szepcze mi w pierś. – Skupmy się...

Kładę brodę gdzieś w jej gęstych włosach. Z moich ust wypada tchnienie.

– Mer. – Przymykam powieki. – Przyrzekam, że wyjdziemy z tego bez szwanku.

Otwieram oczy, błędząc nieopanowanym spojrzeniem po zaciemnionej komórce. Odsuwam się od kobiety. Wyciągam ręce przed siebie, próbując wybadać teren dłońmi. Palcami dotykam gwoździ wystających z zabitych, drewnianych ścian. Badam ich fakturę, staram się odnaleźć jakiś wyłaz czy dziurę, przez którą moglibyśmy przedostać się na znajdujący się za deskami parking. Szczypanie opuszków uzmysławia mi, że wystające, ostre elementy zdążyły rozciąć mi skórę. Jak w amoku przesuwam się dalej, ale nie czując chropowatej powierzchni, przełykam ślinę. Robię krok w przód.

Pod stopą czuję betonowy stopień. Smagnięcie gorąca na karku sprawia, że sztywnieję.

– Kieruj się tam, skąd słyszysz mój głos. Tutaj są schody, a na górze mogą być okna – oznajmiam nagle. Mój głos jest zachrypnięty, oczy szczypią mnie niemiłosiernie, kiedy czuję w końcu, że Mercy stoi obok mnie. Zanim zdążę ruszyć przed siebie, kobieta zwinnie przemyka na górę. Jej westchnienie ulgi na widok okna sprawia, że oddycham trochę ciężiej.

– To jedyna opcja – mówi szeptem, chwytając za losowy kij. Wybija nim szybę. Odgłos roztrzaskanego szkła akompaniuje tym wszystkim dźwiękom, które dochodzą z parteru. Szum własnej krwi, który słyszę w uszach, przyprawia mnie o uporczywe mrowienie na plecach.

Widok na opustoszały parking sprawia, że nie łudzę się, że ktoś nas usłyszy. Trzask drewna ponownie rozbrzmiewa po budynku. Dostrzegam rozpadającą się podłogę i unoszone przez podmuchy wiatru kłęby dymu, po czym podsadam gwałtownie Mercy, decydując szybko:

– Po prostu wyjdźmy z tego żywi.

Obawa majaczy w jej oczach, kiedy wpierw patrzy w dół, a później krzyżuje ze mną spojrzenie. Kiwam w jej stronę głową, tym samym dając jej znak, by skoczyła. Włosy przyklejają jej się do odkrytych

ramion, wzdłuż policzka spływają krople potu. Jej dłonie są zakrwawione. Zaciskając je na rozbitej ramie okna, musiała je sobie poranić, ale nie przeszkadza jej to w położeniu jednej na moim rozgrzanym policzku. Mercy po raz ostatni wmusza w moje usta krótki pocałunek, zanim osuwa się w dół. Serce bije mi tak mocno, że prawie miażdży resztę narządów. Pojedyncze bodźce docierają do mnie w zwolnionym tempie, gdy wychylam głowę. Mercy, uczepliwszy się wystających desek, schodzi ostrożnie w kierunku wolności, aż w końcu zeskakuje na zaniedbany trawnik. Jej dłonie są umorusane krwią.

Szczypanie knykci nie sprawia, że powstrzymuję się przed zaciśnięciem palców na ramie okna. Po plecach spływają mi strugi potu, gdy po raz ostatni odwracam głowę, by dostrzec ogień rozprzestrzeniający się po pomieszczeniu. Przecieram zakrwawioną dłońią oczy, czując, że dym ogranicza mi pole widzenia. Zwinnie schodzę na ziemię. Pod skórą czuję jedynie ostre gwoździe i wystające ze ścian ostre zakończenia drewnianych bel. Lądując obok wycieńczonej Mercy, pierwszym, co robię, jest zaborcze przyciągnięcie jej do siebie. Moja krew wypływająca z poharatanych dłoni spływa teraz po jej spoconych plecach.

– Wszystko gra – szepczę w ciemne włosy, dociskając jej rozgrzany policzek do swojej piersi.

Zimne powietrze owiewa nasze półnagie ciała, rozbija się na pokrytej szramami skórze. I stojąc tak na opustoszałym parkingu i wsłuchując się w żywiołową muzykę spowijającą grzeszne Vegas, czuję, jak po moim krwiobiegu wciąż przepływa adrenalina. Milknę i stwierdzam w myślach, że perspektywa śmierci nigdy nie przybrała tak realnego kształtu jak dzisiaj. Myślę o tym, gdy na miejsce dociera straż pożarna, a nawet kiedy po krótkim pobycie w szpitalu dostajemy pozwolenie, by wrócić do domu.

Jest już dziesiąta, kiedy mozolnym krokiem poruszamy się po betonowych schodach na mojej posesji. Szum gałęzi targanych przez wiatr dźwięczy mi w uszach niczym dzwon. Powoli wciskam klucz w zamek dużych drzwi. Pierwszej do posiadłości pozwalam wejść Mercy. Obserwuję jej potargane włosy podrygujące w powietrzu

z każdym wykonanym przez nią krokiem. Opadają swobodnie wzdłuż jej smukłych ramion niczym cholerny wodospad.

Od razu zapalam światło. W tym samym momencie krzyżujemy spojrzenia.

– Muszę to z siebie zmyć – wzdycha nagle. – Wszystko mnie swędzi.

Z uwagą obserwuję jej ubrudzoną twarz. Poharatane dłonie. Pokiereszowaną skórę. Podchodzę do niej powoli, jakby jakikolwiek gwałtowniejszy ruch miał ją spłoszyć. Ciężkie kroki, które stawiam, wyrzucają ciszę z posiadłości. Aż w końcu gładzę kciukiem jej nagie ramię, powodując gęsią skórę na odrętwiałym ciele.

– Więc zostaw to mnie, Mer. – Z tymi słowami kładę dłoń na jej krzyżu.

Kobieta nie protestuje, gdy wskazuję jej drogę do sypialni, a stamtąd do łazienki. Stojąc boso na marmurowej posadzce, sama chwyta za sprzączkę od paska moich spodni. Mozolnym ruchem wysuwa go ze szlufek, aż w końcu, rozpiąwszy rozporek, ściąga ze mnie spodnie wraz z bokserkami. Odetchnąwszy ciężko, również pozbawiam jej spódnicy, a później bielizny. W paru krokach docieram pod deszczownicę. Uruchamiam ją dopiero, kiedy oboje, zupełnie nadzy, ubrudzeni własną krwią, kurzem i potem, wycieńczeni jak diabli, znajdujemy się w jej zasięgu. Mercy drży z zaskoczenia, gdy woda spływa po jej poranionej skórze. Nie spuszczam wzroku z jej twarzy. Z lekko zadartego nosa, nieznacznie rozchylonych, ładnie skrojonych ust, na których odznaczają się niewielkie wgłębienia. Musiała przygryźć je do krwi, gdy uciekaliśmy z rudery. Skaleczonym palcem odgarniam włosy z jej policzka. Zszarzałe oczy iskrzą mętnym blaskiem, gdy ich właścicielka zdziera z mojego bicepsa strugę zaschniętej posoki. Tym samym wśród brudu znajdującego się na moim mięśniu odnajduje kontury tuszu jednego z tatuaży. Zapalanej świecy.

– Po tym wszystkim umiałeś myśleć racjonalnie... Twoja siła jest tak cholernie niezachwiana – jej szept miesza się z szumem wody, kołataniem mojego serca i skrzekiem kruków dostającym się do łazienki przez uchylone okno.

Instynktownie mocniej przywieram do jej dygoczącego ciała.

– Żadne piętno nie zrujnuje mnie bardziej niż świadomość tego, że śmierć czyha na mój błąd, Mercy. – Przesuwam leniwie wytatuowanym kciukiem po jej dolnej wardze. Jej faktura jest chropowata. Zielone tęczęwki wpatrują się we mnie spod kruczoczarnego wachlarza rzęs, na którym zdążyły osiąść pojedyncze krople wody. Dopiero teraz czuję, jakby ktoś smagnął mnie batem po plecach. Dyskomfort idący w parze z coraz wyższą temperaturą powietrza wypełniającego kabinę prysznicza sprawia, że nieruchomieję na moment.

Kobieta przechyla głowę, by omieść wzrokiem moje masywne ciało.

– Daj sobie trochę wytchnienia. – Uśmiecha się ledwie zauważalnie, przesuwając złamanym paznokciem wzdłuż mojej piersi. Jej ruch jest mozolny, ledwie wyczuwalny. – Dopiero co nabawiłeś się ran po mistrzostwach, a teraz znowu wyglądasz jak...

– Jak? – Nachylam się nad nią.

Moje usta prawie ocierają się o jej. Poharataną dłonią badam przestrzeń pod jej piersią, sunę nią w dół, aż do biodra, za które przyciągam ją do siebie. Krągły biust stapia się z moim torse, kiedy przyciskam usta do jej skroni.

– Jak mężczyzna, za którym szaleję.

Wiem, że nie to chciała wyszeptać mi między rozchylone wargi. Ale nie kłócę się o to, że zdradziła mi coś innego. Zamiast tego pozwalam, by położyła swobodnie wierzchnią część dłoni na mojej szyi. Tatuaż, który się na niej znajduje, zostaje przez nią starannie obrysowany smukłym palcem. Przestaję czuć ciężar wody osaczającej mnie zewsząd. Zamiast tego skupiam uwagę na sposobie, w jaki stojąca w moim żelaznym uścisku kobieta sprawia, że tracę wszystkie zmysły. Sprawia, że moje myśli koncentrują się tylko wokół niej.

– Nigdy nie chcę mieć z tyłu głowy myśli, że mogę cię stracić – mówi. – Nigdy.

– Więc wyprzyj ją, bo zamierzam zrobić wszystko, żebyś już nigdy nie musiała martwić się o to, że nie będę obok. – Przetykam ślinę. Moje gardło jest suche jak pierdolona pustynia. – Podnieś brodę. – W moim głosie nie pobrzmiwa nic innego jak niema prośba.

Mercy posłusznie unosi podbródek. Palcem ścieram z jej szyi brud. Kobieta, przymknąwszy powieki, pozwala, by z jej warg uleciał powolny oddech. Nie umiem zdusić w sobie pragnienia, by przytknąć usta do jej krtani. Całuję ją czule. Drobną dłoń zaciśnięta w pięść na moich włosach ciągnie delikatnie za ich końcówki. Dostrzegłszy na jej barku gęsią skórę, mój kącik ust rozciąga się w słabym, bezpretensjonalnym uśmiechu. Znika on jednak tak szybko, jak w zielonych oczach wyłapuję powagę. Odwdzięczam się tym samym, kiedy mówię z niezachwianym spokojem krótkie, dwuznaczne:

– Marzniesz.

– Odrobinę. – W głosie Mercy słyszę spokój.

Udaje mi się stłumić gdzieś w płucach westchnienie, gdy po prostu zamykam ją w szczelnym uścisku. Kładę skaleczone palce we wgłębieniach znajdujących się na jej odcinku lędźwiowym. Stan dziwnego odrętwienia, w który popadam, trzyma mnie przez kolejne minuty. Przez dłuższą chwilę po prostu uzmysławiam sobie, że udało nam się uwolnić z cholernego potrzasku.

– To dobrze, że nikt nie wie – mówi nagle. – Nie chcę litości ani taryfy ulgowej.

– A czego chcesz, Mer? – Odsuwam się nieznacznie.

Spijam z jej twarzy cały grymas, który zdążył już trochę zelżeć od czasu, kiedy wróciliśmy do posiadłości. Chciałbym wiedzieć, co siedzi jej w głowie. Nie chcę patrzeć na nią i widzieć powierzchownej wersji absolutnie zimnej i niezłomnej kobiety, którą Mercy daje mi jak na pieprzonej tacy. Chcę ją. Prawdziwą, poharataną na milion sposobów nie tylko z zewnątrz, ale też wewnątrz. Chcę znać jej czułe punkty, akceptować wybudzone demony, kochać pokaleczone wnętrze.

– Chcę... odzyskać równowagę. Przestać snuć czarne scenariusze. Zwyczajnie wyrzucić to z głowy. – Słowa wypadają z jej ust w powolnym tempie. – Chcę, żebyś dzisiaj poprosił, bym z tobą zasnęła. A może nawet byś nie pozwolił mi jutro jechać na trening. Chcę nawet poczuć tę beznadziejną gotowość do tego, żeby powiedzieć ci w końcu, że...

*Że jestem pieprzoną miłością twojego życia?, łudzę się w duchu.*

Mercy zamyka oczy. Milknie na moment, po czym dokańcza półszepem:

– Staram się. Naprawdę staram się uczyć od nowa tego wszystkiego, tego, jak cię...

– Kochać – dopowiadam za nią. – Doceniam to, Mer.

Ujmuję w dłoń jej szczękę. Pod palcami czuję jedynie dziwne mrowienie, gdy zwykły dotyk jej skóry sprawia, że moje serce łomocze niczym dzwon, a w każdej komórce ciała kumuluje się dziwne napięcie. Nie mam wątpliwości co do tego, że przepadłem dla tej popapranej zołzy. Chryste, mój ojciec miał rację.

Każdy facet w końcu odnajduje swoją cholerną mużę.

Kiedy jakiś czas później zasiadam na tarasie wychodzącym z dachu rezydencji, nie wiem nawet, która jest godzina. Wiem natomiast, że Mercy Stone ubrana w mój biały sweter prezentuje się jak kobieta, na której punkcie mam pieprzonego fioła. Wiatr rozwiewa jej włosy na wszystkie cztery strony świata. Chłód bijący od ceglanych ścian budynku sprawia, że jej dłonie dygoczą lekko, zanim, zasiadając na moich kolanach, wsuwa je pod materiał mojej bluzy. Przesuwam wzrokiem po jej spokojnej twarzy, gdy mówi:

– Lubię to odludzie. Ma swój mroczny... urok. – Wzrusza niedbale ramionami.

– Ludzie z reguły nie czują się tutaj komfortowo – odpowiadam bezpretensjonalnie.

Z tymi słowami wygodniej rozsiadam się na meblu. Trzymając cały czas dłoń na zgrabnym udzie Mercy, omiatam wzrokiem widok oświetlonego Vegas. Kontrastujące z ciemną kotarą nieba, migoczące szyldy prezentują się z tej wysokości zjawiskowo, ale nie dorównują nawet w najmniejszym calu kobiecie, która siedzi na moich kolanach. Przechyliłam głowę. Panorama miasta grzechu ustępuje lesistym terenom. Korony drzew targane przez wiatr prezentują się wręcz upiornie.

Dopiero chwilę później z letargu wyrywa mnie głos Mercy:

– Wow, nie mów, że to te same... – W jej głosie słychać zdumienie.

Zanim zdążę zorientować się, co ma na myśli, kobieta dobywa w dłoń talię kart. Skinąwszy głową w geście zgody, obserwuję, jak Mercy drżącymi dłońmi wyciąga z różowego pudełka tego samego

koloru karty. Jej oczy błyszczą niebezpiecznie, a usta wyginają się w uśmiechu, który wprawia mnie w dziwny, niekontrolowany stan osłupienia.

Nie wierzę, że tym jednym gestem jest w stanie spowodować, że robi mi się cieplej.

– To jedyne, co mi po tobie zostało – odpowiadam ze spokojem.

– Prezentują się niezmiennie tandetnie – stwierdza po chwili namysłu.

– Przynoszą mi farta.

Mercy przygryza wargę. Tasuje talię, ale szybko odkłada ją na miejsce. Zaplata dłonie tuż za moim karkiem, zaciągając się rześkim powietrzem. Czując smagnięcie jej ciemnych włosów na przegubie, okręcam sobie jeden kosmyk wokół palca.

– Jak udało ci się tutaj odnaleźć? – pyta nagle. – Po tym, jak zostałeś... sam wiesz, Diabłem. – W jej głosie wyłapuję zaintrygowanie. Wciskam tył głowy w zagłówek mebla, trawiąc przez chwilę w duchu sens jej słów. Szybko przypominam sobie dzień, w którym podpisałem umowę z Ethanem Maysonem. Dołączyłem do Inferno. Stałem się *kimś*.

– Skupiłem się na karierze. Skoncentrowałem myśli tylko na niej – zaczynam po krótkim namyśle. – Po tym, jak pierwszy raz przeszedłem przez próg Inferno, zrozumiałem, że czeka mnie pracowity rok. I tak było. Okres przygotowawczy był bardziej niż pracowity. – Sięgam pamięcią do swoich początków w Vegas. – Ale to dobrze. Wypracowałem rutynę. Odnalazłem się tutaj tylko dzięki temu, że pochłonięła mnie bez reszty – opowiadam swobodnie.

Moje początki w mieście grzechu nie były kolorowe. Mayson długo wdrażał mnie w system panujący w Inferno. Tłumaczył panującą w nim hierarchię, a nawet te wszystkie wymyślne zasady, które nie są znane nikomu prócz drużynie i pracownikom związanym z klubem. Z perspektywy czasu wspominam to wszystko jak jedną wielką, pracowitą passę.

Mercy kiwa głową. Wygląda, jakby właśnie teraz w jej myślach narodził się jakiś plan.

– Więc nie miałeś czasu na to, by grać w pokera – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Do czego dążysz? – Unoszę zaczepnie brew.

Zanim zdążę zareagować, Mercy wstaje z moich kolan. Usadawia się wygodnie na sofie naprzeciwko, chwytając w międzyczasie ponownie za talię kart. Omiatam wzrokiem jej twarz, na której dostrzegam chytry uśmiech. W jej zielonych oczach majaczy figlarna iskra, gdy tasuje różową talię i przesuwając zakryte karty w moją stronę. Jej spojrzenie jest prowokujące. Jest niewerbalnym wyzwaniem, które wiem, że i tak przyjmę.

– Zagraj ze mną. Po prostu... zagrajmy.

Kręcę głową z pobłażaniem. Mimo wszystko chwytam w dłoń swoje karty. Chociaż jest już ciemno i zimno, a Mercy Stone okazuje się wcale nie tak łatwą przeciwniczką, w końcu mogę się choć odrobinę odprężyć i stłumić w sobie myśl, że dzisiaj wydostaliśmy się z naprawdę głębokiego bagna.

Następnego dnia odstawiam Mercy na parking przy restauracji dopiero o pierwszej. W dalszą trasę ruszam sam, mając na uwadze fakt, że rozmowa z rodzicami, a właściwie z ojcem, który, jak by nie patrzeć, jest byłym agentem FBI, a aktualnie właścicielem agencji detektywistycznej, mogłaby mi pomóc rozwiązać wątpliwości. Widząc znak informujący o wjeździe do pobliskiego Henderson, wzdycham ciężko. Już zapomniałem, jak nudnym miastem jest to, w którym mieszkają państwo Crade.

Zamiast obok domu znajdującego się kilka mil dalej, parkuję wpięty samochód tuż przy średniej wielkości budynku. Z pozoru wygląda jak typowy szeregowiec, ale widząc bawiące się w ogrodzie dzieciaki oraz znak wiszący nad drzwiami, łatwo można się zorientować, że ma się przed sobą jeden jedyny sierociniec w Henderson. Wyciągnąwszy kluczyki ze stacyjki, wysiadam z lexusa. Wciskam niewielki przedmiot do kieszeni skórzanej kurtki, ruszając zwawym krokiem w stronę miejsca, w którym znajdę Josephine Crade.

Sierociniec prowadzony przez moją mamę tętni dzisiaj życiem. Dzieciaki skupiają się w kilku grupach, kilkoro z nich bawi się w piaskownicy, a reszta okupuje niewielki plac zabaw. Zardzewiała furtka wydaje z siebie charakterystyczny odgłos, gdy naciskam

klamkę. Skinieniem głowy witam się z jedną z opiekunek, ale szybko ruszam w stronę pokoju mamy.

Odnajduję ją siedzącą przy niewielkim stole. Zmęczona zmiata sprzed twarzy kosmyk niesfornych włosów. Lewa ręka, którą to robi, jest pokryta przez blizny. Pomarszczona skóra przypomina mnie o delikatne mrowienie na plecach. Mimo tego, że minęło już tyle lat, ja wciąż nie mogę znieść myśli, że to przeze mnie je posiada. A świadomość tego, że takie same po wczorajszym pożarze mogłaby mieć Mercy, powoduje, że żołądek ściska mi się z nerwów.

– Hej, mamó. – Siadam na jednym z drewnianych krzeseł. – Dużo masz dziś pracy?

– Och, Gabriel. – Unosi na mnie wzrok. – Sporo...

– Umówiłem się z tatą w knajpie na rogu. Pomyślałem, że wpadnę na chwilę – tłumaczę. – Swoją drogą wciąż nie wierzę, że z przymrużeniem oka patrzy na to, jak się tutaj wykańczasz. Naprawdę harujesz jak wół, a przecież mogłabyś pozwolić sobie na zatrudnienie kogoś do pomocy przy dzieciakach. – Opieram swobodnie ręce na powierzchni mebla.

Po przeprowadzce do Henderson Josephine Crade postanowiła, że przejmie opiekę nad sierocińcem, który według mieszkańców miasta był jedną wielką, zaniedbaną klatką. Niewielu ludzi się nim interesowało. Ojciec mówił mi o tym wszystkim, gdy ja wciąż siedziałem na tyłku w Reno. Nie wychylałem się i nie kwestionowałem decyzji mamy. Zwyczajnie liczyłem po cichu na to, że w końcu odpuści. Ale nie odpuściła po dziś dzień.

– Męskie pogadanki? – Kobieta unosi sugestywnie brew.

– Coś w ten deseń. – Wzruszam ramionami. – Dawno nie było mnie w Henderson.

– To zrozumiałe. Po co wracać do tej dziury, skoro możesz poświęcić czas na pielęgnowanie swojego związku – mówi z dumą mama.

Dokładam wszelkich starań, by na mojej twarzy nie pojawił się żaden grymas. Och, Chryste. Naprawdę trudno byłoby mi wytłumaczyć jej, na czym tak naprawdę polega moja relacja z Mercy Stone.

Jest naprawdę... pogmatwana.

– Jasne – wzdycham pod nosem. – Wyglądasz, jakby coś cię trapiło – zauważam.

Znam tę kobietę jak własną kieszeń, więc niemal od progu byłem w stanie wyczuć bijącą od niej dziwną obawę. Z każdą sekundą spędzoną w niewielkim pomieszczeniu jedynie utwierdzałem się w przekonaniu, że coś jest na rzeczy. Mrużę podejrzliwie oczy, nie spuszczać wzroku ze strudzonej twarzy mamy, która pociera nagle skroń.

– Och, to nic istotnego. – Macha wolną dłonią w powietrzu.

Moja brew szybuje w górę. Mama wypuszcza ze świstem powietrze, gdy nie przestaję wgapiać się w nią wręcz natarczywie. Mimochodem zerkam jedynie na zegarek na moim nadgarstku, by upewnić się, że do spotkania z ojcem mam jeszcze trochę czasu.

– Po prostu z Henderson zaczynają znikać dzieci. Te, które miały się u nas znaleźć, nagle rozpływają się w powietrzu. Policja bada sprawę, ale wszyscy to bagatelizują święcie przekonani, że miasto nasza masowa fala młodocianych samobójców. – W jej głosie słyszę przede wszystkim sceptycyzm. Mrugam powoli, trawiąc w duchu sens jej słów.

Odkąd mieszkam w Vegas, przestałem skupiać się na sprawach Henderson.

– Nie kombinuj, mamó. Wiesz, jakie bywają dzieciaki. Zwłaszcza osierocone.

– Nie wiem, Gabrielu. Może jest w tym jakaś słuszość – odpowiada po chwili.

Wstaję na równe nogi. Podchodzę do kobiety, kładąc dłonie na jej ramionach. Masuję je w uspokajającym geście, czując, jak spięta jest ta przekłeta pracoholiczka. Odetchnąwszy głęboko rześkim powietrzem wpuszczonym do pokoju przez otwarte okno, mówię:

– Jest. Skoncentruj się na tych, które masz pod opieką.

Kobieta kiwa głową. I mam nadzieję, że nie będzie kwestionować moich słów.

Kiedy docieram do niewielkiej knajpy na rogu ulicy, dostrzegam na zegarku godzinę, o której umówiłem się z ojcem na krótką rozmowę. Po tym, jak powiedziałem mu o wczorajszym pożarze, obaj

stwierdziliśmy, że musimy przedyskutować to wszystko w cztery oczy. W końcu to wcale nie musiał być zbieg okoliczności. Ja i Mercy jesteśmy osobami medialnymi. Może ktoś zwyczajnie chciał nas... wygryźć ze świata celebrytów?

Wzrok ojca wyłapuję już w momencie, w którym przechodzę przez próg sali. Zasiadam naprzeciwko mężczyzny i witam się z nim uściskiem dłoni. Edward Crade wygląda tak jak zawsze – idealnie skrojony garnitur i przenikliwe spojrzenie to jego wizytówka. Jeden z byłych najlepszych agentów w całym stanie Nevada posiada pewne pole manewru. To, o którym ja mógłbym tylko pomarzyć. Krzyżując spojrzenie z mężczyzną, zaczynam:

– Wiem, że musiałeś przełożyć jakieś spotkanie. Dzięki, doceniam to.

Jego wzrok pada na moje poharatane dłonie. Ojciec kiwa głową, odpowiadając od razu:

– Chciałeś wiedzieć, co o tym sędzę. Więc nie będę nic przed tobą ukrywał.

Mrużę oczy. Uważnie wsłuchuję się w jego spokojny jak diabli ton głosu. Nie spuszczaając wzroku z jego twarzy, uzmysławiam sobie, że tak naprawdę to właśnie ojciec jest jedyną osobą, która może wyciągnąć w moją stronę pomocną dłoń. A przynajmniej w tej kwestii. W końcu przejrzenie nagrań z miejskiego monitoringu nie powinno być dla niego czymś nierealnym.

Mężczyzna opiera przedramiona na powierzchni stolika. Jego westchnienie sprawia, że odzyskuję rezon:

– Sędzę, że show-biznes to pole bitwy, a wy jesteście na czymś celowniku.

## ROZDZIAŁ 13

Grymas szybko pojawia się na mojej twarzy, gdy tylko upadam z łoskotem na lód.

Widząc dłoń wyciągniętą przez patrzącego na mnie z wyraźnym politowaniem Rhysa, fukam pod nosem i podnoszę się do pionu bez jego pomocy. Byłam pewna, że w związku z tym, że odbywam dzisiaj ostatni trening przed świętami, mój trener okaże mi choć odrobinę litości. A tak to... Cóż. Tak to zastanawiam się, czy kiedyś wybaczy mi to, że parę dni temu wystawiłam go do wiatru i nie zjawiłam się na naszych zajęciach. Wylegiwanie się w łóżku z Gabrielem po ostatnich ekscesach wydało mi się po prostu bardzo potrzebne i odprężające.

– Musisz wykrzesać z siebie jeszcze trochę, skarbie. To ostatnia prosta – mówi Rhys.

– Szkoda, że nie ostatnia prosta przed zimowymi igrzyskami.

Opieram dłonie na biodrach, wypuszczając ze świstem powietrze. Rozglądam się po opustoszałej hali, przypominając sobie, że o godzinie dziesiątej rano rzeczywiście nie powinno być tutaj nikogo. Wszyscy sportowcy współpracujący z UnderScore trzymają się ściśle swojego grafiku.

– Święta za pasem. Będiesz miała okazję, żeby odrobinę odetchnąć. – Mężczyzna pociera dłonią moje ramię w geście pokrzepienia. – A teraz zmykaj na środek. Jak skończymy, przysięgam, że będzie na ciebie czekać coś przyjemnego – dokańcza uśmiechnięty.

– Masz dla mnie jakąś niespodziankę?

– Owszem. – Rhys kiwa głową. – Ale przed tym zrób jeszcze parę figur.

– Może jednak... – zaczynam z nadzieją, ale wyraz twarzy mojego trenera nie zmienia się nawet odrobinę. Sznuruję usta, przestępując z nogi na nogę. – W porządku, czaję.

Ruszam przed siebie wręcz męczeńsko, a dźwięk ścierającej się z taflą płozy sprawia, że odnajduję w sobie jeszcze trochę sił na to, by wykonać jedną z prostszych figur. Łądując na twardej powierzchni, mocniej ściskam swój długi warkocz, z którego zdążyły wydostać się pojedyncze kosmyki ciemnych włosów. Zaciągam się powietrzem, pocierając dłonią kark. Opuściwszy obie ręce wzdłuż tułowia, ruszam do przodu.

Szybko odnajduję rytm, który pomaga mi bez zbędnego problemu wykonać nienaganny piruet. Moje ciało porusza się mimowolnie, tak jakby znało na pamięć sposób, który zadowoli czujne oko Rhysa Dawsona. Kiedy tylko spełniam jego prośbę, przemykam szybko w stronę balustrady. Schodząc z tafli, nie ściągam jednak ciemnych rękawiczek.

Moje dłonie wciąż wyglądają okropnie, a ja nie potrzebuję szeregu pytań.

– Rhys? – pytam, rozglądając się za mężczyzną, który gdzieś zniknął.

Kręcę głową z politowaniem. *Pewnie zrobił mnie w balona*, myślę zbulwersowana.

Ściągam z nóg łyżwy, po czym wrzucam je do torby. Podnosząc się do pionu, nie spodziewam się odnaleźć spojrzenia Paula Powella, kuzyna Pearly, a także faceta, który w Nowym Orleanie dawał mi nieźle popalić. Moje oczy muszą przypominać kształtem przekłete pięciocentówki, gdy obserwuję uśmiechającego się mężczyznę.

Aż w końcu wpadam w silne ramiona.

– Luizjana ci już zbrzydła? – parskam dźwięcznie, czując, jak gładzi dłonią moje plecy.

– Chciałem przekonać się, jak wam leci w tej krainie rozpusty i hazardu. – W głosie Paula słychać prześmiewczą nutę. – Wpadłem w odwiedziny do Pearly, więc jestem tutaj tylko na chwilę. Podobno nie może zwlec się z łóżka od paru dni.

Odsuwam się nieznacznie od mężczyzny, by skrzyżować z nim spojrzenie. Nie muszę przyglądać mu się długo, by w głowie skryzalizował mi się wniosek, że mój były trener wygląda tak samo jak wtedy, gdy dawał mi wycisk na obskurnym lodowisku w Luizjanie.

– To nie ja ją uziemiłam. – Unoszę ręce w obronnym geście.

– Wierzę, Mercy. Prędzej podejrzewałbym o to Elliota.

Unoszę pomału kącik ust, by w końcu uśmiechnąć się szczerze. Ukradkiem patrzę na przyglądającego nam się Rhysa. Ma odrobinę ściągnięte brwi, a wzrok czujny. Wciskam dłonie do kieszeni skórzanej kurtki, którą w międzyczasie zdążyłam narzucić na ramiona, i przechylam leniwie głowę w bok, zwracając się do Dawsona:

– Będę ci potrzebna dopiero za dwie godziny, tak? – pytam.

Mężczyzna kiwa głową w geście zgody.

– Musisz naostrzyć płozy. Na razie hokeiści zajęli ci ostrzałkę. – W głosie Rhysa pobrzmiwa kpiąca nuta, którą puszczam mimo uszu.

Odkładam na trybuny torbę ze znajdującymi się w niej łyżwami. Nie ma sensu, bym je ze sobą taszczyła.

– Więc nic się nie stanie, jeśli pojedę z Paulem do Powellów? – upewniam się.

– Nie. Po prostu nie szwendaj się długo po mieście.

Skinieniem potwierdzam, że komunikat jest dla mnie zrozumiały. Jednocześnie oplatam palcami przegub Paula, dając mu tym samym znak, że możemy się zwijać. Jestem ciekawa, jak zareaguje Pearly na obecność swojego kuzyna w Las Vegas. W końcu oni też widzieli się ostatni raz parę miesięcy temu. Kiedy tylko udaje nam się pokonać długi korytarz, opuszczamy budynek lodowiska należącego do UnderScore. Wzdycham przeciągle.

– Już? Otarłeś łzy po ucieczce swojej ulubionej Mercy Stone? – rzucam drwiąco.

Paul kręci głową z nieukrywanym pobłażaniem. Posyła mi perlisty uśmiech.

– I z kim ja niby mam teraz chodzić na podbój Bourbon Street, hm?

Pilotem zdejmuję blokadę ze sportowego mercedesa. Wygodnie usadawiam się na miejscu kierowcy, wspominając w duchu główną ulicę w Nowym Orleanie. Matko, chyba nie zliczyłam teraz w głowie, ile razy zapuszczałam się w tamte tereny z kuzynem przyjaciółki.

– Spójrz na to z innej perspektywy. Wchodząc teraz do losowych knajp, możesz nazywać się mistrzem teksańskiego kłincza i nikt ci nie wmówi, że niezły z ciebie łgarz. W końcu prawdziwa mistrzyni grzeje tyłek w stolicy hazardu...

Puszczam mu oczko, na co Powell prycha pogardliwie. Opiera zgiętą w łokciu rękę na drzwiach samochodu, kiedy wciskam kluczyki do stacyjki. Chwilę później wyjeżdżam z parkingu przy lodowisku.

– Szlag, napompowali ci tutaj ego – kwituje dziarsko mężczyzna. – Ale ten Rhys chyba też trzyma cię w ryzach, co? – Czuję, że Paul przygląda mi się badawczo, ale nie spuszczam wzroku z jezdni. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcam w prawo, w kierunku najbogatszej dzielnicy w Las Vegas.

Wypuszczam powolny oddech i stwierdzam krótko:

– Nie umniejszając tobie, robi to nawet bardziej jawnie i przesadnie.

– Przekonamy się na zimowych igrzyskach, czy coś z tego wyniknie. – Wzrusza ramionami Paul. – Jeszcze tylko miesiąc z hakiem. Jak się z tym czujesz? W gruncie rzeczy to nie byle jaki konkurs, tylko wydarzenie, które obejrzy naprawdę sporo ludzi.

Mrużę delikatnie oczy, trawiąc w duchu sens słów mężczyzny. Ostatnio nie myślałam za dużo o mojej próbie siły, jak zwykłam nazywać zimowe igrzyska olimpijskie, które miały rozpocząć się na początku lutego. Wypierałam z głowy świadomość, że mój wyjazd do Kolorado zbliża się nieubłaganie. Jediną wiązką światła w tym ciemnym tunelu był fakt, że udało mi się podjąć decyzję, która z piosenek będzie stanowiła tło dla mojego występu na lodzie.

– Jestem gwiazdeczką UnderScore, Paul. Przywykłam do tego, że ludzie na mnie patrzą.

Z tymi słowami skubię w zamyśleniu zębami wargę.

– Och, w takim razie lepiej, żebyśmy pokonali Vegas niezauważeni.

Wyłapując w jego głosie prześmiewczą nutę, unoszę zaczepnie brew.

– Niby z jakiej racji? – pytam odrobinę zbita z tropu.

– Skoro jesteś w centrum uwagi, ktoś mógłby podkablować Diabłu, że ma konkurencję – rzuca z fałszywym przekąsem Powell. –

Myślisz, że mistrz świata skopałby mi dupę tak, że nie mógłbym zwlec się z maty już w pierwszej rundzie? – Spogląda na mnie sugestywnie, na co parskam cichym śmiechem. Dociskam pedał gazu, orientując się, że zaraz będziemy na miejscu.

– Myślę, że Gabriel ma trochę pary w tych wydziaranych rękach.

– Z ciekawości obejrzałem jatkę z Phoenix. – Paul sznuruje usta w wąską kreskę. W momencie, w którym parkuję samochód przed rezydencją Powellów, dodaje: – Cieszy mnie fakt, że zamiast wianka ochroniarzy masz jednego silnego kochasia. To chyba porównywalna tarcza obronna. – Wyciera nieistniejący pot z czoła, wysiadając z auta.

Mój kącik ust szybko się unosi. Idę śladem mężczyzny i zwlekam się z fotela kierowcy. Zamknąwszy samochód, ruszam za nim w stronę posiadłości Eleanor i Marka. Pierwszym, co rzuca mi się w oczy, jest charakterystyczny, mansardowy dach, wysokie kolumny oraz rząd drzew otaczający willę. Paul nie sili się na uprzejmość. Wchodzi do budynku jak do siebie.

– Gdzie jest ta rockmanka, co? – pyta na wstępie, dostrzegając w oddali Eleanor.

Kobieta kręci głową z politowaniem. Wciąż nie przyzwyczała się najwyraźniej do myśli, że jej córka uwielbia rocka, albo, co gorsza, gra w zespole, który tworzy piosenki związane właśnie z tym gatunkiem muzycznym. Uśmiecham się, widząc, że pani Powell ściska syna swojej siostry. Ta rodzina jest ze sobą naprawdę zżyta.

– Chciałem rockmankę, ale pani bizneswoman też może być – sarka Paul.

– Pearly złapała jakieś choróbsko – tłumaczy kobieta. – To pewnie przez te próby... – dodaje nieco ciszej, wywracając teatralnie oczami.

– Cześć, Mercy. Matko, jak dobrze, że odwlekałaś tak długo w czasie tę niepotrzebną wizytę w ruderze, gdzie to stado dzikusów urządza sobie ćwiczenia. Słyszałam wczoraj, że dwa dni temu cały budynek zajął się ogniem...

Zagryzam wnętrze policzka. Słowa Eleanor uderzają we mnie jak pieprzony huragan, ale zachowuję pokerową minę. Nie pozwalam, by moja twarz przeniknęła chociażby jedną emocją, kiedy ściągam w zdumieniu brwi, odpowiadając niemal od razu:

– Reszta zespołu miała wtedy wolne, tak? – upewniam się, choć znam prawdę.

Eleanor wzrusza ramionami, obserwując mnie z troską wymalowaną na twarzy.

– Najpewniej – ucina temat. – Swoją drogą to cud, że mam was tutaj oboje. Zawsze macie jakieś wytłumaczenia, a to sesja, a to kampania reklamowa, trening czy napięty grafik – zwraca się do mnie, po czym przenosi wzrok na Paula. – Albo brak połączeń lotniczych do Vegas. Wiesz co? Mógłbyś zmienić śpiewkę, ta już jest przegadana.

Uśmiecham się, tłumiąc w sobie pogardliwe prychnięcie. Zamiast tego ruszam w stronę spiralnych schodów, które prowadzą na piętro. Przemierzając cholernie przestronną antresolę, wzrok mam utkwiony jedynie w solidnych, mahoniowych drzwiach, które otwieram prawie od razu. Pearly brzdąkająca na gitarze elektrycznej jest zielona na twarzy i wygląda jak ostatnia łajza. Ożywia się jednak tak szybko, jak dostrzega mnie i swojego kuzyna.

– No w końcu kogoś wywiało z tej wietrznej Luizjany – wzdycha wymownie, zwlekając się z szarego pufa. Kiedy myślę, że rudowłosa przyjaciółka podejdzie do szczerzącego się Paula, by się z nim przywitać, ona przysiada na stole znajdującym się naprzeciwko nas. Ja natomiast uzmysławiam sobie, że zwyczajnie woli nas niczym nie zarazić.

– Wow, kuzynko, skąd ten pretensjonalny ton? – Mężczyzna wsuwa dłonie do kieszeni spodni, unosząc prowokująco lewą brew. – To wy pewnego dnia stwierdziłyście, że, och, jak świetnie byłoby podbić świat. Najlepiej zacznijmy od Vegas, w końcu jest teraz takie na topie.

– Hej, nie było tak. – Gromię go wzrokiem. – Nie zgrywaj męczennika.

Paul siada na krańcu dużej sofy znajdującej się po drugiej stronie przestronnej sypialni, w części dziennej. Pokój Pearly jest ogromny, składa się z dwóch połączonych ze sobą łukowatym przejściem pomieszczeń. Usadawiam tyłek obok mężczyzny, kładąc wyprostowaną rękę na oparciu mebla. Zaciągam się nosem, podczas gdy dziewczyna mruży oczy.

– W gruncie rzeczy mamy tutaj jedną świruskę podbijającą świat.  
– Twarz przyjaciółki rozjaśnia kpiący uśmiech, a jej nasiąknięte sugestią spojrzenie wręcz wypala mi skórę. – A to, że Vegas wciąż jest trendem... Ot, to niepisana nigdzie zasada. Więc ściągnij klapki z oczu, Mer. Chociaż nikt nie powiedział tego w Nowym Orleanie na głos, wszyscy wiedzieli, jak to się skończy. Ale fakt, Paul, nie bądź ciotą. – Pearly wzrusza ramionami.

Kuzyn łypie na nią spode łba, na co ściągam brwi w politowaniu.

– Gdybym był ciotą, nie pisałbym do Inferno, by jeden z ich przydupasów dbał o...

Zamieram, chwytając się za serce. *Co, do kurwy nędzy?*, przechodzi mi przez myśl.

– Och – wykrztusza z siebie nagle Pearly, przerywając mężczyźnie.

– Chyba nie jesteś świadomy tego, że ludzie z tego klubu tak naprawdę najchętniej obdarliby ją ze skóry, a już zwłaszcza Mayson.

– W głosie dziewczyny słyszę prześmiewczą nutę, którą choć chcę puścić mimo uszu, nie umiem tego zrobić. – Swoją drogą musisz dorównać swojemu wybrankowi. On zdobył mistrzostwo, więc ty weź sobie na celownik olimpijskie złoto.

– Skoncentruj się na swoim koncercie. Chyba się zbliża, hm? – ucinam temat.

Pearly napiera zębami na wargę, zaciekle nad czymś kontemplując.

– Wiesz, tak jakby jesteśmy teraz bez dachu nad głową. Chyba będziemy musieli wystąpić do władz miasta o nowe lokum, gdzie będziemy mogli odbywać próby i grać koncerty – tłumaczy dziewczyna, a w jej głosie przeważa smutek, który jestem w stanie zrozumieć. – Czytałam, że w Vegas funkcjonuje program dla młodych i ambitnych twórców, więc może...

Wyłączam się na moment. Spoglądam w martwy punkt przed sobą, a nieodparte wrażenie, jakby parę dni temu zawisła nade mną jakaś cholerna klątwa, trzyma się mnie jak pieprzony rzep nawet wtedy, gdy niecałe dwie godziny później wracam sama na lodowisko.

Rozglądam się wokoło, ale nie dostrzegam żywej duszy. Zamiast tego orientuję się, że to na hali skupiają się wszyscy sportowcy i ich trenerzy. Z niesmakiem patrzę w stronę ćwiczących hokeistów.

Nigdy jakoś szczególnie za nimi nie przepadałam. Wszyscy, z którymi miałam do czynienia, zachowywali się jak cholerne bufony. Mimo wszystko bezdźwięcznie udaje mi się zgarnąć z trybun sportową torbę ze swoim ekwipunkiem, po czym kieruję się w stronę niewielkiej klatki na najwyższym piętrze budynku.

Tej, w której znajduje się ostrzałka. Mknąc jednak przez przedsionek instynktownie spoglądam nieco w prawo. Dostrzegając wysoką ściankę wspinaczkową i przywierającego do niej całym masywnym ciałem Rhysa, mrużę podejrzliwie oczy. Zamiast w kierunku komórki na końcu korytarza ruszam w stronę mężczyzny.

Przechodząc przez próg sali, wołam:

– Mam taką w posiadłości! Trochę niższą, ale jak potrzebujesz wrażeń, wpadaj do mnie.

Rhys odwraca głowę przez ramię, by omieść wzrokiem moją twarz. Ani na moment nie puszcza uchwytów, mimo tego, że na jego ciele tkwi uprząż. Zadzieram hardo brodę. Nie wiedziałam, że na piętrze lodowiska znajduje się przekłeta ścianka wspinaczkowa. Cóż, do niedawna nie wiedziałam, że mam podobną u siebie w rezydencji. Podobno był to kaprys biznesmena, który zlecił zamontowanie jej podczas budowy posiadłości.

– Gdybym potrzebował wrażeń, wkurzałbym tę siksę od hokeistów – odpowiada z przekąsem, wspominając młodą kobietę, która trenuje całą chmarę obłąkanych małp. – Już w Nowym Orleanie miałem po dziurki w nosie tego jej zrządzenia i napędzania afer, za które mi się obrywa. – Rhys zaczyna schodzić ze ścianki, ale szybko zmienia temat: – Masz łyżwy?

– Mam. Możesz pobawić się w specja od sprzętu.

Mężczyzna po chwili staje tuż przede mną. Ściąga uprząż i zawiesza sobie na ramieniu moją torbę. Szybkim krokiem ruszamy w kierunku przedsionka, który doprowadzi nas do ostrzałki. Swoją drogą ostatnio niebywale popularnej. Dobicie się do niej graniczy z cudem. Kiedy docieramy do właściwego pomieszczenia, Rhys zasiada przed maszyną, zaś ja zajmuję miejsce na krześle tuż przy niewielkim stoliku i leżących na nim szpargałach.

– Najwyższa pora naostrzyć to ustrojstwo. Chyba utrudnia wybicie, co? – Dawson wyciąga ze sportowej torby jedną z czarnych,

sztynnych łyżew. Ogląda ją, po czym mruży nieznacznie oczy w geście zastanowienia. – Pokombinuję z tym badziewiem.

– UnderScore wydało na nie krocie – zauważam słusznie, a mój kącik ust się unosi, gdy Rhys jeszcze przed uruchomieniem ostrzałki po prostu kręci głową w geście politowania, jakby wątpił w to, czy suma wydana na sprzęt była w tym przypadku piekielnie bolesna dla agencji.

– Ace powinien zaraz wpaść. Musi przekazać nam informacje dotyczące warunków twojego udziału na igrzyskach. – Słyszając słowa mężczyzny, odzyskuję rezon. Westchnienie mimowolnie ulatuje z moich ust. Szlag by to. Wolałabym uniknąć tej konfrontacji.

– Caleb nie może przytaszczyć tutaj czterech liter? – bąkam niedbale.

– Podobno Rachel jest w biurze, więc... jest po prostu uziemiony, okej? – Rhys nie kryje współczucia, które wyłapuję w sposobie, w jaki akcentuje ostatnią część swojej wypowiedzi.

Opieram przedramiona na chłodnym stole, próbując odnaleźć w sobie siłę na kolejne spotkanie z Ace'em Crawfordem. Wright ostatnio mówił mi o nim sporo. Między wierszami sprawozdania, które zdawał mi na jego temat, znalazło się całkiem dużo superlatywów.

Ace podobno wciąż był pilotem. W UnderScore jedynie sobie dorabiał, a większość dnia spędzał w ośrodku lotniczym na obrzeżach Vegas, który odwiedziłam z Gabrielem w tamtym tygodniu. Zazwyczaj nie koncentrowałam się na bzdurnych wywodach Caleba, ale chwilami jego gadki same włąziły mi do głowy niczym nieproszeni goście.

– Mercy, ręka mi, do diaska, zaraz ściernie.

Unoszę wzrok z powierzchni blatu. Przechyliwszy odrobinę głowę, dostrzegam czarną łyżwę, którą podaje mi Rhys. Odbieram ją od niego, po czym odkładam na blat. Dźwięk ostrzałki ponownie rozbrzmiewa w niewielkiej klitce. Drugą łyżwę otrzymuję po chwili.

– Idę po swoje. Nie zaśnij mi tutaj, jutro będziesz mogła wylegiwać się do południa. – Mężczyzna mruga do mnie porozumiewawczo, zanim wychodzi z niewielkiego pokoju.

Pocieram dłonią kark, by się jakkolwiek rozluźnić. Rzeczywiście potrzebuję dnia wolnego. Przymknąwszy na moment powieki, przestaję rejestrować, co dzieje się wokół mnie.

Dotyk silnych dłoni przesuwających się wzdłuż obojczyków sprawia, że z moich ust wypada pojedyncze tchnienie. Nieco chropowata skóra wysyła po moim ciele cały huragan dreszczy, ale idące wraz z nim nieprzyjemne uczucie duszności wypełniające nagle obficie płuca jest powodem, dla którego uchylam nagle powieki. Na palcu osoby znajdującej się za mną nie dostrzegam tatuażu przedstawiającego rzymski zapis cyfry *cztery*.

Instynktownie podnoszę się do pionu. Od razu wyłapuję błysk szarych tęczówek.

– Musisz odsapnąć, nie jesteś w formie – stwierdza Ace.

Zaciskam szczękę. Żołądek kurczy mi się nagle do maleńkich rozmiarów, bo mężczyzna bada czujnym wzrokiem moją beznamietną twarz. Nie wygląda, jakby był z siebie zadowolony. Nie wygląda nawet, jakby usatysfakcjonowała go świadomość, że wytrącił mnie z równowagi. Chrząkam nieznacznie, poprawiając poły swojej skórzanej kurtki. Nie mogę ufać powierzchownym wrażeniom. Crawford wie, jak maskować intencje. Wie nawet, jak pozostać absolutnie nieczytelny dla osób, które mają z nim do czynienia.

Zadzieram nos i odpowiadam:

– Podchodzenie do mnie chociażby na metr powinno być ostatnim, co przychodzi ci na myśl – rzucam wciąż zdumiona tym, jak bezczelny potrafi być ten facet.

Wzdrygam się mimowolnie, jakby jego dłonie wciąż spoczywały na materiale mojej czarnej kurtki. Crawfordowi nie umyka ten fakt. Przesuwa kciukiem wzdłuż grzbietu nosa, zwieszając głowę. Wydaje się przy tym skruszony, pokorny, absolutnie zdolny do tego, by wydusić z siebie najzwyklejsze w świecie „przepraszam”.

– Rezygnuję z dalszych prób wikłania cię ze sobą w jakąś relację. Musisz wiedzieć, że akceptuję twoją decyzję, Mer. – Unosi wzrok, a w momencie, w którym nagle krzyżujemy spojrzenia, czuję, jakby gdzieś w piersi osiadł mi stutonowy głąz. – Zwyczajnie... zależy mi na tym, by wypełniać swoje obowiązki tak, by UnderScore było ze

mnie zadowolone. By tak było, muszę się z tobą porozumiewać na płaszczyźnie czysto zawodowej. Tylko takiej.

Mimowolnie rozchyłam usta, ale nie wypada z nich nawet zwykłe westchnienie. Wciskam łądzwie w krawędź stolika, przesuując dłonią wzdłuż policzka, by zaczesać kosmyk włosów za ucho. Nie przestaję patrzeć na Crawforda, który opuszcza bezwiednie rękę wzdłuż tułowia. Nie mam zamiaru udawać, że jestem przekonana co do jego szczerych intencji.

– Nie oczekuj ode mnie niczego. Każda twoja prośba skierowana w moją stronę to pobożne życzenie, wiesz? – Zwęzłam złowrogo oczy.

– Chcesz stworzyć między nami jakąś nić porozumienia? Miłego marnowania energii, bo ja nie chcę być dla ciebie nawet kumpelą z pracy. Traktuj mnie tak, jakbym była niewidzialna – mówię rozkazująco.

– To ja pociągam za sznurki wyjazdu na igrzyska. To ja tym koordynuję razem z Calebem i Rhysem – odpowiada Ace ze spokojem zupełnie tak, jakby miał świadomość tego, że w końcu mnie złamie, a ja stwierdzę na głos: „tak, możemy się kumpłować”.

– Sądzisz, że z tego powodu zacznę zgrywać potulną owieczkę? – pytam kpiąco.

Kręcę głową z politowaniem. *Co za farsa*, przechodzi mi przez myśl, kiedy zaczynam nakładać na płozy specjalne ochraniacze, a później wrzucam je ostrożnie do sportowej torby.

– Nie musisz być potulna. Bądź... mniej ofensywna.

Zaciskam usta w kreskę cieką niczym kartka papieru, zawieszając pasek od torby na barku.

– Każde przyznanie ci na głos, jak kurewsko mocno cię kocham, było najgorszą brednią, jaka mogła wyjść z moich ust – wypalam zimno. – Było nią, bo tak cholernie beznadziejnie jest wpierv wyrwać sobie z piersi serce, podczas gdy ktoś, kto je otrzyma, wyrzeknie się go przy najbliższej okazji. – Połykam powietrze. – Chcesz łaski, więc możesz sobie na nią popatrzeć. Jest nieubłagana i spójrz, sam zauważyłeś, że cholernie ofensywna.

Jabłko Adama mężczyzny drży nieznacznie, gdy ten obserwuje mnie w skupieniu. Wciskam dłonie do kieszeni, ruszając w stronę przedsionka. Wpadając na Rhysa, nie silę się na szeroki uśmiech czy

na zwykłe podziękowanie mu za naostrzenie łyżew. Po prostu kieruję się przed siebie, a w głowie kiełkuje mi ta relaksująca świadomość, że resztę tego dnia i jutrzejszy spędzę w samotności. W swojej własnej, opustoszałej twierdzy.

Kiedy parę godzin później przeciągam się na jednym z leżaków znajdujących się w przestronnym patio wewnątrz posiadłości, jest już szósta. Unosząc wzrok znad książki znalezionej w jednym z kartonów, rozglądam się po pomieszczeniu wyłożonym marmurową posadzką. Kończy się ona dopiero w miejscu, w którym zaczyna niewielki, okrągły basen. Za nim znajduje się przejście na siłownię, gdzie zaś stoi niewysoka ścianka wspinaczkowa.

Zmęczona opieram się o oparcie leżaka i wypuszczam ze świstem powietrze. Nie mam bladego pojęcia, co podkusiło mnie, by zdecydować się na zakup tak wielgachnej willi. W końcu, jakby nie patrzeć, jestem samotniczką z cholernego wyboru.

Słyszając nagle nieco stłumiony dźwięk silnika, podnoszę się do siadu, a następnie wstaję. Patio połączone z siłownią znajduje się w zachodnim skrzydle rezydencji, więc zamiast kierować się w stronę korytarza, ruszam w stronę ogrodu, skąd już bardzo dobrze słyszę odgłosy dochodzące z ulicy. Stąpając boso po betonowych płytach wbitych w trawnik, docieram przed garaż.

Widząc za bramą znajomego lexusa, przyciskam odpowiedni guzik na panelu.

– Strzelam, że byłeś w Inferno – mówię ze spokojem, gdy stojąc z założonymi pod biustem rękami, spoglądam w stronę Gabriela wysiadającego z auta.

Ma włosy roztrzepane na cztery strony świata i idealnie wyprasowaną, czarną koszulę z dwoma odpiętymi pod linią kołnierza guzikami. Od razu mogłabym stwierdzić, że to gwiazda.

As tkwiący w rękawie Maysona.

– Skąd ten strzał? – Mężczyzna podchodzi do mnie leniwym krokiem.

– Dzwonił do mnie Ethan z zapytaniem, czy to przeze mnie spóźniasz się na trening. – Wydymam cnotliwie dolną wargę, podczas gdy Gabriel wzdycha ciężko. – Trzy godziny temu wydawał

się naprawdę skory do tego, by nie puścić ci tego płazem i tym razem wykopać z klubu bez możliwości powrotu na miejsce, na którym grzejesz tyłek, panie *naiwnie wierzący w to, że nigdy się nie doigra*. – Dźgam go palcem w pierś, zanim rusza w stronę posiadłości. Rzecz jasna od razu podążam za nim.

– Wybroniłaś się od tych pomówień? – pyta, wciskając dłonie do kieszeni spodni.

Przesuwam wzrokiem po jego umięśnionych plecach ukrytych pod materiałem koszuli. Nic nie mogę poradzić na fakt, że mimowolnie wyobrażam sobie, jakby materiał miał się nagle rozpuścić w powietrzu. Na pewno zobaczyłabym nad jego łopatką kawałek skrzydła kruk.

– Och – wykrztuszam z siebie. – Zapowiedziałam, że wytłumaczę ci definicję „priorytetowych treningów, na które Diabeł powinien docierać na czas”. – Wywracam teatralnie oczami, aż w końcu docieramy do patio. Gabriel siada na moim leżaku, chwytając w dłoń lekturę, w której zanurzyłam się przed jego przyjazdem. Mruży dociekliwie oczy.

– Tak zamierzasz spędzić święta? Z książką w pustej, wielgachnej willi? – pyta, puszczając mimo uszu moje wcześniejsze słowa.

Dopiero po chwili krzyżujemy spojrzenia. W grafitowych oczach wyłapuję coś na kształt dziwnego zaintrygowania, którego genezy wolę nie dociekać. Zamiast tego zasiadam na leżaku obok, podkurczając stopy do pośladków.

– Właściwie dlaczego nie jesteś jeszcze w Henderson? – odbijam piłeczkę.

– Nie miałem nawet zamiaru tam jechać. Rodzice nigdy nie nastawiają się na to, że spędzimy ten dzień wspólnie – odpowiada mi po chwili, po czym wyciąga z kieszeni telefon. – Do kiedy masz wolne od treningów? – pyta po krótkiej chwili namysłu, na co unoszę brew.

– W czwartek wracam na lód. Zbliżają się igrzyska, więc nie mogę sobie folgować. – Wzruszam ramionami, naciągając na dłonie materiał białego swetra.

Instynktownie spoglądam na przymknięte drzwi balkonowe prowadzące na ogród. Niebo szarzeje jeszcze bardziej z każdą

upływającą minutą, a zimne, grudniowe powietrze staje się jeszcze lepiej wyczuwalne.

– Więc... mamy tylko dzisiaj i jutro – stwierdza nagle Gabriel.

– Mam przecucie, że Mayson przyłożył ci za to spóźnienie i dlatego tak bredzisz. – Kręcę głową z pobłażaniem, a mój kącik ust jakby samowolnie się unosi, by przerodzić się w słaby uśmiech. Gabriel, odwzajemniwszy ten gest, powraca spojrzeniem do wyświetlacza telefonu. Sposób, w jaki ściąga nieznacznie brwi, podpowiada mi, że zaciekle nad czymś myśli.

– Nie masz pojęcia, jak żałowałem tego, że nie pisnęłaś słowem o tym, że będziesz na mistrzostwach w Phoenix – odzywa się nagle.

Za sprawą jego tajemniczego tonu kotłuje się we mnie milion wątpliwości, których ujarzmienie, cóż, graniczy z pieprzonym cudem.

– Och, wiesz, jakie to było bezmyślne? Dobrze, że w tłumie wyhaczyła mnie tylko Josephine – bąkam pod nosem, wspominając swoją przeklętą konspirację. – Ale tak właściwie... Co zmieniłby fakt, gdybym przyznała ci się wcześniej do tego, że wybieram się na mistrzostwa świata, hm? – Instynktownie prostuję się nieco, obserwując mężczyznę.

Gabriel odwdzięcza mi się tym samym. Pozostaje absolutnie poważny, gdy mówi:

– Wtedy świętowałbym tam swój sukces z kimś, z kim chciałem robić to kiedyś.

Gardło w zatrważająco szybkim tempie schnie mi na cholerny wiór. Moje stopy dosięgają posadzki, gdy siadam prosto, opierając skostniałe dłonie na krawędzi leżaka. Wciskam je w mebel tak mocno, że zaczynam obawiać się, czy nie połamię sobie zaraz paznokci. Powoli wstaję. Moje ruchy nie są pełne gracji, kiedy podchodzę do mężczyzny.

– Za rok są kolejne mistrzostwa? – pytam, usadawiając się na jego kolanach.

Gabriel kładzie wytatuowaną dłoń na moim odkrytym udzie. Widok dziary przedstawiającej rzymski zapis cyfry cztery na jego palcu wprawia mnie w dziwny stan niezachwianego spokoju. Oddech więźnie mi na moment w płucach, gdy czuję, że jego lodowate usta

przywierają do mojej linii szczęki, suną nieco w dół i docierają w okolice krtani.

– Nie muszę tego wiedzieć – szepcze mi prosto w żuchwę, kiedy śmiało przesuwam palcami po jego karku, uśmiechając się przy tym powabnie.

Moje serce topi się pod wpływem pieszczoty, jaką raczy mnie Gabriel. Podkurczam palce u stóp, gdy zsuwa z mojego ramienia materiał swetra. Dotyk jego warg na odkrytej skórze sprawia, że tracę na moment rezon.

– Ale ja muszę – wykrztuszam z siebie. – Muszę się zrehabilitować. I to podwójnie.

– Zrób to dzisiaj. – Gabriel na moment odsuwa się nieznacznie. – Jedźmy do Phoenix świętować fakt, że zostałem mistrzem. – W jego oczach majaczą psotne iskry, których widok powoduje, że po każdym skrawku mojego ciała rozlewa się dziwne napięcie.

Przylegam do niego raptowniej, jakbym zaraz miała upaść na twardą posadzkę. Gabriel okręca sobie wokół wytatuowanego palca jeden z kosmyków moich czarnych włosów. Jest przy tym poważny jak diabli, co uzmysławia mi, że, och.

Chce, żebyśmy podbili Arizone.

– A co, jak przyłapią nas fani? – Składam niewinnie usta w ciup.

– Będziemy cholernie nieuchwytni – zapewnia mnie od razu, mocniej zaciskając dużą dłoń na moim udzie. Jego zachrypnięty głos wypiera ciszę z patio i sprawia, że dziwne pobudzenie kumuluje się nagle gdzieś w moim ciele. – Mogę cię zabrać nawet na przekłete lodowisko, jeśli tylko któreś wpadnie ci w oko. W Phoenix na pewno jakieś mają.

Parskam śmiechem, podnosząc się z lekkim trudem do pionu.

– Jako kobieta mistrza powinnam się odstawić? – Zakładam dłonie na biodrach.

– Weź czerwoną kieckę. Tę, którą miałaś na występie w parku. – Gabriel przesuwam kciukiem wzdłuż ostrej linii szczęki.

Jego oczy uważnie taksują moją nieprzeniknioną żadną emocją twarz. Cisza nagle zalewa pomieszczenie, kiedy robię parę kroków w kierunku korytarza prowadzącego w stronę wielgachnej garderoby, w której trzymam ciuchy na pokazy.

Docieram do przestronnego pomieszczenia i niemal od razu dostrzegam głęboki kolor sukienki. Przypomina on burgund. Odkładam kieckę na mahoniowy stół, po czym, spróbowałam przeciągnąć przez głowę biały sweter, czuję nagle duże dłonie na odkrytym brzuchu. Instynktownie odchylam głowę do tyłu, by oprzeć ją na twardej piersi. Oddech Gabriela rozbija się gdzieś w okolicach przestrzeni za moim uchem.

– Kiedy mnie zaprosisz? – pytam nagle, przesuwając paznokciem po jego knykciach. Zwieszając odrobinę głowę, jestem w stanie przyjrzeć się naszym splecionym dłoniom. Wciąż są pełne szram, które znikają w bardzo powolnym tempie. – Chyba nie sądzisz, że Ethan dzwonił do mnie tylko po to, żeby dociec, co się z tobą dzieje, co? – W moim głosie pobrzmiwa rozbawienie.

Uścisk Gabriela jakby instynktownie staje się silniejszy. Moje ciało wydaje się absolutnie bezwładne w obliczu sposobu, w jaki mężczyzna nim kieruje.

– Zgaduję, że powiedział ci o piątej rocznicy istnienia Inferno – odpowiada po chwili. Moje milczenie traktuje jako odpowiedź twierdzącą. – Więc... na pewno chcesz tam iść ze mną? Jakby nie patrzeć, to terytorium wroga, pani Stone.

Dłoń Gabriela wyswobadza się z uścisku. Wędruje wyżej, aż do przestrzeni pod moim biustem. W momencie, w którym wytatuowany palec znika pod materiałem czarnego biustonosza, przestępuję z nogi na nogę.

– Podobno Diabły się albo kocha, albo nienawidzi. – Odwracam się, by spojrzeć prosto w grafitowe oczy, w których czai się złowroga iskra. Gabriel, unosząc wyzywająco brew, podaje mi burgundową sukienkę. – Chętnie sprawdzę, jakie ja mam o nich zdanie.

# ROZDZIAŁ 14

## GABRIEL

Phoenix jest dzisiaj niewiarygodnie głośne.

Z powagą wymalowaną na twarzy wpatruję się w idącą parę metrów przede mną Mercy. Jej długa, czerwona kiecka z asymetrycznym wcięciem z przodu lawiruje w powietrzu, smagając raz po raz mijanych przez kobietę przechodniów. Aż w końcu Mercy odwraca głowę przez ramię, by unieść wyzywająco brew i spojrzeć na mnie z wręcz namacalnym wyrzutem.

– Tak, wpadnie do Inferno na rocznicę – powtarzam Maysonowi, chcąc jak najszybciej uciąć tę rozmowę. – Nie musiałeś chwytać byka za rogi. Sam bym to przecież załatwił. Masz coś jeszcze ze mną do obgadania? Jakby nie patrzeć, zawracasz mi głowę w czasie przerwy.

– Oboje jesteśmy świadomi tego, że musiałem zainterweniować – odpowiada Ethan.

Mercy marszczy gniewnie nos, narzucając na ramiona czarne futro. Jej usta pozostają lekko rozchylone, gdy przesuwa wzrokiem po wysokich budynkach w centrum Phoenix. Ludzie mijają nas tutaj bez większego zainteresowania. Nie wydają się skorzy do tego, by psuć nam wycieczkę do Arizony pytaniami o zdjęcia czy autografy. Wzdycham ciężko.

– Po prostu chcesz podczas imprezy zaserwować jej wywód, dlatego świetność Inferno nigdy nie przeminie. Zwyczajnie ubezpieczyć ją w wiedzę, która, zapewniam cię, spłynie po niej jak woda po pieprzonej kaczkę – mówię ze znudzeniem, świadomy intencji własnego trenera. Szlag, to przecież oczywiste, że Ethan chce jej wbić do głowy, jak mało słuszności tkwiło w jej słowach wypowiedzianych podczas feralnej gali.

– Mercy Stone musi zrozumieć, że jej przekonania są...

– Idź pomóc Marie ogarniać dom – przerywam mu, po czym mamrotam krótkie życzenia świąteczne i kończę połączenie, mając na uwadze fakt, że Mayson prawdopodobnie nigdy nie odpuści kobiecie patrzącej aktualnie na mnie wilkiem jej wybryku sprzed miesiący.

Mercy wciska dłonie do kieszeni futra, przechylając mozolnie głowę w bok. Zielone oczy iskrzą jej niebezpiecznie, a zawieszony nad jej głową neonowy szyld pozwala mi dojrzeć, jak blada jest jej cera.

Mercy wydyma cnotliwie dolną wargę, pytając:

– Już? Odciałeś się od pracy, czy mam poszukać w sobie jeszcze więcej pokładów cierpliwości? – W jej głosie słyszę fałszywą pretensję.

Mercy podchodzi do mnie wolnym krokiem niczym drapieżca do zwierzyny. Patrzę na nią z beznamiętną miną, dopóki nie oplata smukłymi, poharatanymi palcami mojego przegubu.

– Oboje wiemy, że nie masz w sobie ich za wiele – odpowiadam ze spokojem.

– Dlatego jeśli ten gość zadzwoni do ciebie znowu, nic nie powstrzyma mnie przed wrzuceniem tego cholernego telefonu do Saguaro. – Uśmiech, który klaruje się na jej twarzy, jest diabelsko wyzywający. – O boksie możecie pogadać sobie w czasie treningów.

Nie uświadamiam jej, że nie gadaliśmy wcale o sporcie. Zamiast tego milknę, pozwalając, by uznała, że rzeczywiście wywarła na mnie presję. Mój kącik ust mimowolnie się unosi. Ta kobieta wielbi siał ferment. Zrozumiałem to już w dniu, w którym ponad dwa lata temu wtargnęła do klubu bokserskiego Elijaha Wooda.

– Rzeczywiście słabo wyszło. No wiesz, w dniu, w którym wygrałeś – mówi nagle Mercy. Zwieszam nieco głowę, by odnaleźć drogę do jej niegasnących oczu. Są intensywnie zielone, nieprzeniknione żadną, nawet pojedynczą emocją.

W końcu pytam zaciekawiony:

– Słabo? – Ściągam nieznacznie brwi.

– Przespaliśmy noc, w którą powinieneś hucznie świętować swój wielki sukces – tłumaczy zwięźle. – Mogłam to inaczej rozegrać. Może nawet upiec ci tort? – Wzrusza nieśpiesznie ramionami. –

Byłeś wykończony, to fakt, ale wiesz, chyba powinnam być bardziej... ekstrawagancka? – Kobieta nie kryje niezadowolenia.

– Masz do siebie pretensje, bo zabrakło fajerwerków? – parskam rozbawiony.

Mercy wydyma wargę, spoglądając w martwy punkt przed sobą. Również odwracam głowę, by dostrzec w oddali zejście na prom, który znajduje się na Saguaro. Ludzi jest na nim niewiele. Rejs tego typu to raczej zachcianka zamożnych bufonów, których w Phoenix nie ma zbyt dużo.

Zaciągam się rześkim powietrzem, po czym mówię:

– Nie zaczep się kiecką, gdy będziemy wchodzić.

– Mam oczy dookoła głowy – oponuje Mercy. – I, tak mi się przypomniało, sądziłeś, że naprawdę nie wyłapałam cię w tłumie, kiedy wszedłeś na przekłęty dach podczas gali? – mówi z kpiną, ale to jej słowa wprawiają mnie w dziwne zrezygnowanie.

– Miałaś wywiad. Patrzyłaś na tego fagasa, więc tak... Tak właśnie myślałem – odpowiadam absolutnie szczerze, gdy wchodzimy na prom, a pod stopami czuję jedynie twarde deski. Od razu kierujemy się w stronę przedniej części ogromnej powierzchni.

Jakaś ckliwa piosenka dźwięczy mi w uszach, kiedy Mercy, odwróciwszy głowę w moją stronę, rzuca z uśmiechem:

– Te dziary rozpoznałabym z odległości paru dobrych mil. – Puszcza mi oczko. – To dokąd płyniemy? Podobno niedaleko jest jakaś wyspa – zauważa słusznie, po czym wyswobadza się z mojego uścisku tylko po to, by oprzeć się o barierkę. Światło, które pada na jej twarz, pozwala mi dojrzeć na niej najprawdziwsze zaciekawienie.

Również wciskam tył pleców w balustradę, po czym odpowiadam:

– Mogłabyś darować sobie psucie elementu zaskoczenia.

– Hej, to nie moja wina, że gdy ty rozmawiałeś przez telefon, ja miałam szansę rozejrzeć się po mieście i, dziwnym zbiegiem okoliczności, zobaczyć za każdym zakrętem latarnie obklejone reklamą świątecznego rejsu dla par – wypala szyderczo, zadzierając hardo brodę.

Sposób, w jaki jej usta wyginają się w uśmiechu, sprawia, że wywracam oczami. Nie znam się na kwiatkach i serduszkach. Kliknięcie w pierwszą lepszą atrakcję, która wyskoczyła mi na

wyświetlaczu telefonu, gdy siedzieliśmy w patio w jej posiadłości, było naprawdę... losowym zagranem. W grę wchodziło też ewentualnie karaoke organizowane przez jakąś luksusową knajpę na skrzyżowaniu głównych ulic, ale, cóż, moje uszy nie chcą raczej wędznąć.

– Kanion, nie wyspa. Niedaleko jest kanion, Mer – wzdycham w końcu.

W tej samej chwili prom zostaje odcumowany od brzegu. Ckliwa muzyka staje się głośniejsza, a inni pasażerowie, których jest niewiele, siadają przy stołach zlokalizowanych w tylnej części wielgachnego statku. Spoglądam prosto na granatowe niebo. Na szczęście nie wygląda, jakby za moment miało z niego lunąć. Mój pech może jednak dzisiaj nie objawi się w żaden sposób.

– Więc... kanion też będzie w porządku. – Mercy wzrusza ramionami. – Te skały, jakby zmrużyć oko, przechylić głowę i napić się kieliszka wódki, wyglądają jak Sierra Nevada – parska dźwięcznie, uprzednio odwracając się w stronę krajobrazu. Wysokie wieżowce i neonowe szyldy ustępują wodom Saguario i otaczającym je góróm.

– Jesteś niepoważna – kwituję krótko. – Za nic w świecie.

– Och, obudził się w tobie rdzenny mieszkaniec Nevady.

Unoszę zaczepnie brew, również odwracając się całkowicie w stronę przeciwną do właściwej części promu. Przez głowę przewija mi się myśl, że musiałbym chyba porządnie zmrużyć oczy, by stwierdzić, że te niskie skały przypominają wysokie Sierra Nevada.

– A ty masz chyba klapki na oczach – stwierdzam, opierając przedramiona na barierce.

– Mam – potwierdza, po czym robi krótką pauzę – ochotę na to, by pozwiedzać.

Wyciągam w jej stronę dłoń, którą chwyta bez mrugnięcia okiem.

– Więc chodźmy. Tylko nie zabujaj się za szybko w moim szarmanckim wydaniu. – Z tymi słowami ruszam w kierunku przestrzeni z tyłu promu.

Jest ona ogrodzona drewnianą kondygnacją, z której zwisają cienkie, prawie przezroczyste zasłony przywieszane do konstrukcji

za pomocą mosiężnych haków. Pod dachem znajdują się ławy i sofy obite zamszem.

Z letargu wytrąca mnie dopiero fałszywie powabny głos Mercy:

– Będę mieć się na baczności – zapowiada, po czym spogląda na pokład. Szwenda się po nim mało ludzi. Znaczna większość ogrzewa się w środku. – Ale najpierw... – Kobieta zatrzymuje się nagle w pół kroku, odwraca w moim kierunku i kładzie smukłą dłoń na linii mojej szczęki. Zanim zdążę zorientować się, do czego dąży, jej usta nagle nieprzypadkowo dotykają moich. – Gratuluję zdobycia tytułu mistrza świata, Gabrieli.

Patrzę na nią ze zdławionym w płucach oddechem. Na ułamek sekundy zwyczajnie tracę rezon, gdy staram się zapamiętać ten widok, jakbym już nigdy więcej nie miał go ujrzeć. Iskrzące hardym blaskiem oczy, dumnie zadarty nos, wachlarz ciemnych jak smoła rzęs i wyraz twarzy, który wciąga mnie w gorączkę pieprzonych pozorów. Ale Mercy Stone właśnie taka jest. Jest mistrzynią wikłania ludzi w pajęczynę złudzeń.

– Liczę, że oglądała pani pojedynek z zapartym tchem, pani Stone.

– W moim zachrypniętym głosie pobrzmiwa coś więcej niż satysfakcja.

Mercy unosi brew, po czym przykłada teatralnie dłoń do serca. Sunie prowokująco paznokciami wzdłuż dekoltu.

– Raczej ze świadomością, że sławne Diabły zawsze ucierają wszystkim nosa – prycha niepokieszona, a następnie jak gdyby nigdy nic odwraca się, by ruszyć w stronę jednej z sof znajdujących się po przeciwnej stronie. – Porażka kogoś z Inferno wstrząsnęłaby światem, a on nie jest jeszcze na to gotowy. Od kiedy znalazłam się w Phoenix, wiedziałam, kto zwycięży.

– Czyżby? – Zasiadam na sofie. – Każdy prędzej czy później się potyka, Mercy.

Kobieta usadawia się obok mnie. Zasłona oddziela nas od reszty pasażerów promu, więc śmiało, uprzednio gasząc w sobie wszelkie pokłady dobrych manier, wciągam ją na swoje kolana. Mercy nie buntuje się w żaden sposób, jedynie mocniej do mnie przywiera, mówiąc:

– Ale nie wy. Trudno być waszą konkurencją, wiesz?

Na moment milknę. Nie potrafię wyprzeć z głowy tego nieodpartego wrażenia, że jednak my, drużyna i fundament imperium Ethana Maysona, w końcu przekonamy się, jak to jest ponieść klęskę. Zbyt długo towarzyszył nam spokój i cieszyliśmy się pozycją lidera.

Mrużę nieznacznie oczy w zastanowieniu, ale odzyskuję fason tak szybko, jak Mercy kładzie dłonie na mojej szyi, znajdując sposób, bym skupił się tylko i wyłącznie na niej.

– Ile w tobie ignorancji – parska wymownie. – Kiedyś powiedziałaś mi, że będziesz mnie słuchał bardzo, bardzo uważnie. – Składa cnotliwie usta w ciup, jakby chciała wyperswadować mi z głowy dalsze lekceważenie jej osoby.

– Słucham cię, Mercy. I wciąż czekam.

Z tymi słowami zaczesuję jej kosmyk włosów za ucho. Mercy, jakby rozumiejąc bezbłędnie drugą część mojej wypowiedzi, kiwa powoli głową, zanim kładzie brodę na moim ramieniu. Rozgląda się wokoło, aż w końcu zastyga w bezruchu, zaciekle nad czymś myśląc.

Do celu docieramy dopiero kilkanaście minut później. Stanąwszy już na pewnym gruncie, rozglądam się po całej tej niezmiernej przestrzeni, która nas otacza. Skaliste góry przybierają wymyślne kształty, a zmierzający w ich stronę ludzie, jak jestem w stanie przypadkowo dosłyszeć, zachwycają się nimi zdecydowanie bardziej niż ja i Mercy, kiedy po prostu ruszamy w stronę wąwozu znajdującego się z dala od reszty pasażerów promu.

– A jak się zgubimy? – Mercy parska dźwięcznym śmiechem, przesuając wzrokiem wzdłuż tych wszystkich rozpadlin.

Chłód bijący od ścian kanionu daje się jej we znaki, więc szczerzej opatula się czarnym futrem, które swoją drogą wygląda, jakby kosztowało majątek.

– Wtedy nie mamy co liczyć na pomoc. – Wzruszam ramionami z pełną świadomością, że znaleźliśmy się na pustkowiu. – Nikt tutaj nie mieszka. Dostaliśmy się tutaj jedyną drogą, którą mogliśmy – zauważam słusznie, chowając dłonie do kieszeni skórzanej kurtki.

Mercy kiwa głową, stwierdzając po chwili namysłu:

– To całkiem niezłe odstępstwo od głośnej Nevady. Nawet tutaj... ładnie.

– Ładnie czy nie, najważniejsze, że przytaszczyłaś gdziekolwiek tyłek. Bezczyenne siedzenie w posiadłości przez bite dwie doby mogłoby zrobić z ciebie jeszcze większego jaskiniowca – mówię ze spokojem, za co zgarniam pacnięcie w tył głowy.

– Ta, zdecydowanie zabijałam się w twoim szarmanckim obliczu.

– Mercy marszczy nos, nie zatrzymując się nawet na moment. Omiata wzrokiem popękane skały, dopowiadając nieśpiesznie: – Swoją drogą, to ty podobno zyskałeś w Inferno miano wzorowego jaskiniowca.

Odwraca głowę przez ramię. Spogląda na mnie wyczekująco, a ja, cóż, od razu stwierdzam, że dzisiejsza pogawędka jej i Ethana Maysona była dłuższa, niż mógłbym się tego spodziewać.

Szlag, kiedy niby ta dwójka przestała być ze sobą na bakier?

– Nie mów, że teraz z Maysonem sprzedajecie sobie jakieś nowinki. – Krzywię się.

Kobieta posyła mi ostatnie spojrzenie, po czym, odwróciwszy głowę, rusza w stronę wyjścia z wąwozu. Wiatr igra z jej sukienką z każdym krokiem, który stawia moja podstępna towarzyszka. Dopiero po chwili wzdycha:

– Wiesz, sądzę, że wciąż raczej daleko nam do nawiązania nici porozumienia. Zwyczajnie... chyba daliśmy sobie trochę na wstrzymanie. On udaje, że nie podważyłam świetności jego imperium, a ja udaję, że nigdy się na to nie zdobyłam. Jakby nie patrzeć, ze względu na ciebie nie możemy drzeć ze sobą kotów. Po prostu nam nie wypada.

Uśmiecham się w duchu. To nawet zabawne, że zarówno Mayson, jak i Mercy trafili na godnego siebie przeciwnika. W tym sporze niczego bowiem nikt nie może być pewien. Ten stary przyk, trener Diabłów, to facet twardo stąpający po ziemi. Nie schowa głowy w piasek, dopóki nie przetłumaczy podstępnej zołzie, że myliła się co do świetności jego biznesu. Z kolei Mercy... Och, ona zwyczajnie nie da sobie w kaszę dmuchać. Będzie święcie bronić własnych przekonań i nie pozwoli na to, by ktoś próbował jej wyperswadować je z głowy.

Prędzej czy później będą musieli odbyć jakąś pieprzoną rozmowę.

– Wiesz, czego naprawdę ci nie wypada? – pytam nagle, na co Mercy przystaje w pół kroku.

Odwraca się. Spogląda na mnie z nieodgadnioną miną. Zanim zdążę wypuścić powietrze, ona staje przede mną, dumna i zmysłowa jak diabli. Spija z mojej twarzy całą powagę. Jej brew uniesiona ku górze jest jedynie dowodem na to, że oczekuje ode mnie odpowiedzi.

Niby przypadkiem zahaczam palcem o jej przegub, mówiąc:

– Nie wypada ci żyć dalej z myślą, że nie ma nikogo, kogo mogłabyś obchodzić, Mercy.

– Ja nie... – zaczyna, ale nie dokańcza.

Lekkim szarpnięciem sam przyciągam ją do siebie tak, że mogę swobodnie oprzeć brodę na jej ciemnych włosach. Jej ciężki oddech dolatuje do mojej szyi, ale to na sposobie, w jaki ta kobieta nie próbuje już uzmysłwić mi, że w moich słowach nie istnieje choćby gram racji, koncentruję wszystkie myśli. Nie wiem, ile musiałbym znaleźć w sobie samodyscypliny, by zostawić ją w opustoszałej posiadłości i żyć z tą beznadziejną świadomością, że podczas gdy inni celebryści jakiś żałosny, magiczny czas, ona została sama jak palec. Przesuwam językiem po wardze. Po chwili słyszę, jak mówi:

– Twój telefon... – Oczami wyobraźni widzę, jak na jej twarzy pojawia się grymas.

Dopiero teraz orientuję się, że ktoś próbuje się do mnie dobić. Wyciągam z kieszeni urządzenie, ale zanim zdążę odrzucić połączenie, Mercy ponownie rusza przed siebie. Zupełnie tak, jakby potrzebowała tej krótkiej chwili, by przetrwać to wszystko w myślach. Ruszam za nią wolnym krokiem, w międzyczasie orientując się, że dzwoni do mnie ojciec.

– Nie dzwonię, bo chcę ci nawtykać, jaki to z ciebie niewdzięczny syn – zapowiada od razu, po czym szybko przechodzi do konkretów: – Rozmawiałem dzisiaj ze znajomym policjantem, który pracuje nad sprawą tamtej rudery. Nie zdradził mi za dużo, ale... powinieneś być świadomy tego, że wszystko wskazuje na to, że było to podpalenie. Ogień nie zaprószył się samoistnie, co oznacza, że ty albo Mercy musieliście nabawić się wrogów.

Ściągam brwi. Z kamienną miną wpatruję się w martwy punkt przed sobą. Mercy z założonymi pod biustem rękami idzie przed

siebie, zachowując powolne tempo. Szybko nawiedza mnie myśl, że to dobrze. Przynajmniej na razie nie powinna się stresować takimi scenariuszami jak te. Nie powinna robić tego teraz, gdy zbliżają się igrzyska olimpijskie.

– Sugerujesz, że to ktoś powiązany z show-biznesem? – pytam.

– Bardzo możliwe. No chyba że wasze grono znajomych zawiera w sobie delikwenta – wzdycha ojciec. – Jak dla mnie powinniście być zwyczajnie czujni – dodaje po krótkiej chwili, ale na moment przestaje skupiać się na jego rzeczowym tonie. Spoglądam w górę, prosto na szczyt jednej ze skał znajdującej się nad wąwozem. Nieodparte wrażenie, jakbym dostrzegł na nim trzy cienie, na moment powoduje, że ogarnia mnie dziwny amok. Żegniam się z ojcem. Podbiegam do Mercy, która posyła mi słaby uśmiech, pytając:

– Już? Wracamy na pokład?

Skinieniem głowy udzielam jej odpowiedzi. Po chwili dopowiadam:

– Wziąłem karty. Chodź, zagramy w pokera.

Kiedy wracamy do Vegas, jest środek nocy. Otworzywszy drzwi, pozwalam, by pierwsza przez próg rezydencji przeszła Mercy. Mimo tego, że jej kroki są niespieszne, wiem, że nie jest jeszcze piekielnie zmęczona, choć po wycieczce do Arizony bezsprzecznie powinna. Nie zapalam światła, wyręcza mnie Mercy, która po chwili staje na środku salonu, zaciągając się zapachem wypełniającym posiadłość. Ściąga z ramion futro, po czym rzuca je na stół.

– Wszystko gra? Przez te telefony Maysona trochę spochmurniałeś – zauważa.

*Chyba chciałbym, by ten drugi telefon był tak błahy jak pierwszy, myślę.* Przesuwam dłonią wzdłuż linii żuchwy, po czym wzdycham ciężko.

Rozglądam się po salonie urządzonego w stylu zamkowym, unikając zacieklego spojrzenia kobiety, aż w końcu i ja zrzucam z siebie skórzaną kurtkę. Ruszam w stronę sypialni, odpowiadając zdawkowo:

– Temat Inferno już mi zbrzydł. Nie gadajmy o tym.

Docieram do właściwego pomieszczenia i udaję się w kierunku połączonej z nim garderoby. Od razu zapalam w niej światło, czyli przyczepione do sufitu ledy. W półmroku zaczynam ściągać z prawego nadgarstka zegarek, wsłuchując się w niemal bezdźwięczne kroki, które stawia Mercy. Po chwili siada na dużej leżance obitej zamszem. Nie spuszcza ze mnie wzroku, zaś ja wędruję swoim wzduż jej odkrytych przez asymetryczne wcięcie z przodu sukienki zgrabnych nóg, wąskiego wcięcia w talii, aż w końcu docieram do zszarzałych, mętnych oczu. Czai się w nich jedynie przygnębienie w cholernie klarownej postaci.

– Chyba nie tylko ja spochmurniałem, co? – Staram się rozładować atmosferę, ale nadaremnie. Odkładam zegarek do szuflady, a następnie robię ledwie jeden krok w stronę siedzącej na leżance kobiety. Mercy przełyka ślinę. Robi to prawie niesłyszalnie. – Gdybym zapytał, jak zabrać od ciebie ten stan, co bym usłyszał w odpowiedzi, Mercy?

Jej usta nagle po prostu rozchylają się bezwiednie, gdy podchodzę jeszcze bliżej. Odgłos ciężkich butów ścierających się z marmurową posadzką jest jedynym dźwiękiem, który wyrzuca ciszę z garderoby skąpanej w półmroku. Aż w końcu staję tuż przed kobietą. Jej zadarty nos prawie dotyka mojego brzucha, ale nie góruję nad nią. Nie dążę do tego, by czuła się dzisiaj jakkolwiek podległa, więc kucam, zniżając się do jej poziomu. Mercy sznuruje usta.

Chwilę później odpowiada półszepem:

– Proszę, bądź tą jedną osobą, którą obchodzę.

Zdanie, które wypowiada, wprawia mnie w prawdziwe zdumienie. Nie pozwalam jednak, by moja mina wyrażała szok czy inne gówniane zaskoczenie. Obserwuję siedzącą przede mną kobietę z powagą, ze spokojem, z każdą dozą zrozumienia, jaką w sobie mam. Serce przez moment ściska mi się boleśnie, wysyła całą falę dziwnej obawy przedzierającej się przez dowolny nerw. Opieram wytatuowaną dłoń na jej kolanie. Zanim zdążę odetchnąć głęboko, porywam się na urzeczywistnienie zamiaru, którego nie mogę utrzymać w ryzach.

Podnoszę się do pionu tylko po to, by po chwili moje usta zetknęły się z jej drżącą niemiłosiernie dolną wargą. Usilnie staram się nie

zagalopować i nie wykonać żadnego bardziej raptownego ruchu. Ale Mercy sama opada na leżankę. Jej plecy stykają się z zamszowym obiciem mebla, więc swobodnie zawisam nad jej zmarzniętym ciałem, napawając się tym, jak zniewalająco wygląda ono owinięte w burgundowy materiał wieczorowej kreacji.

– Będę. – Mój głos rozplywa się gdzieś w powietrzu, pełniąc nierozrwalną obietnicę.

Czując przesuwające się wzdłuż karku paznokcie, ponownie napieram na chłodne usta. Prawe przedramię opieram obok policzka Mercy. Stabilizacja całego ciała przychodzi mi z łatwością nawet wtedy, gdy czuję smukłą, pokrytą szramami dłoń walczącą z guzikami mojej koszuli. Ta sama dłoń zsuwa ją z moich ramion. Na moment nieruchomieję, omiatając wzrokiem bladą twarz Mercy stanowiącą kontrast dla pociemniałych oczu uważnie skanujących tatuaż na kawałku mojej piersi i sporej części ramienia. Nie ruszam się, zwyczajnie dając jej nieme przyzwolenie na to, by przez moment mogła odzyskać dech.

– Podobno kruki zwiastują nieszczęście – mówi półszepem po chwili namysłu.

– Nie niepokoi cię ta świadomość? – pytam, przesuwając kciukiem wzdłuż dolnej wargi jej spierzchniętych ust. – Mógłbym wróżyć ci nieszczęście na tysiąc sposobów, a ty i tak nie poczułabyś strachu? – Z tymi słowami chwytam za zamek eleganckiej sukienki. Nieśpiesznie przesuwam nim w dół, czując pod palcami jedynie chłód bijący od zmarzniętego ciała.

Powracam spojrzeniem do pokerowej twarzy Mercy, gdy odpowiada mi cicho:

– Sęk w tym, że nie wierzę we wróżby. – Uśmiecha się tak słabo, że ledwie zauważalnie. – Do niedawna nie wierzyłam nawet w to, że kiedykolwiek zapragnę z własnej woli oddać się komuś tak pochopnie i nierozważnie. Boże, nawet nie wiesz, jak wielką rewolucję wzniecasz w moim życiu za każdym razem, gdy wpadasz do niego bez wiedzy, jak wielkie żniwo ze sobą zabierzesz. – Głos Mercy łamie się nieznacznie, a jej słowa konfrontują mnie z całym szeregiem myśli, które przeistaczają się w prawdziwy bałagan. Moja

grdyka drży mimowolnie, gdy przełknąwszy haust powietrza, przyciskam usta do jej odsłoniętego dekoltu.

– Nie chcę ci nic odbierać. Chcę zatrzeć to, co pozostawił po sobie *on*. – Odsuwam się po chwili na pewną odległość i niespiesznym ruchem zsuwam z niej sukienkę.

Jej falbany smagają wierzch mojej dłoni, aż w końcu materiał opada z łoskotem na posadzkę. Kładę dłoń na jej zimnym udzie, przesuwając ją powoli wzdłuż jego wewnętrznej części. Ani na moment nie odrywam spojrzenia od iskrzących oczu kobiety. Spijam z nich cały marazm.

– Chcesz to zrobić – stwierdza zachrypniętym tonem. – Ale chcesz także mojej *miłości*.

Całuję jej przedramię. Sunę wyżej, do nagiego ramienia, poprzez obojczyk i dekolt pokryty gęsią skórą, docierając do linii szczęki. Mercy opiera dłoń na moim barku. Zupełnie tak, jakby chciała zbadać każdą krzywiznę mojego ciała. Jej biodra unoszą się z chwilą, w której wsuwam wytatuowany kciuk pod pasek czerwonej bielizny. Nachylam się nad jej twarzą. Mój oddech drażni jej policzek, palce przesuwiają się bliżej kobiecości, gdy mówię nisko:

– Pod warunkiem, że to ta, której się dla mnie nauczysz od nowa, Mercy.

Wyzwalam z jej ust nieostrożne sapnięcie, gdy przytwierdzam ją biodrami do zamszowego obicia mebla. Jej plecy niemal się z nim stapiają, kiedy zsuwam z bioder spodnie wraz z bokserkami, uprzednio uważnie obserwując, jak smukłe palce wysuwają z ich szlufek skórzany pas. Czujnym wzrokiem omiatam twarz Mercy. Jej cera wciąż jest blada, dłonie zmarznięte, ciało podatne jedynie na sposób, w jaki je traktuję. Nadal bije od niej przygnębienie, którego nie potrafię zdusić żadną pieśczęcią. Nie odzywam się.

Zamiast tego po raz ostatni przesuwam dłonią wzdłuż jej łydki, uda, wąskiej talii i przestrzeni pod lewą piersią. W końcu docieram do żuchwy, którą ujmuję, by upewnić się, że w zszarzałych oczach nie majaczy żadna doza protestu. Gładzę palcami blady policzek, czując pod nimi jedynie kosmyki przyklejonych do skóry ciemnych włosów.

– To, co mnie przeraża, to wizja dnia, kiedy powiesz mi prosto w oczy: „jest już za późno, a jedynym, co zawiniło, była twoja zwłoka” – mówi tak cicho, że chyba cudem wyłapuję jej słowa gdzieś między ciszą zalewającą garderobę a szumem własnej krwi w uszach.

Nie mrugam. Zastygam w bezruchu, gdy tym razem to ona mnie całuje. Jej gesty są leniwe, nieśmiałość wręcz nierealna, a smutek namacalny. Chowam nos w zagłębieniu jej szyi, przesuwam nim w górę, aż w końcu jestem w stanie wyszeptać jej do ucha jedynie:

– Nie torturuj się. Jestem cholernie zawzięty.

Czuję, że Mercy skinieniem głowy potwierdza zrozumienie mojego przekazu. Przez chwilę po prostu akceptuję fakt, że przesuwa dłonią wzdłuż mojej klatki piersiowej, aż swobodnie kładzie ją na barku, tym samym sprawiając, że przywieram do niej jeszcze mocniej. Jej wilgotne końcówki włosów smagają mnie w policzek, gdy wzdycham ciężko.

Mercy głośno wciąga powietrze, kiedy wchodzę w nią leniwym pchnięciem aż po samą nasadę. Cofnąwszy biodra, ponawiam ruch, tym samym wyzwalając z jej piersi zduszone sapnięcie. Dłonią przesuwającą się wzdłuż jej uda, aż do biodra, przytwierdzam zziębnięte ciało do mebla. Moje usta niemal stapiają się ze skórą jej dekoltu, gdy przywieram do niej z tą naiwną wiarą w to, że uda mi się w jakikolwiek sposób zabrać od niej melancholię.

Przedramię, którym dźwigam ciężar własnego ciała, wciąż opieram obok jej głowy. Nie gubiąc rytmu, poruszam się w niej swobodnie. Odnajduję drogę do jej bezwiednie rozchylonych ust i połykam krótkie, zdławione przez Mercy połowicznie w płucach westchnienie. Widok jej, zziębniętej, całkowicie pochłoniętej chwilą, powoduje, że tracę rezon. Po prostu odgarniam wytatuowaną dłonią kosmyki jej włosów, mając cholerną świadomością, że jestem zawzięty, kurewsko zawzięty, jeśli w grę wchodzi przeklęta Mercy Stone.

Jej plecy przesuwają się wzdłuż mebla z cichym łoskotem towarzyszącym następnym ruchom bioder, na które sobie pozwalam. Kładę dłoń na wąskiej talii Mercy, czując, że jej kostki pozostają splecione za moimi lędźwiami. Każdy nerw w moim ciele przeszywa na wskroś znajomy prąd, ale nawet pobudzenie, które wypełnia mnie

od stóp do głów, nie sprawia, że wypieram z głowy nieodparte wrażenie, jak ponura i przygnębiająca wydaje się atmosfera wypełniająca przestronne pomieszczenie skąpane w półmroku.

Usłyszawszy kolejne zduszone sapnięcie kobiety, przytykam wargi do miejsca między jej barkiem a nagim ramieniem. Przez następne minuty jej mięśnie sztywnieją, co uzmysławia mi, że niedługo osiągnie spełnienie. I tylko w tej jednej chwili, gdy rzeczywiście je osiąga, dostrzegam na jej twarzy ulgę. Jest jednak podszyta zmartwieniem.

Zupełnie tak, jakby wciąż zmagająca się ze swoją własną torturą.

## ROZDZIAŁ 15

Spoglądam na deskę rozdzielczą, cały czas wciskając subtelnie pedał gazu. Orientując się, że mamy trzeci stycznia, wzdycham przeciągle. To właśnie dziś ma się odbyć pierwszy koncert Pearly Powell i jej rockowego zespołu, na który zostałam zaproszona z naprawdę dużym wyprzedzeniem. I to właśnie dzisiaj, cholernie zmęczona skończonym przed kwadransiem treningiem, nie potrafię znaleźć w sobie żadnych pokładów energii i entuzjazmu, które powinny towarzyszyć mi do samego wieczora.

W zamyśleniu wpatruję się w jezdnię, dopóki nie docieram pod jeden z tych większych parkingów na obrzeżach Vegas. To na nim tłoczy się cały tabun dzieciaków, które właśnie wróciły z dwudniowej wycieczki do sąsiedniego stanu Utah. Od razu dostrzegam stojącego w chmarze uczniów Elliota Powella. Kiedy Eleanor zapytała z samego rana, czy nie dałabym rady zgarnąć go ze zbiórki, wiedziałam, że to dobry sposób, by zająć się czymś do dziewiątej. Jak na złość, nie miałam dzisiaj za dużo spraw do załatwienia.

– Zmiana planów? – pyta Elliot, który po chwili wsiada do sportowego mercedesa. Wciska plecak między nogi, po czym zapina pas bezpieczeństwa i patrzy na mnie sugestywnie. – No wiesz, Pearly miała po mnie przyjechać... Rzecz jasna, nie marudzę, ale...

– Pearly nie ma dzisiaj czasu. – Wzruszam swobodnie ramionami.  
– Ona i jej zespół grają przecież koncert niedaleko stąd. Nie chwaliła ci się? – Unoszę zaczepnie brew, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Po chwili ponownie wjeżdżam na główną ulicę.

– Pożarliśmy się ostatnio, a ja nie mam zamiaru być tym, który pierwszy pęknie – odpowiada Elliot, a mi przez głowę przechodzi myśl, że, cóż, to rodzeństwo drze ze sobą koty częściej, niż ja mam treningi na lodowisku.

Wciskam potylicę w zagłówek fotela, mówiąc:

– Jasne... – Jak tam w Provo?

– Nie cierpię gór jeszcze bardziej niż wcześniej, byłem pewien, że wykituję na tym Wasatch – rzuca po chwili namysłu, po czym zbacza nieco z tematu, pytając: – A ty? Działasz już coś z igrzyskami, czy rozprasza cię Diabeł? – wypowiada te słowa z przekąsem, na co wzdycham ciężko.

Zdążyłam na chwilę zapomnieć, że wciąż czuje się zawiedziony pewnym faktem. A raczej trafniej i konkretniej byłoby stwierdzić... moim feralnym związkiem.

– Działam. Wyrobię się ze wszystkim, w końcu do Denver lecę za miesiąc.

Elliot chwilę intensywnie nad czymś rozmyśla, po czym docieka:

– Polecisz tam z tobą? – Dobrze wiem, kogo ma na myśli.

Mrużę oczy w zastanowieniu, spoglądając na opustoszałą ulicę. Prawdę mówiąc, nie pytałam Gabriela o to, czy znajdzie czas, by wybrać się na igrzyska olimpijskie do Kolorado. W końcu... Inferno to jego priorytet, a przynależenie do drużyny Diabłów Ethana Maysona niesie za sobą cały szereg zobowiązań, na które ten facet sam się pisał.

Zaciągam się powietrzem, ale odpowiadam swojemu wścibskiemu pasażerowi dopiero parę sekund później:

– Pewnie nikt z Inferno nie spojrzy na taki pomysł przychylnie, więc nie sądzę. – Mój głos nie ma w sobie choćby dozy zawodu czy rozczarowania. Słysząc w nim jedynie wręcz namacalny spokój będący wynikiem zwyczajnego zrozumienia.

– Aż tak cię tam nie cierpią? – pyta z grymasem wymalowanym na twarzy, na co unoszę nieznacznie kącik ust, by w końcu uśmiechnąć się niemrawo. Sama nie wiem, co jest przyczyną mojej wesołości. Chyba po prostu przywykłam do tego, że jestem na linii ognia tego klubu.

Zatrzymuję się przed skrzyżowaniem i odwracam głowę, by spojrzeć na Elliota.

– Sprawdzę to w czwartek – odpowiadam. – Dostałam zaproszenie na piątą rocznicę założenia klubu, więc... tak, sprawdzę, jak się sprawy mają. – Kiedy tylko światło zmienia się na zielone, dociskam pedał gazu. Powoli zbliżamy się do willi Powellów, więc zwalniam

nieważnie, rozglądając się po osiedlu, na którym jest spore skupisko rezydencji nadzianych celebrytów.

Z letargu wytrąca mnie głos Elliota:

– Jeśli twój kochaś cię nie obroni, to wiesz, że...

– Tak, Elliot. – Skinieniem głowy potwierdzam, że jestem świadoma słów, jakie wypadłyby z jego ust, gdybym mu nie przerwała. – Wiem, że ty zrobisz to bez mrugnięcia pieprzonym okiem. Chociaż wiesz... Tak naprawdę to oni są myszką, a ja jestem kotkiem. Przekonamy się, kto będzie musiał się bronić przed czymś natarciem. – Mój kącik ust unosi się w leniwym uśmiechu. Przez Inferno przemknę prawdziwy huragan.

Dobrze wiem, że Mayson tylko czekał na to, aż pojawię się w jego imperium, by zaprezentować mi, jak potężną machinę stworzył i jak bardzo pomyliłam się, podważając świetność jego konceptu. To zabawne, jak łatwo zszargać męską dumę. I, cóż, potyczki z tym mężczyzną brzmią jak naprawdę dobra, och, piekielnie dobra rozrywka.

– Są takie dni, kiedy zaczynam obawiać się tego, co siedzi ci w głowie – stwierdza po chwili mój rozmówca, gdy w końcu podjeżdżam pod właściwy adres.

Zatrzymując samochód, rozglądam się po znajomo wyglądającej posiadłości. Już chcę zapytać Elliota, czy ma jakieś klucze, ale w tej samej chwili wyciąga z plecaka pęk.

– Wiele myśli, o których nie chciałbyś mieć pojęcia. – Puszczam mu oczko. – A teraz powinieneś pójść do pokoju i zacząć się uczyć do klasówki z biologii. Podobno strasznie z niej kulejesz – wzdycham, kiedy przypominają mi się słowa Eleanor.

– Okej... ale zanim to zrobię, możemy obejrzeć jakąś galę – proponuje z nadzieją.

Kręcę głową w geście jawnego protestu, odpowiadając:

– Leć na górę. Przypomniałeś mi, że mam coś do załatwienia.

Elliot niechętnie zwleka się z fotela pasażera. Po raz ostatni posyła mi znaczące łypnięcie, po czym wydusza z siebie słowa pożegnania, chwyta za pasek swojego plecaka i udaje się w kierunku wielgachnej rezydencji. Kiedy tylko odprowadzam go wzrokiem, ponownie odpalam silnik, a następnie włączam się do ruchu, który o tej porze

praktycznie nie istnieje. Patrzą na zegarek znajdujący się na nadgarstku.

*Druga, powtarzam sobie w myślach. Przynajmniej będę mieć to z głowy.*

Luksusowy butik, do którego docieram kwadrans później, mieści się w centrum Las Vegas, niedaleko siedziby UnderScore. Wsiadając ze sportowego mercedesa, rozglądam się po prawie pustym, strzeżonym parkingu. Zgarniam jeszcze tylko skórzaną kurtkę z tylnego siedzenia i narzucam ją na ramiona. Wciskam kluczyki do samochodu do jednej z kieszeni, po czym ruszam przed siebie, prosto do dużych, szklanych drzwi.

Ostre, zimne światło lamp uderza mnie już od progu, ale nie zwracając na nie szczególnej uwagi, zmierzam w stronę sekcji, w której znajdują się buty.

To właśnie po nie tutaj przyjechałam. Podczas rozmowy z Elliotem nawiedziła mnie myśl, że na taką specjalną okazję jak pięta rocznica istnienia Inferno powinnam się naprawdę nieźle odstawić. I chociaż moja garderoba wygląda, jakby ktoś wzniecił w niej rewolucję, to i tak nie potrafię zdusić w sobie tych beznadziejnych skłonności do szastania kasą. W zamyśleniu przesuwam wzrokiem wzdłuż rzędu obuwia. Moją uwagę zwracają do bólu zwykłe, ale ładne, białe sandały na szpilkach. Nie prezentują się tandetnie, co uznaję za niezły strzał.

– Och, jak miło widzieć w swoim sklepie sławną Mercy Stone – obco brzmiący głos dobiega gdzieś z mojej prawej strony, więc przechylam delikatnie głowę, by wyłapać spojrzenie bystrych, brązowych oczu wpatrzonych we mnie w naprawdę trudny do rozszyfrowania sposób.

Dobłą chwilę zajmuje mi zorientowanie się, że mam do czynienia z Marie Mayson. Żoną trenera Diabłów Vegas, której zdjęcia przewijały się w mediach.

– Nie miałam pojęcia, że ten butik to pani interes – odpowiadam zgodnie z prawdą, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Kobieta przesuwa manierycznie dłonią wzdłuż policzka, by zaczesać kosmyk ciemnych włosów za ucho. Prezentuje się jak celebrytka i jestem

pewna, że nawet gdybym o tym nie wiedziała, i tak doszłabym do podobnego wniosku.

Między jej brwiami klaruje się pojedyncza bruzda, gdy odpowiada:

– Większość kojarzy mnie z tego, że jestem żoną Diabła. – Jej głos wręcz ocieka rozbawieniem, podczas gdy ja w duchu jestem zmuszona uznać te słowa za trafne. – To na galę? Może jakiś plebiscyt? – Kobieta patrzy sugestywnie na trzymany przeze mnie but.

Również spoglądam na białe obuwie, kręcąc przy tym głową w geście protestu.

– Właściwie... wpadnę na rocznicę istnienia Inferno – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Marie nie wydaje się zaskoczona. Mimo wszystko sili się na zdumienie, mówiąc:

– To świetnie. Ethan z pewnością się z tego powodu ucieszy.

*Ta, może jeszcze zamówi pokaz fajerwerków, myślę ironicznie.*

– Gabriel wspominał, że to raczej kameralna impreza – zagajam, odkładając na swoje miejsce biały but. Zerknąwszy mimochodem na Marie, dostrzegam moment, w którym skinieniem głowy potwierdza słuszność słów, które padły z ust jednego z Diabłów.

– Tak, dbamy, to znaczy w dużej mierze to Ethan dba, by Inferno było wciąż owiane tajemnicą. Dlatego nikt nie wie, jak to miejsce wygląda w środku ani na czym dokładnie polegają treningi drużyny. Oczywiście wolelibyśmy, by taki stan rzeczy utrzymał się jak najdłużej, więc bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdybyś nie dzieliła się z nikim wrażeniami po tej wizycie. – Twarz kobiety rozświetla promienisty uśmiech, a ja silę się na jego odwzajemnienie.

– Och, w porządku. Skoro ma o tym wiedzieć jedynie wąskie grono... – zaczynam, ale nie jest mi dane skończyć. Marie chwyta w wypielęgnowaną dłoń wcześniej trzymane przeze mnie obuwie, najpierw wzdychając ciężko, a później akcentując wyraźnie:

– Bardzo wąskie. – Unosi brew. – Czy aby na pewno chcesz kusić los i wyglądać jak anioł w miejscu, które nie przypomina nieba choćby w jednym calu? – Nie kryje rozweselenia, uporczywie wpatrując się w moją twarz. Patrząc to na nią, to na biały but

prezentujący się zwyczajnie i stonowanie bez żadnych zdobień czy innych dekoracji.

– Skromność bywa złudna, Marie – mówię po chwili namysłu.

Kobieta ściąga nieznacznie brwi, przesuwając w zamyśleniu palcami wzdłuż szpilki buta. Jej spojrzenie pozostaje nieczytelne, a twarz oświetlona przez ostre światło, którego wiązki dobiegają nas zewsząd. Przygryzam wargę, aż w końcu Marie przytakuje, jakby nagle coś wyrwało ją z krótkiego otępienia.

Jej głos przedziera się przez losową piosenkę, która rozchodzi się po butik, gdy odpowiada krótko:

– Niewątpliwie tak jest. Zapakować ci je?

– Myślisz, że nie przedziurawią czerwonego dywanu w Inferno? – bąkam kpiąco.

Marie ożywia się momentalnie. Jej usta wyginają się w jeszcze szerszym uśmiechu, na co mrużę podejrzliwie oczy. Chryste, ta rozmowa to jakieś nieporozumienie. Patrząc na Marie, czuję się, jakbym widziała swoje odbicie w lustrze. Ta kobieta wydaje się tak samo dumna, tak cholernie zimna i nieskora do tego, by pozwolić komukolwiek czytać z jej oczu jak z przeklętej, otwartej księgi. Udaje mi się zdusić w sobie to wrażenie tak szybko, jak kobieta wzdycha.

– Chyba nie wyobrażasz sobie Inferno jako przytulnego gniazdka, hm? – pyta, a w jej głosie wyłapuję prześmiewczą nutę, która daje mi do myślenia.

Tak na dobrą sprawę Gabriel nigdy nie opowiadał mi, jak naprawdę wyglądają wnętrza klubu. Słyszałam plotki, że są obskurne, ale to było dawno temu, jeszcze wtedy, gdy spędzałam wakacje w Reno. Nie przypuszczałam, że mogłyby mieć w sobie choćby ziarno prawdy.

– Mój pobyt tam będzie zaskakującą konfrontacją z obrazem klubu, który mam w głowie – kwituję, po czym dodaję: – Wezmę je. Może uciekanie z lochów nie będzie w nich piekielnie łatwe, ale przynajmniej będą przykuwać wzrok. – Wzruszam ramionami.

– Nie będziesz chciała stamtąd zwiewać, Mercy – stwierdza nagle Marie, ale zanim zdążę zadać pytanie, ona rusza leniwym krokiem w stronę kontuaru. Gdy odchodzi, słyszę jedynie rozplywający się w powietrzu głos: – To wspaniałe miejsce.

Zamykam do tej pory lekko rozchylone usta, po czym zakładam ręce pod biustem. Zaczynam marsz w stronę kobiety, zastanawiając się w duchu, jak przebiegnie moja wizyta w klubie Maysona. Tłumię w sobie tę myśl tak szybko, jak wychodzę z budynku, a tuż przy swoim samochodzie dostrzegam opartego o jego karoserię Gabriela. Za nim, w niedalekiej odległości, zauważam znajomego lexusa.

Zaciągnąwszy się powietrzem, zagajam:

– Inferno musi być naprawdę niedaleko stąd, skoro dziwnym trafem na mnie wpadasz. – Omiatam wzrokiem jego sylwetkę, sunąc wzdłuż czarnego, przylegającego do jego rozbudowanych mięśni swetra, tego samego koloru spodni i torby zwisającej z ramienia. Graficzne oczy taksują mnie w cholernie uważny sposób, ale nie krępuje mnie to ani trochę. Zadzieram delikatnie brodę i patrzę na to, jak Gabriel unosi wyzywająco brew.

– Faktycznie jest niedaleko – odpowiada. – Po drugiej stronie ulicy.

Ściągam brwi, spoglądając we wskazanym przez mężczyznę kierunku. Tak naprawdę nikt oprócz drużyny i pracowników nie wie, w którym gmachu w Vegas mieści się właściwa siedziba Diabłów. Podobno znajduje się w kompleksie kilku otoczonych przez wysoki mur budynków. Szansa na to, że zostanie się wpuszczonym przez ochronę, a później odnajdzie właściwy blok i wejście zwyczajnie graniczy z cudem. O obejrzeniu wnętrza klubu nie wspominając. Dostrzegając w oddali ogrom potencjalnych kryjówek drużyny, rzucam krótko:

– Dobra, nie bawmy się w żadną farsę.

Nie kryję zwątpienia w jego słowa.

– Miałem podzucić Marie kilka dokumentów – tłumaczy mężczyzna, nie spuszczaając wzroku z mojej twarzy. W jego oczach majaczy jedynie powaga podszyta czystym spokojem. – Spieszysz się gdzieś? – pyta, krzyżując ramiona na torsie.

Odruchowo patrzę na zegarek, jednak orientując się, że zostało jeszcze sporo czasu do koncertu, unoszę wzrok i kręcę głową.

– Nie, wpadłam tylko po buty. – Pokazuję torbę ze swoim zakupem.

– W porządku. Odstaw samochód, przyjadę po ciebie, jak tylko skończę z Marie – obwieszcza bezceremonialnie, poprawiając pasek torby zwisający z ramienia. Mrużę oczy, zastanawiając się w duchu, co on, u licha, kombinuje. – Coś nie tak? – Ściąga brwi.

– Będziesz musiał odstawić mnie przed dziewiątą – wyjaśniam, odnajdując w kieszeni kluczyki do auta. Odblokowuję mercedesa pilotem i odkładam na tylne siedzenie zapakowane do torby obuwie. Trzasnąwszy drzwiami, ponownie krzyżuję spojrzenie z Gabrielem.

– Boisz się, że nie wstaniesz na trening? – rzuca kpiąco.

– Wybieram się dzisiaj na koncert zespołu, do którego należy moja przyjaciółka. Właściwie... jeśli chcesz, możesz mi potowarzyszyć. Nie obiecuję, że nie zwiędną ci uszy, bo nie ręczę za umiejętności jej kapeli, ale najwyżej zwiniemy się stamtąd wcześniej – mówię na jednym wydechu, wyczekując odpowiedzi mężczyzny, który patrzy na mnie z politowaniem.

Robi kilka długich kroków, aż w końcu stajemy twarzą w twarz. Przybliża się nieznacznie, tak że czubki naszych butów prawie się ze sobą stykają. Ciepło bijące od niego uderza we mnie jak przekłety huragan, ale spojrzenie grafitowych oczu pozostaje cholernie nieczytelne.

Na jego odpowiedź czekam dosłownie kilka sekund:

– Mimo tego, że bardzo nie cierpię chodzić z tobą na koncerty, dzisiaj wyjątkowo mam na to ochotę. – Gabriel rozciąga kącik ust w uśmiechu pełnym pobłażania, zanim odchodzi w kierunku budynku. Odgłos ciężkich podeszew jego wojskowych butów ścierających się z betonową ulicą dźwięczy mi w uszach niczym dzwon na długo po jego odejściu.

Uśmiecham się, kręcąc głową z niedowierzaniem, bo, cóż, kawał z niego drania.

Siedząc godzinę później na stole we własnej rezydencji, opieram wyprostowane ręce za plecami, aż w końcu, po kilku niemiłosiernie dłużących się minutach, zeskakuję z mebla, by chwycić za znajdujący się na komodzie, oznajmiający przyjście wiadomości telefon. Narzucam na odkryte ramiona dwurzędowy płaszcz, a następnie żwawym krokiem opuszczam posiadłość, uprzednio

zamykając ją jednym z kluczy składających się na dorodny pęk. Do samochodu Gabriela wsiadam bez wiedzy, gdzie spędzę następne godziny.

– Marie wspomniała, że źle ci z oczu patrzy – zagaja mężczyzna, zanim włącza się do ruchu. Marszczę nieznacznie brwi, wspominając pokerową twarz żony Ethana Maysona.

Cóż, w takim razie obie nie obudziłyśmy w sobie choćby dozy pieprzonego zaufania. Dobrze wiedzieć, że było to obopólne wrażenie. Chwytam w dłoń telefon Gabriela, by zmienić piosenkę rozbrzmiewającą w samochodzie, w międzyczasie odpowiadając krótko:

– Naprawdę starałam się dobrze zaprezentować. – Wydymam niewinnie dolną wargę, po czym wzdycham ciężko. – Jakby nie patrzeć, Ethan jest dla ciebie jak drugi ojciec, a ona jak druga matka, więc... po prostu bądź świadom, że nie chciałam wyjść na okropną synową.

Gabriel uśmiecha się, przy czym zerka na mnie mimochodem.

– Jak dobrze, że masz takie podejście do sprawy.

Instynktownie wygodniej rozsiadam się na fotelu, pytając:

– Do sprawy, która wygląda tak, że Maysonowie powinni patrzeć na ciebie przychylnym okiem? Wow, twój ton brzmiał, jakbyś stawiał ją na ostrzu noża. – Mrużę oczy.

Mężczyzna wciąż wpatruje się w jezdnię, która staje się skupiskiem coraz to większej ilości samochodów. I kiedy myślę, że tak po prostu puścił moje słowa mimo uszu, bawiąc się w skończonego ignoranta, jego głos przedziera się przez piosenkę wydostającą się z głośników w samochodzie:

– Jedziemy do Henderson – wyjaśnia nareszcie, wypuszczając powietrze.

– Do twoich rodziców? – Karcę się w myślach za fakt, że mój głos przez ułamek sekundy staje się piskliwy jak diabli. Cholera, przecież przebywanie w promieniu dwóch mil od rodziców Gabriela jest bardziej stresujące niż niejeden występ na lodzie. To przerażające, że tak wielką wagę przywiązuję do tego, by patrzyli na mnie... cóż, zwyczajnie aprobatywnie.

– Nie – zaprzecza Gabriel. – Czy musisz doszukiwać się podłoża tej wycieczki?

Przez dłuższą chwilę po prostu trawię sens jego słów. Z nieodgadnioną miną wpatruję się w mijany przez nas znak informujący o tym, że do Henderson mamy zaledwie dziesięć mil. Wcisnąwszy dłonie do kieszeni płaszcza, biorę głęboki wdech.

– W gruncie rzeczy nie muszę – bąkam krótko. – Ale, szlag. Zwyczajnie...

– „Lubię mieć cię przy sobie”, tak? – Słowa Gabriela sprawiają, że nagle trudno jest mi usiedzieć w jednym miejscu. Zaczęsuje nerwowo kosmyk włosów za ucho, czując, że dziwne napięcie rozchodzi się po moim ciele.

Mężczyzna siedzący na fotelu pasażera wydaje się jeszcze bardziej poważny i mniej łatwy do rozszyfrowania. Zwieszam głowę i mam szczerą nadzieję, że w pewnej minucie, może w ułamku zaledwie jednej sekundy naszej podróży do Henderson, Gabriel dojrzy na mojej twarzy cień szczerego uśmiechu, za którym stały jego słowa.

Wysiadając z lexusa, czuję na twarzy smagnięcia coraz bardziej porywistego wiatru. Rozglądam się po ulicy, przy której zaparkował Gabriel. Nie jest ani trochę ruchliwa. Zadzieram odrobinę brodę, obserwując uważnie mężczyznę, który chowa kluczyki do kieszeni kurtki, po czym, zerknąwszy na mnie kątem oka, wskazuje sugestywnie na alejkę rozciągającą się po naszej prawej stronie. Po obu jej stronach znajdują się rzędy pozbawionych liści drzew. Zaciągam się rześkim powietrzem, ruszając niespiesznym krokiem w kierunku, którego nie znam.

– Po tym, jak rodzice wyjechali do Henderson, przyjeżdżałem do nich średnio co parę miesięcy – zaczyna nagle Gabriel, a jego głos przedziera się przez szum wiatru. – Ale były takie dni, gdy robiłem sobie rachunek sumienia. I wtedy, kiedy przypominałem sobie, że to tamten pożar zmusił ich do porzucenia życia w Reno, trudno było mi patrzeć im w oczy.

Gardło schnie mi na wiór, kiedy widzę, jak grdyka mężczyzny porusza się niespokojnie. Wrażenie, jakby po każdej komórce mojego ciała rozlewała się dziwna melancholia, powoduje, że gubię na

moment oddech. Zaczęsuje kosmyk za ucho, by zyskać trochę czasu na odpowiedź, ale Gabriel wcale jej nie wymaga.

Nie wymaga jej, bo po chwili kontynuuje:

– Więc szukając ucieczki, by nie musieć tego robić, przychodziłem tutaj. – W jego głosie nie wyłapuję bólu czy żalu. Zamiast tego słyszę w nim chłodną rezerwę. – Tak było dopóki zdobywałem się na to, by opuszczać Reno. Z czasem wszystkie pobyty w Henderson zaczęły kojarzyć mi się z nocami, które spędziłem tutaj, sam, z wypaczonym sumieniem, dlatego nastąpił taki moment, kiedy z nich zrezygnowałem – tłumaczy ze spokojem.

Udaje mi się zdusić w sobie westchnienie. Czując na sobie spojrzenie Gabriela, przechylam nieznacznie głowę. Jego oczy skanują mnie z nieustępliwością. Zupełnie tak, jakby chciały mi coś udowodnić, jakby chciały, żebym zyskała pewną wiedzę. Dostaję ją jednak jak na pieprzonej tacy, zanim zdążę o nią poprosić na głos.

– Następstwem rany, którą komuś zadaję, jest ucieczka od pamiętania, że to ja nią kogoś naznaczyłem. A nawet i ucieczka od osoby, której zgotowałem piekło. – Gabriel przystaje nagle. Jego dłoń odnajduje mój chłodny policzek. Znajomy dotyk wysyła po każdej komórce mojego ciała elektryzujący prąd. Nie poruszam się jednak nawet o cal, wciąż intensywnie wpatrując się w beznamiętą twarz mężczyzny. – Jedyнным odstępstwem od tej reguły jesteś ty, Mercy. Nawet jeśli nieopatrznie wyrządziłbym ci krzywdę, zwyczajnie nie umiałbym stłumić w sobie tej potrzeby posiadania cię przy sobie. Pomimo tego, że sumienie wyzarłoby mnie od wewnątrz jak pieprzony kwas... nie umiałbym. – W jego głosie wyraźnie słyszę pokorę.

– Nie ostrzegaj mnie już więcej. Wiem, na co się porywam. – Patrzę na niego spod rzęs, czując jedynie smagnięcia wiatru na szyi. Zimne powietrze stanowi kontrast dla gorąca, które pozostawia po sobie żelazny uścisk dłoni na moich policzkach. Wspieram się na palcach tylko po to, by oprzeć brodę na szerokim barku mężczyzny. – I nie torturuj się. Jestem rozsądna.

Gabriel wzdycha ciężko, a jego dłoń przesuwana się nagle na moje plecy. W tym samym momencie przez głowę przedziera mi się myśl,

że my tak po prostu... obawiamy się zaoferować sobie otwarcie to, co w głębi duszy uznajemy za zwyczajną potrzebę.

Po półgodzinnym spacerze docieramy pod budynek, do którego sama chciałam, by Gabriel mnie przyprowadził. Zmrużywszy delikatnie oczy, orientuję się szybko, że nie jest to wcale dom jego rodziców. Szeregowiec, obok którego na tej samej posesji znajduje się nieco obskurny plac zabaw skupiający wokół siebie chmarę dzieci, wygląda jak przedszkole.

– Myślałam, że wpadniemy do Josephine i Edwarda – zagajam w końcu.

Mój towarzysz przesuwa w skupieniu wzrokiem po zardzewiałej furtce. Po chwili naciska na klamkę, a charakterystyczne skrzypnięcie momentalnie dobiega do moich uszu. Gabriel pozwala, bym pierwsza znalazła się na podjeździe wyłożonym kostką brukową.

Wcisnąwszy skostniałe dłonie do kieszeni, wsłuchuję się w głos mężczyzny:

– Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić już do Vegas? – upewnia się, jakby nie był przekonany do mojego pomysłu, który zakładał spotkanie z jego rodzicami. W końcu, skoro już znaleźliśmy się w Henderson, chciałam jakkolwiek popchnąć Gabriela ku temu, by spróbował ocieplić nieco ich relacje. Czułam, że ten facet po prostu miał opory przed tym, żeby to zrobić.

– Będę tego chciała, gdy do koncertu zostanie godzina – odpowiadam bez namysłu.

Gabriel przechyla leniwie głowę w bok. Po chwili wzdycha przeciągle:

– Josephine prowadzi ten sierociniec. Angażuje się w jego działalność cholernie mocno, więc na bank znajdziemy ją tutaj – stwierdza z niebywałym przekonaniem, mozolnym krokiem maszerując w stronę wejścia do budynku. – Jeśli to miejsce będzie cię nużyć, to zwyczajnie mi powiedz. Sam nie jestem fanem składania jej tutaj częstych wizyt.

Przez parę sekund po prostu trawię sens jego słów. Rzeczywiście dostrzegam nad drzwiami informację o tym, że znajdujemy się na

terenie sierocińca w Henderson. Mimowolnie zagryzam wnętrze policzka, czując dziwne napięcie kotłujące się w podbrzuszu. Szybko utożsamiam je ze zwykłym zrozumieniem idącym za świadomością, że wiem coś o nieposiadaniu rodziców. Ba, wiem coś o nieposiadaniu absolutnie nikogo. Mrugam powoli, gdy przeszedłszy przez próg budynku, rozglądam się wokoło. Jego wnętrze jest szare i nijakie.

– Wciąż nie lubisz dzieci, co? – pytam, patrząc ukradkiem na Gabriela.

– Co nie oznacza, że nie współczuję im tego, co im się przytrafiło.  
– Wzrusza ramionami. – Zwłaszcza że Josephine ma tutaj naprawdę sporą ilość podopiecznych. To jedyne takie miejsce w Henderson, więc na jej barkach spoczywa naprawdę spory ciężar – dodaje po krótkiej chwili, a następnie przystajemy przed wcale nie tak solidnie wyglądającymi drzwiami. Stuka parę razy dłonią w powierzchnię mebla, ale bez odzewu.

– To dlatego nie miała pojęcia, czy uda jej się znaleźć czas na to, by odwiedzić Denver – zauważam słusznie, mając na myśli rozmowę z rodzicami Gabriela w luksusowej restauracji Eleanor Powell.

Mężczyzna skinieniem głowy potwierdza moją tezę. Rusza w stronę końca korytarza, który nawet nie domyślam się, dokąd mógłby prowadzić. Mimo tego podążam u jego boku, omiatając wzrokiem szare ściany i wsłuchując się w ciszę zalewającą sierociniec.

– Pewnie jest na zewnątrz – sugeruje Gabriel. – I swoją drogą wpadnie na igrzyska. Z tatą już zarezerwowali lot, podobno chcą zobaczyć przyszłą synową w akcji. – Kiedy patrzę na jego dotychczas kamienną twarz, wyłapuję moment, w którym prawie niezauważalnie się uśmiecha. Przyjemne ciepło rozlewa się po moim ciele.

– A ty? – wypalam bez namysłu, a Gabriel odwraca nagle głowę.

– Ja? – Unosi zaczepnie brew, jakby nie wiedział, czego dotyczy moje pytanie.

*Dobre sobie*, przechodzi mi przez myśl.

– Czy wpadniesz do Kolorado? – konkretyzuję.

W tej samej chwili wraz z Gabrielem docieramy na niewielki dziedziniec z tyłu budynku. Stoimy na szczycie schodów, więc

zauważenie bawiącej się w oddali grupki dzieci i towarzyszących im opiekunek nie jest czymś wybitnie trudnym. Ze zdławionym w płucach oddechem wpatruję się w młodych podopiecznych. Niektórzy są młodszy, inni starsi, ale wszyscy wydają się absolutnie przygnębieni. Nie widzę ani jednego szczerego uśmiechu.

Widzę obojętność, smutek i marazm.

Moja mina pozostaje pokerowa, ale w głębi duszy czuję, jakby ktoś wbił mi ogromną szpilkę w klatkę piersiową. Połykam westchnienie, gdy zaczynamy schodzić po betonowych schodach na zaniedbany trawnik. Mały chłopczyk, mogący mieć na oko cztery latka, uczepia się moich nóg tak szybko, jak stawiam stopę na pewnym gruncie. Gubię na moment oddech, nie zwracając uwagi na nawoływanie jakiejś kobiety. Po prostu spoglądam prosto w hebanowe oczy oplatającej mnie rękami istotki, kucając przed nią bez żadnego oporu.

– Wszystko gra? – pytam neutralnym tonem, poprawiając poły dziecięcej kurtki.

– Jest pani nową panią opiekunką? – odbija piłeczkę, a w jego tęczówkach majaczy nadzieja w najczystszej postaci. Przygryzam wargę, ale i tak wzdycham raz, aż w końcu kręcę głową w geście protestu.

– Ja... Pomyliłeś mnie z kimś. – Mój głos rozmywa się w powietrzu.

Przez moment po prostu obserwujemy swoje twarze w milczeniu. Chłopczyk marszczy nieznacznie nos, ale nie cofa się nawet o krok. Patrzy na mnie spod wachlarza ciemnych rzęs, dopóki za jego plecami nie rozbrzmiewa kobiecy głos:

– Addie, to nie pani Maeve. – Josephine, która nagle wyrasta obok nas, spogląda z wyraźnym współczuciem na swojego podopiecznego.

– Zmykaj, bo doszły mnie słuchy, że chłopcy kombinują, jak zabrać się za ten wasz wyblagany domek na drzewie. – W momencie, w którym zostajemy sami, a ja podnoszę się do pionu, kobieta dodaje: – Miała wpaść do nas dzisiaj nowa kandydatka na opiekunkę. Addie musiał cię za nią wziąć.

Kiwam głową w geście zrozumienia, przesuwając językiem po dolnej wardze.

– Masz nawał pracy, co? – zagaja mój towarzysz, a w jego głosie pobrzmiwa troska.

Dopiero teraz odwracam głowę w jego stronę. Mina klarująca się na jego twarzy niewiele jest mi w stanie powiedzieć o tym, co siedzi mu w głowie. Lekki wiatr mierzwi moje włosy, gdy stojąca przed nami Josephine przytakuje nieznacznie, odpowiadając synowi:

– Pał licho pracę. – Macha ręką w powietrzu. – Chodźmy gdzieś usiąść – proponuje.

Zająwszy miejsce na krześle przy nieco zakurzonym, plastikowym stole, Gabriel mówi:

– Wpadliśmy, bo byliśmy przejazdem. Niedługo i tak musimy wracać do Vegas, bo znajoma Mercy gra dzisiaj koncert ze swoją kapelą. – Mężczyzna spogląda na mnie ukradkiem, więc gdy Josephine robi to samo, skinieniem głowy potwierdzam słusność jego słów.

– To i tak progres. To, że zmusiła cię do wizyty w Henderson... – Kobieta opiera przedramiona na powierzchni stołu, a jej kącik ust unosi się w słabym, aczkolwiek zupełnie szczerym uśmiechu. Mrużę oczy. Przeczucie podpowiada mi, że coś ją trapi.

Gabriel, zauważywszy to samo, co ja, wydobywa z siebie krótkie pytanie:

– Nadal myślisz o tych zgonach? – Przesuwa kciukiem wzdłuż ostrej linii szczęki w geście zastanowienia. Ściągam brwi, odrobinę zbity z tropu. Wyraz twarzy Josephine utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem jedyną osobą w towarzystwie, której akurat w tym momencie doskwiera cholerna niewiedza. Zakładam nogę na nogę, ale zanim zdążę chociażby rozchylić usta, kobieta siedząca naprzeciwko przytakuje niemrawo głową.

– Edward usłyszał gdzieś, że ciało, które ostatnio znaleźli tutejsi funkcjonariusze... Szlag by to. – Josephine wypuszcza ze świstem powietrze. – Ono nie było ciałem dziecka, którego próba samobójcza okazała się skuteczna. Było ciałem dziecka, które zostało zamordowane. Mało tego, dorośli mieszkańcy Henderson też zaczynają rozpływać się w powietrzu... – Pociera dłonią skroń, intensywnie nad czymś myśląc. Jej słowa sprawiają, że czuję jedynie, jak fala zimna przedziera się przez całe moje ciało.

– To mogą być pogłoski. Tutejsi lubią afery, mamó – uspokaja ją Gabriel.

– Nie powinieneś tego bagatelizować – upomina go kobieta, wstając nagle na równe nogi. Odrzuca za plecy swoje średniej długości włosy, wzdychając: – Mam złe przeczucia. Coś tutaj śmierdzi. Ta sprawa wcale nie musi być taka błaha. Nie musi... – powtarza pod nosem.

Szybko koduję sobie w głowie, by przeczytać kilka artykułów o tej sprawie, gdy będę już w posiadłości. Zerknąwszy w stronę dzieci zastanawiających się w grupie, jak wybudować domek na drzewie, wypuszczam powietrze z ust. To przygnębiający widok. I mimo tego, że sama wiem, jak to jest pogrążyć się w samotności, i tak zwieszam głowę.

Do Vegas wracamy z Gabrielem kwadrans przed planowaną godziną rozpoczęcia koncertu Pearly i jej kapeli. Zanim wysiadam z samochodu, zostawiam na jego tylnym siedzeniu swój płaszcz. Wysoki słupek moich muszkieterek za kolano spotyka się z popękany betonem w sekundzie, w której w ekspresowo szybkim tempie zwlekam się z fotela pasażera. Wyglądzam materiał czarnej sukienki, zaciągając się rześkim powietrzem. Podziwiając wysokie wieżowce otaczające wielgachny plac, mówię ze spokojem:

– To chyba nawet lepsza miejscówka niż poprzednia.

Gabriel zakasuje rękawy czarnej koszuli, odsłaniając umięśnione przedramiona i znajdujące się na nich tatuaże. Jego wzrok przesuwający się po mojej beznamietnej twarzy pozostaje czujny i, co gorsza, przenikliwy jak diabli. Nie peszy mnie on jednak w żaden sposób.

– Ruszył cię widok tych dzieciaków, co? – Mężczyzna odbiega od tematu, a ja instynktownie zaciskam palce na materiale swojej sukienki, bo, cóż... *Ma rację*, przechodzi mi przez myśl. – Stało się tak, bo ty również... – kontynuuje, ale nie jest mu dane skończyć.

– Tak, ja też nie mam rodziny – przyznaję bezpretensjonalnie, mozolnym krokiem kierując się w stronę budynku, do którego kapela uzyskała dostęp jedynie dzięki programowi wspierającemu młodych artystów w Las Vegas. – Trafiłeś w samo sedno.

Gabriel kręci głową, jakby chciał wyperswadować mi wniosek, że rozpoczął ten wątek tylko po to, by mi ubliżyć. Gestem ręki ukłócam jego protest, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że jego intencje nie były w żadnym wypadku złe. Westchnąwszy pod nosem, postanawiam zmienić temat na ten, którego nie wyczerpaliśmy:

– Nie odpowiedziałeś mi, czy wybierasz się do Kolorado.

Gabriel zerka na mnie kątem oka, obserwując mimikę mojej twarzy.

– Rozpraszenie cię przed igrzyskami to ostatnie, czym chciałbym zabłysnąć, Mercy – odpowiada odrobinę zrezygnowanym tonem, a we mnie momentalnie kiełkuje niechciany zawód. Zamiast jednak zaakceptować wstępną decyzję mężczyzny, postanawiam negocjować.

– Jeśli nie masz żadnych zobowiązań związanych z Inferno na początku lutego, to wpadnij. Musimy być kwita, skoro ja mogłam widzieć cię w akcji na ringu podczas mistrzostw. – Wzruszam niedbale ramionami, gdy wchodzimy do budynku. W przeciwieństwie do tamtej rudery, miejsce, w którym odbędzie się dzisiaj koncert, jest jasne i przestronne. W żadnym wypadku luksusowe, ale po prostu... nieobskurne.

– To próba ugodzenia w moją powściągliwość? – pyta Gabriel.

Na jego twarzy widzę szelmowski uśmiech. Odwzajemniam go.

– Biorąc pod uwagę *tamte* wakacje, raczej jedna z wielu. – Puszczam mu oczko.

W tej samej chwili do moich uszu dobiega muzyka odbijająca się od ścian korytarza. Nie jest to brzmienie lekkie, wręcz przeciwnie. Stary, dobry rock powoduje delikatne mrowienie na moich plecach. Dotarwszy do właściwej, skąpanej w mroku sali, opieram nonszalancko ramię o framugę ogromnych, dwuskrzydłowych drzwi. Widzę przed sobą niewielką scenę, a na niej zespół oraz rude loki lawirujące w powietrzu. Uśmiecham się, czując twardą pierś przywierającą w jednej sekundzie do moich pleców.

– Ekipa UnderScore na pewno będzie miała coś przeciwko – zauważa słusznie Gabriel.

Jego niski głos przedziera się przez głośną muzykę, powodując dziwny, niechciany ścisk w moim podbrzuszu. Szorstkie palce

przesuwają się leniwie wzdłuż mojego odkrytego przedramienia, mkną wyżej, aż w końcu docierają do żuchwy. Mężczyzna nawija sobie kosmyk ciemnych włosów na wytatuowany palec, na co instynktownie mocniej wciskam słupek butów w posadzkę, jakby miało mi to jakkolwiek pomóc otrzeźwić umysł.

– Zawsze możemy ich trochę – robię krótką pauzę, by zadrzeć odrobinę brodę i odnaleźć drogę do oczu mężczyzny – wykiwać. Caleb i Rhys nie będą mogli ingerować w coś, o czym nie mają pojęcia. – Mój kącik ust unosi się w szerszym, cwany uśmiechu.

Gabriel dopiero po chwili kiwa głową, by potwierdzić, że zjawi się na igrzyskach.

Robi to sekundy przed tym, jak ludzie zaczynają masowo wchodzić na salę.

## ROZDZIAŁ 16

Z apatii wrywa mnie dopiero charakterystyczny trzask drzwi. Odłożywszy magazyn sportowy na stół, odwracam głowę w stronę nowo przybyłych gości. Caleb zmierzający w kierunku podłużnego stołu patrzy to na jakieś dokumenty, to na twarz Crawforda, który w gabinecie swojego przełożonego najwyraźniej czuje się już jak u siebie. Rozchylam bezwiednie usta, wzdychając prawie że niesłyszalnie. Mam zamiar załatwić wieczorną wizytę w siedzibie UnderScore szybko, byle tylko nie spędzać tutaj więcej czasu, niż rzeczywiście chcę.

– Rozchmurz się, skarbie – zwraca się do mnie Wright. – Miałaś dzisiaj luźny dzień.

– Fakt, że nie musiałam taszczyć tyłka na lodowisko i znosić Rhysa nie oznacza, że był luźny – mamroczę pod nosem, gdy mężczyzna usadawia się na krześle obok mnie.

Podaje mi dokument, który chwytam bez zbędnych pytań. Słyszac szum dochodzący z naprzeciwka, uzmysławiam sobie, że Ace Crawford usiadł centralnie naprzeciwko nas.

– Jedna kampania reklamowa pójdzie ci jak z płatkami... – Mój menadżer nie kryje przekonania, którym przesiąka jego spokojny, odrobinę zachrypnięty głos. Patrzę na niego ukradkiem. Biała koszula prezentuje się na nim wręcz perfekcyjnie. Od jego jasnych oczu emanuje cholerny, nieśmiertelny entuzjazm. – Zwłaszcza że lubisz swojego kompana bardziej, niż powinnaś – dopowiada z wręcz namacalnym przekąsem.

Instynktownie kątem oka łypię na Ace'a. Nie spuszcza ze mnie wzroku nawet na sekundę. Jego grdyka porusza się niespokojnie, a we mnie kotłuje się dziwne napięcie, którego nie potrafię poprawnie zinterpretować. Zamiast jednak podejmować próby poznania jego genezy, ponownie krzyżuję spojrzenie z Calebem, pytając z opanowaniem:

– Wyślesz mi SMS-a, gdzie jest ten butik? Wciąż ciężko rozeznąć mi się w Vegas.

Wright poprawia kołnierz koszuli, mrużąc oczy w odpowiedzi.

– Mercy, przecież Ace może cię podrzucić. I tak miał jechać do ośrodka lotniczego, a on jest naprawdę niedaleko alejki, do której masz dotrzeć punktualnie – wyraźnie akcentuje ostatnie słowo, a jego wzrok w jednej sekundzie staje się sugestywny.

– Przyjechałam swoim cackiem – oponuję neutralnym tonem. – Poradzę sobie bez angażowania w to twojego asystenta – tym razem to ja kładę nacisk na końcówkę wypowiedzi.

Stukam paznokciami o powierzchnię stołu, wpatrując się w warunki kampanii reklamowej dla nowej linii biżuterii od znanego domu mody. Puszczam mimo uszu westchnienie Caleba oraz ignoruję fakt, że spojrzenie Crawforda staje się z każdą minutą wręcz palące. Zwyczajnie wczytuję się w lekturę, kiwając głową z uznaniem na widok naprawdę niezłego konspektu całego przedsięwzięcia. W gruncie rzeczy mamy z Gabrielem po prostu odegrać jakąś losową scenę.

– Dobrze, po prostu powiedz, czy dalej chcesz w to brnąć – odpowiada mi menadżer. – Z tego, co wiem, druga twarz tej kampanii nie zrezygnowała z projektu, więc wystarczy, że przytakniesz ostatecznym warunkom i jesteśmy w domu.

Mężczyzna unosi brew w geście zapytania. Ostatni raz rzucam okiem na dokument, po czym odkładam go na solidny blat. Na zgiętych w łokciach rękach opieram brodę, po czym, przesunąwszy kciukiem wzdłuż policzka, zaczesuję kosmyk niesfornych włosów za ucho. Byłabym naprawdę bezmyślna albo kurewsko wybredna, gdybym w tym momencie zrezygnowała z kampanii, która wymaga jedynie mojego zaangażowania.

Odetchnąwszy głęboko, rzucam pod nosem:

– Chcę dalej w to brnąć, ale chyba nie mam już więcej czasu, by ucinać sobie z wami pogawędki. – Dostrzegam na podświetlonym wyświetlaczu własnego telefonu godzinę szóstą. – Mamy coś jeszcze do obgadania, czy mogę się zwizać?

Caleb kręci głową w geście protestu, gasząc mój zamiar.

– Zaczekaj. Ace, mógłbyś skoczyć po informacje dotyczące wyjazdu do Denver, które przekazałeś mi po przyjeździe do UnderScore? Pewnie są gdzieś przy recepcji – zwraca się do siedzącego naprzeciwko mężczyzny, który pomału podnosi się do pionu.

Dopiero teraz unoszę na niego wzrok. Ciężkie kroki wyrzucają z pomieszczenia ciszę, gdy Ace poprawia poły swojej marynarki. Zaszczyca mnie ostatnim, bezpretensjonalnym spojrzeniem, a następnie rusza w stronę drzwi, uprzednio kiwnąwszy głową w stronę Caleba. Podkurczam palce u stóp w chwili, w której błoga ulga rozlewa się po każdej komórce mojego ciała. Nie wiedzieć czemu, wciąż nie mogłam wyrzucić z głowy nieodpartego wrażenia, jakby obecność Crawforda w UnderScore miała pociągnąć za sobą naprawdę dużo problemów.

– Ma facet potencjał. Zaplanował cały wyjazd na igrzyska.

Słowa mężczyzny wyrywają mnie z krótkiego zamyślenia. Odzyskawszy rezon, chrząkam:

– Ale upewniłeś się, że nie popełnił żadnej gafy?

– Wiesz, że jestem przezorny jak cholera. – Caleb wstaje na równe nogi. Leniwym krokiem pokonuje kilka metrów, aż w końcu czuję za sobą jego obecność. Duże dłonie lądują nagle na moich barkach, na co wypuszczam powolny oddech pomiędzy warg. – Szlag, Mercy. Wydajesz się naprawdę przytłoczona tym wszystkim, a to nawet jeszcze nie półmetek.

Nie muszę odwracać głowy, by wiedzieć, że mężczyzna uśmiecha się bezczelnie. Wciąż ma dłonie położone na moich barkach, ale nie jest to w żaden sposób dwuznaczne. Przygryzam wargę, krzyżując ręce pod biustem. Nie zamierzam buntować się przeciwko słowom Caleba. Gdy tak dłużej trawię w duchu ich sens, wydają się naprawdę kurewsko trafne.

– Czyżby nagle ugryzło cię sumienie? – Mój kącik ust unosi się w szyderym uśmiechu. – Jakby nie patrzeć, to ty i przekłety Rhys narzuciliście mi takie tempo pracy. – Zakładam nogę na nogę, wsłuchując się w ciszę zalewającą gabinet. Nie doczekując się odpowiedzi mężczyzny, dopowiadam: – Wyluzuj, nabijam się. Za

miesiąc będę okazem twojej żywej i energicznej podopiecznej, jakim byłam dwa lata temu. – Przechyłam odrobinę głowę.

Caleb wypuszcza ze świstem powietrze. Zanim zdąży jednak się odezwać, w pomieszczeniu rozbrzmiewa cichy dźwięk naciśniętej przez kogoś klamki. Zanim ręce znikają z moich barków, świadkiem ich spoczynku na mnie jest sama Rachel Wright. Przesuwam dłońmi po materiale sztruksowej spódniczki, by pozbyć się wrażenia, jakby te w jednej sekundzie zdążyły spocić się jak diabli. Szlag, biedny Caleb. Ja mam gdzieś to, co siedzi w popapranej głowie jego żony, ale on... Cóż, musi znosić jej chorą podejrzliwość.

Ace, który wchodzi do gabinetu za kobietą, rzuca krótkie:

– Mam – robi krótką pauzę – informacje na temat wyjazdu do Denver.

Odwracam powoli głowę w bok. Caleb przesuwając kciukiem wzdłuż grzbietu nosa. Gołym okiem jestem w stanie dojrzeć na jego twarzy cień grymasu podszyty jedynie tą beznadziejną świadomością, że żona i jej obsesja ostrzą sobie na niego kły. Ace, zorientowawszy się, że coś jest nie tak, odzywa się do mnie:

– Chodź, Mercy. – Moje imię w jego ustach powoduje, że krew krzepnie mi w żyłach w zatrważająco szybkim tempie. Połykam bezdźwięcznie powietrze, wiedząc, że wpadłam w niezłą pułapkę. Gdzie nie pójdę, tam czeka mnie lincz. Ewentualnie znoszenie obecności osoby, której towarzystwa nie pragnę. – Pokażę ci cały plan.

W milczeniu, choć z lekkim oporem, podnoszę się do pionu. Mijając Rachel, wyrzucam z głowy irracjonalną myśl, że oczy tej kobiety ciskają we mnie pieprzonymi piorunami. Zamiast jednak podkulić ogon, wciskam dłonie do kieszeni spódniczki, nie spuszczać wzroku z drzwi, w których kierunku zmierzam. Aż w końcu wraz z Crawfordem docieramy do lobby znajdującego się na siedemnastym piętrze w budynku jednej z siedzib UnderScore.

– Przy okazji, mam dla ciebie przerobioną piosenkę od zaprzyjaźnionego kolegi z wytwórni. Trochę ją obrobił wedle wskazówek, które przekazałaś Rhysowi. Sprawdź, czy ci odpowiada. To w końcu finalna wersja, do której masz wykonać układ. – Z tymi

słowami mężczyzna siada na fotelu. Wyciąga z teczki płytę, którą chwytam bez zbędnego namysłu.

Zajmuję miejsce obok i odpowiadam krótko:

– Dzięki.

– Miałaś jakiś... bodziec, który popchnął cię do tego, żeby zdecydować się akurat na ten tytuł? – pyta po chwili, nie robiąc sobie nic z tego, że moja obojętność względem jego osoby nie jest czymś chwilowym. Mimo wszystko patrzę na niego z jawną rezerwą.

– Czasami decyzje, które podejmujemy, nie wymagają żadnego pretekstu, Ace – wzdycham głosem wypranym z emocji, po czym się uśmiecham, nie jest to jednak szczery gest. – A ty? Czy zanim odszedłeś do *niej*, poczułeś jakiś pieprzony impuls?

Przyglądam się jego twarzy, która pozostaje pokerowa. Może i nie powinnam wciąż robić mu wyrzutów. W końcu minął szmat czasu, od kiedy zwątpiłam w to, że kiedykolwiek uda mi się zmusić do tego, by komuś znowu zaufać tak, jak zaufałam temu facetowi, ale... cóż, jestem tak cholernie mściwa i pamiętliwa, że nie zamierzam w sobie tego dusić. Nawet kosztem opinii dzieciennie zachowującej się gwiazdeczki sportu.

– Powinniśmy omówić wyjazd do Denver, to obecnie nasz priorytet – chrząka wymijająco mężczyzna, wyciągając z teczki kilka kartek.

Widnieją na nich jakieś zdjęcia, ale nie skupiam się na nich za bardzo. W gruncie rzeczy nie obchodzą mnie ani trochę. Kręcę głową z pobłażaniem, podnosząc się do pionu i mówiąc przy tym z powagą:

– Koniec tej farsy, spadam stąd. Wyślij mi to na maila.

Zamiast do windy ruszam w stronę schodów. Po kilku minutach wychodzę z siedziby UnderScore. Odległość dzielącą mnie od sportowego samochodu pokonuję, mając z tyłu głowy myśl, że reszta tego dnia będzie lepsza niż jego początek.

Kiedy docieram do alejki wskazanej przez Caleba, dobrą chwilę zajmuje mi zlokalizowanie parkingu znajdującego się za budynkiem butików luksusowej marki. Zimne powietrze rozbija się o moją twarz tak szybko, jak wysiadam z mercedesa, zgarniając mimochodem jedynie telefon leżący gdzieś na desce rozdzielczej. Już z oddali

jestem w stanie dostrzec przez wielgachne okna budynku chmurę ludzi krzątających się po jego wnętrzu.

– Witaj, Mercy – obco brzmiący głos rozbrzmiewa gdzieś obok mojego ramienia, gdy przechodzę przez próg butiku. Instynktownie odwracam głowę, by wyłapać spojrzenie kobiety, której twarz wygląda znajomo. – Mam na imię Jacqueline i będę dzisiaj dopinać całą reklamę na ostatni guzik. Liczę, że uwiniemy się z nią szybko, ale doszły mnie słuchy, że praca z tobą i Gabrielem jest tak przyjemna, że nieważne, ile to będzie trwać, i tak będzie super.

Spoglądam najpierw na twarz kobiety, która na oko wygląda na czterdzieści lat. Włosy spięte ma w długiego warkocza, a usta rozciągnięte w perlistym uśmiechu. Dołeczki w jej policzkach wydają się dzięki temu naprawdę głębokie. Witam się z nią uściskiem dłoni, po czym, odwzajemniwszy uśmiech z odrobinę mniejszym rozweseleniem, odpowiadam:

– Najpewniej tak właśnie będzie. – Przesuwam językiem po wardze, rozglądając się po luksusowym wnętrzu butiku. – Wszystko będziemy nagrywać tutaj? – Opuszczam bezwiednie ręce wzdłuż tułowia. Moja rozmówczyni kręci głową.

– Przeniesiemy się później na obrzeża miasta. Tam znajduje się miejsce, które będzie się prezentować wręcz bajecznie na ujęciach, które zrobimy – informuje mnie Jacqueline, po czym gestem ręki wskazuje na drzwi oznakowane jako przejście dla personelu. – Tam znajdziesz prowizoryczną garderobę. Zajmą się tobą makijażystki i fryzjer. Na pewno dadzą ci parę wskazówek, chociaż niewątpliwie masz już pewne doświadczenie w podobnych zleceniach.

Przytakuję, po czym odwracam się na pięcie, uprzednio mówiąc ze spokojem:

– Dziękuję, Jacqueline.

Moje kroki są niemal bezdźwięczne, odgłos obcasów zderzających się z posadzką nie przedziera się w żadnym wypadku przez zgiełk panujący w budynku. Wciskam dłonie do kieszeni, po czym biorę głęboki oddech. Docieram do właściwego pomieszczenia, tej niewielkiej klitki, w której znajduje się kilka osób, i zostaję od razu posadzona na obitym zamszowym materiałem taborecie. Bez żadnego protestu pozwalają na to, by makijażyści rozpoczęli swoją

pracę od pokrycia moich powiek ciemnym cieniem w kolorze burgundu. Włosy z kolei zostają mi odrobinę potargane, spryskane niewielką ilością wody tak, że stają się nieco wilgotne. W połączeniu ze zwiewną kiecką, której materiał przypomina barwę odcień czerwonego wina, uznaję starania zespołu za naprawdę trafione.

– Najważniejsze, żebyś się nie poślizgnęła – rzuca Jacqueline, gdy siedzimy już w samochodzie prowadzonym przez szofera. – Obawiam się, że gdybyśmy musieli doprowadzać cię do stanu sprzed podobnej katastrofy, stracilibyśmy dużo czasu i naturalnego światła. – Uśmiecha się kącikiem ust, przeglądając jakieś papiery.

– Poślizgnęła? – dziwię się.

– Straciła równowagę, postawiła szpilkę na nierównym gruncie lub zwyczajnie miała pecha i padła jak długa... – wylicza Jacqueline, na moment przenosząc spojrzenie na deskę rozdzielczą. – Gabriel powinien być już na miejscu. Moja prawa ręka miała mu wszystko wyjaśnić – dodaje po chwili, wsuwając pomiędzy wargi końcówkę długopisu.

Odwróciwszy głowę w kierunku szyby, dostrzegam mijane przez nas rzędy domów jednorodzinnych, co oznacza, że wjechaliśmy już na obrzeża miasta, w którego centrum królują raczej cholernie wysokie budynki. Słońce nadal znajduje się w zenicie, ale przesuwające się po niebie chmury średnio co kilkanaście minut nie pozwalają mu przebić się przez ich strukturę. Fakt, że temperatura w Vegas wynosi dzisiaj jedenaście stopni, nie jest jednak pocieszający.

– Postaram się nie dać plamy. – Wzruszam ramionami.

– Najważniejsze jest to, by odgrywana przez was scena wyszła naturalnie. Pracujemy nad reklamą linii biżuterii, która będzie transmitowana w każdym zakątku świata, gdzie działa nasza marka. Po prostu... wyeksponujcie uczucie. Musicie na pierwszy plan wystawić całe to napięcie, które pomiędzy wami narasta z każdym kolejnym ujęciem, dobrze? – Spoglądając ponownie na Jacqueline, orientuję się, że kobieta przygląda mi się uważnie. Kosmyki włosów, które zdążyły wydostać się z jej warkocza, opadają na jej spokojną twarz.

Skinieniem głowy potwierdzam, że wszystko jest dla mnie zrozumiałe. Kiedy po kilku minutach podróży samochodem zatrzymujemy się na małym placu otoczonym zabudową starych kamienic, nie mam bladego pojęcia, w której części Las Vegas jesteśmy. Wiem natomiast, że Gabriel wygląda cholernie gorąco z tymi dwoma odpiętymi pod linią kołnierza czarnej koszuli guzikami, jej zakasany na wytatuowanych przedramionach rękawami, potarganymi, nieco zmierzwionymi wodą włosami i mrocznym, przenikliwym spojrzeniem, którym mnie taksuje, gdy wraz z Jacqueline mkniemy przed siebie w stronę centrum placu.

Aż w końcu przystajemy przed Gabrielem i stojącymi obok niego kilkoma facetami. Za jego plecami znajduje się jeszcze parę osób, niektóre trzymają w dłoniach kamery, inne wysokie lampy w kształcie pierścienia, a jeszcze inne pudełka z nieznaną mi zawartością. Krzyżując spojrzenie z moim partnerem od reklamy, mój kącik ust unosi się w cwany uśmiechu.

– Nie jest dzisiaj zbyt ciepło, więc nie bójcie się mówić, jeśli będziecie marznąć – mówi Jacqueline, zanim podchodzi do jednej z kobiet, by wyciągnąć z trzymanego przez nią pudełka kilka błyskotek. – Powinny pasować. Kolczyki, pierścionek i naszyjnik z białego złota – tłumaczy, a biżuteria już po chwili zdobi moje ciało. – A dla ciebie, mój drogi, zegarek...

Kiedy Gabriel ma już go na nadgarstku, zostajemy sami na placu boju. Jacqueline każe nam poczekać dosłownie parę minut, więc posłusznie stoimy na betonowej powierzchni, wpatrując się w siebie z minami nieprzeniknionymi żadnymi emocjami.

Zadzierając brodę, zagajam:

– Spróbuję nie zepchnąć cię na drugi plan, kochanie. – Wydymam cnotliwie dolną wargę, patrząc na mężczyznę spod rzęs. Gabriel uśmiecha się delikatnie, kręcąc głową z nieukrywanym pobłażaniem.

– Po prostu... próbuj raczej nie poślizgnąć się, gdy będziesz wpadać mi w ramiona, Mercy – odpowiada nonszalancko, a ja instynktownie spoglądam na betonowy grunt, na którym stoję. Nie jest on mokry, więc nie mam pojęcia, o co im wszystkim chodzi.

– Czemu, do diabła, wszyscy mnie przed tym ostrzegają? – Mrużę oczy w jawnym niezrozumieniu. – I hej, nie ustaliłeś ze mną całego

przebiegu ujęcia. – Mój palec wskazujący wystrzela oskarżycielsko w kierunku Gabriela, który jedynie uśmiecha się jeszcze szerzej. Odwraca na moment wzrok w kierunku Jacqueline, która coś do niego mówi.

Krzyk jakiegoś faceta przedziera się przez zgiełk panujący na planie. Zanim zdążę wziąć głęboki oddech, z betonowej powierzchni wystrzeliwują słupy wody podświetlone przez czerwone neony. Czuję na odkrytych ramionach jej smagnięcia, ale tłumiąc w sobie chwilowe zdumienie, postępuję według rad Jacqueline. Podchodząc do Gabriela w dwóch krótkich krokach, kładę raptownie dłonie na jego pokrytych zarostem policzkach, eksponując białe złoto znajdujące się na moich palcach. Jego ręce ułożone na moich biodrach zmuszają mnie, bym przywarła do niego jeszcze mocniej. W uszach słyszę jedynie szum własnej krwi, wody wydostającej się z betonu, ciężki oddech Gabriela oraz pełne aprobaty słowa Jacqueline. Przyciskam usta do ust swojego partnera, całując go zawzięcie.

– Magia – kwituje Jacqueline, która podchodzi do nas po czternastej próbie odegrania tej samej sceny. – Mamy tutaj kwintesencję całej magii Las Vegas. Jeszcze kilka wersji i będę mogła was puścić wolno. Kierowcy odwiozą was prosto do butik.

I rzeczywiście, gdy udaje nam się dopiąć wszystko na ostatni guzik, wracamy do budynku. Stamtąd, po podpisaniu jeszcze kilku świstków, wychodzimy z Gabrielem około kwadrans przed dziesiątą. Ubrani w te same ciuchy, które mieliśmy na sobie od paru godzin, a które mogliśmy sobie zabrać, poruszamy się mozolnym krokiem po parkingu. Towarzyszy nam jedynie losowa piosenka wydostająca się z jakiejś okolicznej knajpy. Opierając nagle plecy o karoserię mercedesa, przyglądam się Gabrielowi. I wystarczy zaledwie sekunda, bym wsiadła do samochodu ze świadomością, jaki kierunek powinnam obrać.

Ponura aura posiadłości na obrzeżach miasta nie wywołuje już we mnie nawet dozy niepokoju, gdy przesuwam spojrzeniem po ceglanych ścianach pokrytych mchem. Gabriel, którego pierś przywiera nagle do mojej łopatki, delikatnie przesuwają wytatuowaną

dłonią wzdłuż moich wciąż wilgotnych włosów, by przenieść je na plecy. Oddycham ciężko.

– Zabiorę cię gdzieś – jego zachrypnięty głos rozbrzmiewa gdzieś za moim uchem.

Instynktownie odwracam głowę, by skrzyżować z nim spojrzenie. Zanim z moich ust zdąży jednak wydostać się pytanie, Gabriel oplata palcami mój przegub, ruszając leniwym krokiem w kierunku przeciwnym do drzwi prowadzących do rezydencji. Rozglądam się wokoło. Szum drzew targanych przez wiatr i skrzek kruków wyrzucają ciszę z posesji. Ciemna kotara nieba i przesuwające się po niej chmury nie pozwalają mi dostrzec zbyt wiele szczegółów. Dzięki wbitym w trawnik, starym i brudnym lampom widzę jedynie te wszystkie popękane kolumny ułożone do siebie równolegle, gdy schodzimy z betonowych schodów.

– Zwolnij – ostrzega mnie nagle Gabriel, gdy stąpamy już po trawie.

– Tam jest wysoki żywopłot – zauważam słusznie. – Jak chcesz przejść?

Odwracam głowę, by spojrzeć na mężczyznę. Grafitowe tęczówki czujnie skanują moją twarz, ale nie koncentrują się w tej chwili na tym, w jak przenikliwy sposób to robią. Zamiast tego ponownie spoglądam na wielgachną ścianę stworzoną z żywopłotu. Ciemność spowijająca przestrzeń wokół nas nie ułatwia mi zrozumienia, co ten facet ma na myśli.

– W trawnik wbite są plastry drewna. Postaraj się stąpać po nich twardo.

Mężczyzna rusza przede mną, więc idę jego śladem. Obcasami moich wiązanych wokół łydki jedwabnym materiałem sandałków udaje mi się trafić w drewno. Aż w końcu docieramy do niewielkiego łuku stworzonego z bluszczu i jestem w stanie omieść wzrokiem widok, którego nie spodziewałabym się zastać tak blisko ponurej posiadłości. W jednej chwili uzmysławiam sobie, że taki spacer po posesji był naprawdę opłacalny. Oddech więźnie mi w gardle w zatrważająco szybkim tempie. Mimowolnie rozchyłam bezwiednie usta.

Przed nami rozpościera się usypana naprawdę drobnym żwirem droga. Długi chodnik i położone równolegle do siebie rzędy wysokich, czarnych jak smoła latarni dających światło otoczone są przez długie pasmo wymyślnie przystrzyżonego żywopłotu. Drzewa z liśćmi w kolorze ciemnego burgundu umiejscowione są w każdym skrzydle cholernie ogromnego prostokąta, czyli kształtu, jaki ma teren okalany przez rzędy świerków, a za którymi znajduje się jedynie las. W tym ogrodzie nie ma chociażby kawałka wolnej przestrzeni, bowiem cała zagospodarowana jest dla roślin, oczek wodnych, ławek oraz niewielkich fontann. To wszystko... och, to wszystko składa się na naprawdę niezmierny widok.

Zadzierając brodę, orientuję się, że na końcu drogi znajduje się kamienna kondygnacja. Tak samo jak kolumny przed rezydencją, schody wybudowane są w stylu chińskim. Można na nie wejść po stopniach zarówno z lewej, jak i prawej strony, ale z każdej dotrze się do tych głównych, prowadzących do budynku z wysokimi, zakończonymi łukiem oknami i bluszczem pnącym się po jego ścianach. Wygląda to jak oranżeria. Z zapartym tchem patrzę na otaczającą nas przestrzeń. Odzyskuję rezon dopiero w chwili, w której Gabriel zaczyna mówić:

– Poprzedni właściciel posiadłości miał prywatnego architekta krajobrazu, który opiekował się tym... wszystkim i wysyłał tutaj swój zespół ludzi. – Robi krótką pauzę, wkładając dłonie do kieszeni spodni. – Nawet gdy przejąłem tę posiadłość, nie zrezygnowałem z ich usług, chociaż nie przychodzę tutaj zbyt często. Wolę raczej taras na dachu.

– A jednak nie wszystko, czym się otaczasz, jest ponure. – Uśmiecham się nieznacznie, gdy przymykam delikatnie powieki. Zimne powietrze smaga mnie w twarz, ale spojrzenie Gabriela, palące i świdrujące na wskroś, sprawia, że robi mi się odrobinę cieplej. Nie czekam na jego odpowiedź. Otworzywszy oczy, oplątam skostniałymi palcami jego nadgarstek, po czym ruszam przed siebie, omiatając wzrokiem te wszystkie niezwykle widoki.

– Obiecałem Jacqueline, że po wszystkim zadbam, żebyś ubrała się w cieplejsze ciuchy, wypła coś ciepłego i uniknęła choroby, Mercy. – Gabriel patrzy na mnie z pobłażaniem, a mi przez głowę przechodzi

myśl, że kobietę, która była odpowiedzialna za dzisiejszą reklamę, rzeczywiście obchodziło to, jak się czujemy lub to, co mamy do powiedzenia. Jestem więc skłonna uwierzyć w słowa mojego towarzysza, który na dobrą sprawę zaskarbił sobie serce Jacqueline bardziej niż ja.

Małe kamyczki uciekają spod obcasów moich butów, gdy idę przed siebie leniwym krokiem. Wiatr igra z moimi włosami, mierzwiąc je średnio co parę sekund. Aż w końcu, gdy docieramy przed schody prowadzące na szczyt wzniesienia, nie waham się nawet przez moment i zaczynam pokonywać pierwsze stopnie”.

– Wejźmy tam chociaż na moment – mówię ze spokojem, przesuając dłonią po kamiennych figurkach znajdujących się na poręczy. – Jutro nie będę miała okazji. Z samego rana muszę jechać na lodowisko, bo czeka mnie trening. A później... Och, sam wiesz gdzie i w jakim celu. – Na mojej twarzy widać lekki uśmiech, gdy Gabriel odpowiada:

– Do paszczy lwa, żeby pobawić się w szpiega.

– Czytasz mi w myślach – stwierdzam bez namysłu. – W końcu przekonam się, jak wygląda to całe Inferno. Marie coś tam już napomknęła, że mam nie spodziewać się czerwonych dywanów i luksusowych wnętrz... – przypominam sobie, gdy Gabriel otwiera przede mną szklane drzwi. Wchodzę do środka, ale niewiele jestem w stanie zobaczyć.

– Uznaj, że dała ci cenną wskazówkę – rozbawiony głos mężczyzny dobiega mnie zza pleców. Zaraz potem następuje charakterystyczne kliknięcie, a przestronny budynek, w którym się znajdujemy, zostaje nieco oświetlony przez przyczepione do ścian stare kinkiety. I jeśli myślałam, że to ogród zrobił na mnie wrażenie, to oranżeria wygląda jak miejsce, w którym mogłabym przesiadywać godzinami. Mrugam powoli, zaciągając się nosem. Zapach pomarańczy i cedru od razu opanowuje mój zmysł węchu, powodując dziwne mrowienie na plecach.

Pnący się po ścianach bluszcz, znajdujące się w centrum budynku oczko wodne i otaczające je ogrodowe meble to pierwsze, co rzuca mi się w oczy. Zaraz potem natrafiam na wymyślne krzewy, kwiaty, których pąki są jeszcze niedojrzałe, i przejścia do innych sal

zdobionych przez wyrzeźbione starannie łuki. Filary owinięte są przez latorośle. Wypuszczam powoli powietrze, podchodząc bliżej centrum oranżerii.

Zasiadam na ogrodowej sofie i mówię:

– Szkoda, że ty nigdy nie dałeś mi podobnej związanej z tym miejscem. – Opieram wyprostowane ręce za plecami, przesuając spojrzeniem po skąpanej w półmroku sali. Zalewa je jedynie cisza, przez którą nagle przedziera się dźwięk ciężkich kroków.

To Gabriel podchodzi do mnie niespiesznie, a jego wzrok spoczywa na mojej twarzy.

– Chcesz wskazówek? – Niski baryton męczyzny uderza we mnie jak huragan.

Patrzę na niego z kamienną miną. Jestem pewna, że oczy iskrzą mi z podekscytowania, które czuję w każdej komórce ciała. Moje plecy oblewa zimny pot, gdy zadzieram brodę. Gabriel stoi przede mną, prezentując się jak ucieleśnienie powagi i nieustępliwości. Jego brzuch jest na wysokości mojej twarzy, ale zanim zdążę podnieść się do pionu, Gabriel kuca przede mną. Nieodparte wrażenie, jakby wokół gardła owinęła mi się nagle niewidzialna pętla, staje się wręcz namacalne. Ale to po prostu oddech więźnie mi gdzieś w pieprzonej piersi za sprawą tego, jak ciężkie wydaje mi się nagle powietrze w oranżerii.

– Chcę ich – wykrztuszam z siebie. – Mogę liczyć na jakąkolwiek?

Gabriel wyciąga dłoń w moim kierunku. Na początku myślę, że położy ją na moim policzku albo po prostu na ciele, ale kiedy widzę, że zaciska palce na obcasie mojego buta, drżę z zaskoczenia. Rozchyłam bezwiednie usta, ale nie wypada z nich nawet tchnienie. Męczyzna nieśpiesznie chwyta za wiązanie mojego obuwia. Powoli zaczyna odwiązywać jedwabny materiał owijający moją łydkę. Biorę wdech, czując na niej jego usta. Ich szorstka struktura wyzwala we mnie żądzę, której nie umiem utrzymać w ryzach.

Czując chłód na nodze, który zastępuje znajome, ciepłe mrowienie, powracam otępiałym wzrokiem do twarzy Gabriela. Zastygnąwszy na moment w bezruchu, taksuje mnie spojrzeniem, w którym nie widzę żadnej intencji. Czai się w nim jedynie stalowy blask.

– Możesz być pewna, że każda wskazówka, którą ci zdradzę, będzie brzmieć tak samo. I każda w końcu uzmysłowi ci, jak cholernie mnie zwiodłaś, Mercy – wzdycha, patrząc na mnie z dołu. Odchyliwszy głowę do tyłu, spoglądam prosto w sufit, który jest przeszlony. Ciemna kotara nieba wydaje się czarna jak przekłeta smoła.

Materiał owinięty wokół mojej łydki zostaje z niej zsunięty jednym szarpnięciem. Gabriel ponownie przyciska usta do mojej skóry, sunąc pocałunkami w górę. Przestaję rejestrować, co dzieje się wokół mnie, gdy jego dłonie przesuwają się coraz wyżej i docierają do wewnętrznych części moich ud ukrytych pod materiałem kreacji. Instynktownie napinam wszystkie mięśnie, czując, że z każdą sekundą zaczynają wiotczeć. Kolejne czułe muśnięcie ust na mojej nodze wypiera mi z głowy każdą dozę zdrowego rozsądku.

Odruchowo mocniej wciskam paznokcie w obicie sofy, ignorując to nieodparte wrażenie, że siłą nacisku zaraz je sobie połamię. Knykcie bieleją mi tak szybko, jak Gabriel pozbywa się mojego drugiego sandałka, rozwiązując niespiesznie jego wiązanie. Powracam spojrzeniem do jego twarzy. W tej samej sekundzie grafitowe oczy odnajdują drogę do moich. Spijają z nich całe ożywienie, które krąży mi w krwiobiegu. Doprowadzają do tego, że sukcesywnie tracę pieprzony oddech z każdą iskrą, która w nich zamigocze. Nie mrugam. Nie poruszam się nawet o cal, gdy Gabriel wstaje na równe nogi.

Jego ciało nagle nade mną góruje. Na odkrytych plecach czuję smagnięcie obicia sofy, gdy leżę na meblu absolutnie nieskora do tego, by zbuntować się przeciwko temu, że Gabriel więzi mnie między swoimi opartymi po obu stronach głowy przedramionami. Na mojej twarzy pojawia się cwany uśmiech, gdy czuję jego usta na swoich. Muskularny tors prawie stapia się z moim biustem, kiedy Gabriel przywiera do mnie z zapalem, który wprawia mnie w błogi stan uniesienia. Moje dłonie samoistnie odnajdują rząd guzików jego czarnej, jedwabnej koszuli. Szybko udaje mi się zsunąć mu ją z barków i omieść wzrokiem swój ulubiony, wielgachny tatuaż znajdujący się na całym ramieniu i kawałku piersi.

Materiał sukienki podwija się z każdym przesunięciem dużej dłoni wzdłuż mego uda. Gubię gdzieś resztki zimnej krwi, kiedy długie palce zahaczają niespiesznie o cienki rąbek bielizny. Całkowicie polegam na łasce mężczyzny, którego usta drażnią najczulszy punkt na mejej szyi. Owijam palce wokół jego karku, gdy zsuwa zębami ramiączko mejej sukni. Chłód spowijający oranżerię nie daje mi się we znaki ani przez cholerną sekundę, kiedy czuję ocierający się o moje centrum wzwód. Splatam bosc stopy za lędźwiami Gabriela, wydając z siebie cichy pomruk, gdy przesuwa językiem wzdłuż moich obojczyków.

Wciągnąwszy nosem obfitą dawkę rześkiego powietrza, kładę palce na sprzączce od skózanego paska jego spodni. Pod płytkami paznokci czuję jedynie wrzenie własnej krwi, gdy po paru niemiłosiernie dłużących się sekundach zsuwam z jego wąskich bioder wszystkie części jego dolnej garderoby. Zanim zdążę zorientować się, w którym momencie z mego ciała zniknął każdy dotychczas znajdujący się na nim skrawek materiału, Gabriel wbija się we mnie zapalczywie, podgryzając moją dolną wargę. Z mejej piersi wydobywa się zduszone westchnienie, gdy czuję, że mężczyzna, manewrując biodrami coraz śmieiej i dogłębniej, wypełnia mnie swoją męskością aż po samą jej nasadę. Wypieram z głowy wszystkie myśli.

Koncentruję się tylko na tym, jak Gabriel kładzie dłoń na linii mejej szczęki, nie hamując się nawet na ułamek sekundy. Jego pchnięcia zmuszają moje plecy do tego, by przywierały do obicia coraz mocniej i przesuwały się po nim z łoskotem. Spływa z nich struga zimnego potu, ale nie oponuję w żaden sposób, czując nawarstwiające się we mnie ukojenie. Smagnięcia wiatru wpadającego do budynku przez uchylone okna kontrastują z całym gorącem, którego ośrodkiem staje się moje dygoczące ciało. Gardło szybko schnie mi na wiór z każdym wydostającym się z mejej piersi, niepomowanym westchnieniem, z każdym cofnięciem, a później ponownym wypchnięciem bioder mężczyzny. Przesuwam dłonią wzdłuż szerokiego barku, sięgając niżej, aż natrafiam na twardą pierś Gabriela. Instynktownie podkurczam palce u stóp, kiedy tylko czuję, że jego ruchy przybierają na porywczosci.

Wprawiają mnie w trans, z którego nie chcę, by cokolwiek mnie wytrącało. Jego usta jedynie ocierają się o moje, nie inicjując nic więcej niż tą znajomą falę prądu przeszywającego mnie na wskroś. Włosy jeżą mi się na karku, gdy czuję przesuwający się wzdłuż mojego odkrytego ramienia grzbiet nosa mężczyzny. Jego pchnięcia stają się coraz bardziej wyczerpujące, wyzwalają we mnie absolutnie każde oblicze ulgi, pozbawiają zdrowych zmysłów. Połowicznie zdławione w moich płucach sapnięcie rozchodzi się po budynku, kiedy szczytuję po dłuższej chwili, a Gabriel przesuwa subtelnie dłonią wzdłuż mojego policzka, zaczesując czarne, zmierzwiłone włosy za ucho. I nawet gdy jego samego ogarnia spełnienie, nie opuszczamy murów oranżerii.

Aż do momentu, w którym nadchodzi świt.

## ROZDZIAŁ 17

Lądując na tafli po, jak myślę, wzorowym skoku, czuję jedynie to charakterystyczne pulsowanie stóp, które nie ustaje przez parę sekund. Odruchowo mocniej wciskam płozy w lód, po czym schylam się nieco, by oprzeć dłonie na kolanach. W tym samym czasie stojący obok Rhys ścisza odrobinę muzykę odbijającą się od ścian lodowiska, by jego cholernie pretensjonalny głos mógł się przebić przez nią z łatwością:

– Wzięłaś tak wymagającego smęta, że będę się ciebie czepiał chyba do samych igrzysk, a nawet i dłużej. – Krzyżuje ręce na torsie, patrząc na mnie z nieukrywanym politowaniem. – Skoro piosenka jest wolna, musisz dostosować każdy swój skok, a nawet gest do jej tempa. Tutaj nie ma zmiłuj się, Mercy. Jest tylko perfekcja, którą musisz doścignąć, choćbyś miała wypruć sobie flaki, jasne? – Mężczyzna naprawdę sugestywnie unosi brew.

– Na razie wypływam płuca. – Wywracam oczami, podnosząc się do pionu. Kosmyki włosów, które jakimś cudem zdołały wydostać się z mojego kucyka, odrzucam na plecy, po których spływa strużka potu. – I hej, trzeba sobie stawiać jakąś poprzeczkę. Sędziowie na pewno docenią mój akt poświęcenia. – Mrużę oczy, celując oskarżycielsko palcem w Rhysa.

Mój trener pociera kciukiem grzbiet nosa, wzdychając ciężko.

– Raczej sprawdzą, kto trenował taką łamagę – mówi z fałszywym zrezygnowaniem, ale i tak zostaje przeze mnie dźgnięty paznokciem w pierś.

Dobrze wiem, że ten facet jedynie się zgrywa. Fakt, może i moja znajomość układu, a także sposób, w jaki go prezentuję, wymagają doszlifowania, ale mamy jeszcze całe trzy tygodnie, by zaliczyć progres przed wyjazdem do Denver, gdzie odbędą się igrzyska. Początek lutego zbliża się nieubłaganie.

Z zamyślenia wytrącają mnie dopiero kolejne słowa mężczyzny:

– A tak zupełnie serio, nie uważaj się za niedorajdę. – Rhys podjeżdża do barierki, więc zmuszam się do tego, by podążyć jego śladem. Kładę dłonie na balustradzie, podczas gdy on kontynuuje: – To tytuł zarezerwowany dla drużyny hokeja. Och, dobra, pal ich tam lichu. Powiedz mi lepiej, co myślisz o tym całym planie wyjazdu do Kolorado. Jest w porządku?

*Szlag by to*, przechodzi mi przez myśl. Wtedy, gdy Crawford miał mi go przedstawić, zwiąłem mu sprzed nosa, by nie musieć dłużej na niego patrzeć. Pocieram dłonią skroń, odpowiadając krótko:

– Właściwie... nie znam go.

– Kto dał cię? – Rhys unosi brew. – Wright czy Crawford?

Uśmiecham się niewinnie, rozglądając się po kilku pustych rzędach trybun. Dopiero po chwili, jakby czując, że spojrzenie mojego rozmówcy staje się coraz bardziej natarczywe, przestaję mieć nadzieję na to, że nie będzie dociekał szczegółów. Dlatego też, odwróciwszy głowę w jego stronę, wypuszczam ze świstem powietrze.

– Żaden z nich nie zdążył sprzedać mi informacji. Musiałam zwinąć się z siedziby, bo nagrywaliśmy sceny do kampanii reklamowej tej nowej linii biżuterii – kłamię jak z nut, ale Rhysa niewiele obchodzi to, dlaczego nie wiem nic o wyjeździe do Denver. Dla niego nie liczy się, dlaczego tego nie wiem, ale sam fakt.

Po chwili zastanawia się na głos:

– Ciekawe, ile jeszcze Caleb wciśnie ci na barki. Ale mówił o tej kampanii w samych superlatywach, więc pewnie będzie to dla ciebie cholernie opłacalny biznes. Tylko dlatego przymknąłem oko na to, że przez niego ominęłaś trening.

– Nie mam bladego pojęcia, jakim cudem nigdy się jeszcze ze sobą nie pożarliście, skoro jego działania i te wszystkie oferty od firm i marek, które selekcjonuje, kolidują czasami z grafiką treningów.

– Ściągam brwi, obserwując uważnie twarz mężczyzny. To zadziwiające, jak dobrze dogaduje się z Calebem. Razem tworzą zgrany i niezastąpiony zespół.

– Grunt to dobre relacje w ekipie – odpowiada zdawkowo Rhys. – Ewentualnie wspólne obgadywanie swojej podopiecznej. – Mierzwi dłonią moje włosy, zanim odjeżdża w stronę wyjścia z tafli.

Obserwuję przez chwilę jego plecy, po czym odbijam się od bariery i ruszam za nim, czując, że mięśnie nóg zdążyły mi już nieco zwiotczeć od bezruchu. Schodzę z twardej powierzchni, po czym od razu kieruję się w stronę trybun, gdzie ściągam łyżwy i nasuwam na płozy ochraniacze.

– I jak mam niby wytrzymać całe dwa dni zmuszana do tego, by chodzić za wami po Denver krok w krok, co? – wzdycham męczeńsko, chwytając za gumkę, która spina moje włosy. Te po chwili opadają kaskadą na plecy, gdy rozpuszczam je zwinnym ruchem ręki. – W sumie po co mi ochroniarze, skoro mam swojego menadżera i trenera na całodobowej warcie?

Rhys siada obok mnie na plastikowym krześle, a na jego twarzy czai się uśmiech.

– Dodaj do tego Crawforda. Będziesz naszym oczkiem w głowie. – Mężczyzna nie kryje rozbawienia, gdy trąca mnie delikatnie ramieniem. Dobrą chwilę trawię w duchu sens jego słów, bo, o cholera, nie miałam pojęcia, że na igrzyska pojedzie z nami pieprzony Crawford.

– Caleb przesadza. Nie potrzebuje asystenta w Denver. – Kręcę głową z jawną niechęcią.

– Jak tak dłużej z tobą rozmawiam, a temat zaczyna schodzić na Crawforda, zaczynam mieć wrażenie, że coś między wami zgrzyta, Mercy – mówi ze spokojem Rhys, a po moich plecach rozlewa się mrowienie. Odwracam głowę, by spojrzeć mu w twarz. Jest pokerowa, zupełnie jak moja.

Wywracam oczami, po czym odpowiadam ze znużeniem:

– Po prostu nie lubię idealizowania ludzi, a wy robicie to z nim bez przerwy. – Mam nadzieję, że mój trener łyknie haczyk. Nie mam zamiaru nikomu zdradzać, że tak naprawdę nie poznałam Ace’a wtedy, gdy przybył do UnderScore. – Och, dobra, to mało istotne. Kiedy wylatujemy z Vegas i czym? – odbiegam od tematu.

Rhys nie zamierza na szczęście wiercić mi dziury w brzuchu, więc wyjaśnia:

– Prywatnym samolotem drugiego lutego. Mamy wtedy dzień wolny i czas na to, by rozeznać się w mieście, zapoznać z procedurami i innymi, beznadziejnymi regułkami. Trzeciego masz

występ i wtedy też wracamy do domu. Później możesz robić to, co ci się żywnie podoba. Możesz nawet polecieć gdzieś z tym swoim kochasiem z Inferno – dopowiada prześmiewczo, za co tym razem ja szturcham go w ramię.

– Skoro mowa o Inferno, muszę się zbierać – obwieszczam po chwili.

– Ktoś się tutaj ożywił. Uważaj, bo pomyślę, że zmykasz do ich siedziby. – Rhys nie kryje rozbawienia, podczas gdy ja ściągam nieznacznie brwi.

Mimochodem spoglądam jeszcze na wyświetlacz swojego telefonu. *Siedemnasta*, orientuję się. Mam trzy godziny na to, by odpocząć trochę po długim treningu, a później przygotować się na rocznicę imperium Maysona.

– Kiedy ja – drapię się z tyłu głowy – faktycznie wybieram się dzisiaj do Inferno.

Rhys marszczy czoło. Między jego brwiami klaruje się pojedyncza bruzda.

– Chyba tylko po to, by pocałować klamkę – prycha pogardliwie. – Chociaż czekaj... Sukcesem byłoby chociaż dowiedzenie się, gdzie znajdują się te podziemia. Media średnio co parę dni rzucają się jak Rachel na potencjalne kochanki Caleba na każdą pogłoskę, która niby zawiera w sobie właściwy adres.

Na słowa Rhysa pry cham kpiąco pod nosem.

– Dzisiaj jest piąta rocznica istnienia Inferno – wyjaśniam. – Idę tam z Gabrielem. W gruncie rzeczy to nie on mnie zaprosił, a Mayson. – Wzruszam ramionami. – W każdym razie w końcu sprawdzę na własne oczy, o co tyle szumu. Do jutra, tak?

Unoszę sugestywnie brew i spoglądam na Rhysa, który kiwa głową.

– Przesłuchaj tej piosenki jeszcze przynajmniej piętnaście razy, by się wczuć – zaleca mi mężczyzna, zanim rzucam słowa pożegnania i leniwym krokiem kieruję się w stronę schodów prowadzących na piętro.

Pokonanie korytarza zajmuje mi parę minut, a już po ich upływie mogę swobodnie rozejrzeć się po prawie że pustym parkingu i zorientować, że niebo zdążyło już porządnie zszarzeć podczas paru godzin, które spędziłam na tafli. Zgiełk z ulicy staje się nieco

stłumiony, kiedy wsiadam do sportowego mercedesa. Torbę odkładam na tylne siedzenie, a następnie przekręcam kluczyk w stacyjce. Zanim wyjeżdżam z parkingu, upewniam się jeszcze, że w telefonie gra utwór, z którym muszę się lepiej zaznajomić.

Będąc już w posiadłości, spędzam tam dobre dwie godziny na beczynnym ślęczeniu przed laptopem i czytaniu zaległych maili. Dopiero gdy orientuję się, że jest już siódma, odkładam sprzęt na etażerkę, po czym odgarnawszy za plecy wilgotne po kąpieli włosy, ruszam w stronę garderoby. Zebranie się do kupy zajmuje mi pół godziny, więc gdy chcę już ruszyć w stronę garażu z zamiarem przedostania się do Inferno swoim mercedesem, nie spodziewam się dostrzec za oknem znajomo wyglądającego lexusa zaparkowanego przed bramą.

Mężczyznę siedzącego na miejscu kierowcy wpuszczam na teren posesji bez mrugnięcia okiem. Nie mija parę minut, a Gabriel pojawia się w odbiciu powieszzonego na ścianie lustra z mosiężną ramą, przed którym stoję. Grafitowe tęczówki uważnie mnie taksują, z intencją, której nie mogę odczytać mimo usilnych prób.

Trwamy tak w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż w końcu grdyka Gabriela drży niespokojnie, gdy robi bezdźwięczny wdech. W dwóch krokach zbliża się do mnie tak, że jego pierś przywiera do moich pleców, jakby między nasze stapiające się ciała nie można było wcisnąć absolutnie niczego. Połykam zdławione westchnienie, czując jego szorstkie palce przesuwające się wzdłuż moich niezastłoniętych przez materiał sukienki kręgosłupa. Dotyk Gabriela wyzwala we mnie elektryzujące napięcie.

– Jacqueline miała rację. Powinno się ciebie podziwiać jak bóstwo, Mercy – mówi z powagą, a moje włosy prześlizgują się przez jego palce, zanim mężczyzna zaciska w nich pięść. Drżę z zaskoczenia, kiedy cofa rękę, a moja potylica dzięki temu zderza się z jego szerokim barkiem. Nie mrugam, czując, jak jego usta, a potem język przesuwają się wzdłuż mojej krtani.

Nie potrafię wyprzeć z głowy tego nieodpartego wrażenia, jakbym w szybkim tempie traciła grunt pod nogami. Pieszczota Gabriela, sposób, w jaki czule drażni moją skórę, kłując ją subtelnie,

powoduje, że męczyzna z pieprzoną łatwością wydobywa z mojej piersi krótkie, zduszone sapnięcie. Wciskam paznokcie w wewnętrzną część dłoni. Jego palce przenoszą się gwałtownie na moje ukryte pod białą kreacją biodra, przyciągając mnie zaborczo do muskularnego ciała. Połykam tchnienie, czując, jak moje pośladki zderzają się z jego męskością.

– Czyżbyś jednak nie miał ochoty zawieźć mnie do Inferno? – pytam dźwięcznie, a mój kącik ust mimowolnie się unosi, gdy oddech Gabriela rozbija się na moim dekolcie. Czując przesuwający się wzdłuż szyi, parodniowy zarost, instynktownie przywieram do jego torsu gwałtowniej. Jego zapach otumania moje zmysły, sprawia, że od razu tracę rezon.

– Do tej obskurnej piwnicy mogę cię zabrać przy innej okazji.

Słyszając niski baryton tuż przy uchu, czuję, jakby żołądek skurczył mi się nagle do niewielkich rozmiarów. Odwracam delikatnie głowę. Zadzieram brodę i odnajduję zagadkowe spojrzenie grafitowych tęczówek, w których majaczy spokój. Uśmiecham się szerzej, kręcąc głowę z pobłażaniem. *Nie ma szans*, myślę. Skoro już sam Mayson płaszczył się przede mną, żebym tylko się tam zjawiała, nie zamierzam marnować takiej okazji. Naprawdę jestem ciekawa, co zastanę w jego sportowym imperium.

– Pech, że akurat dzisiaj mam wielką ochotę zwiedzić królestwo boksu – parskam pod nosem, po czym, odwróciwszy się na pięcie, ruszam szybkim krokiem w kierunku drzwi frontowych. Stukot moich obcasów jest jedynym odgłosem, który akompaniuje westchnieniu Gabriela. – Taszczę tam swój tyłek tylko po to, by ponabijać się trochę z mojego ulubieńca. Jak myślisz, Ethan przywita mnie z otwartymi ramionami, czy przez całą noc będzie miał na mnie oko z obawy, że wywinę jakiś numer? – zastanawiam się na głos, zanim przechodzę przez próg posiadłości, uprzednio zgarniając z komody w holu czarne futro i torebkę. Kiedy Gabriel również stoi już na zewnątrz, zamykam drzwi pękiem kluczy znalezionym w kieszeni.

– Sądzę, że Mayson będzie miał się na baczności. Traktuje cię jak zagrożenie.

– Och – wykrztuszam z siebie. – To nie tak, że zetrę w proch tę jego świątynię.

Gabriel przechyla głowę, omiatając rozbawionym wzrokiem moją twarz.

– Nie czuł się przekonany, gdy zapewniłem go, że tego nie zrobisz.  
– Wzrusza ramionami, zanim otwiera mi drzwi do lexusa. Wywracam oczami z rozbawieniem, uśmiechając się jeszcze szerzej. To zdecydowanie może być bardzo interesująca rocznica.

– Jest przewrażliwiony, jego żona już jest bardziej wyluzowana – stwierdzam po chwili namysłu, wygodnie rozsiadając się na fotelu pasażera. Zapinam pas bezpieczeństwa i unoszę wzrok na przednią szybę, przed którą po tym, jak Gabriel wyjeżdża z posesji, rozciąga się oświetlona sztyldami knajp droga. – Ta cała Marie wydaje się w sumie bardzo... przebiegła.

Mężczyzna przesuwając dłoń wzdłuż linii szczęki, spoglądając na mnie mimochodem.

– Przebiegła? – Uśmiecha się delikatnie. – Więc wyobraź sobie, że to ona stoi za podjęciem decyzji, gdy nadchodzi moment wyboru nowego Diabła po gali amatorów. Nie Ethan, nie sztab, nie żaden jego podopieczny. To Marie wskazuje tego, który wpadł jej w oko.

Marszczę czoło. *Co on, do diaska, mówi?*, dziwię się w duchu.

– Jak to... ona stoi za podjęciem decyzji? Czy ona się w ogóle zna na tym sporcie? – Unoszę brew, nie do końca mogąc uwierzyć w podobny stan rzeczy. To przecież niedorzeczne, by w tym określanym przez media jako poważne, *unikatowe imperium boksu, Inferno*, trenowali faceci, których wytypowała bizneswoman. Czy to możliwe, by drużyna składająca się z... przypadkowych strażów, mogła odnosić aż takie sukcesy?

– Zwyczajnie ma nosa. Spójrz, wszyscy, których wybrała, są teraz solidnym fundamentem, na którym wznosi się filar renomy Inferno. Póki dokonuje słusznych wyborów, nikt nie zastanawia się, czy to czyste szaleństwo – wyjaśnia ze spokojem Gabriel. – Dlatego Mayson nazywa ją swoim świętym talizmanem. Bo przynosi mu zwyczajnie cholerne szczęście.

– Czyli ciebie też wybrała? Wtedy w Reno? – dociekam.

Mężczyzna skinieniem głowy potwierdza moje słowa.

– Gdy mi o tym powiedziała, stwierdziła, że nie musiała się długo zastanawiać, bo w głowie ciągle miała myśl brzmiącą jak: „dziewiętnastka musi wrócić z drużyną do Vegas” – odpowiada po chwili namysłu. – Zresztą długo nie byłem tego świadomy. Dopiero gdzieś w połowie okresu przygotowawczego wpadła do sali, przerwała mi trening i stwierdziła, że musi się komuś wygadać, bo jej mąż ślęczy nad papierami. O gali napomknęła mimochodem.

Przez dobrą chwilę trawię sens słów Gabriela. Struktura, system i hierarchia Inferno zdecydowanie różnią się od strategii UnderScore. U nas wszystko musi działać jak w zegarku. Nie ma mowy o tym, by któryś ze współpracujących z agencją sportowców znalazł się pod jej skrzydłami z powodu zwyczajnego przypadku bądź czyjejś intuicji. Spoglądam w zamyśleniu na wielgachny plac, który mijamy, przejeżdżając przez centrum miasta. Ludzie zbierają się przed swoimi ulubionymi barami, złaknieni dobrej, całonocnej zabawy.

– Mówiłeś, że ten klub jest niedaleko butiku, tak? – upewniam się.

– Zaraz sprawdzisz, czy cię nie okłamałem. – Gabriel łąpie na mnie przelotnie.

Kręcę głową z pobłażaniem, odpowiadając mu pytaniem:

– Miałbyś chęć to zrobić? – Unoszę wyzywająco brew.

– Obawiam się, że nie miałbym, Mercy.

Mina mężczyzny pozostaje pokerowa, ale dosłownie przez ułamek sekundy dostrzegam w jego oczach emocję, której nie jestem w stanie zinterpretować. Zanim z moich ust zdąży wypaść pytanie, Gabriel zatrzymuje się przed ogromnym kompleksem budynków otoczonym wysokim murem, nad którym wisi drut kolczasty.

Przygryzam wargę, gdy mężczyzna spuszcza szybę, by strażnik pilnujący bramy mógł upewnić się, z kim ma do czynienia. Po chwili wjeżdżamy na plac. Mimo tego, że niebo przypomina kolorem najgłębszy odcień czerni, jaki kiedykolwiek widziałam, orientuję się, że Gabriel, manewrując sprawnie kierownicą, skręca w lewo, wprost do jednej z zaciemnionych uliczek w ogrodzonym terenie.

– Nawet gdyby nie było tutaj strażnika, nie zapuściłabym się w to miejsce po zmroku – stwierdzam po chwili namysłu, bo ponura aura spowijająca duży kompleks wysokich, odgradzonych od ulicy murem

budynków wydaje się wręcz namacalna. A nawet odnoszę wrażenie, jakby z każdym pokonanym przez nas metrem zdawała się bardziej upiorna. Oplątam ramiona dłońmi, patrząc, jak Gabriel po minucie parkuje przed jednym z gmachów. Prezentuje się on niepozornie i aż ciężko przyjąć mi do wiadomości myśl, że mogłabym w tym momencie znaleźć się przed tym wychwalanym przez media Inferno.

– Słusznie. A teraz chodź, tylko uważaj, bo stopnie są śliskie – ostrzega mnie Gabriel.

– Jakie stopnie? – Mrużę oczy. – Gdzie ty masz tutaj schody?

Zanim zdążę spuścić wzrok na swoje buty, długie palce oplatają mój przegub. Spoglądam w stronę twarzy mężczyzny. Pozostaje kamienna, gdy Gabriel rusza mozolnym krokiem w nieznanym mi kierunku. I dopiero po paru sekundach wyczuwam, że pewny grunt niespodziewanie się kończy. Dochodzimy do schodów zlokalizowanych między dwoma położonymi bardzo blisko siebie budynkami. Domyślam się, dokąd prowadzą. Do klubu.

– Boże, to naprawdę są podziemia – parskam kpiąco, dotykając wolną dłońią ceglanej ściany, która otacza nas zewsząd. W uszach dźwięczy mi jedynie odgłos skapujących na stopnie kropli wody i stukot moich butów. – Miałam tych wszystkich fotoreporterów za łamagi i nieudaczników, a to wasza kryjówka jest po prostu nie do odnalezienia.

– Sam myślałem, że Ethan robi sobie ze mnie jaja, gdy przywłókł mnie tutaj po raz pierwszy. – Gabriel wzrusza ramionami, kiedy docieramy do solidnych drzwi. Otwiera je przede mną, a ja na moment gubię oddech, przesuwając wzrokiem po zaciemnionych wnętrzach recepcji. – Ale to wcale nie był dowcip, a ty właśnie znalazłaś się w samym środku sławnego Inferno, Mercy.

Odsuwam się od Gabriela tylko po to, by przyjrzeć się dokładniej ścianom, które pokrywa czarna i ciemnoczerwona farba. Sufity, które podświetlane są przez ledy w kolorze szkarłatnym, okazują się wysokie, na pewno wyższe, niż spodziewałam się tego, gdy schodziłam po schodach do podziemi. Kontuar, za którym aktualnie nie siedzi nikt, również jest czarny jak pieprzona smoła. Po lewej stronie od niego znajduje się przejście do korytarza, który z daleka widać, że wypełniony jest gablotami z nagrodami zdobytymi przez

Diabły. Po prawej stronie z kolei znajduje się kolejny przedsiónek, ale nie mam pomysłu, dokąd prowadzi.

Całe Inferno prezentuje się naprawdę... upiornie.

– Gdzie trenujecie? – pytam nagle, krzyżując ręce pod biustem.

– Pokażę ci tę norę, ale najpierw musimy odhaczyć z listy odegranie szopki – odpowiada spokojnie mężczyzna, kładąc bez krępacji dłoń na moich plecach.

Ruszamy w stronę korytarza rozpościerającego się po naszej prawej stronie. Po dłuższej chwili marszu docieramy do dużej sali, skąd dochodzą głośne rozmowy i śmiechy. Stojąc w progu pomieszczenia, orientuję się, że Marie miała rację. To kameralna impreza.

Mayson, zauważywszy nas, podnosi się do pionu, mówiąc:

– W końcu mogę przywitać cię w swoim imperium, Mercy. – Kładzie nacisk na słowo „imperium”, jakby chciał, bym zrozumiała, że świetność tego miejsca jest święta, niepodważalna i nigdy, do cholery, nieprzemijająca, choćby świat miał runąć.

Mój kącik ust się podnosi, gdy odpowiadam mu z rezerwą:

– Imperium skrzętnie ukrywanym przed całym światem. – Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, to, jak mi nie mam, sala konferencyjna. Podobne przekonanie budzi we mnie fakt, że w jego centrum znajduje się długi, solidny stół, a na jednej ze ścian wisi ekran sufitowy. – Nie wpadłabym na to, że Inferno na dobrą sprawę znajduje się pod ziemią. Spory punkt dla ciebie za kreatywność.

Przechyliłam leniwie głowę w bok, powracając wzrokiem do oczu mężczyzny.

– Więc jednak ci zaimponowałam? – Mayson uśmiecha się zwycięsko, a mi zduszenie w sobie pogardliwego prychnięcia przychodzi z naprawdę ogromnym trudem.

Przestępuję z nogi na nogę, czując na sobie naprawdę wiele par oczu. To neodparte wrażenie nie wprawia mnie jednak w jakieś beznadziejne zawstydzenie. Zadzierając brodę, odpowiadam z uśmiechem:

– Chyba naprawdę wzięłaś sobie na celownik udowodnienie mi tego, jak słuszne są twoje racje, Ethanie. Więc... powodzenia, próbuj

dalej. – Puszczam mu oczko, po czym, klepnąwszy go delikatnie po ramieniu, ruszam w kierunku stołu.

Gabriel moje zachowanie komentuje jedynie parsknięciem. Nie mija sekunda, a czuję jego usta przy swoim uchu, kiedy szepcze mi wprost do niego bezpretensjonalne, aczkolwiek szczere:

– Wiesz, że działaś na niego jak pieprzona płachta na rozwścieczonego byka?

Przesuwam mozolnie językiem po dolnej wardze, siadając na jednym z foteli obitych czerwoną skórą. W Inferno dominuje zarówno ten kolor, jak i głęboka czerń, jak zdążyłam zauważyć po spędzonych w klubie kilku minutach. Odwróciwszy głowę w stronę Gabriela, który zajmuje miejsce obok mnie, wzdycham teatralnie, po czym mrugam słodko.

– Wiem. Miło, że jestem jego sprawą honoru.

– Żeby ci to nie zbrzydło, gdy zaczniesz być nachalny. – Gabriel nie kryje rozbawienia.

– Jestem odporna na każdą konfrontację z pokiereszowanym, męskim ego. – Wzruszam niedbale ramionami, rozglądając się po gościach siedzących naprzeciwko nas. Większość z nich to rzecz jasna muskularnie zbudowani faceci, zapewne cały skład Diabłów Vegas. Niektórym towarzyszą ich partnerki. W oddali dostrzegam jeszcze Marie rozmawiającą z mężem oraz czarnowłosą, młodą kobietę, która łypie na mnie spode łba. Beatrice Mayson.

Mój kącik ust rozciąga się w szerszym uśmiechu. *Moja naiwna konkurencja*, myślę.

– Mercy Stone – zza pleców dobiega mnie znajomy głos. Odwracając energicznie głowę przez ramię, od razu napotykam czujne spojrzenie mężczyzny, którego dane mi już było poznać. Zadzieram nos, kontrując krótko:

– Ash. To ty wtedy w restauracji nazwałeś mnie jego ofensywną koleżanką. – Spoglądam to na twarz stojącego przed nami faceta, to na Gabriela, który uśmiecha się cwaniacko. – I, spójrz, wciąż jestem ofensywna, ale tym razem jako jego kobieta – mówię odrobinę głośniejszym głosem, gdy widzę, że za plecami Price'a czai się cholerna Beatrice, która naprawdę mocno zaciska palce na kieliszku szampana.

– Mam nadzieję, że mimo tego faktu jesteś słaba w pokera. Skoro z nim nie mogę wygrać, to z chęcią ciebie rozłożę na łopatki, mała, paskudna wredoto. – Spojrzenie Asha przesuwające się po mojej twarzy jest prowokującym, wręcz niewerbalnym wyzwaniem, które przyjmuję bez mrugnięcia okiem. Założywszy nogę na nogę, rozchyłam bezwiednie usta, by mu odpowiedzieć, ale nieoczekiwanie uprzedza mnie Gabriel i jego znudzony ton:

– Wszystkim proponujesz partię, a potem odnosisz sromotną porażkę. – Mężczyzna chwyta za szklanke, do której nalewa wody zarówno sobie, jak i mnie. Upija łyk napoju, po czym, odstawivszy szkło na stół, dopowiada: – Opuść. To nie twój poziom, stary. Wbrew pozorom cel, który sobie obrałeś, to nie żadna zbląkana owieczka, która nie wie, jakie karty układają się w strita. – Głos Gabriela pozostaje przesiąknięty zwyczajnym politowaniem.

Ash kręci głową w geście protestu, wskazując sugestywnie na rosłych, ubranych w białe koszule facetów zasiadających na końcu długiego stołu. Po tym, jak omiatam wzrokiem ich skupione twarze, dociera do mnie, że właśnie rozgrywają partię, stąd ta propozycja Price'a.

– Wpadnijcie tutaj, jak skończycie obchód. Z chęcią zetnę waszą pychę w proch – dopowiada mężczyzna, zanim rusza w stronę Maysona. Sama podnoszę się do pionu, gotowa na to, by przyjrzeć się bliżej wnętrzem Inferno. Westchnąwszy ciężko, mówię ze spokojem:

– Chyba trafiło mi się kolejne męskie ego do rozszarpania. – Uśmiecham się, po czym czując obecność Gabriela za plecami, oboje ruszamy w stronę wyjścia z pomieszczenia. Aż w końcu, kiedy znajdujemy się już w przedsionku, Gabriel kręci głową z pobłażaniem.

– Jesteś ciężkim przypadkiem dla wszystkich facetów w Inferno, wiesz?

– Gdzie ta wasza sala treningowa, co? – odbiegam od tematu, czując jedynie rozchodzącą się po ciele falę prawdziwej satysfakcji. Cóż, dobrze wiem, że jestem dla wszystkich tutaj ciężkim orzechem do zgryzienia. Dla Ethana Maysona, Asha Price'a a nawet cholernej, najprawdopodobniej zabujanej w Gabrielu Beatrice. Mimowolnie na

mojej twarzy pojawia się grymas. Ta małolata zdecydowanie lubi psuć mi krew.

– Musimy zjechać do niej windą – mówi po chwili Gabriel.

Rozglądam się po recepcji, po czym ponownie patrzę na mężczyznę. Moje brwi pozostają ściągnięte w geście zwyczajnego niezrozumienia, bo nie wiem, gdzie, do diaska, w tych katakumbach mogłaby znajdować się winda.

*Może gdzieś za tamtym korytarzem z gablotami?*, przechodzi mi przez myśl.

– Czym? – Mrugam powoli, nie spuszczając wzroku z Gabriela, który nagle podchodzi do wnęki w ścianie, którą pokrywają ciężkie, zardzewiałe kraty. Zanim zdążę wziąć głęboki oddech, Gabriel odsuwa je tak, że możemy wejść do niewielkiej klitki.

Gdy się w niej znajdujemy, czuję jedynie przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz.

– W UnderScore takiej nie macie – bąka z uśmiechem Gabriel, wciskając na pobrudzonym panelu guzik. Ponownie zatrzaskuje kraty, które pełnią rolę prowizorycznych drzwi. Niewielką komórką szarpie lekko, gdy ruszamy nagle w dół.

– Więc to jedyna droga do podziemi? – pytam zaintrygowana.

Mężczyzna skinieniem głowy potwierdza, że mam rację. Winda po kilkunastu sekundach zatrzymuje się w miejscu, więc Gabriel ponownie toruje nam drogę do wyjścia, rozsuwając kraty. Widok, który za nimi zastaję, nie wydaje mi się znajomy. Znajdujemy się w zaciemnionej sali, którą zalewa jedynie cisza, przzerwana po chwili kliknięciem włączonego przez Gabriela światła. Zamontowane pod sufitem ledy zapalają się na czerwono. Wzdycham przeciągle.

– Plotki okazały się prawdziwe. Jest tutaj obscurnie jak diabli – stwierdzam po chwili namysłu, omiatając wzrokiem całą przestrzeń. Ściany, tak jak i w recepcji, pomalowane są na czarny i czerwony kolor. Jedna z nich pokryta jest w całości lustrami. Przechylając odrobinę głowę w bok, jestem również w stanie zobaczyć ring w rogu pomieszczenia. Okalają go grube liny, a on sam wyłożony jest matą w kolorze hebanu. Och, i te worki zwisające na solidnych łańcuchach z sufitu. Jest ich tutaj tak wiele, że nie sposób ich zliczyć na palcach dwóch dłoni.

– Z czasem można się przyzwyczaić do tej dziwnej atmosfery – odpowiada mi Gabriel.

Podchodzę leniwym krokiem do jednego z worków. Przesuwam palcami po skórzanym obiciu. W dotyku jest chropowate. Odwracam głowę, by ponownie rozejrzeć się po ogromnej sali treningowej. Dzięki ledom jestem w stanie dojrzeć jej część, i to w półmroku. Resztę spowija ciemność. Gabriel w tym czasie siada na jednej z ławek pod ścianą. Nad jego głową znajduje się wiele drewnianych półek ze sprzętem, zaś po jego prawej stronie przejście do sąsiedniej klatki, gdzie zapewne pięściarze trzymają więcej sportowego ekwipunku. Wypuszczam ze świstem powietrze, podchodząc do mężczyzny.

Wpraszam się na jego kolana, ale on nie buntuje się przeciwko temu w żaden sposób.

– Załatwiłem sobie dwa dni wolnego na czas, kiedy będziemy w Denver – zagaja nagle Gabriel, wyciągając dłoń w kierunku mojej twarzy. Kładzie ją na moim policzku, po czym zaczesuje kosmyk ciemnych włosów za ucho. W jego oczach wyłapuję spokój.

– Będziemy musieli sporo kombinować – wzdycham z przekąsem.  
– Rhys powiedział mi dzisiaj na treningu, że będę ich przeklętym oczkiem w głowie przez cały wyjazd. Uwierzysz, że zamierzają robić mi za cholerny wianek ochroniarzy? – Kręcę głowę z dezaprobatą.

Kącik ust Gabriela pomału się unosi, by w końcu przerodzić się w chytry uśmiech.

– Co za ironia. Trzy lata temu trzymaliśmy się podobnej taktyki kręactwa. – Jego kciuk gładzi mój policzek. Błogie uczucie satysfakcji rozchodzi się po moim ciele niczym huragan, gdy dotyk Gabriela nie przestaje sprawiać, że zmysły zaczynają płatać mi figle. Grafitowe oczy wciąż zaciekle wpatrują się we mnie z niejasną intencją. Pozostają nieczytelne.

– Denver jest spore. Może nie tak przeludnione jak Vegas, ale... coś zaradzimy – rzucam.

– Jedziesz tam po to, by urządzać sobie ze mną schadzki, czy wywalczyć złoto?

W głosie mężczyzny pobrzmiewa rozbawienie. Gabriel opiera tył głowy o ścianę. Patrząc na tatuaż znajdujący się na jego szyi. Już

rozchyłam usta, by mu odpowiedzieć, ale kiedy myślę, że nagły szmer, który rozbrzmiewa po sali, jest wynikiem mojego buta zderzającego się z posadzką, orientuję się, że stopy wciąż mam uniesione nad jej powierzchnią. Odwracam głowę, ale nie dostrzegam nikogo. Gabriel również pozostaje czujny. Mruży oczy, podczas gdy ja wstaję na równe nogi, odrobinę zbity z tropu.

– Chodźmy zagrać w tego pokera – decyduję, po czym kieruję się w stronę windy.

Gabriel ostatni raz rozgląda się po sali. Gasi światło, kiedy wchodzimy do windy. Zasuwa za nami kraty, po czym wciska guzik na brudnym panelu. I właśnie w momencie, w którym windą lekko szarpie, słyszę szelest dochodzący zza pleców Gabriela i dostrzegam rozmywającą się w ciemnościach sylwetkę człowieka. Ze zdławionym w płucach oddechem patrzę, jak w świetle bijącym od jarzeniówki w windzie błyszczą narzędzie wykonane z metalu.

Krzyczę głośno, gdy chwytam za kołnierz Gabriela, przyciągając go do siebie raptownie, wręcz desperacko. Świst powietrza wypiera ciszę z windy i podziemi, gdy widzę jedynie, jak wzdłuż ramienia mężczyzny przesuwają się ostrze noża. Rozdziera jego koszulę, ale wszystko dzieje się tak prędko, że każdy bodziec uderza we mnie jak pierdolony huragan. Gabriel wpada na mnie zupełnie nagle, jego tors zderza się z moim ciałem raptownie. Ostatnim, co widzę, zanim winda rusza w górę, jest wyprostowana ręka przedostająca się przez kraty i zaciśnięta na rękojeści narzędzia. I ten widok odbiera mi na moment dech.

– Pokaż to – rozkazuję twardo, przesuwając rozgorączkowanym wzrokiem po szramie zdobiącej ramię Gabriela.

Mięśnie wiotczeją mi z każdą sekundą, ale wcisnąwszy mocniej obcasy w posadzkę, zmuszam każdą pieprzoną kończynę do całkowitego, niezachwianego posłuszeństwa. Zachowuję zimną krew, co udaje mi się mimo tego całego osłupienia, w jakie początkowo wprowadził mnie niespodziewany atak nożownika. Zaciskam dłonie w pięści, oceniając sytuację. Żelazne nerwy wyzwalają we mnie wszelkie pokłady racjonalnego myślenia. Pozostaję roztropna i absolutnie trzeźwa, gdy mówię na jednym wydechu:

– Ostrze jedynie cię drasnęło. Musimy ostrzec resztę.

– Wszystko gra – mówi zdecydowanie Gabriel. – Wracamy do konferencyjnej. Najwyraźniej ktoś z zewnątrz dostał się do Inferno. – Zwiesza głowę, by przesunąć wzrokiem po krwi spływającej z otwartego rozcięcia. Jego usta nie wyginają się nawet w pieprzonym grymasie, gdy tylko docieramy na parter, a on rozsuwa kraty. Od razu przyciskiem blokuje windę, po czym rusza pędem w stronę sali, w której towarzystwo świętuje rocznicę powstania klubu. Wypuszczam ze świstem powietrze, podążając za nim.

– Ewakuuj wszystkich i wezwij strażników. Mamy w Inferno nożownika. – Gabriel informuje Maysona tak szybko, jak wchodzimy do pomieszczenia, w którym zawitaliśmy na samym początku wizyty w klubie. – Był w sali treningowej, zablokowałem windę. Praktycznie nie ma pola manewru, ale lepiej, jeśli strażnicy to sprawdzą.

Grdyka Ethana drży nagle, podczas gdy jego rozmówca pozostaje poważny. Brwi Gabriela są lekko ściągnięte, jego twarz spokojna, pozbawiona jakiegokolwiek udręki związanej z bólem, a ton głosu opanowany i cholernie rzeczowy. Połykam powietrze. Żołądek kurczy mi się, a struga potu spływa wzdłuż kręgosłupa. W moich żyłach krąży pobudzenie, pod płytkami paznokci wciśniętych w wewnętrzną część dłoni czuję jedynie delikatne mrowienie. Patrzę, jak po chwili wszyscy kotłują się przy wyjściu.

Gabriel kładzie dłonie na moich policzkach, mówiąc krótko:

– Chodź, spadamy do posiadłości.

Z tymi słowami przesuwa palcem wzdłuż mojej wargi, po czym oplata dłonią mój przegub i rusza w kierunku solidnych drzwi. W drodze do nich nie pozwalam na to, by moja twarz przeniknęła choćby jedną emocją. Wciąż zachowuję zimną krew. Idąc przez recepcję, dostrzegam jedynie tłum innych gości.

Oblizuję językiem dolną wargę. Nie zaprzestaję marszu nawet na sekundę.

Kiedy wracamy z Gabrielem i Ashem do rezydencji tego pierwszego, jest już jedenasta. Pierwszym, co robimy z Price'em, jest ocena draśnięcia na ramieniu gospodarza. Szybko wspólnie stwierdzamy, że wystarczy je jedynie zdezynfekować i okleić

opatrunkiem. Masuję dłonią kark, po czym, upewniwszy się, że wszystko gra, ruszam w stronę garderoby, by odnaleźć w niej wygodniejsze ciuchy. Długą sukienkę zamieniam na zwykłą, czarną koszulę. Przemycam twarz wodą w kuchni, a następnie wracam do zasiadających w salonie facetów. Sęk w tym, że wcale ich tam nie ma.

Wzdycham krótko. Domyślam się, gdzie mogą być, dlatego biorę ze sobą jeszcze koce znalezione na sofie. Aż w końcu po paru minutach marszu odnajduję swoje dwie zguby na tarasie wychodzącym z dachu upiornej posiadłości. Wiatr mierzwi moje splecione włosy tak szybko, jak przekraczam jego próg. Mężczyźni nie przerywają jednak rozmowy.

– Sugerujesz, że to ktoś z drużyny zaczął świrować? – dziwi się Ash.

Gabriel wzrusza ramionami, tasując różową talię kart. Po chwili odpowiada:

– Szkopuł w tym, że wszyscy byli w konferencyjnej, więc tę teorię można łatwo odrzucić. Zastanawia mnie tylko... jakim cudem ten sukinsyn przepadł jak kamień w wodę. Ethan powiedział, że strażnicy Inferno nie przyłapali nikogo w podziemiach. Facet pilnujący murów nie skarżył się na obecność kogoś niepożądanego. To naprawdę jedna wielka farsa.

Mężczyzna patrzy na mnie ukradkiem, gdy siadam obok niego. Podaję jemu i Price'owi po jednym z koców, czując zimne powietrze rozbijające się na ciele i powodujące gęsią skórę. Spoglądam w czarną kotarę nieba, a następnie przenoszę wzrok na stół.

– Na ręce nie było tatuaży, a połowa Diabłów je posiada – zauważam. – Tyle że nożownik musiał mieć pojęcie o tym, jak wdrzeć się na teren placu, a później odnaleźć właściwe gmachy budynków, między którymi znajdują się schody. – Ściągam brwi.

– Mhm – przytakuje Ash. – Czyli wciąż nic się ze sobą nie klei.

Opieram plecy o oparcie sofy, pocierając dłonią skroń. Do tej pory byłam pewna, że ten nożownik czyhał na Maysona. Ale możliwości było wiele. Gabriel to mistrz świata, mnie zaraz czekają igrzyska olimpijskie... Równie dobrze te aspekty mogłyby być dla niego cholerną motywacją do tego, by nas zadźgać.

Z zamyślenia wytrąca mnie głos Price'a:

– Przemaglowaliśmy ten temat na milion sposobów w samochodzie. Spojrzymy na to wszystko na chłodno, jak tylko Mayson wezwie jutro całą drużynę na pogawędkę o rocznicy – mówi, przesuając dłonią po zmęczonej twarzy. – A teraz... grajmy. Muszę odetchnąć.

Gabriel pociera kciukiem linię szczęki, jakby intensywnie nad czymś kontemlował. Dopiero po chwili kiwa głową w geście zgody, ponownie tasując karty. Zaraz potem rozdaje każdemu po dwie, zaś na stół kładzie pięć, które pozostają zakryte. I, cóż, w trakcie rozgrywki jestem pewna, że siedzący obok mnie facet ani na sekundę nie skoncentrował się na niczym innym niż dzisiejsze wydarzenia. Wiem, bo sama miałam podobnie przez całą godzinę, którą spędziliśmy we trójkę na tarasie rezydencji.

W posiadłości zostajemy sami parę minut przed północą.

Leżąc już na łóżku w sypialni Gabriela, wciąż nie mogę oczyścić głowy z bałaganu, który się w niej znajduje od paru godzin. Wpatruję się beznamiętnie w martwy punkt przed sobą, którym, o ironio, okazuje się statuetka związana z wygraną w feralnym plebiscycie. Z moich ust wypada pojedyncze tchnienie, gdy wciąż miętolę bez celu miękką pierzynę w skostniałych palcach. Aż w końcu do sypialni ponownie przychodzi Gabriel. Odwróciwszy głowę, widzę w jego dłoni telefon.

– Do kogo dzwoniłeś? – pytam, a mój głos jest niewiele głośniejszy od szeptu.

Mężczyzna w tym czasie siada obok mnie. Opiera potylicę o wezglowie ogromnego łóżka, milcząc przez moment. Dopiero parę sekund później patrzy na mnie bez emocji, mówiąc z tą charakterystyczną dla siebie powagą:

– To może być równie dobrze beznadziejny trop, ale sądzę... – Robi krótką pauzę, przesuając nerwowo językiem po wardze. – Sądzę, że płonąca rudera i ten atak mogą mieć ze sobą coś wspólnego. Dzwoniłem do Edwarda, by powiedzieć mu o tym wszystkim, co stało się w Inferno. Miałem nie dokładać ci zmartwień przed igrzyskami, ale powinnaś wiedzieć, że od czasu pożaru ojciec

przyglądał się tej sprawie. I teraz przyjrzy się również dzisiejszej, choć już na tym etapie stwierdził, że mogą się ze sobą jakoś wiązać.

Dłuższą chwilę trawię w duchu sens jego słów. Czyli nie tylko ja miałam przecucie, że między tymi dwoma wydarzeniami może istnieć jakaś chociażby cienka nić powiązań. Mrużę oczy, orientując się, że Gabriel drążył sprawę pożaru i nic mi o tym nie powiedział. Dobra, zaraz może i czekają mnie igrzyska, na których muszę się koncentrować, ale to nie znaczy, że mam do tego czasu żyć w nieświadomości.

Biorę głęboki oddech, po czym odpowiadam z lekkim wyrzutem:

– Powinieneś powiedzieć mi, że twój ojciec angażuje się w sprawę. Szlag, powinieneś poinformować mnie, co ustalił, albo co zamierza. To dotyczy też mnie. – Patrzę mu prosto w oczy, nie spuszczając z nich wzroku. Majaczy w nich jedynie skrucha, która mnie jednak nie satysfakcjonuje. Nie cierpię niewiedzy. I ktoś, kto kiedyś stracił pamięć i wokół którego zbudowano jakąś chorą, inną rzeczywistość, powinien wiedzieć, jak źle jest być nieświadomym.

– Wiem. Zwłaszcza teraz, gdy te wszystkie problemy zaczynają się mnożyć, wiem o tym, Mercy. – Gdzieś między wierszami jego odpowiedzi wyłapuję niewerbalne przeprosiny.

Zbliżam się do niego i zanim zdąży zorientować się, co tak właściwie wyprawiam, wciskam brodę w zagłębienie jego szyi. Duża dłoń ląduje w tym czasie na moich plecach. Gabriel gładzi palcami każdy pojedynczy kręg mojego kręgosłupa, kiedy pytam cicho:

– Co ustalił w sprawie pożaru?

– To podpalenie. Ogień nie zaprószył się sam – odpowiada mężczyzna, a jego słowa wprawiają moje ciało w dziwne mrowienie.

– Takie informacje Edward dostał od znajomego, który pracuje w policji. Później sam zaczął próbować dowiedzieć się, czyja to sprawa, ale zanim zdążył do tego dojść, dzisiaj zaatakował nożownik. Dlatego traktowałem z rezerwą te wszystkie teorie, że to Mayson miał zostać zadźgany. Sądziłem i wciąż sądzę, że to któreś z nas miało oberwać. Pytanie tylko które – wzdycha Gabriel, opierając brodę gdzieś w moich włosach.

Każdy mój miesiąc mimowolnie się napina. Świadomość, którą zostawia po sobie wypowiedź mężczyzny, wydaje się naprawdę...

gorzka, ale tak cholernie autentyczna. W końcu podpalenie rudery, w której się znaleźliśmy, było działaniem umyślnym, tak samo jak i atak tego psychopaty w Inferno. Wynika z tego, że powinniśmy mieć się na baczności. Powinniśmy być naprawdę czujni i kurewsko rozważni.

– Więc co teraz zrobimy? – pytam w końcu, po czym zadzieram brodę, by spojrzeć Gabrielowi w twarz. Jego klatka piersiowa porusza się niespokojnie, gdy wypuszcza ze świstem powietrze, a później odpowiada mi z napięciem w niskim głosie:

– Edward nie będzie się cackał z tą sprawą. Chce wszcząć oficjalne śledztwo, jego biuro ma się tym zająć jak pierwszorzędnym zleceniem. Pewnie zapewni nam ochronę, by nie ryzykować, że ten, który za tym wszystkim stoi, dopnie w końcu swego – wzdycha mężczyzna. – Przez najbliższe tygodnie musimy zwyczajnie... być ostrożni, Mercy. Naprawdę ostrożni.

Nie buntuję się w żaden sposób przeciwko radzie, której udzielił nam obojgu Gabriel. Po prostu odetchnąwszy ciężko, kiwam głową w geście zgody.

# ROZDZIAŁ 18

## GABRIEL

Wjeżdżając następnego dnia na teren kompleksu budynków, pod którymi znajduje się Inferno, spodziewam się dostrzec nie jednego, a przynajmniej kilku strażników pilnujących bramy, za którą rozpościera się plac. Ostatni raz patrzę w stronę deski rozdzielczej, na której znajduje się zegar, by zorientować się, która jest godzina. Wskazuje on ósmą. Mój trening powinien zacząć się właśnie teraz, ale nie zamierzam od razu kierować się do podziemi, które podobno zostały już sprawdzone przez ludzi, których wezwał Mayson.

Wysiadam z samochodu i od razu kieruję się do gabinetu trenera. Powietrze, które wciągam do płuc, mknąc szybkim krokiem przez jedną z alejek, jest rześkie za sprawą deszczu, który w nocy przeszedł nad Las Vegas. Wkładam dłonie do kieszeni spodni, gdy tylko docieram do schodów zlokalizowanych między dwoma wysokimi budynkami. Woda kapie z ceglanych ścian prosto na stopnie, tworząc kałużę tuż przed solidnymi drzwiami prowadzącymi do klubu. Naciskam na klamkę i już po chwili dostrzegam czerń i czerwień bijące od ścian. Wsłuchując się w niezachwianą ciszę, pokonuję korytarz, aż docieram do miejsca, które obrałem sobie za cel. Przechodząc przez próg gabinetu trenera, wyłapuję jego spojrzenie.

Ethan spogląda na mnie spod odrobinę ściągniętych brwi, pytając:

– Gdzie masz opatrunek?

– Dzisiaj już nie był konieczny. Draśnięcie było ledwie zauważalne. – Wzruszam niedbale ramionami, siadając na fotelu obitym czarną skórą. Zapach cedru połączony z wonią tytoniu od razu wdziera mi się do nosa, przywołując wiele wspomnień. Między innymi to, kiedy zgarnąłem pierwszą burę od trenera. Byłem wtedy

dla niego zwyczajnym kawałkiem mięsa. A teraz... cóż, sam powtarza, że wytrenował mnie na swoją pieprzoną chlubę Inferno.

– Co za farsa – wzdycha mężczyzna, pocierając dłonią ostrą linię szczęki. – Byłem święcie przekonany, że nikt nie zna lokalizacji klubu, że nikt nie zdoła się do niego tak po prostu wedrzeć. – Uderza dłonią w drewnianą powierzchnię biurka.

Huk przerywa ciszę spowijającą gabinet, gdy wstaje na równe nogi. Z uwagą obserwuję jego plecy, kiedy zaczyna chodzić po pomieszczeniu, jak gdyby miało mu to pomóc przetrwać wczorajsze rewelacje. Wzdycham ciężko, mówiąc:

– Jest jeszcze jedna możliwość...

– Skądże – zaprzecza Mayson. – Wszyscy goście byli tam, w konferencyjnej. Jedynie wy wybraliście się na zwiady. – Splota dłonie za karkiem. Jego oczy pozostają przepełnione frustracją, którą jestem w stanie zrozumieć, gdy wciąż intensywnie wpatruje się w moją twarz. Zupełnie tak, jakby nadal nad czymś rozmyślał. Jakby szukał sposobu, jak wyprzeć z głowy niewiedzę i w jej miejsce ulokować prawdę.

Oblizuję dolną wargę, opierając przedramiona na podłokietnikach fotela.

– Podjąłeś słuszne kroki – odpowiadam ze spokojem. – Nie sądzę, żeby ten, kto zdecydował się na wczorajszy czyn, porywał się na taką głupotę po raz kolejny. Ale jeśli masz dzięki temu lepiej spać, zatrudnij jeszcze kilku strażników i zainwestuj w dodatkowe kamery. To zawsze jakaś namiastka gwarancji, że przyłapiesz tego sukinsyna.

Mayson dobrą chwilę trawi w duchu to, co powiedziałem. Opiera ramię o ścianę, zakasując w międzyczasie rękawy nieskazitelnie białej koszuli. Wciąż patrzy mi w oczy, gdy unoszę wyzywająco brew, uprzednio spoglądając w stronę wyświetlacza mojego telefonu. Powinienem jednak mimo wszystko przytaszczyć tyłek na trening w czasie piętnastu minut od jego rozpoczęcia. Tak dla reguły.

Z krótkiej apatii wytrąca mnie w końcu głos rozmówcy:

– Namiastka... – wzdycha. – Nie chcę zaledwie namiastki, Gabrieliu.

– Skaza na zabezpieczeniach imperium boli, ale nie zapominaj, że nikt z zewnątrz nie ma pojęcia, że wczoraj zawiedli cię strażnicy czy

własna ostrożność. – Nie spuszczam spojrzenia z twarzy Maysona. – Renoma Inferno pozostaje niezachwiana. Nie pluj sobie w brodę, tylko zastanów się, jak możesz dalej pilnować, by miała się dobrze.

Z tymi słowami wstaję na równe nogi, patrząc wyczekująco na mężczyznę, który skinieniem głowy potwierdza, że postąpi tak, jak mu poleciłem. Przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu, a akompaniuje nam jedynie cisza zalewająca gabinet. Aż w końcu wypuszczam ze świstem powietrze, ruszając w stronę drzwi. Docierając do windy, przesuwam ręką kraty, po czym wciskam odpowiedni guzik na panelu. Niewielką klinką szarpie lekko, gdy rusza w dół.

Wspomnienie wczorajszej nocy uderza we mnie jak grom, gdy przed oczami widzę tylko ludzką rękę i poharatane palce zaciśnięte na rękojeści noża. Tylko ten obraz zdołał zapisać mi się w pamięci. Z ciężkim westchnieniem wychodzę z niewielkiej komórki, gdy tylko udaje mi się dotrzeć do podziemi. Tam dostrzegam kilku ćwiczących pięściarzy. Witam się ze wszystkimi skinieniem głowy, po czym ruszam w stronę szatni znajdującej się w tej samej niewielkiej sali, w której jest magazyn z całym sprzętem połączony z niewielką łazienką i przestrzenią wypełnioną metalowymi szafkami zawodników. W jednej z nich odnajduję swoją torbę.

Przygotowanie się i rozgrzanie do treningu zajmuje mi nie więcej niż kwadrans. Do jednego z worków obitych skórą podchodzę ze świadomością, że muszę dzisiaj oszczędzać prawe ramię, które zdobi podłużna szrama. Rękawica z płaskim odbija się od hebanowego materiału, gdy wyprowadzam pierwszy cios. Odnalezienie właściwego rytmu nie zajmuje mi więcej niż parę minut. Dawki powietrza, które wtłaczam do płuc z każdym oddanym uderzeniem, są obfite. Szybko przestaję koncentrować się na ćwiczących wokół mnie bokserach i skupiam się tylko na majaczącym mi przed oczami sprzęcie. Widzę, jak ten huśta się na solidnym łańcuchu, prowokując moje kolejne ciosy.

– Nie załapałeś się na gadkę o wczoraj – słysząc za plecami znajomy baryton, odwracam głowę przez ramię. Ze zdławionym w płucach oddechem, omiatam wzrokiem twarz Asha, który właśnie

odwija bandaż, którymi obwiązane były jego spuchnięte odrobinę dłonie.

Przejeżdżam przegubem ręki wzdłuż czoła, odpowiadając:

– Rozmawiałem z Maysonem w cztery oczy. Jest trochę... podłamany.

– Mhm. – Price mierzwi dłonią włosy, po czym dodaje: – Dziwisz mu się? Pięć lat skutecznie zatajał przed całym światem lokalizację Inferno i opracowywał patent, na którym opierała się mechanika linii obrony klubu. A ktoś ją tak zwyczajnie... przejrzał. – Mężczyzna pstryka palcami, by dodać dramatyczności swoim słowom.

Zagryzam wnętrze policzka. W gruncie rzeczy Ash ma sporo racji. Pięć lat. Przez pięć lat Inferno było uznawane za miejsce legendarne. Chodziły nawet pogłoski, że ten klub nie istnieje, albo nie znajduje się w granicach Las Vegas, bo nikt nie mógł dociec, gdzie tak naprawdę jest. A teraz, cóż, wie o tym jedna osoba spoza klubu. Jakiś pieprzony nożownik.

– Wykaraska się z tej traumy – odpowiadam z uniesionym w słabym uśmiechu kącikiem ust. – Marie go utemperuje. Wiesz, jakiego bzika ma na punkcie uzalania się nad kimś bądź sobą. – W moim głosie przeważa pobłażanie. Ta kobieta naprawdę nie trawi jojczenia i stękania.

– Uzmysłowała mi to kiedyś dobitnie – mruczy pod nosem Price. – Została na noc?

Nie muszę długo zastanawiać się nad tym, kto i kiedy został u mnie na noc. Odpowiedź na pytanie kumpla nasuwa się sama. Przystępując z nogi na nogę, rzucam kpiąco:

– Ta, świętowaliśmy twoją porażkę. Naprawdę myślałeś, że ją pokonasz? – Patrząc na Asha z nieukrywanym, podszytym drwiną politowaniem. Po tym, jak Mercy zaprezentowała mu wczoraj swoje karty ułożone w kolor, który pokonał jego trójkę, Price stwierdził, że na pewno kantowała. Cóż, miałem pewność, że tak nie było.

Ta zołza miała po prostu farta. No i doświadczenie, które przywiozła z Luizjany.

– Gdybym wiedział, że swego czasu grała codziennie w teksańskiego klincza przy barach na Bourbon Street, pewnie zastanowiłbym się dwa razy, zanim rzuciłbym na stół dwieście

przeklętych dolarów – odpowiada z przekąsem, po czym, westchnąwszy ciężko, odwraca się na pięcie, by ruszyć w stronę szatni. Na odchodne rzuca mi krótkie „na razie”.

Kręcę głową. Tak naprawdę wczoraj nie świętowaliśmy faktu, że Mercy utarła nosa mojemu kumplowi, a próbowaliśmy odnaleźć powiązanie między pożarem w ruderze a atakiem tajemniczego nożownika. Przegadaliśmy niemal całą noc, a i tak musieliśmy przyznać przed sobą, że powinniśmy przede wszystkim pokładać nadzieję w Edwardzie, który oficjalnie zajął się tymi sprawami, a z którym mam spotkać się za niecałe dwie godziny w jego domu znajdującym się w Henderson.

Biorę głęboki oddech, ponownie podchodząc do worka, i kontynuuję trening.

Z Inferno wychodzę dopiero przed dziesiątą. Zasiadam ponownie na fotelu kierowcy i odrzucam na tylne siedzenie sportową torbę, po czym przekręcam kluczyk w stacyjce. Nie mija parę sekund, a wyjeżdżam z placu ze świadomością, że mam zaledwie kwadrans, by dostać się do domu rodziców w Henderson. Wzdycham ciężko, sięgając ręką w stronę radia. Już po chwili po samochodzie rozchodzi się losowa piosenka z playlisty, którą okazuje się *Someone Else* od Rayless. Mimowolnie stukam palcami o kierownicę w jej rytmie, dopóki w momencie, w którym wjeżdżam na główną ulicę, nie czuję wibracji telefonu. Sięgam po niego, po czym omiatam spojrzeniem podświetlony wyświetlacz i odbieram połączenie, mówiąc:

– Mayson wciąż jest w martwym punkcie. Strażnicy go rozczarowali. Nic nie znaleźli.

Mercy wypuszcza ze świstem powietrze wyraźnie niepokieszona.

– Czyli na dobrą sprawę musimy liczyć na Edwarda i na to, że jego śledztwo wykaże, kto stoi za tą cholerną farsą – podsumowuje pod nosem. – Wiesz, w gruncie rzeczy się tego spodziewałam. Nożownik musiał mieć w rękawie niejednego asa.

Oczami wyobraźni widzę, jak marszczy gniewnie nos. Zdążyliśmy przegadać temat płonącej rudery i wczorajszego ataku na tak wiele sposobów, że ciągnięcie tego wątku przyprawia mnie o jeszcze gorszy nastrój. Frustruje mnie myśl, że najprawdopodobniej ktoś podąża za nami jak pierdolony cień. Nienawidzę czuć czyjegoś

oddechu na karku. Nienawidzę każdego scenariusza, który zakłada, że *jej* mogłoby się przytrafić coś złego.

– To jakaś aluzja do twojej wczorajszej wygranej? – rzucam wymownie, pragnąc odrobinę zbroczyć z tematu ostatnich, feralnych ekscesów. W tym samym czasie, sprawnie manewrując kierownicą, wjeżdżam na właściwą, najkrótszą drogę prowadzącą do Henderson.

– Być może – stwierdza dumnie Mercy. – Byłam niepokonana.

– Żadna nowość – wzdycham z pobłażaniem.

*Ta kobieta jest naprawdę cholernie zarozumiiała*, stwierdzam w myślach. Może na początku naszej znajomości cholernie trudno było mi to tolerować, ale z czasem pojąłem, że to właśnie mnie w niej kręci. Ten wiecznie zadarty nos, niekiedy bijąca od niej arogancja i świadomość, że jest nie do zdarcia. Nie miałem tego wszystkiego dosyć.

– Masz dzisiaj wolny wieczór? – pyta nagle, wytrącając mnie z krótkiego letargu.

– Jadę teraz do Henderson. Po pierwszej mógłbym znaleźć dla ciebie czas – odpowiadam nonszalancko, przyciskając telefon do ucha i nie spuszczać wzroku z jezdni, po której nie porusza się o tej porze zbyt wiele samochodów. – Czeka, nie masz dzisiaj treningu? – pytam szczerze zdziwiony.

– Martw się o siebie – bąka Mercy, ale po chwili dodaje: – Mam krótką, wyblaganą przerwę. Zaraz pewnie zgarzę niezłą burę od Rhysa za ucinanie sobie pogawędek, ale sprawa naprawdę nie cierpi zwłoki. Zupełnie zapomniałam, że dzisiaj Eleanor Powell, ta właścicielka restauracji, w której wpadliśmy na twoich rodziców, otwiera kolejną knajpę. I tak jakby... zaprosiła nas we dwójkę, a ja przytaknęłam: jasne, wpadnę ze swoim przebojowym mężczyzną – wyjaśnia. Przez chwilę milczymy.

Aż w końcu odpowiadam jej bezpretensjonalnie:

– Okej, więc wpadniesz tam z nim.

– Och, muszę kończyć – mruczy z wyraźnym przekąsem Mercy, a w tle połączenia słyszę niski baryton. – Jedziesz do Henderson, by pogadać z Edwardem, tak? – pyta jeszcze pospiesznie, kiedy spoglądam od niechcienia na znak drogowy.

Od celu dzieli mnie jeszcze dosłownie kilka mil.

– Tak, później streszczę ci, o czym gadaliśmy – mówię ze spokojem.

– Pozdrów go ode mnie – rzuca Mercy i tak szybko, jak odpowiadam jej krótkim „jasne”, kończy połączenie popędzana przez swojego trenera. Odkładam telefon na deskę rozdzielczą, wzdychając. Szwendanie się dzisiaj po restauracjach może nie jest szczytem moich marzeń, ale z nią wszystko wydaje się pocieszające.

Docieram do domu rodziców, biorę z tylnego siedzenia skórzaną kurtkę, po czym wysiadam z samochodu. Rozglądam się po osiedlu pełnym zabudowy jednorodzinnej, ale nie tracąc czasu, szybko pokonuję stopnie schodów dzielące mnie od drzwi frontowych. Nie pukam. Przechodzę przez próg ze świadomością, że wszyscy domownicy wiedzą o mojej wizycie.

Rozglądam się po jasnych ścianach i znajdujących się na nich zdjęciach w ciężkich, mosiężnych ramkach. Nie zaglądam do pomieszczenia po prawej stronie korytarza, gdyż nie podejrzewam ojca o siedzenie w jakimkolwiek innym pokoju niż jego ulubiona klitka nieopodal strychu. To właśnie tam Edward składował swoje szpargały związane z pracą lub po prostu lubił przesiadywać.

Wchodzę do zaciemnionego pokoju, mówiąc:

– Ludzie z twojego biura dobrze się kamuflują. Przynajmniej ten, który siedzi mi na ogonie. Nie mam bladego pojęcia, jak z Mercy. – Wzruszam krótko ramionami, patrząc w stronę ojca, który przegląda jakieś dokumenty. Spogląda na mnie jedynie przez moment i po chwili ponownie wraca do śledzenia wzrokiem papierów.

– Mają jasno określony cel. Pilnować, by w razie kolejnego potencjalnego ataku nie spadł wam włos z głowy. Do czasu, aż nie zdobędę informacji, kto stoi za poprzednimi wydarzeniami. O ile stoi za nimi jedna osoba, co jak dla mnie jest cholernie prawdopodobne – odpowiada ze spokojem mężczyzna, pocierając linię szczęki w geście kontemplacji.

– Więc szukasz zbieżności między pożarem a nożownikiem – bardziej stwierdzam, niż pytam, dostrzegając na starej komodzie kilka zdjęć. Niektóre z nich wyglądają, jakby były zrobione jeszcze przed rozbiórką budynku, w którym ja i Mercy mieliśmy spłonąć. Po pożarze został on spisany na straty, ale najwyraźniej przed tym

Edward zdążył jakimś cudem się tam rozejrzeć. Z kolei obok znajduje się metraż Inferno, który udało mi się zabrać z gabinetu Maysona po zakończonym treningu, ale on sam nie musiał być tego świadomy.

Edward kiwa głową w skupieniu, odpowiadając po chwili:

– Obaj mamy świadomość tego, że to dobry trop. – Mężczyzna mruży w zastanowieniu oczy. – Intryguje mnie jednak to, co wydarzyło się wczoraj. Jak ten fagas wdarł się do klubu...

– Do Inferno jest jedno wejście – odpowiadam z przekonaniem.

Ojciec unosi wyzywająco brew, łypiąc na mnie z nieodgadnioną miną.

– Masz tego gwarancję? – Nie kryje sceptycyzmu, którym nasiąka jego głos. W tym czasie opieram ramię o ścianę, spoglądając w martwy punkt przed sobą. Przez chwilę zastanawiam się nad tą cholerną zagwozdką, aż w końcu, spoglądając w kierunku metrażu Inferno, kontruję:

– To podziemia. Gdzie niby...

– Skoncentruj się na sporcie, synu. Kombinowanie to moja działka. – Edward wstaje na równe nogi, po czym splata dłonie za plecami. – Chodź, mama zaparzyła kawy. Porozmawiamy w salonie, musisz odpowiedzieć mi jeszcze na parę pytań. Och, no i może zobaczysz, czy dobrze patrzy z oczu tej dziewczynie starającej się o etat opiekunki w sierocińcu. Chyba Maeve powinna się jeszcze użerać z twoją upierdliwą mamą.

Kącik ust mężczyzny unosi się lekko, by przerodzić się w uśmiech. Nie koncentruję uwagi na wzmiance o jakiejś Maeve. Zamiast tego ruszam powolnym krokiem za ojcem ze świadomością, że nawet mimo tego, że pokładałam w nim sporo nadziei, sam muszę dźwigać na barkach pewną odpowiedzialność. Odpowiedzialność za siebie i Mercy Stone.

Na lodowisko należące do UnderScore docieram w momencie, w którym wychodzi z niego Rhys. Już raz miałem okazję zobaczyć go na własne oczy, więc bez problemu rozpoznaję w nim trenera Mercy. Moja obecność tutaj zapewne nie byłaby przez niego pożądana, więc gdy tylko odjeżdża, sam wysiadam z samochodu i kieruję się w stronę budynku. Swoją zgubę odnajduję na tafli lodowiska. Już

z daleka zauważam, że Mercy jest dzisiaj wyjątkowo markotna, zrzędliva i niezadowolona po treningu.

Utwór, do którego wykonuje układ, rozbrzmiewa po hali. Jest wolny, melancholijny, odrobinę ponury, powodujący ciarki na plecach. Ze zduszonym w płucach oddechem patrzę przez moment, jak kruczoczarne włosy podrygują w powietrzu, gdy ich właścicielka daje susa w górę. Jej ciało płynnie obraca się wokół własnej osi, aż w końcu płozy czarnych łyżew ponownie ścierają się z twardą powierzchnią, kiedy ląduje.

Podchodzę bliżej. Moje kroki są ciężkie, ale nie przedzierają się przez piosenkę. Opieram przedramiona na balustradzie, nie spuszczać wzroku z kobiety, która sprawia, że zmysły płatają mi figle. Cuci mnie dopiero jej spojrzenie. Mercy wyłącza muzykę i podjeżdża do mnie z powabnym uśmiechem, krzyżując ręce pod biustem.

– Miałeś zobaczyć ten układ dopiero w Denver. – Unosi wyzywająco brew.

– Wolałem wkraść się na terytorium wroga i obejrzeć go sobie wcześniej – stwierdzam swobodnie, na co moja rozmówczyni prychna znacząco. Zaciska dłoń na barierce, zaś drugą odgarnia włosy opadające jej na odrobinę mniej markotną twarz.

– Wydawało mi się, że jesteś cholernie cierpliwy.

Teatralne westchnienie Mercy powoduje, że kręcę głową z pobłażaniem. Zielone, iskrzące naprawdę butnym blaskiem oczy świdrują mnie na wskroś, ale niewiele są w stanie wyczytać. Moja mina pozostaje beznamiętna nawet w konfrontacji z nieustępliwością, która bije od stojącej naprzeciwko mnie kobiety. Słyszę, że wciąż próbuje unormować płytki oddech.

– W każdej kwestii, która nie ma z tobą związku – odpowiadam z powagą, na co kąciki ust kobiety unoszą się w szybkim tempie. Mercy podjeżdża do wyjścia z tafli, po czym zasiada na stopniu schodów i zaczyna odwiązywać sznurówki łyżew.

– Jak było w Henderson? Edward zaczął się rozglądać? – pyta zaintrygowana.

– Staje na głowie – mówię zgodnie z prawdą. – Oddelegował nawet kilku ludzi z biura, żeby mieli na nas oko. W gruncie rzeczy

niewiele mi zdradził ze swoich zamiarów. Był zdania, że najlepiej będzie, jeśli skupię się na sporcie. No i oczywiście zadbam o to, żebyś ty skupiła się tylko na igrzyskach. – Przechyliam głowę w bok, gdy Mercy chowa łyżwy do sportowej torby. Po chwili wstaje na równe nogi, skanując mnie uważnym spojrzeniem.

– Specjalnie szwendam się najpierw po Inferno, a później po luksusowych knajpach, żeby nie zbzikować. Gdybym siedziała w czterech ścianach, zapewne już dawno by mi się to udało – stwierdza po chwili namysłu. – Więc... nie dbaj o mnie za bardzo, skarbie.

Z tymi słowami klepie mnie po ramieniu, ruszając w stronę schodów prowadzących na kondygnację. Odwracam się na pięcie, podążając za kobietą, która nie zatrzymuje się nawet na moment. Pokonanie wszystkich stopni zajmuje jej kilkanaście sekund, w ciągu których uzmysławiam sobie, jak bardzo wyrachowana jest ta podstępna bestia.

– Przyjechałaś swoim autem? – pytam, gdy znajdujemy się tuż przed wyjściem na parking.

Zawstydzona Mercy pociera dłonią kark, po czym odpowiada:

– Właściwie... walnęłam komuś w tyłek. Aktualnie mam wymieniany zderzak – mówi, spoglądając na zegarek, który znajduje się na jej lewym nadgarstku. Kręcę głowę z politowaniem, nie komentując jej słów. Jeśli coś się w tej kobiecie nie zmieniło w ciągu ostatnich lat, to fakt, że wciąż na drodze brakuje jej rozważli.

Zasiadam ponownie na miejscu kierowcy i pytam:

– O której jest to otwarcie?

– Za pięć godzin. Mamy pół dnia do zmarnowania. – Mercy wydyma dolną wargę, zerkając na mnie kątem oka, gdy wyjeżdżam z parkingu lodowiska. Po chwili dodaje: – Jedziemy do mnie. Muszę wziąć długą kąpiel i zapomnieć o dzisiejszym treningu.

– Był aż tak koszmarny? – Odwracam głowę w kierunku jezdni. Słyszając męczeńskie westchnienie przedzierające się przez zgiełk dochodzący przez uchyloną szybę do moich uszu, utwierdzam się w przekonaniu, że ten cały Rhys był dzisiaj dla niej naprawdę surowy.

W gruncie rzeczy niewiele wiem o ludziach, z którymi współpracuje Mercy. Od Maysona słyszałem jedynie, że ten Caleb Wright nie jest zadufanym w sobie lalusem i można z nim dojść do porozumienia. Co do Crawforda... Cóż, jestem świadom tego, co jej zrobił i kim dla niej był. Jedynie Rhys wciąż jest dla mnie jedną wielką zagadką.

W głowie pojawia mi się myśl, która nie zdobyłaby aprobaty Mercy.

– Wciąż słyszę w uszach jego wyrzuty z cyklu: „ta piosenka była strzałem w kolano” – marudzi pod nosem, ale kiedy spoglądam w jej stronę, wciąż obserwuje ulice miasta z hardo uniesioną brodą. Wcisnąwszy mocniej pedał gazu, mówię:

– Najważniejsze, że wykonując układ, nie wyglądałaś, jakbyś się miała zaraz połamać.

Mercy łypie na mnie spode łba.

– To ma być pochwała? – wypomina mi, mrużąc złowrogo brwi.

Przesuwam wzrokiem po jezdni, starając się powstrzymać uśmiech.

– Zzera cię ta myśl, że czasami tak trudno jest mnie oczarować? – Moja mina pozostaje nieprzenikniona. Specjalnie niżam głos z pełną świadomością, że w jej oczach zamajaczy od razu dzika iskra. Stojąc przed skrzyżowaniem na czerwonym świetle, wpatruję się w nią z uniesioną brwią, podczas gdy z jej pełnych ust wypada krótka odpowiedź:

– Bądź czujny, bo obawiam się, że jednak motywuje. – Puszcza mi oczko, zanim sięga dłonią do radia. Z głośników w aucie chwilę później wydostaje się *Alibi* od Mansionair. Ostatni raz spoglądam na swoją pasażerkę z wręcz namacalnym politowaniem, po czym ruszam z westchnieniem przed siebie, wsłuchując się w śpiew cholernej Mercy Stone.

Siedząc już na łóżku w jej sypialni i przeglądając maile na telefonie, czekam, aż szum wody dochodzący z łazienki znajdującej się w pomieszczeniu obok przestanie być słyszalny. Wypuszczam ze świstem powietrze, odpisując na kolejną propozycję otrzymaną od Ethana Maysona. Odkąd według mediów stałem się chlubą Inferno,

odpędzenie się od nowych ofert związanych ze współpracą zaczęło zwyczajnie graniczyć z cudem.

Odkładam na materac telefon, przez chwilę tępo wpatrując się w sufit. Dopiero słysząc dźwięk przychodzącej wiadomości, chwytam go ponownie w dłoń, ale szybko orientuję się, że to nie moje urządzenie dało o sobie znać. Widząc podświetlony ekran komórki Mercy, biorę ją do ręki, po czym podnoszę się do pionu, by odnieść ją do właścicielki. Para zielonych oczu, którą dostrzegam w pomieszczeniu wyłożonym czarnymi płytkami, przygląda mi się badawczo, gdy kładę telefon obok umywalki i mówię:

– Ktoś się dobijał.

Mercy poprawia czerwony ręcznik, którym się okryła. Z uniesionym kącikiem ust podchodzi do telefonu, naznaczając podłogę mokrymi śladami stóp. Spoglądając na wyświetlacz urządzenia, zaciska szczękę. Po chwili unosi wzrok na moją twarz. W momencie, w którym krzyżujemy spojrzenia, kotłuje się we mnie pobudzenie.

– Ace – mówi absolutnie szczerze. – Wysłał mi maila.

Ściągam brwi. Jestem pewien, że wykwita między nimi głęboka bruzda. Opieram plecy o tę pieprzoną umywalkę, czując jedynie rozchodzącą się po każdej komórce ciała falę irytacji. Ten fagas zbyt długo nie dawał o sobie znać. Krzywię się mimowolnie na ostatnie wspomnienie z jego udziałem, to na cholernym lodowisku.

– Długo nie zdołał utrzymać w ryzach swoich beznadziejnych zapędów zakręcenia się wokół ciebie po raz kolejny – pryham pogardliwie, krzyżując ręce na torsie. Mercy unosi brew, słysząc mój kurewsko oschły ton. – To przecież asystent tego całego...

– Tak, asystent Caleba – przerywa mi. – Ale to on układał cały plan wyjazdu do Denver, który mi właśnie wysłał. Zresztą... chyba dobitnie uzmysłowiłam mu, że nie będzie między nami żadnej nici porozumienia. – Mercy robi krok w moim kierunku. Opiera wyprostowane ręce na krawędzi umywalki, zamykając mnie między smukłymi ramionami. Robi to z trudem, bo jest dużo drobniejsza ode mnie. Wzdycham ciężko.

– Liczymy na to, że zrozumiał – bąkam pod nosem, nie spuszczać wzroku z pokerowej twarzy stojącej przede mną kobiety. Z jej skroni

wciąż spływają krople wody. Z jej piersi wydobywa się niemy pisk, gdy gwałtownie kładę wytatuowane dłonie na jej biodrach tylko po to, by obrócić jej ciało i podsadzić ją na blat obok umywalki. Mercy opiera ręce na moich barkach, mrugając powoli, kiedy dodaje: – Bo w innym przypadku będzie miał ze mną do czynienia.

Iskrzące podekscytowaniem oczy obserwują mnie spod wachlarza kruczoczarnych rzęs. Zanim zdążę zrobić to sam, Mercy odwija ręcznik, który z cichym łoskotem opada na czarne kafelki. Jej usta pozostają bezwiednie rozchylone, kiedy mówi:

– Więc... liczymy na to. – Przechyliła leniwie głowę w bok, więc nie trzymam w ryzach swoich zamiarów. Mój oddech rozbija się w okolicach jej obojczyków, gdy przywieram zimnymi ustami do nagiej skóry, mknąc wyżej, aż mogę swobodnie przesunąć grzbietem nosa wzdłuż przestrzeni za jej uchem. Dłońmi zamykam wąską talię w zaborczym uścisku, czując jedynie, jak odrętwiałe staje się ciało, które trzymam w swoich ramionach. I tylko przez jedną chwilę, gdy odchyliwszy głowę do tyłu, napotykam widok pary rozentuzjasmowanych tęczęwek, każdy mój nerw przeszywa fala prądu, która powoduje, że tracę nagle rezon.

Tracę go i nie mam bladego pojęcia, w której sekundzie to Mercy przyciska swoje usta do moich. Jej dolna warga jest spierzchnięta, gdy podgryzam ją zaczepnie. Krople wody spływające strugami z jej ciemnych włosów smagają mnie w przeguby, kiedy przesuwam dłoń na dół jej pleców. Palcami odnajduję wgłębienia na biodrach, a mój kącik ust unosi się tak prędko, jak połykam połowicznie zdławione w płucach sapnięcie kobiety.

Zbliżam się do niej gwałtowniej, co Mercy traktuje jak niewerbalny bodziec. Wspiera się odrobinę na blacie tylko po to, by położyć drobne dłonie na mojej zuchwie i przytknąć swoje usta do moich. Nie hamuję się, gdy w mojej głowie rodzi się ochota, by ukrócić odległość, która dzieli mnie od zmarzniętego ciała. Napieram na nie mocniej. Ciszę zalewającą łazienkę przerywa jedynie niemal bezdźwięczny odgłos wykonanego przeze mnie krótkiego kroku i przeciągłe westchnienie Mercy. Mój oddech rozbija się na jej barku po to, bym po chwili swobodnie sunął pocałunkami wzdłuż smukłego ramienia. Smagnięcia wiatru wpadającego do łazienki

przez uchylone okno sprawiają, że mogę dostrzec na nim gęsią skórę. Opieram wyprostowane ręce na krawędzi solidnego blatu, zadzierając nagle brodę. Mercy unosi zaczepnie brew i wzięwszy głęboki oddech, mówi z ekscytacją majaczącą w oczach:

– Mamy niewiele czasu.

Kiedy docieramy do nowej restauracji Eleanor Powell, jest już siódma. Gaszę silnik, po czym patrzę na Mercy, która poprawia poły płaszcz. Proste, ciemne pukle włosów spływają swobodnie wzdłuż jej pleców, gdy pochyła się do przodu, by zgarnąć z deski rozdzielczej schowany tam do tej pory telefon. Po chwili przenosi spojrzenie na mnie.

– Nie będziemy ślęczeć tutaj do rana. Przywitamy się z El, powzdychamy na widok nowego lokalu, a później zwiniemy się do ciebie. Jest dzisiaj ładna pogoda. Zawsze możemy przejść się po ogrodzie. – W jej oczach wyłapuję wręcz namacalne ożywienie, które dowodzi jedynie temu, że naprawdę lubi tam przebywać.

– Vegas jest pełne atrakcji, a ty wybierasz ogród? – Uważnie skanuję wzrokiem jej twarz. Pełne usta wykrzywiają się w uśmiechu, gdy Mercy zaczesuje kosmyk włosów za ucho, wzruszając przy tym swobodnie ramionami.

– Czy to próba negocjacji z moim ekstra planem? – pyta dźwięcznie.

Przejeżdżam językiem po dolnej wardze, odwracając głowę w stronę kierowicy.

– Negocjacje z tobą zakończyłbym zapewne grubo po otwarciu knajpy – stwierdzam po chwili namysłu, podczas gdy ona nie potrzebuje go zbyt wiele, by położyć smukłą dłoń na linii mojej szczęki. Gładzi kciukiem żuchwę pokrytą zarostem, uśmiechając się przy tym powabnie i zmuszając, żebym obserwował ją z powagą.

– Nie, Gabrielu. Zakończyłbyś je z fiaskiem. – Tembr jej głosu staje się głębszy.

Ściągam brwi, patrząc na nią z jawnym politowaniem. Zanim zdążę palnąć jakiś szczeniacki komentarz pod jej adresem, zalewającą samochód ciszę przerywa namolne stukanie w szybę od strony pasażera. Oboje z Mercy spoglądamy w tym samym czasie w prawo. Kiedy tylko orientuję się, że dobija się do nas jakaś

natrętna baba z rudymi włosami i naprawdę szerokim uśmiechem na ustach, wzdycham ciężko. Kojarzę tę świruskę.

To ona była gitarzystką w zespole, na którego występie byliśmy z Mercy. Po jego zakończeniu nie mieliśmy okazji zamienić z nią słowa. Z chwilowego letargu wyrywa mnie szelest. Siedząca obok mnie Mercy wysiada z samochodu jak gdyby nigdy nic, uprzednio po raz ostatni posyłając mi sugestywne łypnięcie. Od razu sam zwlekam się z fotela kierowcy, podchodząc do kobiet. Mercy czasami wspominała o swojej dobrej znajomej, ale wciąż nie wiedziałem o niej zbyt wiele. Jedynie to, że jest kuzynką jej byłego trenera i lubi rocka.

– Gabriel Crade – mruczy, o ile dobrze pamiętam, Pearly. – Diabeł Vegas.

Jej głos jest cierpki, ale jestem w stanie wyczuć, że fałszywie. Patrzę na nią niewzruszony, podczas gdy ona odwdzięcza mi się tym samym. Aż w końcu pęka, podając mi dłoń. Pomalowane na czerwono usta wyginają się w uśmiechu, gdy dodaje:

– Nie myśl, że tytuł zapewnia ci jakiś beznadziejny immunitet. Jeśli spadnie jej z głowy...

Puszczam jej słowa mimo uszu. Instynktownie spoglądamy po sobie z Mercy. Chyba oboje mamy w tej chwili podobne myśli. Takie, że już dwa razy udało nam się wyjść prawie że bez szwanku z sytuacji, które mogły mieć naprawdę zły koniec. Skinąwszy głową w geście zgody, prostuję się, odpowiadając zwięźle:

– Nie stanie się tak. – Wkładam dłonie do kieszeni skórzanej kurtki. – Pearly, prawda?

– Mhm. Ta, na której koncercie wyglądałeś jak najbardziej znudzony człowiek w pieprzonym Vegas. – Przechyla głowę, by przyjrzeć mi się uważniej. Chwilę łypie na mnie spode łba, ale szybko dodaje: – Chodźcie, mama liczyła, że rzeczywiście wpadniecie na otwarcie. Będzie wam wmawiać, że to z sympatii, ale sami wiecie, jak jest. Uznajmy, że to sympatia z lekką świadomością tego, jak korzystna jest wasza obecność.

Mercy z westchnieniem podchodzi bliżej, by opleść ręką moje przedramię.

– Wyolbrzymiasz – mówi ze spokojem, kiedy kierujemy się w stronę wejścia do lokalu.

– Bez wątpienia – wzdycha sztucznie Pearly, a kiedy tylko przechodzi przez próg budynku, od razu zwraca się do Mercy: – Paul też miał wpaść na otwarcie, ale odkąd trenuje pary, ma coraz mniej czasu. Ciągłe tylko przesiaduje na lodowisku.

– Paul trenuje pary? – dziwi się Mercy.

Ja w tym czasie rozglądam się po sali. Nieco różni się od tej w restauracji, którą często odwiedzam, a która należy do tej samej właścicielki. Przede wszystkim jest tu ciemniej i może nawet... bardziej egzotycznie. Od razu dostrzegam ogromną ilość roślin, która króluje w knajpie. Cały lokal utrzymany jest raczej w chłodnych barwach. Nawet sztuczne światło dawane przez lampy ma raczej surowy odcień. Nie widzę wokół nas ogromnej liczby ludzi, jedynie elegancko ubranych klientów skupiających się przy kilkunastu stolikach.

– Tak, wiesz przecież, że po tym, jak odeszłaś do UnderScore, wziął pod swoje skrzydła kolejną łyżwiarkę. Niedawno doznała poważnej kontuzji, więc musiał zabrać się za coś innego, a że kiedyś trenował pary, postanowił do tego wrócić – tłumaczy Powell.

– Faktycznie musi być zawalony robotą – wzdycha Mercy.

Pearly kiwa głową, po czym mówi ze spokojem:

– Znajdźcie sobie stolik. Ja idę sprawdzić, jak się sprawy mają. – Rusza w kierunku baru, za którym stoi znajomo wyglądająca kobieta. Powróciwszy wzrokiem do twarzy stojącej obok mnie Mercy, unoszę brew.

– Piętro? – pytam nagle, na co Mercy uważnie rozgląda się po lokalu. Odnajduje wzrokiem szklane schody i skinieniem głowy potwierdza, że możemy udać się na górę. Tam szybko siadamy przy jednym z wielu wolnych stolików wypełniających salę.

– Dzwoniła dzisiaj do mnie Jacqueline – mówi zniecierpliwiona Mercy.

– W jakim celu? – Chwytam w dłoń kartę dań, nie spuszczając jednak wzroku z zielonych oczu Mercy. Kobieta opiera podbródek na zgiętej w łokciu ręce, wypuszczając ze świstem powietrze. W tym samym czasie piętro zaczyna zalewać fala nowych gości.

– Zapytała, jak zapatruję się na propozycję, którą tobie przedstawi jutro z samego rana. Dotyczy drugiej części kampanii reklamowej tej biżuterii, którą wypuszcza dom mody – tłumaczy Mercy, stukając palcami wolnej ręki o twardą powierzchnię drewnianego stolika.

Ściągam brwi. W odmętach podświadomości przypominam sobie rozmowę z Maysonem na temat owej kampanii. Kontrakt zakładał jedynie sesję zdjęciową i wzięcie udziału w reklamie, którą już odhaczyliśmy. Ta propozycja musi zatem dotyczyć nowej oferty, którą w takim razie przedstawi mi jutro Jacqueline. Mercy szybko kontynuuje:

– Zakłada ona, że wybierzemy się na półtora tygodnia do Europy, by promować tam błyskotki niedługo po zimowych igrzyskach olimpijskich. Wszystkie konkrety podobno mają dotrzeć do Caleba i Ethana pod koniec tygodnia – mówi rzeczowo, bez zbędnego entuzjazmu czy zrezygnowania. – Masz niedługo jakiś pojedynek?

– Nie w ciągu najbliższych dwóch miesięcy – odpowiadam od razu. – Jacqueline zdradziła ci, gdzie mielibyśmy pojawić się najpierw? – pytam, ale w tej samej chwili do naszego stolika podchodzi kelner. Wybieramy losowe pozycje z karty i ponownie koncentrujemy się na temacie, który przerwaliśmy.

– Barcelona. – Kącik ust Mercy unosi się nieznacznie, by w końcu przerodzić się w uśmiech. – Ale to tyle z wieści, które mi przekazała. O resztę musimy pytać menadżerów. Jutro jadę do UnderScore, więc dowiem się, co i jak – dokańcza, na co ja przytakuję głową.

Krótki pobyt w Europie na pewno dobrze by nam zrobił.

## ROZDZIAŁ 19

Nie otwieram oczu, cały czas wsłuchując się w melodię piosenki, którą puszcza z telefonu. Mimo tego, że w ciągu ostatnich tygodni słuchałam jej zdecydowanie zbyt wiele razy, teraz, dzień przed występem na zimowych igrzyskach olimpijskich w Denver, i tak stwierdziłam, że muszę posłuchać jej jeszcze raz.

Pociągam nosem. Rześkie powietrze wypełniające oranżerię w ogrodzie Gabriela przyjemnie mnie orzeźwia. Usłyszawszy przedzierające się przez utwór skrzypnięcie drzwi, uchylam powieki. Od razu wyłapuję spojrzenie grafitowych tęczówek. Ich właściciel opiera ramię o framugę drzwi, po czym krzyżuje ramiona na torsie, patrząc na mnie z emocją, której nie potrafię zinterpretować. Aż w końcu Gabriel mruga powoli, informując mnie ze spokojem:

– Za pół godziny powinnaś przytargać tyłek do siedziby.

Prostuję się na sofie, krzywiąc się na ból odrętwiałych mięśni. Wszystkie co do jednego zdążyły mi zwiotczeć od ciągłego bezruchu. Przecieram przegubem ręki oczy, po czym, westchnąwszy ciężko, wyłączam muzykę, świadoma tego, że Gabriel ma rację. Powinnam niedługo zameldować się w budynku UnderScore, znieść gadkę Rhysa i Caleba, a później udać się na lotnisko, żeby wyruszyć prywatnym samolotem do Kolorado z resztą zawodników, którzy w ciągu najbliższych tygodni zmierzą się na zimowych igrzyskach.

Wypuszczam ze świstem powietrze, spoglądając gdzieś przed siebie.

– Wysłuchiwanie tyrady całej ekipy to ostatnie, na co w tym momencie mam ochotę – odpowiadam absolutnie szczerze, naciągając na dłoń rękaw białego swetra. – Wiesz, nie potrzebuję już motywującej gadki. Oddałabym raczej wiele za to, by wszyscy zeszli mi z drogi, przestali się nade mną litować i pozwolili rozegrać to tak, jak rzeczywiście uważam za słuszne.

Słyszac ciężkie kroki, odwracam głowę w kierunku mężczyzny. Gabriel wciska dłonie do kieszeni spodni, po czym zajmuje miejsce obok mnie. Jego wzrok spoczywa na oczku wodnym znajdującym się naprzeciwko nas. Niewielki zbiornik wypełniony jest przez niedojrzałe jeszcze lilie wodne. Otaczają go niewysokie figurki z kamienia. Przedzierające się przez wysokie okna promienie słońca sprawiają, że aura tego miejsca wydaje się zniewalająca.

– Więc rozegraj to właśnie tak, Mer. Ukróć te ich samarytańskie próby i skoncentruj się na swojej strategii. Myślisz, że ja na mistrzostwach świata uważnie słuchałem tego, co pieprzył mi w ich przeddzień Mayson? – pyta z prześmiewczą nutą w głosie Gabriel.

– I tak właśnie zrobię, mimo tego, że Caleb i Rhys są dla mnie jak starsi bracia – wzdycham. – Najpierw wyłączę się podczas ich monologu w siedzibie, potem zaszyję gdzieś na końcu samolotu z dala od reszty pasażerów, a na końcu... odreaguję już w Denver.

– W jaki sposób? – Mężczyzna unosi podejrzliwie brew.

– Wymknę się i pójdziemy się trochę rozejrzeć. To lepsze niż beczynne siedzenie w hotelu i obgryzanie paznokci, czując na karku oddech jutra – stwierdzam co najmniej, jakbym mówiła o oczywistych oczywistościach. – W gruncie rzeczy i tak nie zdołam już zrobić nic, by zbliżyć się do sukcesu, a jeśli mogę jakkolwiek spędzić po prostu przyjemnie czas... zrobię to.

Wzruszam swobodnie ramionami, na co Gabriel przesuwa kciukiem wzdłuż grzbietu nosa w geście zastanowienia. Po chwili wypuszcza ze świstem powietrze i odpowiada:

– Jesteś naprawdę nie do ujarzmienia. Ale w porządku, zrobimy, jak chcesz.

Uśmiecham się nieznacznie. Spoglądając na twarz mężczyzny, widzę na niej jedynie powagę wymieszaną ze zwyczajnym spokojem. Sunę wzrokiem po jego lekko ściągniętych brwiach, dostrzegając między nimi pojedynczą bruzdę. Mięsień szczęki Gabriela rozluźnia się nieco, kiedy omiatam spojrzeniem jego parodniowy zarost i lekko rozchylone wargi. Aż w końcu pytam:

– Lecisz z Josephine i Edwardem?

Mężczyzna udziela mi odpowiedzi skinieniem głowy, nie buntując się w żaden sposób, gdy usadowiam się na jego kolanach. Opieram

zgiętą w łokciu rękę na oparciu sofy, oddychając ciężko. Wolałabym o stokroć bardziej ślęczyć tutaj z nim niż spędzać naprawdę dużo czasu w jednym pomieszczeniu z dwoma motywatorami i jednym irytującym Ace'em Crawfordem. Frustruje mnie sam fakt, że wszyscy z UnderScore mają go za porządnego faceta. On nie ma nic wspólnego z byciem bez skazy.

– To straszne, że tak bardzo są ciekawi tego występu. – Kącik ust Gabriela unosi się, a ja nieruchomieję tak szybko, jak czuję na swojej szyi zimny dotyk warg. – Ale bądź pewna, że nie czekają na niego bardziej niż ja.

Mężczyzna tak szepcze mi te słowa wprost w zuchwę, na której po chwili składa przelotny pocałunek, że czuję, jakby w jednej sekundzie ogarnął mnie stan oszołomienia. Wszystkie bodźce z zewnątrz zaczynają uderzać we mnie wolniej, mój umysł staje się jedną wielką breją. Nieodparte wrażenie, jakby powietrze wypełniające oranżerię nie było już wcale takie rześkie, a zwyczajnie parne, nie pozwala mi odetchnąć pełną piersią. Wyduszam z siebie jedynie pojedyncze, krótkie tchnienie, kiedy czuję kciuk Gabriela tuż pod materiałem sztruksowej spódnicy. Jego duża dłoń okrywa nagle moje udo, ściska je zaborczo, na co podkurczam palce u stóp, wciąż otumaniona jego bliskością.

Wciskam paznokcie w obicie mebla, gdy chłodne usta mężczyzny przywierają do mojego dekoltu. Każdy mięsień w moim ciele drży pod wpływem niesłabnącego uścisku na udzie, wyzwającego we mnie całą tonę pobudzenia. W grafitowych oczach, gdy Gabriel delikatnie podrywa głowę, by skrzyżować ze mną spojrzenie, dostrzegam jedynie znajome napięcie. Z moich ust ucieka krótki pomruk, gdy ponownie czuję muśnięcia jego warg na linii szczęki, potem na szyi i pomiędzy obojczykami. Zmysły zaczynają płatać mi figle prędeej, niż bym je o to podejrzewała. Czując wzbierające u zbiegu ud gorąco, pozwalam na to, żeby stopiło we mnie każdą dozę świadomości, że zaraz powinnam wyruszyć w drogę do siedziby.

Moment, w którym długie palce przesuwają się wzdłuż rąbka mojej bielizny, wysyła mi po plecach znajome mrowienie. Włosy jeżą mi się na karku za sprawą ciepłego oddechu, który czuję na swojej

szczęce. Gabriel wsuwa we mnie palce, a ostatnim, co zapamiętuję, jest widok jego poruszającej się grdyki, kiedy przełyka ślinę.

Zaczyna poruszać się we mnie w takim tempie, że tracę kontrolę nad reakcjami własnego organizmu. Zimny wiatr wpuszczony do oranżerii przez niezamknięte drzwi nie cuci mnie nawet odrobinę, gdy przesuwam nieobecny spojrzeniem po wysokich oknach i zwisających z kolumn latoroślach. Chłodna kalkulacja i scenariusze związane z jutrzejszymi igrzyskami w oka mgnieniu zostają wyparte z mojego umysłu przez rozbijające ukojenie. Moje skronie pulsują, oddech ucieka z piersi niemal automatycznie, a kotłujące się we mnie poruszenie staje się wręcz namacalne.

Ciche chrząknięcie wydobywające się z mojego gardła zostaje połowicznie stłumione przez usta, które nagle spoczywają na moich. Opieram dłoń na linii szczęki Gabriela, balansując nieostrożnie na jego udach, gdy sam nie przestaje wypełniać mnie długością swoich palców. Przez każdy mój nerw przedziera się prawdziwy huragan ulgi. Nie próbuję go w sobie ugasić, pozwalając na to, by wciąż pochłaniał mnie doszczętnie. I podążam tym tropem tak długo, dopóki Gabriel nie sprawia w końcu, że osiągam szczyt.

Będąc już w siedzibie UnderScore, targam za sobą walizkę. Zaczęsuje kosmyk włosów za ucho i wchodzę do gabinetu Caleba, od razu wyłapując jego spojrzenie. Mężczyzna unosi brew, ale nie ma w tym geście nic oczywistego.

Kiedy myślę, że za moment zgarnę od menadżera burę za spóźnienie, ten mówi:

– Siadaj, i tak czekamy jeszcze, aż zameldują się wszyscy nasi uczestnicy.

– To znaczy? – pytam, posłusznie zajmując miejsce przy podłużnym stole.

Walizkę stawiam obok krzesła, po czym przeczesuję dłonią włosy od czubka głowy. Ani na moment nie spuszczam wzroku z twarzy Caleba, który najpierw bierze wdech, a później przesuwa kciukiem wzdłuż grzbietu nosa w geście zrezygnowania. Od razu stwierdzam, że zapewne dzisiaj niewiele spał. Prezentuje się bowiem... marnie.

– To znaczy, że hokeiści mają problem z zakodowaniem prostego komunikatu brzmiącego tak, że dopuszczamy tylko dwudziestominutowe spóźnienia. Ty się chociaż zmieściłaś w czasie... – wzdycha Wright, a następnie, opierając plecy o oparcie krzesła, sznuruje usta w wąską kreskę.

– Lot trwa jedynie dwie godziny. Zdążymy wszystko obejść.

W chwili, w której dokańczam swoją wypowiedź, do gabinetu wchodzi dwójka roślących mężczyzn. Rozpoznając w nich Rhysa oraz Ace'a, gryzę się w język, byle tylko zdusić w sobie męczeńskie westchnienie. Obaj mają ze sobą własne bagaże, a mnie momentalnie nawiedza myśl, że ten krótki wyjazd da mi jeszcze w kość.

Przecieram dłonią strudzoną twarz, podczas gdy Dawson oznajmia:

– Możemy już schodzić. Wszyscy pakują się do taksówek.

– Chyba cudem wylecimy z Vegas o planowanej godzinie – mruczy Caleb, gdy ruszamy wszyscy w stronę windy. – Dzisiaj wieczorem będziesz mogła zapoznać się z taflą. Po ósmej możemy wejść na chwilę na teren lodowiska w Denver – zwraca się do mnie mężczyzna, na co skinieniem głowy potwierdzam, że wszystko rozumiem.

– Do tego czasu... nie bądźcie źli, ale nie będę raczej wyściubiać nosa z pokoju – mówię, gdy wchodzimy do niewielkiej kłitki. Rhys wciska właściwy przycisk na panelu, kiedy dodają po paru sekundach: – Wolałabym oswoić się z myślą, że jutro odbędzie się moja próba siły.

Nie tracę czasu. Od razu uzmysławiam całej trójce facetów, że nie potrzebuję, by serwowali mi pokrzepiające monologi. Oplatając ramiona dłońmi, spoglądam po twarzach mężczyzn, którzy nie wyglądają jednak, jakby chcieli się w jakikolwiek sposób zbuntować. Windą szarpie lekko, a już moment później jej drzwi rozsuwają się na całą szerokość. Od razu kierujemy się w stronę wyjścia z siedziby UnderScore.

– Okej, nie będziemy się napatoczać – decyduje Rhys. – Ale nawierzchnię musisz sprawdzić. – Posyła mi sugestywne łypnięcie, ale szybko ucieka wzrokiem do całej chmary sportowców

wsiadających do taksówek. Już po chwili i my znajdujemy się przed wejściem do budynku, a zimny wiatr rozbijający się na mojej skórze powoduje na niej ciarki.

Rozglądam się wokoło. Nad Vegas zawisła dzisiaj mgła.

– Bądź pewien, że tak postąpię – rzucam w stronę trenera, który posyła mi delikatny uśmiech, po czym zaczyna pakować nasze walizki do bagażnika. Sama wsiadam do samochodu, zajmując miejsce z przodu. Tym samym przez całą drogę na lotnisko nie muszę martwić się, że Crawford siedzi bliżej, niż bym chciała.

W Denver lądujemy po niecałych dwóch godzinach. Kolejną spędzam na uśpieniu czujności ekipy, nie opuszczając swojego hotelowego pokoju. Dopiero gdy upewniam się, że nikt nie ma prawa mnie przyłapać, ruszam na podbój miasta. A właściwie przy pomocy nawigacji docieram do miejsca, w którym umówiłam się z Gabrielem. Dostrzegam go opartego o ceglany budynek trzy alejki od hotelu, w którym spędzę najbliższe dwa dni.

– Nawet lot cię nie zmęczył? – Mężczyzna kręci głową z pobłażaniem.

– Cały przespałam i wyszło mi to na dobre. Przynajmniej nie wyglądam tak marnie jak ty. – Wzruszywszy ramionami, ruszam przed siebie, w głąb wąskiej uliczki, która według nawigacji powinna doprowadzić nas na obrzeża miasta. Poruszanie się po centrum nie byłoby raczej bezpieczne. Ktoś mógłby nas tam w końcu przyłapać.

Gabriel wzdycha ciężko, po czym odpowiada:

– Wysłuchiwałem przez zbyt długi czas wywodów na temat umiejętności, które prezentujesz na lodzie. Więc teraz... po prostu znajdziemy jakąś kawiarnię. Kawa musi postawić mnie na nogi – dokańcza z jawnym przekąsem, wkładając dłonie do kieszeni skórzanej kurtki. Uśmiecham się szeroko.

Rodzice Gabriela chyba naprawdę mnie polubili.

Zakładam ręce pod biustem, mozolnym krokiem maszerując przed siebie. Przesuwam wzrokiem po starych, kolorowych kamienicach, które mijamy z Gabrielem. Rozglądając się wokoło, nie dostrzegam zbyt wielu ludzi, co sprawia, że jest mi odrobinę lżej na sercu. W gruncie rzeczy burzowe chmury, które wiszą nad miastem,

z pewnością są powodem, dla którego zarówno mieszkańcy, jak i turyści wolą nie szwendać się aktualnie po Denver.

– Kolorado to chyba twój szczęśliwy stan, co? – zagaja nagle mężczyzna. – Kiedyś też coś tutaj wygrałaś. – Od razu przychodzą mi na myśl konkursy w łyżwiarstwie figurowym, w których startowałam jako seniorka. Wtedy moim trenerem był jeszcze Paul Powell. Mój uśmiech na to wspomnienie szybko staje się jeszcze szerszy.

– Kiedyś była to sprawa nieco mniejszej rangi – rzucam pod nosem. – Co nie zmienia faktu, że prawdopodobnie... Kolorado rzeczywiście może przynosić mi farta. Możemy wejść na chwilę i kupić coś do picia – proponuję, ujrawszy przed sobą sztyld kawiarni.

Wychodzimy z niej z dwoma papierowymi kubkami. Spoglądam na wyświetlacz swojego telefonu. Dostrzegam na nim godzinę szóstą i krzywię się nieznacznie. Widok nieba, które zdążyło jeszcze bardziej zszarzeć, jedynie bardziej mnie dołuje, przypominając o tym, że niedługo nadejdzie wieczór, a wraz z nim moja wizyta na lodowisku, na którym jutro odbędzie się rywalizacja między łyżwiarkami figurowymi. Upijam łyk herbaty, po czym siadam na jednej z ławek, na której uprzednio zajął miejsce też Gabriel.

– To ostatnia prosta, Mercy – głos mężczyzny wytrąca mnie z chwilowego zamyślenia.

– Wiem o tym. – Wzruszam ramionami. – Jutro będzie już po wszystkim.

Gabriel kładzie wyprostowaną rękę na oparciu drewnianej ławki. Zaczyna miętolić między palcami ciemne kosmyki moich włosów. Zaciągam się rześkim powietrzem, po czym przechylam nieznacznie głowę, by dojrzeć na twarzy Gabriela spokój w naprawdę klarownej postaci. Jego widok sprawia, że i ja czuję jedynie opanowanie.

– A pojutrze będziemy już w Barcelonie – dodaje z delikatnym uśmiechem.

Zakładam nogę na nogę, a mój kącik ust lekko się unosi. Odkąd kilkanaście dni temu podjęliśmy decyzję, że wyruszymy wraz z Jacqueline do Europy na półtora tygodnia, by promować błyskotki, naprawdę nie mogłam doczekać się dnia, w którym zakończę swoją

przygodę z zimowymi igrzyskami olimpijskimi i następnego dnia wyruszę prosto z Las Vegas do słonecznej Hiszpanii. Ta wizja napawała mnie czystym entuzjazmem.

– Jak mam nie traktować tego jak urlopu, co? – wzdycham z pełną świadomością, że ten wyjazd służbowy, jak zwykł nazywać go Caleb, to dla mnie nic innego jak szansa na odetchnięcie pełną piersią. Jacqueline zapewniła nas podczas przedstawiania nam warunków, że będziemy mieli bardzo elastyczny grafik, ale mój menadżer wolał powtarzać mi na każdym kroku, że czeka mnie tam niezła harówka.

– Sądzę, że realia tego wyjazdu szybko skonfrontują cię z myślą, że ten cały Wright wyolbrzymił sprawę. – Palce Gabriela nagle przesuwają się wzdłuż mojego przedramienia. Przejeżdżam językiem po dolnej wardze, przyznając w duchu rację mężczyźnie.

Pojutrze w końcu odsapniemy.

Do hotelu udaje mi się dotrzeć parę minut po siódmej. Kwadrans później wizytę składa mi cały zespół. Ani Rhys, ani Caleb nie wydają się skorzy do wysnucia wniosku, że ostatnie godziny spędziłam, szwendając się po mieście z facetem, który na dobrą sprawę powinien znajdować się teraz w Las Vegas. W kierunku Crawforda nawet nie spoglądam. I, cóż...

Nie robię tego nawet wtedy, gdy całą czwórką jesteśmy w drodze na lodowisko, a nawet kiedy docieramy na miejsce. Wejście na teren budynku okazuje się naprawdę dobrze strzeżone, ale finalnie jesteśmy w stanie rozejrzeć się po jego wnętrzu bez zbędnych problemów.

– Możesz wypróbować taflę – odzywa się Rhys.

– A co z muzyką? – pytam, zakładając parę czarnych łyżew na nogi.

W tej samej chwili po sali rozbrzmiewa znajomy utwór. Mrowienie na plecach momentalnie daje o sobie znać, gdy wsłuchuję się w pierwsze wersy wybranej przez siebie piosenki. Wypuszczam ze świstem powietrze, po czym podnoszę się do pionu. Wchodząc na taflę, koncentruję się wyłącznie na nieodpartym wrażeniu, że jutrzejszy dzień będzie cholernie zaskakujący.

## ROZDZIAŁ 20

Mój humor, gdy docieram do hotelowego pokoju, jest naprawdę kiepski. Pociesza mnie jedynie myśl, że za parę godzin znajdę się już w samolocie, którym dotrę do domu. Wchodzę do sypialni i mimo tego, że czuję się przytłoczona jak diabli dzisiejszym dniem, zaczynam się pakować. Nie robię tego starannie, zwyczajnie wrzucam kolejne ubrania do białej walizki. Dopiero wołanie Rhysa wytrąca mnie z chwilowego letargu. Odwróciwszy głowę, dostrzegam go w progu pomieszczenia.

– Zostawiłaś kartę do pokoju w drzwiach – mruczy pod nosem mężczyzna. – Wciąż myślisz o tym, kto majstrował przy twoim sprzęcie?

Przecieram dłonią zmęczoną twarz, po czym puszczam mimo uszu słowa mężczyzny i wypalam oskarżycielsko:

– To Ace stoi za próbą sabotowania mojego występu. Bo kto inny?

Mężczyzna ściąga brwi. Przez chwilę uważnie taksuje mnie wzrokiem, nie będąc przy tym jednak natarczywym. W drodze powrotnej do pokoju próbowałam to wszystko jakoś sobie poukładać w głowie. I przez cały czas jej trwania w moim umyśle krystalizował się jeden wniosek: za tą farsą musiał stać Crawford. Caleb i Rhys byli dla mnie jak bracia. Mieliśmy wspólny cel, więc dlaczego mieliby działać przeciwko mnie?

– Mercy, on też dokładał wszelkich starań, żebyś...

– Nie – przerywam mu ostro. – Sęk w tym, że on nigdy się nie starał. – Mocniej wciskam podeszwy butów w posadzkę, splatając palce za karkiem. Szybko udaje mi się opanować i zmusić do racjonalnego myślenia i przywołania na twarz pokerowej miny. Aż w końcu siadam na łóżku, sznurując usta w cholernie wąską kreskę.

– Nie próbuj łudzić się, że uwierzę w to, że stoi za tym ktoś inny – dodaję zimno. – Boże, przynajmniej miałam drugie łyżwy...

– Dobrze. – Rhys siada obok mnie. – Wiedz, że jesteś moją chlubą, skarbie. Wszyscy jesteśmy pełni podziwu dla sukcesu, który wywalczyłaś i jutro postaramy się przeanalizować te wydarzenia w siedzibie agencji, dobrze? Jeśli to sprawka kogoś od nas, zostanie on pociągnięty do odpowiedzialności, okej? – Głos męczyzny staje się zaskakująco kojący. – Odpręż się. Za trzy godziny pojedziemy taksówką na lotnisko, a później czekają cię wakacje.

Niecałą minutę później zostaję w pokoju sama. A przynajmniej tak myślę do czasu, gdy zza ściany wyłania się znajoma sylwetka. Gabriel stoi oparty o ceglany mur, a jego wzrok jest sugestywny do bólu. W jego dłoni dostrzegam kartę magnetyczną do pokoju, którą zostawiłam w drzwiach. Musiał przyjść tutaj jeszcze wtedy, gdy rozmawiałam z Rhysem. Opadam z cichym łoskotem na materac, wczepiając palce w pierzynę.

– Ale zanim pojedziemy na wakacje, powiesz mi, dlaczego zaraz wybuchniesz, skoro chyba wszystko poszło po twojej myśli. – Głos Gabriela jest zachrypnięty, przyprawia mnie o znajome, dziwne napięcie w każdym pieprzonym nerwie. Odwracam głowę, by zauważyć, że męczyzna siada obok mnie i patrzy cholernie przenikliwym wzrokiem. W jego oczach majaczy jedynie najprawdziwsza troska.

Nie buntuję się przeciwko niej. Zdradzam Gabrielowi ostatnie rewelacje. I kiedy stwierdza, że na moim miejscu miałby podobne stanowisko co do winy faceta, który ciągle jedynie łął, jest mi łatwiej przetrwać myśl, że jutro czeka mnie z nim konfrontacja w Las Vegas. Może działałam pochopnie, może wciąż żywię jakąś urazę, a może...

Może zwyczajnie od dnia, w którym wrócił, czuję, że jego intencje są niejasne.

Będąc już późną nocą w posiadłości, pozwalam, by Gabriel przeszedł przez jej próg pierwszy i zapalił światła w korytarzu. Spinam włosy w koka i ruszam wolnym krokiem przed siebie, czując jedynie nieodpartą chęć na wzięcie szybkiego prysznicu i zatopienie się w pościeli. Walizki, które męczyzna zostawia w sypialni, omiatam

jedynie wzrokiem, nie zaprzestając marszu do łazienki, gdzie rozbieram się i od razu idę się myć.

To nie ja sprawiam, że w pomieszczeniu rozbrzmiewa nagle szum wody. Kurek przekręca Gabriel, którego nagie ciało zderza się delikatnie z moim. Ani na chwilę nie przestaję czuć uważnego spojrzenia na swojej bladej twarzy. Mężczyzna z kamienną miną bierze moją brodę w wytatuowaną dłoń, gładząc kciukiem linię szczęki. Opieram skroń o ścianę kabiny, czując jedynie spokój idący wraz ze świadomością, że jestem już w swoim azylu.

– Dzisiaj nie katuj się już gdybaniem. Zwyczajnie odpręż się, bo musisz dojść do siebie po tej całej feralnej farsie, dobrze? Po południu, w UnderScore, możesz rozkładać ją na czynniki pierwsze, ile chcesz – wzdycha Gabriel, a ja, słysząc jego głos, od razu odzyskuję rezon. Troska, którą tak mnie otacza, uderza we mnie jak grom.

– I jak mam teraz jechać do Europy z myślą, że zostawiłam w Vegas nierozwiązaną sprawę? – mówię dostatecznie głośno, a mój policzek zderza się z męskim ramieniem, gdy Gabriel przyciąga mnie do siebie za pomocą zsuniętych na moje biodra dłoni. – On się wszystkiego wyprze. Agencja nie pozostawiłaby na nim suchej nitki, gdyby okazało się, że to on stoi za tą akcją – dokańczam niepoczyszona.

Powietrze, którym oddycham, wydaje się do przesady parne, ale to moment, w którym zadzieram nieznacznie nos i patrzę Gabrielowi w oczy, sprawia, że oddech na chwilę więźnie mi w płucach. W grafitowych oczach dostrzegam tylko determinację.

– Jestem przekonany, że zarząd weźmie pod uwagę podejrzenia swojego pupilka – stwierdza prześmiewczo, zapewne mając na celu rozluźnienie wciąż napiętej atmosfery. Mój kącik ust unosi się zauważalnie, gdy dźgam Gabriela paznokciem w pierś. Nie protestuję jednak. Czuję bowiem, że jego słowa okażą się trafne.

Postaram się, by Crawford wyleciał.

– A jeśli twoje przekonanie jednak mija się z prawdą? – Unoszę zaczepnie brew, odsuwając się nieco od mężczyzny tylko po to, by przesunąć wzrokiem po jego twarzy, szyi i torsie. Woda spływa

wzdłuż każdej krzywizny jego ciała. Śledzę jej bieg z zapartym tchem.

W końcu Gabriel nachyla się nieco, tak że jego oddech rozbija się na moich ustach.

– W takim wypadku sam podyktuję finał tej szopki. Namówię Crawforda, by pojawił się w siedzibie UnderScore z podkulonym ogonem, ale uprzedzam, że metoda, na którą się porwę, nie będzie wcale tak łagodna jak siła perswazji zarządu czy twoje słowne argumenty.

Gabriel odgarnia moje włosy na plecy. Czując delikatne mrowienie wzdłuż kręgosłupa, biorę głęboki wdech. Mężczyzna nie ucieka spojrzeniem od mojej twarzy. Wręcz przeciwnie, obserwuje mnie naprawdę uważnie. Z jego długich rzęs spływają pojedyncze krople wody, a grafitowe oczy iskrzą pełne mroku.

– Jesteś tak paskudnie mściwy. – Cień uśmiechu pojawia się na mojej twarzy.

– Więc mamy ze sobą coś wspólnego, prawda?

Kręcę głowę z pobłażaniem, przymykając na chwilę ociężałe powieki. Jedyнным bodźcem dochodzącym do mnie z zewnątrz jest oddech owiewający przestrzeń za moim uchem, gdy Gabriel przywiera do mnie mocniej. Nawet szum wody nie zagłusza chrapliwego śmiechu, który przed sekundą rozbrzmiał w szklanej kabinie prysznicowej. Odtwarzam go w głowie tak, jakby był ostatnim, co mogłyby zarejestrować moje zmysły. W końcu otwieram oczy, złąkniona pewnością, że mój mężczyzna wciąż stoi przede mną zdecydowany, nagi i uparty jak cholera.

– Chciałbym wymazać go z twojej pamięci. – Cichy szept sprawia, że sztywnieję w zaledwie ułamku pieprzonej sekundy. Zanim zdążę jednak odetchnąć głęboko, zachrypnięty baryton ponownie wdziera się do mojej głowy, przedostając się przez milion zbędnych myśli: – Chciałbym to zrobić, żebyś nie musiała już bać się tego, co kiedyś cię zwiodło, a później zrujnowało. – Wytatuowany palec przesuwa się wzdłuż mojego policzka. Dotyk chropowatej skóry powoduje, że ogarnia mnie trans, stan, którego nie jestem w stanie ubrać w słowa. Staram się przełknąć gulę, która nagle wyrasta mi w gardle. Serce ściska mi się boleśnie, bo dociera do mnie, że on wciąż pragnie

doprowadzić to do końca. Pragnie wykrzesać ze mnie wszystko. Absolutnie *wszystko*.

– To nieistotne – wykrztuszam z siebie po chwili. – Boże, to naprawdę nieważne.

Przenoszę drżące dłonie na jego pokryte zarostem policzki, gdy pyta krótko:

– Dlaczego?

Jego grdyka porusza się niespokojnie, natomiast klatka piersiowa zamiera na chwilę. Przez moment obserwuję, jak jego oczy gasną, stają się jeszcze bardziej zszarzałe, a majacząca w nich determinacja wręcz nieposkromiona. *Chce walczyć*, myślę. Chce to robić, mimo że w jego mniemaniu wciąż jestem niepewnym gruntem. Jestem kimś, kto nie gwarantuje mu stabilnego uczucia.

Ale co... Co, jeśli tym razem się myli?

– Bo nie chcę cię kochać tak, jak kochałam *jego* – mówię szeptem.  
– To, co staram się poczuć... Wiedz, że to jest i będzie coś, co należy tylko do ciebie. Do ciebie i do nikogo innego – wyjaśniam absolutnie szczerze, spijając z jego twarzy zdumienie.

Woda spływa strugami z moich włosów. Mimo tego, że jest letnia, czuję jedynie, jak parzy mi skórę. Tłumię w sobie myśl, że tak naprawdę ten uderzający mnie zewsząd gorąc to skutek słów, które wypowiedziałam i świadomość konsekwencji, które za sobą niosą. Stanowią zwiastun tego, do czego przyznam się szybciej, niż Gabriel się spodziewa.

W południe nawet nie rozpakowuję walizki, którą późnym wieczorem zabiorę ze sobą do Europy. Byłoby to zwyczajnie nieopłacalne, zważywszy na fakt, że dzisiaj w nocy czeka mnie lot do słonecznej Barcelony będącej pierwszym przystankiem, w którym rozpoczniemy kampanię reklamową. Poprawiam ramiączko stanika, uważając, by nie zaplątać się w pościeli bezwiednie leżącej na posadzce. Nie muszę odwracać głowy, by upewnić się, że Gabriel wciąż wpatruje się we mnie wzrokiem przenikliwym jak diabli. Stojąc odwrócona do niego plecami, czuję to w każdym calu odkrytego ciała. Podchodząc do etażerki, otwieram znajdującą się na niej szkatułkę. Uśmiecham się na myśl, że to pamiątka po mamie.

Wyciągam z niej parę srebrnych kolczyków i od razu je zakładam.

– To ponizające, że wszyscy podczas twojego występu w Denver tak beznadziejnie stwierdzili, że jesteś zniewalająca. – Zachrypnięty głos Gabriela przyprawia mnie niespodziewanie o skurcz w podbrzuszu.

Unoszę nieśpiesznie wzrok. W momencie, w którym wychodzi on naprzeciw spojrzeniu mężczyzny, uśmiecham się jeszcze szerzej. Półnagi Gabriel powoli zwleka się z łóżka po to, żeby w kilku krokach znaleźć się obok mnie.

– Dlaczego niby ponizające? – pytam spokojnie, unosząc zaczepnie brew.

– Bo powinni nazywać cię doskonałą. – Chwila oczekiwania na jego następne słowa sprawia, że każdy mój mięsień napina się samoistnie. Aż w końcu dwie duże dłonie subtelnie obracają mnie tak, że mogę swobodnie spojrzeć na własne odbicie w lustrze... oraz na silne, wytatuowane ręce oplatające mnie ciasno. – Doskonałą z każdą twoją wstrętną skazą...

Przez chwilę po prostu trwamy tak w milczeniu. Bijące od twardego torsu ciepło nie przestaje wprawiać mojego serca w niespokojne bicie. Ze zdławionym w płucach oddechem patrzę przed siebie, odnajdując ciągle jeden i ten sam widok – jego zimnych oczu.

– To chyba wciąż brzmi cholernie irracjonalnie, ale najwyraźniej jesteście kwita – stwierdzam po chwili namysłu. – Ty jesteś mistrzem, a ja jestem mistrzynią. Co z tym fantem? – Odwracam głowę, a nasze nosy stykają się ze sobą, gdy jestem w połowie drogi do jego ust.

– Pytasz, czy dam ci fory za parę miesięcy podczas kolejnej gali? – Gabriel ściąga brwi z nieukrywanym politowaniem, uśmiechając się kpiąco. Po chwili jego głos zamienia się w naprawdę cichy szept, gdy dodaje ze spokojem: – Nie łudź się, skarbie.

– Pytam o to, czy naprawdę potrzebujemy kolejnych znaków, żeby zrozumieć, jak wiele nas... – Milknę, słysząc rozbrzmiewający po sypialni dźwięk telefonu. Wzdycham ciężko, wyswobadzając się z uścisku mężczyzny. – To pewnie Caleb.

Gabriel oblizuje dolną wargę, pytając:

– Poradzisz sobie z nimi? – W jego głosie słyszę zacięcie.

– Muszę doprowadzić do tego, by ten fagas wyleciał – burczę pod nosem, czując w drodze do komody, na której leży telefon, że Gabriel odprowadza mnie wzrokiem. – Poradzę sobie, choćbym miała uciec się do najgorszych szantaży. Błagam, to przecież musiał być on...

Mężczyzna skinieniem głowy potwierdza, że sądzi tak samo. Chwytam za komórkę, uprzednio upewniając się, że numer, który wyświetla się na jej ekranie, należy do mojego menadżera. Westchnąwszy przeciągle, odbieram połączenie, mówiąc:

– Słucham?

– Wpadniesz do siedziby? – W głosie mężczyzny wyłapuję nerwowość.

Opieram plecy o krawędź komody. Już w momencie, w którym wczoraj wtargnęłam do hotelu, spodziewałam się tego, że atmosfera w naszym zespole zgęstnieje. A teraz zachowanie Caleba jedynie utwierdza mnie w tym przekonaniu. Czeka nas dzisiaj długa przeprawa przez temat dotyczący wczorajszych zdarzeń. Odetchnąwszy ciężko, odpowiadam:

– Wpadnę. Za godzinę, pasuje wam? Później muszę spotkać się z Jacqueline.

– Tak, pamiętam o tym, że masz zaplanowane spotkanie w sprawie wyjazdu – odpowiada Wright, na co instynktownie spoglądam w stronę zegara wiszącego na ścianie. *Zaraz pierwsza, orientuję się. Umówiliśmy się na czwartą, więc mam jeszcze trochę czasu.* – W porządku. Będzie w porządku, jeśli wpadniesz za godzinę.

– Będą wszyscy? – pytam ze spokojem.

Gabriel ani na moment nie spuszcza ze mnie wzroku. Jego włosy pozostają zmierzwiłone, zaś dłonie swobodnie oparte na wąskich biodrach. Z nieprzeniknionej miną spoglądam na jego wytatuowane przedramiona, a później bicepsy. W końcu napotykam ślepiec tatuażu kruka. Mimowolnie przez moje ciało przedziera się nieokiełznany prąd. Odzyskuję rezon dopiero, gdy słyszę w słuchawce formalny głos Caleba:

– Naturalnie. Przedyskutujemy wczorajsze – mężczyzna chrząka – wydarzenia.

– Uwiniemy się z tym szybko. – Wzruszam ramionami. – Mam swój typ.

Wydymam dolną wargę, spoglądając w martwy punkt przed sobą. Jasne zasłony lawirują w powietrzu targane przez wiatr wpadający do sypialni przez uchylone okno. Pogoda w Las Vegas pozostawia dzisiaj wiele do życzenia. Jest wietrznie i zanoszą się ulewę.

– Mercy, to za mało, by mieszać kogoś z błotem – wzdycha mój rozmówca.

– Klucze do garderoby miała tylko nasza czwórka, Cal. Zresztą rzeczywiście, zostawmy to na zebranie w UnderScore – decyduję w końcu, przesuwając dłonią wzdłuż pulsującej skroni. – Najważniejsze jest, by pociągnąć winowajcę za język, zanim znajdę się w Barcelonie. Nie uśmiecha mi się załatwiać to, gdy będę wygrzewać tyłek na plaży.

Świadomość, że następne półtora tygodnia spędzę w Europie napawa mnie naprawdę ogromnym optymizmem. Po całej tej farsie związanej z zimowymi igrzyskami i tajemniczym nożownikiem z Inferno potrzebuję wytchnienia naprawdę priorytetowo.

– Chyba raczej harować, skarbie. To nie wakacje.

– Ta, zakodowałam. – Zagryzam wewnątrz policzka. – Na razie, widzimy się za godzinę.

Usłyszawszy słowa pożegnania, kończę połączenie. Odkładam na komodę telefon, po czym zgarniam sprzed nosa kosmyki włosów, dając je za plecy. Gabriel jedynie unosi sugestywnie brew. Podchodzi do fotela, z którego zgarnia czarny sweter. Kiedy go zakłada, materiał idealnie opina jego wydziarane ręce.

– Jedziesz do Inferno? – pytam po chwili namysłu.

Przytakuje nieznacznie, a już po chwili stoi przede mną w pełni ubrany. Uciekam wzrokiem do jego walizki, której rączkę chwycił w dłoń. Założywszy ramiona pod biustem, krzyżuję z nim spojrzenie, kiedy odpowiada ze spokojem:

– Tak. Muszę dogadać z Maysonem parę spraw. Spotkamy się u Jacqueline.

Z tymi słowami mężczyzna całuje mnie w czoło, po czym rusza w stronę wyjścia z posiadłości, przed którą powinna czekać na niego taksówka. Ostatni raz przesuwam spojrzeniem po jego plecach,

a jedynym dźwiękiem przedzierającym się przez ciszę w rezydencji jest dźwięk jego ciężkich kroków i kółek od walizki ścierających się z posadzką.

Nie marnując czasu, przechodzę do garderoby. Zgarnąwszy z wieszaka losową sukienkę, wkładam ją od razu na siebie. Dobieram do tego czarne podkolanówki i tego samego koloru buty na obcasie. Wsiadając pół godziny później do sportowego mercedesa, myślę tylko o tym, że dosłownie za chwilę czeka mnie konfrontacja z całym zespołem w budynku agencji. Konfrontacja z zespołem, w którego skład wchodzi ktoś, kto wcale nie życzy mi dobrze.

Ulice Vegas po południu nie są wcale puste, jednak do siedziby UnderScore udaje mi się dotrzeć w nie więcej niż dwadzieścia minut. Wysiadam z windy na siedemnastym piętrze budynku, po czym kieruję się w stronę gabinetu Caleba. W czasie marszu do pomieszczenia nie mijam nikogo, co uznaję za dobry znak. Nie kwapiłabym się bowiem do odwzajemniania uśmiechów i odpowiadania na gratulacje związane z wczorajszym występem.

Kiedy docieram do celu, od razu dostrzegam siedzącego przy biurku mężczyznę.

– Reszta podejrzanych się zmyła? – pytam cierpko, unosząc niespiesznie brew.

Caleb, który ucieka wzrokiem od dokumentów, spogląda na mnie z wymalowanym na twarzy zmęczeniem. Domyślam się, że również sporo głowił się nad wczorajszą sytuacją. Wyglądam materiał zwiewnej sukienki i siadam na fotelu naprzeciwko mężczyzny.

– Rhys zaraz przyjdzie – informuje mnie. – Wszystko gra?

– Jak najbardziej. – Zakładam nogę na nogę, opierając przedramiona na podłokietnikach mebla. – Zdobyłam złoto, moje nazwisko nie schodzi z języków ludzi na całym świecie, a dzisiaj czeka mnie wyjazd do słonecznej Barcelony. Na co niby miałabym narzekać, hm? – Menadżer nie odzywa się, przeczuwając, że mój entuzjazm to czyste pozory. – Och, chyba jedynie na to, że ktoś próbuje sabotować moją karierę... – Mój kącik ust unosi się pomału, by przerodzić się w ironiczny uśmiech. – Nie strzelisz focha, jeśli

będę nazywać rzeczy po imieniu, tak? Bo to był w końcu sabotaż, o który pokusił się nie kto inny jak...

– Mercy, dosyć – przerywa mi Caleb, podnosząc się do pionu.

Jego wyprostowane ręce spoczywają na powierzchni biurka, ale wzrok nie staje się surowy. Przez chwilę po prostu wpatrujemy się w siebie bez zbędnych słów. W końcu mężczyzna pociera dłonią swoją skroń, wyraźnie niepocieszony podobnym obrotem sytuacji.

– Gdzie on właściwie jest? – Ściągam brwi.

Wright, westchnąwszy ciężko, odpowiada mi od razu:

– Kwadrans temu dotarło do mnie jego wypowiedzenie.

Oddech więźnie mi w płucach. Tym razem i ja wstaję na równe nogi, a stukot obcasów przerywa ciszę zalewającą gabinet, gdy rozpoczynam spacer po pomieszczeniu. *To chyba jakiś dowcip, myślę.* Założywszy dłonie na biodrach, parskam:

– Nonsens. Pieprzony nonsens...

Mimowolnie zaciskam szczękę, przesuwając rozgorączkowanym wzrokiem po rzędach teczek ustawionych na półkach regału. Mięśnie w moim ciele napinają się zupełnie samoistnie i nie istnieje sposób, bym mogła zapanować nad falą pobudzenia przedzierającego się przez mój każdy cholerny nerw. Wypuszczam ze świstem powietrze. Nie czuję nawet krztyny satysfakcji, choć wszystko wskazuje na to, że moja intuicja mnie nie zawiodła.

– Nie chcę słyszeć, że uznasz to za zbieg okoliczności, Caleb – stwierdzam twardo. – Crawford się dograł i nawet chowanie się po kątach nie sprawi, że odpuszczę mu to, co próbował zrobić. – Zadzieram brodę, patrząc menadżerowi w oczy.

Mężczyzna przesuwa kciukiem wzdłuż grzbietu nosa.

– Wciąż nie mamy namacalnych dowodów.

– Więc zamiast niego to ja mam schować głowę w piasek? – Wybucham nieszczerym śmiechem. *Boże, to takie nie w moim stylu,* kpię w duchu. Obserwuję z beznamiętą miną twarz swojego rozmówcy. Zupełnie tak, jakby stanowiła dla niego niewerbalną przestrożę. – Chcesz odpuścić. – Moje ramiona opadają, gdy stwierdzam fakt.

– Mercy, dzisiaj nic nie wskóramy... W nocy wylatujesz. Jeśli masz jakąś taktykę, która nie wymaga angażowania w nią zarządu,

musimy odwlec ją w czasie. Przynajmniej na półtora tygodnia, które spędzisz w Europie, z daleka od Vegas – wyjaśnia Caleb.

Sznuruję usta w wąską kreskę, podczas gdy mężczyzna robi kilka długich kroków w moim kierunku. Kładzie dłonie na moich barkach, a oczami składa mi niemą obietnicę. Obietnicę, która mówi jasno, że Crawfordowi wcale się nie upiecze.

Wziąwszy głęboki wdech, odbiegam nieco od tematu:

– Dobre wieści udobruchały zarząd?

– Wiedziałybyś, gdybyś im odpisała. – Caleb posyła mi delikatny uśmiech.

Tak naprawdę od chwili, w której dotarłam wczoraj do hotelu, nie zagłębiłam się w żaden artykuł na temat własnej wygranej. Odcięłam się od wszystkiego z pełną świadomością, że powinnam najpierw to wszystko przetrawić, a dopiero później przeanalizować absolutnie na chłodno.

– Ale tak, ucieszyli się, że ich pupilek nie zaliczył regresu – dokańcza Wright.

– A kto się do tego przyczynił?

Odwracam głowę, słysząc znajomy tembr głosu. Od razu widzę stojącego w progu gabinetu Rhysa. Ubrany w zwykły, biały sweter i czarne spodnie wygląda, jakby fakt, że nie spał dzisiaj zbyt długo, nie ruszył go nawet odrobinę. Uśmiecham się do niego, po czym zaczesuję kosmyk włosów za ucho i odpowiadam ze spokojem:

– Cały zespół. – Przechyliłam głowę, wydymając niewinnie dolną wargę.

– Cudotwórca – prycha pogardliwie Rhys. – Najbardziej cierpliwy człowiek w Vegas.

Mężczyzna podchodzi do mnie niespiesznym krokiem, by pstryknąć mnie zaczepnie palcem w nos. Fukam cicho, gdy po chwili podchodzi do Caleba, z którym wita się swobodnym uściskiem dłoni. W końcu wzdycha, łypiąc na mnie ostrzegawczo.

– Więc? – W jego głosie pobrzmiewa obawa.

– Więc... wyszło na to, że Crawford się zmył – odpowiadam po krótkim namyśle. – Złożył kwadrans temu wypowiedzenie, a my nie mamy czasu, by roztrząsać to wszystko dzisiaj, dlatego musimy odwlec tę piekielną konfrontację w czasie. Przynajmniej do dnia, gdy

nie wrócę z Europy – tłumaczę odrobinę niepokieszona, opierając ramię o chłodną ścianę.

Mój trener mruga powoli, przesuwając kciukiem wzdłuż linii szczęki.

– Chyba wcale nie był taki święty – wzdycha. – Musimy rozplątać mu język, ale tak jak mówisz, zrobimy to, gdy wrócisz. – Siada na podłokietniku fotela, splatając dłonie za karkiem. Krzyżując ze mną spojrzenie, dodaje: – I jak mam niby odzwyczaić się od katowania ulubionej żony na lodowisku, co? Półtora tygodnia brzmi jak wieczność.

Uśmiecham się chytrze, po czym pokazuję mu język.

– Mam gdzieś, jak się do tego zabierzesz. Możesz za to liczyć na gorące fotki z plaży.

– Mercy – wtrąca się Caleb, a ja marszczę nos na jego karcący ton.

Rhys w tym czasie puszcza mi oczko. Poprawiwszy rękawy swetra, odpowiada dziarsko:

– Może nie mów o tym na głos. Ten służbista mógłby w końcu pójść na jakiś układ z zazdrosnym Diabłem, a mi na rękę nie byłaby zabawa w jego worek treningowy. – Mężczyzna kręci głową z jawnym pobłażaniem. – Lecicie dzisiaj, tak?

– Mhm. W nocy, chyba koło jedenastej, ale szczegóły obgadamy z Jacqueline za... – Patrzę mimochodem na wyświetlacz telefonu, który wyciągam z kieszeni. – Za dwie godziny. Jeśli macie mi jeszcze coś do powiedzenia, musicie się streszczać. – Odbijam się od ściany i ruszam w stronę biurka, przy którym siedzi milczący Caleb.

Po chwili mężczyzna kiwa głową, zmieniając temat.

Po półtorej godziny opuszczam budynek UnderScore, by ponownie wsiąść do samochodu i ruszyć w stronę butików zlokalizowanego blisko centrum Vegas. Dotarcie do celu zajmuje mi nie więcej niż kwadrans, ale szybko się orientuję, omiatając czujnym wzrokiem strzeżony parking, że Gabriel również zdążył uwinąć się przed czasem.

Wysiadam ze sportowego mercedesa i udaję się w kierunku auta mężczyzny.

– I jak tam pogawędka z Maysonem? – pytam na wstępie, siadając na fotelu pasażera.

Gabriel, usłyszawszy trzask drzwi, odwraca głowę w moim kierunku. Chowa telefon do kieszeni skórzanej kurtki, po czym wzdycha z powagą wymalowaną na pokerowej twarzy:

– Może nie załamie się tak bardzo, jeśli zniknę na ledwie półtora tygodnia z Inferno. – Unosi kącik ust w aroganckim uśmiechu. – A tak zupełnie serio... życzył nam przyjemnego urlopu. I kazał znać umiar.

– Chociaż z niego nie jest taki urzędas jak z Caleba – stwierdzam. – Szybko wam poszło.

– Wam też, biorąc pod uwagę, że mieliście obgadać naprawdę poważną kwestię – zauważa Gabriel, spoglądając wpierw na zegar elektroniczny znajdujący się na desce rozdzielczej, a później ponownie na mnie. Wciskam tył głowy w zagłówek fotela, wzdychając.

– Uwierzysz, że Crawford się z tego wykręcił? – tłumaczę. – Odszedł z UnderScore. Podobno z Calebem i Rhysem mamy próbować ciągnąć go za język dopiero po powrocie z Barcelony, ale kto wie, czy do tego czasu wciąż będzie w ogóle w Vegas? – zastanawiam się z wyraźną niechęcią.

Liczyłam na to, że uda nam się doprowadzić tę farsę do końca dzisiaj. Wtedy mogłabym polecieć do Europy ze świadomością, że nie zostawiłam w Nevadzie tak ogromnego problemu. A tak zapewne będzie mi to zaprzętać głowę w momencie, w którym nie powinno. Siedzący na miejscu kierowcy mężczyzna ściąga brwi, zerkając na mnie mimochodem.

– Co za beznadziejne zagranie – stwierdza po chwili namysłu. – Czy ten sukinsyn podejmuje w ogóle jakieś logiczne decyzje? – Stuka rytmicznie palcami o drzwi samochodu. W grafitowych tęczówkach wyłapuję srogą iskrę.

– Prawda, że bezmyślny ruch? – Zaczesuję kosmyk włosów za ucho, odwracając głowę, by dostrzec wchodzącą do butiku Jacqueline. Wzrok Gabriela również nagle spoczywa na jej osobie. – Chyba powinniśmy już iść – oznajmiam, na co mój rozmówca kiwa głową.

Wysiadamy z lexusa i ruszamy w stronę budynku. Szare chmury, które zdążyły zawisnąć nad miastem, zwiastują niezlą ulewę. Biorę głęboki wdech, przechodząc przez próg butik, uprzednio posyłając Gabrielowi wdzięczne spojrzenie, gdy zwinnym ruchem otwiera mi drzwi. Sztuczne światło lamp atakuje mnie niemal od wejścia. Od razu dostrzegam na ścianie plakat, na którym widnieje jedno ze zdjęć zrobionych podczas naszej ostatniej sesji.

– W porę – uniesiony głos Jacqueline rozmywa się w powietrzu.

Unoszę wzrok, by spojrzeć jej w oczy. Szybko stwierdzam w duchu, że ta żywiołowa kobieta prezentuje się tak samo jak tamtego pamiętnego dnia na placu, gdy spędziliśmy godziny na nagrywaniu scen do kampanii reklamowej nowej marki biżuterii.

– Marsz na zaplecze, gwiazdeczki – świergocze, poganiając nas gestem ręki. Instynktownie patrzę na Gabriela, który wzrusza ramionami. – Po pierwsze, gratulacje, Mercy – mówi z entuzjazmem kobieta, gdy znajdujemy się już w opustoszałym pomieszczeniu z tyłu budynku. – Byłam pewna, że zmieciś konkurencję. Oglądałam twój występ z zapartym tchem i uwierz, wcale nie robiłam tego tylko dlatego, że wiedziałam, jak dobrze twoja wygrana wpłynie na nasz nadchodzący wyjazd promocyjny.

Zasiadam na sofie obitej skórą i posyłam Jacqueline uśmiech, który zostaje przez nią odwzajemniony. Gabriel usadawia się obok mnie, kiedy zakładam nogę na nogę, odpowiadając:

– Wierzę. – Kiwam głową, opierając przedramię na podłokietniku mebla. – I dziękuję.

– A teraz przejdźmy do jeszcze przyjemniejszych kwestii. – Kobieta sięga dłonią po teczkę znajdującą się na drewnianym stole. Przesunąwszy wzrokiem po dokumentach, dodaje po chwili: – Według planu wylatujemy dzisiaj z Vegas krótko przed jedenastą. Uwiniecie się?

Spogląda na nas spod kruczoczarnych rzęs, a jej brew pozostaje uniesiona. Patrzę w stronę Gabriela, który odwzajemnia spojrzenie. Nie mija nawet kilka sekund, a mężczyzna przytakuje ze zdecydowaniem i odpowiada spokojnie:

– Jasne. Zgarnę Mer po drodze.

– Och, nie zaprzataj sobie tym głowy. – Jacqueline uśmiecha się szeroko, uciekając spojrzeniem do pliku kartek, które zaczyna wertować. – Wyślę po was kierowców. Nie będziecie gramolić się na lotnisko własnymi samochodami, to marnowanie czasu. – Macha lekceważąco ręką.

Z moich ust nie wydostaje się żadne słowo protestu. Gabriel również nie wygląda, jakby przeszkadzał mu pomysł Jacqueline. Poprawia jedynie poły skórzanej kurtki, spoglądając od niechcienia na zegarek znajdujący się na jego nadgarstku. Ściągnąwszy nieznacznie brwi, pyta:

– O której planowo będziemy w Barcelonie?

Jacqueline zaczyna swój monolog. Uważnie wsłuchując się w jej słowa, przestaje zwracać uwagę na wszystko inne. Szybko dowiaduję się, że lot do Hiszpanii będzie cholernie długi. Kiedy niecałą godzinę później wraz z Gabrielem wychodzimy z butik, zaczynam czuć na własnej skórze smagnięcia porywistego wiatru zwiastującego nieślą wicher. Zabieram z samochodu czarną kurtkę i od razu narzucam ją na ramiona.

– To jak? Najpierw jakiś obiad, a potem wycieczka? – sugeruję nagle.

– Twoja interpretacja rady Jacqueline, która powiedziała „wypocznijcie przed podróżą”, chyba nieco odbiega od tego, o co faktycznie jej chodziło – mówi kpiąco Gabriel, opierając się o karoserię własnego samochodu. Zwracam uwagę na jego tatuaże tak szybko, jak mężczyzna krzyżuje ręce na klatce piersiowej. Wygląda teraz jak prawdziwy, cholerny celebryta.

– Czyli mam poszukać sobie innego kompana? – Wydymam niewinnie dolną wargę.

Gabriel nie potrzebuje ani słowa więcej, by zwyczajnie westchnąć ciężko i odblokować pilotem do tej pory zamknięte drzwi lexusa. Tym samym daje mi znak, że możemy jechać, ale zamiast wsiąść do samochodu, zakładam dłonie na biodrach, kręcąc głową w geście protestu.

– Przejdziemy się – decyduję, podchodząc do mężczyzny. Biorę go pod rękę, po czym idziemy w stronę alejki znajdującej się przed strzeżonym parkingiem. – Nowy lokal Eleanor nie znajduje się wcale

tak daleko. Gorzej, jeśli lunie, zanim tam dotrzemy. – Zadzieram nos, podczas gdy Gabriel bierze głęboki wdech.

– Wtedy zobaczymy, kto szybciej biega, pani Stone.

Wyraźnie drwi sobie ze mnie.

I zresztą przez cały wieczór spędzony w restauracji Eleanor nie szcędzimy sobie chamskich przytyków. Nie robimy tego nawet podczas spaceru po mieście.

Kiedy wracam do posiadłości, jest już ósma. Walizkę udaje mi się dopakować w zaledwie kwadrans, więc resztę czasu, który zostaje mi do przyjazdu kierowcy wysłanego pod rezydencję przez Jacqueline, postanawiam spędzić na czytaniu losowej książki w zachodnim skrzydle willi. Prostując nogi na leżaku, przewracam niespiesznie kartkę i wzdycham ciężko.

Myśl, że już jutro zacznę swój upragniony urlop, napawa mnie ogromnym entuzjazmem. Delikatny uśmiech wdziera się na moją twarz, gdy odchylam leniwie głowę do tyłu, wpatrując się bez żadnego celu w beznadziejnie drogi, ekologiczny żyrandol niedający zbyt wiele światła. *To może być naprawdę przyjemny wyjazd*, przechodzi mi prędko przez myśl. Spędzony w dobrym towarzystwie i zakładający połączenie wcale nie tak wymagającej pracy z odbębnieniem małego urlopu, który po zdobyciu złota chyba jednak mi się należał.

Zamykam powieki, wypuszczając ze świstem powietrze. W tej samej chwili przez ciszę zalewającą posiadłość przedziera się ledwie słyszalny szmer. Otworzywszy oczy, uciekam spojrzeniem do drzwi prowadzących na ogród. Za nimi dostrzegam jedynie ciemną kotarę nieba i gałęzie drzew targane wicherem. Aura bijąca od upiornej scenerii wydaje się wręcz namacalna.

Odkładam na bok książkę, czując, że włosy jeżą mi się na karku. Ze zdławionym w płucach oddechem zaciskam palce na krawędzi leżaka, gdy kolejny szmer rozbrzmiewa po opustoszałej posiadłości. Nie mam bladego pojęcia, co jest jego przyczyną. Wiem natomiast, że krew w moim krwiobiegu w szybkim tempie zamarza na pieprzoną kość.

Mrugam powoli, wpatrując się w ciemność spowijającą przestronne pomieszczenie. Strefa rekreacyjna położona jest w skrajnej części rezydencji, w zachodnim skrzydle, więc aby dostać się do jej centrum, musiałabym przejść przez cały budynek. Każdy mój mięsień napina się samoistnie, gdy do moich uszu dociera następny trzask.

W mgnieniu oka podnoszę się do pionu. Zachowując zimną krew, spoglądam na taflę wody w basenie, która porusza się niespokojnie. Otaczający mnie chłód zmusza mnie, by opleść ramiona dłońmi. Zadzieram brodę i chcę ruszyć w stronę, z której dobiegają dziwne odgłosy, ale wtem, wbijając wzrok w korytarz, czuję nagle, jakby do mojej nogi została przyczepiona żelazna kula. Jakby moje obcasy przytwierdzono do posadzki za pomocą gwoździ.

Wytrzeszczam oczy, widząc w odległości kilkunastu metrów przed sobą postawną sylwetkę człowieka. Sekundę później z mroku wyłania się mężczyzna ubrany w dziergany sweter w kolorze butelkowej zieleni. Oddycham ciężko, spoglądając mu w oczy, gdy pociera dłonią brodę w kontemplacyjnym geście. Drugą z kolei zaciska na rękojeści jakiegoś ostrego narzędzia. Nie wiem, co robi w mojej posiadłości ani skąd się tu wziął. Instykt samozachowawczy nakazuje mi ruszyć w stronę drzwi prowadzących do ogrodu. Połykam tchnienie. W każdej komórce ciała czuję strach, gdy robię to, co uważam za słuszne.

Nie znając intencji mężczyzny, który wdarł się do mojej rezydencji, rzucam się biegiem, by uzmysłwić sobie, że klamka została wyrwana od zewnętrznej strony drzwi. Momentalnie odwracam głowę. Patrzę na postać, która stoi i bacznie mnie obserwuje. Spoglądam prosto w zimne oczy, w których wyłapuję jedynie rozdrażnienie. Zupełnie tak, jakby mój widok działał na niego jak czerwona płachta na wściekłego byka. *Jakbym była jego wrogiem*, analizuję w duchu, czując ucisk w sercu. Kiedy mój napastnik robi krok w moją stronę, orientuję się nagle, że gdzieś go już widziałam.

Walczę z falą lęku, która przedziera się przez moje ciało, powodując nieprzyjemne mrowienie na kręgosłupie. Z moich ust nie wypada nawet urywany oddech, gdy wciskam boleśnie paznokcie

w wewnętrzną część dłoni, starając się przeanalizować w głowie tragedię, w której biorę udział. Nie istnieje sposób, bym mogła wydostać się z zachodniego skrzydła rezydencji bez konfrontacji z tym psychopata.

– Mercy Stone.

Głęboki tembr jego głosu sprawia, że żołądek kurczy mi się do maleńkich rozmiarów. Nagle tracę czucie w kończynach, jakbym była podatna na jakąś niewytłumaczalną siłę. Nie pozwalam sobie popaść w apatię, stracić czujności, przestać choćby na ułamek sekundy próbować odnaleźć w głowie rozwiązanie, które pomogłoby mi wydostać się z tego potrzasku. W końcu grdyka mężczyzny drży nieostrożnie, gdy ten dodaje z wstrętnym uśmiechem wymalowanym na twarzy:

– Może raczej powinienem posłużyć się twoim autentycznym nazwiskiem? – Unosi wyzywająco brew, stawiając ciężko krok. Instynktownie zaciskam szczękę. Chwila oczekiwania na jego kolejne słowa wzbudza we mnie więcej niepokoju, który tak trudno jest mi utrzymać w ryzach, wyczuwając bijące od mężczyzny złe intencje.

Kręcę głową, trawiąc w duchu to, co powiedział.

– Nazywam się Mercy Stone – oponuję zachrypniętym głosem, mimo wszystko zadzierając wysoko brodę. Kąciki ust mojego napastnika unoszą się w jeszcze szerszym uśmiechu. I wtedy zaczynam rozumieć, kogo mam przed sobą. *Facet z lodowiska*. Mężczyzna, którego spotkałam ze dwa razy podczas treningów. Zamieniłam z nim kiedyś parę słów. – Quinten – wypalam.

– Ten sam, który opiekując się taflą, pilnował, byś nie związała za daleko. – Jad, którym przesiąka jego ton, sprawia, że sztywnieję. – Ten sam, który wciąż nie zdusił w sobie zamiaru, by porwać się na odwet. Ten, któremu zabraliście wszystko. Tak, paskudny *potomku*. Tak, właśnie jego masz przed sobą. – Przesuwa językiem wzdłuż wargi. Ten gest powoduje u mnie kolejny nieprzyjemny ucisk w podbrzuszu. Chcę zaprzeczyć. Stwierdzić na głos, że się myli. Ale on dodaje nieco głośniej: – Będiesz najpiękniejszym wyrównaniem porachunków, jakie mogłoby mnie skusić, Mercy. Och, tak, tak bardzo zjawiskowym... Zastanawiałaś się kiedyś, jakie dźwięki wydaje z siebie człowiek, którego ktoś bez skrupułów zabija metodą

tysiąca cięć? – Quinten mruży oczy, przechylając głowę. Każde jego słowo zostawia bliznę na moim umyśle, potęguje strach, który wciąż trzymam na uwięzi z nadzieją, że jakoś mi to pomoże. W końcu mężczyzna robi kolejny krok. Poważnieje momentalnie, zaś jego oddech tężeje, gdy charczy: – Od ludzi, z którymi łączy cię naprawdę sporo, usłyszałem, że piszczy on jak zarzynana świnia.

Zaciskam palce na materiale sukienki. Moja dolna warga zaczyna samoistnie drżeć. Cofam się, uważając, by trzymać się z daleka od krawędzi basenu. Mój umysł staje się siedliskiem coraz to większego bałaganu. Staram się odtworzyć w głowie moment, w którym kładę gdzieś telefon, ale szybko dociera do mnie, że musi znajdować się gdzieś w kuchni.

Kuchni zlokalizowanej w pieprzonym, wschodnim skrzydle budynku.

– Pleciesz bzdury, Quintenie – odpowiadam w końcu, na co mężczyzna prycha.

Obserwuje mnie z pogardą. Z zaciekłością i obrzydzeniem. Mięsień jego szczęki drży nieznacznie, a ruchy stają się mniej skoordynowane, gdy ogarnia go jeszcze większe rozjuszenie. Czuję jedynie panikę. Wyłapując w jego mętnych oczach furję, uciekam spojrzeniem w stronę pustego korytarza. Uzmysławiam sobie, że muszę się tam dostać za wszelką cenę.

– Zdradzam ci krzywdę, której doświadczysz, Mercy. Czy to nie swego rodzaju *łaska*? – Mężczyzna kładzie nacisk na ostatnie słowo, drwiąc z mojego imienia. Nieodparte wrażenie, jakby wokół gardła zacisnął mi się nagle niewidzialny sznur, staje się wręcz namacalne.

– To obłąd – mówię, oddalając się o krok.

– Więc zbyt wiele razy wyszłaś bez szwanku z sideł mojego obłądu. – Quinten przystaje na moment. – Najpierw w ruderze, później w tym przeklętym klubie... Ciężko było cię złapać samą, bo ten facet nie opuszczał cię na krok. Frustruje mnie to, wiesz? Kurwa mać. Nawet nie domyślasz się, jak kurewsko mnie to irytuje. Wkurza mnie świadomość, że wciąż tutaj przede mną stoisz. Taka zniewalająco piękna, spełniona... podczas gdy *ona* nie dostała szansy, by taka być. Przeklinam cię, Mercy. Przeklinam ciebie i wszystkich, którzy pławią się w cudzym bólu.

Gardło schnie mi na wiór. Chcę myśleć rozsądnie, ale jego zdeterminowany głos i silny uścisk na ostrym narzędziu mącą mi w głowie, memłają wszystkie domysły w jedną wielką breję. Mocniej zapieram się nogami. Każda dawka tlenu, którą wtłaczam do płuc, wydaje się nędzna. Moje łopatki boleśnie zderzają się ze ścianą. Przesuwam dłonią wzdłuż niemiłosiernie pulsującej skroni, kręcąc głową i mówiąc:

– Bzdury. Boże, co za bzdury, ześwirowałeś do reszty.

Zanim zdążę odetchnąć, mężczyzna rusza w moją stronę. Nie myślę zbyt wiele, tylko odskakuję w bok tak, że ostrze jego broni jedynie rozdziera ramiączko mojej sukienki. Krzyczę niemo, gdy biegnę w stronę korytarza. Tracę rezon. Popadam w dziwny trans, a zmysły zaczynają płatać mi figle. Każdy bodziec dociera do mnie szybciej, gwałtowniej. Uderza jak tornado, potęguje mętlik w głowie. Jest mi duszno, każde sapnięcie rozbrzmiewające za moimi plecami determinuje wartkie tempo, w którym staram się opuścić zachodnie skrzydło posiadłości.

W końcu przetaczam się po posadzce, gdy napastnikowi udaje się ściąć mnie z nóg. Krzyczę, słysząc dźwięczący w uszach świst powietrza towarzyszący chwili, w której ostrze zostaje uniesione. Wierzgam się po lodowatej podłodze. Zadaje mi cios, ale ja zamiast oczekiwać na kolejny, podnoszę się chwiejnie na nogach.

Wciskam paznokcie w udo, na którym czuję lepka maź. Zapach krwi dobiegający do mojego nosa drażni mój zmysł węchu i sprawia, że nie myślę o niczym innym jak tylko o dotarciu do zaciemnionego korytarza. Pot spływa strugą z moich pleców, każdy krok wyzwala kolejną dawkę dyskomfortu idącego wraz z rozcięciem na nodze. Wrzask wydostaje się z mojej piersi tak szybko, jak ciężka dłoń ponownie zahacza o moje odrętwiałe ciało. Kołyszę się na własnych nogach, a potem ponownie przywieram do posadzki. Zachłystuję się własną śliną, czując język zlizujący posokę z mojego uda i łapska zaciskające się na jego wewnętrznej części. Krzyczę, mając przed oczami jedynie własne skołtunione włosy.

– Puszczaj mnie! – zawodzę beznadziejnie.

Świadomość własnego położenia rozdziera mnie na strzępy. Miotam się po podłodze, jakby ktoś traktował mnie paralizatorem.

Ślina mężczyzny spływa po mojej nodze, jego kciuk zahacza o pasek mojej bielizny, a gorąc języka powoduje jazgot, który wybucha w moim gardle niepoohamowanie. Chcę wysliznąć się z żelaznego uścisku i przestać czuć chropowatą skórę palców zaciśniętych na pośladku. Aż nagle rejestruję szmer. Zauważam chwilę, w której moje ciało smaga jedynie zimne powietrze wpuszczone do pomieszczenia.

Gryzę się w palce, unosząc rozbiegany wzrok. Widok Ace'a katującego Quintena sprawia, że zaczynam cofać się gorączkowo. Jestem w stanie jedynie wziąć trzy głębsze oddechy, a później orientuję się, że dźwięk przypominający chrzęst jesiennych liści pod stopami to odgłos łamanego kręgosłupa mojego napastnika. Chcę podnieść się na równe nogi, ale w tej samej chwili dobiega do mnie Crawford. Oszołomiona staram się zbuntować przeciwko jego próbie dotknięcia mnie. Przesuwam absolutnie chaotycznym spojrzeniem po jego spokojnej twarzy, spierzchniętych ustach i zimnych oczach, gdy mówi:

– Usiądź. Nie dokończę jego dzieła.

– Odsuń się – rozkazuję, wciskając ofensywnie paznokcie w jego bark.

Mężczyzna robi to posłusznie. Jego dłonie są lepkie od krwi, koszula pognieciona, a wzrok nieczytelny. Z oddechem uwięzionym gdzieś w płucach odskakuję w bok. Oplatając ramiona dłońmi, patrzę na to, jak Crawford sięga do swojej aktówki leżącej gdzieś nieopodal. Nie potrafię ujarzmić tych wszystkich myśli, które kłębią mi się w zmaconym umyśle. Wtem, chcąc ruszyć w stronę korytarza, zostaję przyparta do ściany.

– Łaska. Moja boska *łaska*. – Ace kręci głową, przesuwając wzrokiem po mojej twarzy. – W końcu zorientujesz się, jak bardzo jesteś cenna. W końcu dowiesz się, że twoje życie od początku było bzdurą. Wykalkulowaną bzdurą... – Jego słowa powodują, że mój żołądek się ściska. Wciągam powietrze nosem. – Myślisz, że dlaczego podjąłem próbę odsunięcia cię od sławy, co? – Crawford uśmiecha się z politowaniem. – Jezu, Mercy. Chwilami jest mi cię szkoda. Zderzenie ze światem, do którego należałaś od zawsze, będzie dla

ciebie bardzo nieoczekiwane – mówi z takim przekonaniem, że aż zalewa mnie fala pobudzenia.

– Sabotowałeś moją... – zaczynam ochryple, ale nie jest mi dane dokończyć.

– Sabotowałem. Nie miałaś, do cholery, stawać się żadną celebrytką. – Ace sznuruje usta. Pukle ciemnych włosów zachodzą mi na twarz, gdy mężczyzna wzdycha: – Zimno ci. – Obserwuje mnie uważnie. – Ale nie ma w tym nic złego. Myśl o tym, jak ci zimno. Niech chłód uśmierzy twój ból, bo niedługo zrobi to prawda. Marznij, kochanie. – Chwyta mnie za przeguby, po czym popycha w stronę leżaka, na który opadam z łoskotem. – Kiedy otworzysz oczy, będziemy już na miejscu.

Kręcę powoli głową, widząc, jak wyciąga z aktówki strzykawkę. Wstaję na równe nogi. Zmuszam kończyny do ruchu mimo tego, że są skostniałe jak diabli. Połykam słowa, które gdybym wypowiedziała, i tak nie sprawiłyby, że Crawford zrezygnowałby ze swoich zamiarów. Wiem, że muszę zrobić cokolwiek, byle tylko nie dopuścić do tego, co chce mi zrobić. Jest coraz bliżej, aż w końcu wykonuje zamach. Szarpnięciem próbuję go powstrzymać. Wciskam w jego stopę obcas szpilki, wsłuchując się w gardłowy, przeciągły jęk. Ale Ace jedynie na moment traci rezon, szybko przechodząc do ofensywy. Zanim zdążę oblizać usta z krwi po tym, jak niechcący się uderzyłam, Crawford ślizga się na posadzce i wpada do basenu. A ja razem z nim.

Chwilę szarpiemy się pod wodą. Materiał mojej sukienki przypomina balast, kiedy wstrzymuję oddech, patrząc na rozmazany zarys cienkiej igły. Nieodparte wrażenie, jakby niewidzialny gład osiadł mi gdzieś w płucach, staje się wręcz namacalne. Ciężar wody krępuje moje ruchy, ale utrudnia również Crawfordowi wetknięcie igły w moją skórę. Gubię oddech, gdy czuję, że w jednej chwili w basenie nie znajdujemy się jedynie my. Ktoś ciągnie mnie w górę. Wypływam na powierzchnię i kasłam kilka razy.

To, jak kilkoro ludzi wbiega do zachodniego skrzydła posiadłości, wydostaje z wody Crawforda i ciągnie go w stronę wyjścia, dzieje się jak w zwolnionym tempie. Na wiotkich nogach wychodzę z trudem z basenu. Wpatrując się w martwy punkt przed sobą, próbuję

zagłuszyć głosy ludzi przedzierające się przez do tej pory zalewającą salę ciszę. Upadam na podłogę pod jedną ze ścian, czując jedynie rozdzierające mnie wycieńczenie. Przyciskam skostniałe dłonie do pulsujących skroni. Nie rejestruję absolutnie niczego. Pochłania mnie pustka.

Woda spływająca strugą z moich włosów wzdłuż pleców niemal mnie parzy. Ze zdławionym w zaschniętym gardle protestem patrzę na to, jak postawna sylwetka upada przede mną na kolana. Mięśnie mam zwiotczałe, ale udaje mi się odsunąć, a po sekundzie również uzmysłowić sobie, że mam przed sobą Gabriela.

Jego zbolący wzrok sprawia, że całkowicie odpływam.

# ROZDZIAŁ 21

## GABRIEL

Uścisk jej palców na mojej koszuli nie zelżał od paru godzin. Mimo tego, że otępiałe ciało przestało już drżeć z zimna, wciąż trzymam je ciasno z pełną świadomością, że mam kurewsko wąskie pole manewru. W duchu wypominam sobie każdy cięższy oddech czy nieopatrny gest, który mógłby wybudzić Mercy z tego dziwnego letargu. Wcale niegasnącą we mnie obawę podsyca jedynie wściekłość, którą czuję, odkąd przekroczyłem próg rezydencji i którą będę czuć za każdym razem, gdy nawiedzi mnie wizja tego, że ta i tak zniszczona kobieta, mogłaby zostać jeszcze bardziej sponiewierana.

Każdy miesiąc w moim ciele jest odrętwiały od ciągłego bezruchu do tego stopnia, że podniesienie się do pionu byłoby dla mnie czymś graniczącym z cudem. I nawet ta cisza, której od dłuższego czasu nie zakłóca w salonie żaden odgłos, wydaje się tak niezachwiana, że mam wrażenie, jakbym zaraz miał postradać wszystkie zmysły. Utknąłem we własnej próżni, pogrążając się w marazmie, w całej pajęczynie wątpliwości, którą sam wikłam, zalewając umysł coraz to bardziej bolesnymi obrazami.

Tymi zakładającymi jej *odejście*.

Nieodparte wrażenie, jakby niewidzialna pętla zaciskała mi się na gardle, staje się tak realne, że wykrztuszam z siebie połowicznie zdławione w płucach westchnienie. Zwieszam głowę tylko po to, by spojrzeć na swoje dłonie. Zaschnięta krew Mercy stapiająca się z konturami moich tatuaży to obraz, który mam ochotę wydrapać sobie wraz z wtłoczonym pod skórę tuszem. Znów ogarnia mnie złość. Nie potrafię sobie poradzić z tym balastem gniewu i bezradności, które wypalają we mnie piętno.

– Próbowałam wiele razy.

Gardło schnie mi na wiór, gdy cichy głos Mercy rozmywa się gdzieś w powietrzu, kaleczy moje bębrenki, wyrzywa mi z piersi pojedyncze tchnienie. Instynktownie, jakby czując, że to właściwe, odchyłam głowę do tyłu, by przesunąć wzrokiem po jej twarzy. I właśnie wtedy, w ułamku tej jednej sekundy, nawiedza mnie myśl, że nigdy nie czułam takiego bólu. Tak przenikliwego, świdrującego na wskroś i rozrywającego na strzępy.

Jej oczy są tak martwe, że ich widok działa na mnie jak paralizator. Patrząc w nie z niemą prośbą w duchu, bym nigdy nie musiał znowu tego robić. Zszarzałe, nieobecne tęczęwki Mercy sprawiają, że czuję męki. Wypuszczam powoli powietrze, wyciągając dłoń w stronę bladego policzka ubrudzonego krwią. Kiedy myślę, że będzie mi dane wyczuć bijącą od kobiety histerię, zauważam, że ona wciąż jest apatyczna i zeszywniała.

– Próbowałam poradzić sobie jakoś z napastnikami.

Mercy niemal krztusi się śliną, chcąc wydobyć z siebie więcej słów. Jej wypowiedź przypomina zlepek zgłosek, ale nie przykładam do tego wagi. Zwyczajnie kręcę głową, by powstrzymać ją od wlewania wysiłku w potrzebę uświadomienia mi czegoś, czego jestem, do diabła, świadomy. Chryste, doskonale wiem, że ta kobieta nie jest zbłąkaną owieczką. Nie jest kobietą, która podkuli ogon i da się zarznąć jakiemuś psychopacie.

– Proszę cię, tak strasznie cię proszę... – dodaje słabym głosem.

Ściągam brwi. Moją twarz mimowolnie wykrzywia grymas. Serce łomocze mi niczym dzwon, gdy widzę w jej oczach szaleństwo, wręcz namacalne rozgorączkowanie. Widzę, że powoli przestaje utrzymywać w ryzach to, co się w niej kotłuje. Przenoszę dłoń na jej policzki. Stabilizuję jej głowę, gdy próbuje nią kręcić w geście protestu, którego tym razem nie przyjmuję do wiadomości. Widok jej rozpalonej jest jak konfrontacja z najgorszym lękiem.

– O co, Mercy? – pytam dosadnie, nie spuszczać wzroku z jej zgasłych oczu.

Rozchyła bezwiednie usta. Wypada z nich zdławiony jęk.

– Nie myśl, że mnie złamał na choćby jedną sekundę. Przez ten czas, kiedy mówił, na ile sposobów się mnie pozbędzie. Przez każdy

moment, gdy powtarzał, że jestem jego wyrównaniem rachunków. Najpiękniejszym możliwym sposobem na rewanz... – Mercy zaczyna plątać się we własnych myślach, a ja przez moment nie mogę poprawnie zinterpretować jej słów, przetrwać ich sensu czy złagodzić bólu, który słyszę między wierszami jej wypowiedzi. Przesuwam kciukiem wzdłuż jej spierzchniętych ust.

– Kochanie – zaczynam, ale nie jest mi dane skończyć.

– Nie złamał mnie. Wierzysz mi, prawda? – majaczy. – Nie sprawił, że ustąpiłam...

– Nie sprawił. – Potwierdzam skinieniem głowy, wyłapując w jej oczach wycieńczenie. – Nikt tego nie sprawił, Mercy. Nie wyobrażaj sobie sytuacji, w której ci nie wierzę. – W moim głosie pobrzmiwa błaganie, które Mercy wyłapuje i krzywi się po raz kolejny. Skanuje moją twarz spod wachlarza rzęs, robi to tak intensywnie, jakby chciała udowodnić sobie samej, że nie jestem jedynie fatamorganą. Pod palcami położonymi na jej policzkach czuję zamiast bijącego od niej chłodu wrzenie własnej krwi.

– Marzniesz – zauważam, ale tym razem nie ma w tym żadnego podtekstu.

– Chcę marznąć – wykrztusza z siebie, przywierając do mnie mocniej. Jej słowa dźwięczą mi w uszach niczym echo. – Ace powiedział mi, że zimno uśmierza ból. Kiedy zatłukł tamtego, kazał mi marznąć. Kazał mi wmawiać sobie, że zamarzam...

Ściągam brwi w niezrozumieniu. Obserwuję jej twarz z zapartym tchem.

– Crawford? To on nie chciał...

– To Quinten chciał mnie skrzywdzić, więc Ace go zabił. Później zaczął przeszukiwać swoją aktówkę, ciągle mówił, że jakoś się z tego wykaraskam, tylko muszę marznąć, uśmierzać swój ból, dopóki nie uśmierzy go *prawda*. Sęk w tym, że nie wiem... Nie wiem, jaka prawda miałaby to zrobić. – Mercy połyka powietrze, a mój umysł staje się siedliskiem tak ogromnego bałaganu, że nie potrafię odnaleźć w sobie nawet krzty nadziei na to, że uda mi się go w jakikolwiek sposób uporządkować. Jakie intencje miał Crawford? I dlaczego ten pierwszy kutas chciał wykończyć tę kobietę?

– Pieprzyć chłód i prawdę, przyrzekam, że to ja uśmierzę twój ból  
– mówię po chwili, przenosząc jedną dłoń na dół jej odkrytych pleców. Obrysowuję niespiesznie każdą cząstkę kręgosłupa, choć jej ciepły, urywany oddech rozbijający się na moich ustach uderza we mnie jak tornado. Mercy zwiesza głowę, jej splątane włosy opadają wzdłuż smukłych, pokrytych brudem i siniakami ramion. Moja grdyka drży mimowolnie.

– Chcę jedynie zrozumieć, jaką krzywdę wyrządziłam im obu. – Mercy stara się trzymać na uwięzi reakcje własnego organizmu. Robi to jednak nadaremnie. Widać, że jest rozbita, co i mnie się udziela, ale nie pozwalam, by na mojej twarzy pojawiło się coś innego niż spokój.

– Dojdą do ich motywacji. Zresztą Edward też chce się w tym wszystkim połapać – wzdycham, drugą dłoń kładąc na karku Mercy, która policzkiem przywiera do mojego ramienia. Nie buntuję się, gdy nieśmiało wsuwa skostniałą dłoń pod materiał mojej koszuli i kładzie ją na mojej piersi. Odnajduje tatuaż, który się na niej znajduje. – Gdy któryś z jego ludzi powiedział mu, że możesz być w niebezpieczeństwie, podjął kroki natychmiast. I słusznie.

Mercy nie porusza się nawet o cal, gdy kwituje po chwili:

– Stąd wasze wtargnięcie do posiadłości.

Przytakuję, potwierdzając tym samym jej słowa.

– Jego biuro się tym zajmie. Rzecz jasna we współpracy z odpowiednimi służbami – mówię z powagą. – Ledwo widzisz na oczy. Może spróbowałabyś zasnąć? – pytam, przeczuwając jednak w duchu, że moja propozycja nie spotka się z aprobatą.

– Nie, ja... powinnam zadzwonić.

Zanim zdążę zatrzymać ją przy sobie, chwiejnym krokiem udaje się w stronę kuchni. Sam również wstaję na równe nogi, ruszając za Mercy, która zwinnym ruchem dłoni zmiata sprzed nosa kosmyki ciemnych włosów. Na pozór wydaje się odrobinę bardziej opanowana, ale domyślam się, że udawanie przynosi jej ulgę.

– Do kogo? – pytam w końcu, gdy docieramy do kuchni, a kobieta chwyta w dłoń telefon, opierając się o wyspę kuchenną. Nie muszę patrzeć za okno, by wiedzieć, że na dworze szaleje burza. Co parę

sekund bowiem do posiadłości wdziera się ostre światło idące wraz z rozpościerającą się po prawie czarnym niebie błyskawicą.

– Do Jacqueline – odpowiada Mercy, na co ściągam brwi.

Chwytam w dłoń jej telefon, wzdychając:

– Mer, ona już wie, że musimy przełożyć wyjazd. Niech cię to nie trapi, po prostu chodź. – Splatam jej dłoń ze swoją, ciągnąc ją powoli w kierunku sypialni. Kolejny grzmot przedziera się przez jej niespokojny oddech. Przez chwilę obserwuję ją w milczeniu, aż w końcu wyłapuję w jej oczach niemą zgodę.

Kiedy będąc już w sypialni siada na materacu, wydaje się wciąż oteępiona. Z uwagą patrzę, jak opada na pierzynę i wtyka nos w poduszkę. Niewiele myśląc, kładę się obok niej, ale w odległości, którą w duchu uznaję za słuszną. Z chwilą, w której Mercy ucieka spojrzeniem do mojej twarzy, z jej ust wypada:

– Wykaraskam się z tego.

– Oboje jesteśmy tego świadomi – zgadzam się z nią, gładząc w pokrzepiającym geście jej biodra. Mercy przełyka ślinę prawie bezdźwięcznie. – Ale oboje wiemy również, że nie wykaraskasz się z tego bez szwanku. I nie ma w tym nic, co powinno cię zawstydić czy sprawić, że poczujesz się do bani. Każda twoja blizna nie istnieje po to, by ktoś ją potępił czy wytykał ci, jak bardzo jest wstrętne. Każda jedna... Każdą jedną powinno się podziwiać ze świadomością, że twoja biografia to bitwa, z której wyszłaś na tarczy – dokańczam ciszej, gdy jej skostniała dłoń ponownie ląduje pod materiałem mojej koszuli.

Mercy bada skrupulatnie każdy cal mojej skóry, w tym duży tatuaż. Bierze głębszy wdech. Jej wzrok pozostaje utkwiony gdzieś na mojej szyi. Dopiero parę minut później przenosi spojrzenie na swoje zmarznięte ciało, na którym wciąż znajdują się mokre ubrania. Drobiazgowo przesuwam nim wzdłuż odkrytych nóg, które pokrywa gęsia skórka, po postrzępionej sukience ze zsuniętym nisko ramiączkiem. Na swoim udzie znajduje podłużną szramę i ślad palców pozostawiony przez tego chorego sukinsyna. Zaciskam szczękę, bo uzmysławiam sobie, jak wiele siły włożył w to, by ją tak poszarpać. Na jej policzku wciąż znajduje się posoka. Ścieram ją kciukiem.

– Wyglądam jak łajza – mówi nagle.

Mrużę oczy. Nie zastanawiam się nad słowami, które wypowiadam:

– Wyglądasz jak ta sama dumna, cholernie egoistyczna zołza, która prawie trzy lata temu wpadła do klubu boksterskiego Elijaha Wooda w Reno. Jak dziewczyna, dla której wzgardziłem własnymi regułami i na pozór niezachwianym zaufaniem przyjaciela, bo namąciła mi w głowie do tego stopnia, że gdy lato się skończyło, a ona ode mnie odeszła, musiałem uczyć się od nowa, jak funkcjonować bez niej. – Uśmiecham się niemal niezauważalnie. – Szlag, Mercy. Przypominasz tę podstępna bestię, którą zobaczyłem po latach na gali sportowej, tak zmysłową, pewną swojego sukcesu, niezależną i oszałamiająco zjawiskową. Przypominasz do złudzenia kogoś, kogo widzę w każdej wizji swojej przyszłości.

Mercy wygina usta w grymasie, jakby nie mogła znieść tej myśli, że mimo tego, że zawsze dzielił nas mur niesprzyjających okoliczności, ja wciąż chcę ją przy sobie zatrzymać. Znowu kładę dłoń na jej bladym policzku. I znowu patrzę na nią z podziwem i z tym dziwnym, cholernie dołującym wrażeniem, które chciałbym usilnie w sobie ugasić. Z tym, że na naszych barkach spoczywa cięższe brzemie, niż kiedykolwiek moglibyśmy założyć.

W Inferno zjawiam się dopiero po sześciu dniach. Krótki urlop, o który poprosiłem Ethana, nie wydawał się dla niego czymś niemożliwym do zaakceptowania, więc mogłem swobodnie obserwować, jak Mercy odnajduje w sobie kolejne pokłady energii i wigoru po niedawnych ekscesach. Jazda na łyżwach dawała jej frajdę, więc wybierałem się z nią na lodowisko UnderScore, chociaż średnio się do tego paliłem.

Na samą myśl o wczorajszej wycieczce na taflę uśmiecham się w duchu. Przechodząc przez próg Inferno, nawet nie patrzę w stronę kontuaru czy korytarza, który prowadzi w stronę pomieszczeń dla pracowników. Od razu zmierzam do windy. Kraty pełniące funkcję drzwi zamykam z głośnym trzaskiem, a mechanizm rusza zaledwie parę sekund później. Obskurne wnętrze nie napawa mnie nawet odrobiną niepokoju. Będąc już w podziemiach, dostrzegam Maysona.

Stoi przy jednej ze ścian w kolorze szkarłatu i notuje coś w swoim zeszyte.

– O, wiedziałem, że długo nie wytrzymasz – mówi, uprzednio unosząc wzrok znad swoich notatek. Przez chwilę przygląda mi się z aroganckim uśmiechem, po czym dodaje: – Przygotować ci worek? Czy od razu zwolnić podziemia, żebyś miał je dla siebie?

Opieram ramię o chłodną ścianę, wzdychając ciężko.

– Właściwie chciałem poinformować cię, że nie wrócę tutaj jeszcze przez parę dni.

Mężczyzna mruży w skupieniu oczy. Odkłada na ławkę zeszyt i długopis, a następnie zakłada dłonie na biodrach. Jego nieskazitelnie biała koszula jest już odrobinę pognieciona, ale on wciąż prezentuje się jak facet z wyższych sfer. Przesuwa czujnym wzrokiem po mojej nieodgadnionej twarzy. Odpowiada po chwili:

– To nie była prośba – zauważa słusznie.

– Możesz mi zafundować nawet drugi okres przygotowawczy, gdy wrócę do Inferno, ale nie próbuj wymusić na mnie uczestniczenia w treningach, które odbywają się w tym tygodniu – zapowiadam, a mój nieustępliwy ton szybko uzmysławia Maysonowi, że jestem naprawdę zdeterminowany. – Wiem, że w przyszłym wylatuję do Europy, ale ten również chciałbym spędzić poza klubem.

Krzyżuję ręce na torsie, unosząc leniwie brew. Nie istnieje żadna propozycja, którą ten facet mógłby mi przedstawić, a na którą przystałbym, gdyby zakładała moją obecność w klubie. Mam zbyt duży bałagan w głowie, by tak po prostu pozwolić sobie na ponowne zafiksowanie się bez przekłętej pamięci na sporcie.

– Okres przygotowawczy... – zastanawia się na głos mężczyzna. – Siadaj, Gabrielu.

– Słucham? – Przechyliłam głowę w bok.

Mayson wskazuje sugestywnie na ławkę. Sznuruję usta w wąską kreskę, ale bez protestu ruszam w kierunku trenera, który siada we wcześniej wskazanym przez siebie miejscu. Podążam jego śladem. Opieram plecy o ścianę, po czym wypuszczam ze świstem powietrze.

– To jak? Wrzucisz mnie do amatorów, gdy nadejdą wakacje? – pytam drwiąco.

– Nie. – Mężczyzna wzrusza ramionami. – Jesteś mistrzem świata. Skończyliby... marnie. – W jego głosie słycać przekonanie. – Pamiętasz dzień, w którym przyłapałem cię na tym, że odbyłeś kolejny trening bez konsultacji ze mną? – Ethan zerka na mnie kątem oka. – To było krótko przed galą. Na pewno nie masz sklerozy.

Przez moment trawię w duchu sens tego, co powiedział. Ściągnąwszy brwi, kładę dłonie na krawędziach ławki. Dopiero po chwili kiwam głową w geście zgody, by dodać wiarygodności słowom, które wypowiadam, mając w pamięci wspomniane wydarzenie:

– Zarzuciłeś mi wtedy, że przypominam pieprzonego robota.

– A nawet to, że zamknąłeś się przed światem na cztery spusty, nie wpuszczając do swojego życia niczego, co jest niezwiązane ze sportem – dodaje mężczyzna. – I rzeczywiście, taki stan rzeczy utrzymywał się dość długo. Odkąd Marie wybrała cię na Diabła, aż do momentu, w którym na gali nagród zdobyłeś tytuł „sportowca roku” – zauważa słusznie, pocierając w skupieniu pokrytą zarostem linię szczęki. Wygodniej rozsiadam się na ławce, analizując w głowie sens słów trenera. Zanim zdążę mu odpowiedzieć, on dokańcza swoją wypowiedź: – A raczej do momentu, w którym na gali nagród poznałeś lepiej kobietę, przed którą ostrzegałem cię tysiąc razy, a później przepadłeś dla niej tak, że już absolutnie nic nie wybije ci jej z głowy. Nawet moja groźba zakładająca, że powtórzysz niesławny okres przygotowawczy. W pewnym sensie jesteście podobni do mnie i Marie. Kiedyś też darliśmy ze sobą koty. A później... również przepadłem mimo świadomości, że to moja konkurentka w każdej dziedzinie życia.

– Sądzisz, że ta tyrada była godna twojego wysiłku? – pytam z powagą.

– A uzmysłowiłeś sobie coś, Gabrielu? – kontruje mój rozmówca, na co wzdycham.

– Mhm. Mam nie wracać tutaj tak długo, jak nie uprzątnę bałaganu, którym jest moje życie prywatne – bardziej stwierdzam, niż pytam. – To dobry trop, czy mam kombinować dalej?

Z tymi słowami chwytam za leżące obok bandaż. Bez mrugnięcia okiem zaczynam obwiązywać nimi dłonie. Miałem co prawda odpuścić sobie dzisiaj sparing, ale Mayson wygląda tak, jakby chciał

się ze mną naparzać, zanim zniknę na kolejne kilkanaście dni. Z kpiącym uśmiechem patrzę na to, jak nakłada rękawice.

– Nie prześpij życia, Crade. I pamiętaj, moja drużyna to nie tylko sportowcy, ale też...

– Ludzie – dokańczam za niego, podnosząc się do pionu.

Zgarniam z półki znajdującej się na obskurnej, czarnej ścianie szkarłatne rękawice.

– Dobrze, że nie masz w ciągu najbliższych tygodni żadnej istotnej walki – odpowiada mężczyzna, wstając na równe nogi. – Mogę bez żadnych wyrzutów sumienia pozwolić ci zniknąć na kilka dni, mimo że po nich wyjeżdżasz. Tylko nie bierz tego wolnego, by robić coś bezmyślnego – zaznacza dobitnie, na co silę się na słaby uśmiech. Nie zamierzam mówić mu o tym, co przytrafiło się Mercy, ani dlatego chcę z nią trochę pobyc. Dlatego zamiast rozwinąć wątek, zmieniam temat tak, by zachować pewne niuanse dla siebie:

– To jak? Pracujecie już nad galą dla amatorów?

Mayson ożywia się momentalnie. Kiwa głową, skupiając się na konkursie. I kiedy wyprowadza w moim kierunku pierwszy cios, przestaję rejestrować, co dzieje się w otaczającym mnie świecie. Koncentruję się tylko na naszym pojedynku.

Kiedy docieram do własnej posiadłości, jest już czwarta.

Parkuję auto przed rezydencją, ale sam nie ruszam w jej kierunku. Od razu przeczuwam, gdzie znajdę Mercy, więc idę w stronę ogrodu. Po kilku minutach wchodzę do oranżerii, w której dostrzegam siedzącą na ogrodowej sofie kobietę. Włosy ma spięte w wysokiego koka, a spojrzenie utkwione w wyświetlaczu telefonu.

Nie chcąc jej wystraszyć, pukam w drzwi.

– Jak było w Inferno? – pyta, patrząc mi w oczy. – U Edwarda? U Jacqueline? – dodaje po chwili namysłu, na co posyłam jej lekki uśmiech. W paru krokach docieram do sofy, na której siadam z westchnieniem.

– Mayson dał mi jeszcze parę dni wolnego – zaczynam od samego początku, nie spuszczać wzroku z bladej twarzy Mercy. – Edward potwierdził, że nie będziesz musiała chodzić więcej na komisariat, bo dałaś im wyczerpujące zeznania. Podobno Crawford posiedzi

trochę w więzieniu, ale ile, dowiemy się w ciągu najbliższych miesięcy. A Jacqueline nie miała nic przeciwko temu, że wylecimy do Barcelony z tygodniowym opóźnieniem.

Kończąc monolog, biorę wdech. Od samego rana zdążyłem załatwić wszystko, co miałem w planach, więc teraz mogę bez żadnych nawarstwiających się, niedokończonych spraw spędzić resztę dnia z Mercy, która mimo tego, że wciąż wskrzesza w sobie siłę do życia, wydaje się oswojona ze wszystkim, co niedawno zmąciło jej spokój.

– Więc lot mamy pojutrze? – upewnia się, na co kiwam głową.

– Pojutrze – potwierdzam, czując vibracje telefonu w kieszeni. – Mam tutaj słaby zasięg. Zaraz wrócę, okej? – Unoszę brew, a Mercy przytakuje. Odprowadza mnie wzrokiem, gdy ruszam w stronę wyjścia z oranżerii.

Będąc już przed budynkiem, chwytam od niechcienia za urządzenie i nie przerywam marszu po stopniach schodów prowadzących do ogrodu. Na widok numeru ojca wzdycham przeciągle.

– Mam coś ważnego do roboty, więc... – zaczynam, ale nie jest mi dane dokończyć.

– Dowiedziałem się, że policja sprawdziła już rzeczy Crawforda – przerywa mi Edward.

Przystaję w pół kroku. Przed oczami znowu widzę gębę tego sukinsyna. Mój uścisk na urządzeniu nie ma prawa zelżeć, gdy niechciane myśli znowu uderzają we mnie jak huragan. Nie spuszczam wzroku z martwego punktu przed sobą. To uczucie, jakby gardło w szybkim tempie uszło mi na wiór, sprawia, że ledwie udaje mi się wydobyć z siebie krótkie, zasadnicze pytania:

– Znaleźli coś? Wiedzą, co chciał z nią zrobić? – Zaciskam usta.

Sama myśl, że mogłaby tak nagle zniknąć, zostawić po sobie jedynie martwe przedmioty i nic nieznaczące tytuły, napawa mnie przerażeniem. Miałem wrażenie, że zżera mnie to od środka niczym pierdolony kwas. Mercy Stone, ta sama Mercy, która pewnego letniego dnia wpadła do klubu boksterskiego w Reno, nie mogła nie wrócić do mnie po raz kolejny. W końcu była moją łaską. Była tą, przy której myślałem: „tak, to ona, to na nią tyle czekałem”.

– Posłuchaj mnie, Gabrielu. Ace Crawford nie chciał zabić Mercy – zaczyna ze spokojem ojciec, a jego słowa konfrontują mnie z całym szeregiem wątpliwości i dreszczami na plecach. – W jego aktówce znaleźli blond perukę, niebieskie soczewki oraz podrobione dokumenty. – Rozchylam bezwiednie usta, ale moje pytanie uprzedza jego głos: – Najprawdopodobniej chciał ją uprowadzić.

## ROZDZIAŁ 22

Schodzę z plaży na promenadę i od razu wkładam na nogi sandały na szpilkach. Trzymając w dłoni dokumenty zgarnięte o świcie z butik, w którym według harmonogramu dzisiaj spotkamy się z szerokim gronem fanów, udaję się w kierunku budynku, w którym mieści się wynajęty na czas krótkiego pobytu w Barcelonie apartament.

Odruchowo spoglądam na zegar znajdujący się na jednym z wysokich kościołów. *Wpół do siódmej*, orientuję się szybko. Gabriel, gdyby nie to, że wciąż analizował z ojcem sprawę sprzed tygodnia, a ponadto nie zmrużył oka podczas długiego lotu do Europy, zapewne wstałby o wiele wcześniej i uzmysłowił sobie, że czmychnęłam mu sprzed nosa. A tak właściwie to wybrałam się na niedługi, samotny spacer, do którego pretekstem miało być odebranie paru papierów od urzędującej od samego rana w butik Jacqueline.

Świadomość, że tak naprawdę chciałam gdzieś iść, żeby przetrwać w duchu ostatni ogrom wydarzeń, była raczej dobijająca, więc wolałam wciskać sobie kit, że oprócz tego był jeszcze jakiś inny powód. Każda próba odnalezienia w sobie spokoju po poniesionej klęsce hartowała mnie. To dzięki temu mogłam uważać się za wytrwałą. Nic nie zada mi ciosu, po którym uznam, że zostałam starta w drobny mak.

Wiatr owiewa moje odkryte ramiona, mierzwi delikatnie włosy i wprawia w ruch falbany zwiewnej, białej sukienki. Ludzi przechadzających się po promenadzie jest niewiele i zdaje się, że nie widzą we mnie celebrytki, a zwyczajną turystkę.

Odetchnąwszy ciężko, skręcam, jak mniemam, we właściwą uliczkę, za którą powinien znajdować się kolorowy budynek. Jest starej daty, ale apartament, który znajduje się na jednym z jego najwyższych pięter, posiada klimat, który zapragnęłam, by mi

towarzyszył przez te kilka dni spędzonych w Hiszpanii. Pokonawszy ostatnie stopnie betonowych schodów, docieram do celu. Drzwi otwieram powoli z obawy, że gdy zaskrzypią, zdradzą moją obecność.

Odkładam na komodę plik dokumentów, a następnie przechodzę do barwnie zaprojektowanej sypialni. Ściągam nieznacznie brwi, orientując się, że w pomieszczeniu nie ma żywej duszy. Z krótkiego zamyślenia wyrывa mnie dopiero zachrypnięty, niski głos rozpływający się gdzieś tuż przy moim uchu:

– Znikasz. Zawsze znikasz, gdy jestem na to najmniej przygotowany.

Połykam westchnienie tak prędko, jak czuję twardą pierś przywierającą do mojej łopatki. Spoglądam na białe zasłony targane przez wiatr, za którymi znajduje się kolejny, kolorowy szeregowiec. Drzę, gdy oplatają mnie silne, wytatuowane ręce.

– Byłam u Jacqueline – tłumaczę ze spokojem, kładąc dłonie na tych, które spoczywają na moim brzuchu. – Poprosiła, żebyśmy przyszli na miejsce punktualnie o czwartej, ale z już wypełnionymi dokumentami, które mi przekazała.

Gabriel przez chwilę milczy. Kiedy tylko przechylam delikatnie głowę, by spojrzeć mu w oczy, nie widzę w nich nawet głupiej pretensji. Zupełnie jakby wiedział, że postąpił właściwie, pozwalając mi samej poradzić sobie z syfem, który kotłuje się w mojej głowie. Po chwili przytakuje, odpowiadając:

– W porządku. Wszystko gra, Mer?

– Tak. – Uśmiecham się ledwie zauważalnie. – Sądzę, że tak.

Mężczyzna odwzajemnia gest. Przeczucie podpowiada mi jednak, że wciąż jest czujny.

– Skoro już tak rwiesz się do zwiedzania miasta, musisz zaczekać pięć minut. Zbiorę się do kupy i możemy iść nawet na plażę, skoro wczoraj nie zdążyliśmy przez to, że padłem jak długi – rzuca z powagą Gabriel. Przez chwilę trawię sens jego słów, ale w momencie, w którym odsuwa się nieznacznie, oplatom palcami jego przegub, nie pozwalając mu odejść.

– Pójdziemy tam, ale teraz... zaczekaj, proszę.

Grafitowe tęczówki skanują mnie z niezrozumieniem, ale i wyrozumiałością. Przez parę sekund wpatrujemy się w siebie bez słowa, aż w końcu, uprzednio wypuszczając ze świstem powietrze, wspieram się na palcach, by moje usta mogły bez przeszkód zetknąć się z zimnymi wargami Gabriela. Odwracam się, żeby położyć dłonie na jego policzkach i wprawić go w chwilowe osłupienie.

– Mercy – wzdycha po chwili, ukrócając moje zamiary.

– Wiem – stwierdzam nagle, wyłapując w jego oczach protest. – Boże, wiem, że musisz mieć dosyć za każdym razem, gdy słyszysz, jak proszę, byś *czekał*. – Z tymi słowami odsuwam się od niego, wplatając dłonie we włosy. Ciągnę za ich końcówki, opadając z łoskotem na materac łóżka. Zwieszam głowę i oddycham ciężko.

Z mojej piersi pragnie wyrwać się cały potok słów, a jednak żadne nie byłoby w stanie uzmysłowić Gabrielowi, jak silne jest to, co do niego czuję. Nie radzę sobie z własnymi uczuciami. Przez długi okres byłam z nich tak cholernie wyprana, że teraz stanowią dla mnie coś nie do poskromienia. Coś, z czym osvajanie się przychodzi mi z trudem.

– Dlatego dłużej tego nie rób – proszę, czując ucisk w okolicach serca.

Robi mi się duszno, gdy Gabriel kuca przede mną. Nie odwzajemniam jego spojrzenia, choć czuję, jak powoli przesuwa nim po mojej bladej twarzy. Z dłońmi zaciśniętymi we włosach walczę z demonami, które sieją zamęt w mojej głowie. Zamykam powieki niemal boleśnie. Instynktownie mocniej wciskam obcasy w posadzkę, aż w końcu czuję, jak wytatuowane palce oplatają moje nadgarstki. Gabriel powoli ściąga moje ręce w dół tak, że po chwili splata je obie ze swoimi.

Dziwny prąd przenika każdy mój nerw, sprawia, że ogarnia mnie otumanienie. Ze zduszonym w piersi oddechem pozwalam, by męczyzna przytknął usta do moich knykci, a jego oddech smagnał wierzch dłoni. Bijąca od niego troska powoduje, że czuję, jakby ktoś zabrał z moich barków stutonowy balast. Uspokaja mnie to, jak czule gładzi kciukiem mój przegub.

W końcu unoszę wzrok na jego twarz. Gabriel zmiata mi sprzed nosa kosmyk ciemnych włosów. Ani na moment nie uciekam

spojrzeniem od grafitowych oczu, zupełnie jakby czułość, którą w nich widzę, była moim niewerbalnym ukojeniem. Uwalniam dłonie z męskiego uścisku. Nie myślę zbyt dużo, gdy kładę je na pokrytych zarostem policzkach. Przełknąwszy ślinę, przesuwam rozgorączkowanym wzrokiem po twarzy Gabriela, który jedynie zastyga w bezruchu, wiedziony świadomością, że dobrnęliśmy do momentu, w którym nic już się nie liczy.

– Po prostu bądź świadomy tego... – *Że jesteś dla mnie wszystkim*, szepczę w duchu. – Bądź świadomy tego, jak cholernie wdzięczna jestem za to, że pozwoliłeś mi dojrzeć do kochania cię tak, jak na początku myślałam, że nie będę w stanie. Bezwarunkowo. Bezgranicznie. Odrobinę zbyt wariacko, tak cholernie niewiarygodnie. Jesteś jedynym, co może zetrzeć mnie w drobny mak. – Mój głos łamie się, gdy dodaję szeptem: – Jedynym...

Przez chwilę trwamy tak w bezruchu, a ciszę przerywa jedynie odgłos mojego mocno bijącego serca. Z dłońmi wciąż położonymi na policzkach kucającego przede mną Gabriela pochylam się, by odnaleźć drogę do jego ust. Czując ogarniający mnie wstyd, uciekam się do pocałunku. Nie oponuję w żaden sposób, gdy Gabriel się podnosi. Delikatnym szarpnięciem sprawia, że moje plecy łączą się nagle z materacem. Gabriel, wciąż stojąc przed łóżkiem, obserwuje mnie z powagą.

Połykam tchnienie. Mięśnie wiotczeją mi w jednej sekundzie, kiedy wciąż taksuję wzrokiem mężczyznę, dla którego straciłam głowę. W końcu Gabriel z iskrą mającą w pociemniałych oczach w dwóch krokach podchodzi bliżej mebla. Zawisa nade mną niezaborczo i całuje mnie potulnie. Zwykłym dotykiem spija z mojego umysłu cały bałagan. Przystaję na każdy jego gest czy ruch bez mrugnięcia okiem. Uwięziona między silnymi ramionami akceptuję fakt, że Gabriel kradnie mi dech.

Jego słowa rozbijają się na moich ustach, gdy potwierdza cicho:

– Jestem. Jestem, Mercy.

Grzbiet jego nosa zahacza o przestrzeń za moim uchem, na co mimowolnie wypuszczam z warg tchnienie. Kładąc dłoń na szerokim barku, nie protestuję, gdy czuję, jak jego wargi przesuwają się wzdłuż linii mojej szczęki. Odruchowo podkurczam palce u stóp,

mając wrażenie, że wszystkie mięśnie zaczynają mi drętwieć, naznaczone znajomym dotykiem połączonym z czułością. W moim ciele kumuluje się jedynie podniecenie, co nie pozwala mi myśleć racjonalnie, więc gaszę w sobie wszelką chłodną kalkulację, akceptując sposób, w jaki Gabriel spycha ją na daleki plan.

Szorstkość jego dłoni wprawia mnie w trans, powodując drżenie kończyn. Niemal topię się pod wpływem zmysłowych pieszczot i każdego zetknięcia warg z żuchwą, policzkiem, a później skronią. U zbiegu moich ud z każdą upływającą sekundą wybucha kolejna fala gorąca, której nie staram się nawet utrzymać w ryzach. Wiedziona potrzebą bliskości Gabriela wypycham biodra, a moja kobiecość wychodzi naprzeciw erekcji w jego spodniach. Dosadne sapnięcie rozmywa się gdzieś na mojej szyi.

Intensywność elektryzującego spojrzenia doprowadza mnie do gorączki. Gdzieś w mojej piersi rozlewa się ekscytacja, a w podbrzuszu uwalnia kolejny skurcz, gdy wytatuowana dłoń zamyka moje biodro w uścisku. Zastygam w bezruchu tak prędko, jak Gabriel drugą ręką zaczyna wprawiać w ruch zamek mojej sukienki. Leżąc pod nim otulona już jedynie parnym powietrzem wypełniającym apartament, wyginam usta w słabym uśmiechu.

Spijam z twarzy mężczyzny całą powagę. Zsuwam z niego dolną część garderoby, nie uciekając spojrzeniem od oczu, w których majaczy odcień najprawdziwszej stali. Pojedyncze pukle włosów wchodzą mi na policzki, ale odgarnia je zmysłowy ruch dużych dłoni. Usta Gabriela ponownie stapiają się z moją skórą. Suną w dół, wzdłuż mostka i przez brzuch. Gardło schnie mi na wiór, kiedy czuję jego męskość po wewnętrznej stronie uda. Przedzierający się przez każdy nerw prąd otumania moje zmysły. Wyzwała w krwiobiegu adrenalinę. Wciągam powietrze nosem, słysząc w uszach kołatanie własnego serca.

Uważnie przesuwam wzrokiem po szerokim ramieniu, odwzajemniając spojrzenie wytatuowanego kruka. Przez chwilę wpatruję się w niego bez mrugnięcia okiem, ale szybko zostaję wyrwana z krótkiego transu ciężarem dłoni, która nagle spoczywa na linii mojej szczęki. Gabriel przejeżdża palcem z wydziaranym na nim

rzymskim zapisem cyfry cztery wzdłuż mojej dolnej wargi, po czym czuję, że wypełnia mnie całym swoim rozmiarem.

Wciskam plecy w pościel, oddech mam uwięziony gdzieś w piersi, a palce ułożone na brzuchu mężczyzny. Gabriel wbija się we mnie powoli, ale porządnie. Smagnięcia jego oddechu na piersiach sprawiają jedynie, że każdy ułamek sekundy oczekiwania na kolejny ruch bioder przyprawia mnie o ścisk żołądka i mrowienie na karku. Ale to przeświadczenie o tym, że teraz wszystko nabierze sensu wywołuje na mojej twarzy uśmiech.

Kiedy docieramy na plażę, jest już dziesiąta. Od razu wybieram leżak położony daleko od innych urlopowiczów. Odłożywszy na niego torbę, prostuję się, kładąc dłonie na biodrach i rozglądając się wokoło. Nie otacza nas zbyt wielu ludzi. Gabriel opiera ramię o trzon słomianego parasola, wpatrując się we mnie z czujnością.

– Niezły skwar – stwierdza nagle. – Rozłóż się, a ja pójde po jakąś wodę.

– Tylko nie poddaj się urokowi żadnej Hiszpanki, lowelasie – parskam kpiąco, przesuwając dłonią wzdłuż suwaka sukienki, by chwilę później bez problemu zrzucić ją z ciała.

Gabriel unosi zaczepnie brew, kręcąc głową z politowaniem.

– Jaka szkoda, że bujam się od dawna w jednej zarozumiałej żoźle – prycha, po czym mierzwi dłonią moje włosy i rusza w stronę promenady. Odprowadzam go wzrokiem, uśmiechając się przy tym delikatnie.

Odetchnąwszy ciężko, opadam na leżak. Przez parę minut po prostu leżę bez ruchu, mając zamknięte powieki. Dopiero gdy je uchylam, żeby spojrzeć na torbę i znaleźć w niej kolorowe pisemko, zauważam coś cholernie dziwnego.

Wstaję, by ukłęknać tuż obok leżaka.

Spod przymrużonych powiek obserwuję duże, drukowane litery wyrysowane w piasku najprawdopodobniej palcem, układające się w jedno słowo: „hekatomba”. Mimowolnie ściągam brwi, ale nie jest mi dane dłużej zastanowić się nad jego pochodzeniem. Gabriel, którego głos słyhać dobrze, bo inni urlopowicze są daleko od nas, zmusza mnie do tego, by zdusić w sobie swoje zamiary.

– Mercy? – słysząc, że mężczyzna się zbliża, przesuвам dłonią po piasku i zacieram napis.

# EPILOG

## PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ...

Ciszę zalewającą korytarz Inferno przerwał dźwięczny śmiech ciemnowłosej kobiety, kiedy ta przekroczyła niski próg niewielkiego pomieszczenia, w którym na co dzień urzędował Ethan Mayson. Mercy Stone rozejrzała się rozbieganym wzrokiem po pokoju, upewniając się, że nie ma w nim teraz żywej duszy. Zanim zdążyła ponownie spojrzeć na towarzyszącego jej mężczyznę, ten przywarł zimnymi wargami do jej odkrytego ramienia, sunąc nimi swobodnie w dół.

Nie czuła dyskomfortu, który istniał w jej głowie przez pierwsze miesiące po feralnych, lutowych wydarzeniach. Obecność Gabriela, sposób, w jaki niespiesznie starał się usypiać jej demony, sprawiał, że równie dobrze mogła go nazywać swoją prywatną odtrutką wyganiającą z jej umysłu truciznę i wszystkie udręki.

Położyła dłoń na szerokim barku, gdy podsadził ją na zimny stół.

– To nigdy mi się nie znudzi – stwierdziła, uśmiechając się przy tym powabnie.

Gabriel zastygł na moment w bezruchu tylko po to, by unieść wzrok na jej lekko zarumienioną twarz. Po jego sercu rozlało się dziwne napięcie konfrontujące go z neodpartym wrażeniem, że kobieta, która jeszcze niedawno była cieniem samej siebie, teraz na jego oczach staje się ucieleśnieniem siły. Może to właśnie ona, ta zarozumiała Mercy Stone, ciągle wpadająca w tarapaty, miała uzmysłować mu, że potęga drzemie w sposobie, w jaki komuś skrzywdzonemu udaje się ocknąć z amoku i stwierdzić: „jestem nie do zdarcia”.

– Psucie krwi Maysonowi? – zapytał, przesuwając wytatuowaną dłońią po jej barku, a później ramieniu. Jednym ruchem zsunął

z niego ramiączko zwiewnej sukienki, a jego oddech, gdy tylko owiał jej skórę, sprawił, że każdy włos zjeżył jej się na karku. – To nigdy ci się nie znudzi, co, Mercy? – W jego zachrypniętym głosie usłyszała wyraźną kpinę.

– To dziwne, że nikt mnie jeszcze nie podkablował. – Uśmiechnęła się lekko.

– To kwestia czasu, aż zorientuje się, że wpuszczam na nasze terytorium konkurencję.

Mężczyzna przywarł do niej jeszcze mocniej, tak że drgnęła z zaskoczenia. Położył dużą dłoń na linii jej szczęki, po czym, nachyliwszy się nad nią, odnalazł drogę do pełnych ust. Moment, w którym oplotła go nogami, a jej szpilki przesunęły się wzdłuż jego pośladków, wysłał po jego ciele falę najprawdziwszego podniecenia. W końcu Gabriel oparł wyprostowane ręce na krawędzi stołu, sunąc grzbietem nosa wzdłuż przestrzeni między jej piersiami. Pozwolił na to, by jego ciepły oddech omiótł jej dekolt i wyzwolił w niej ekscytację.

– Więc dobrze, że na razie siedzi na tyłku w Carson City – skwitowała z zadowoleniem, przypominając o jednym z ostatnich przystanków trenera sławnych Diabłów. – Ile będzie jeszcze trwało to jego rozeznawanie się w terenie, co? Tyle samo, co trzy lata temu? – zapytała, a przez jej głowę przedarły się te wszystkie letnie dni, kiedy śledziła poczynania sławnej drużyny pięściarzy.

Gabriel przesunął językiem wzdłuż wargi, wzruszając ramionami.

– Wróci pewnie za parę dni, jak skończy siał postrach w ostatnich klubach bokserkich. Później tradycyjnie zacznie podgrzewać atmosferę, wysyłając swoich parobków do liderów w głosowaniu, a na końcu... sama wiesz, co się wydarzy – odpowiedział.

Mercy skinęła głową prawie od razu. Po chwili bąknęła w zamyśleniu:

– Na końcu odbędzie się słynny maraton.

– Ale do czasu, kiedy Ethan będzie w trasie, możesz szwendać się po jego królestwie. – Gabriel owinał sobie kosmyk ciemnych włosów wokół wytatuowanego palca, po czym zapytał z uniesioną leniwie brwią: – Nie uważasz, że są trochę za długie?

– Chyba będziesz musiał coś na to poradzić. – Musnęła przelotnie jego żuchwę, po czym wstała na równe nogi. Zanim zdążył ją zatrzymać, zajęła miejsce na fotelu przy biurku i sięgnęła do szuflad mebla. – Myślisz, że ma tutaj nożyczki?

Gabriel pokręcił głową z pobłażaniem. Założył ręce na torsie, ale nie spuścił wzroku z jej roześmianej twarzy chociażby na ułamek sekundy. Poczuł, jakby widok tej kobiety, tak ożywionej i pełnej temperamentu, zabrał z jego płuc stutonowy głąz. Teraz mógł odetchnąć głęboko, sycić się świadomością, że wszystko powoli staje się proste i klarowne. W oczach jego wysnionej kobiety zamigotał charakterny błysk, którego przyczynę po chwili poznał.

– Chryste, czy Mayson serio ma w biurku skręty?

Gabriel zeszywniał na moment. W pierwszej chwili pomyślał, że Mercy serwuje mu zwyczajny dowcip, ale kiedy tylko dostrzegł przed sobą cygaro, butelkę z nieznanego pochodzenia trunkiem i kilka podłużnych, cienkich skrętów, poczuł się okłamany. Zupełnie jakby podejrzewał Maysona o bycie jednym z tych świętych celebrytów, którzy w trosce o renomę własnego nazwiska unikają podobnych zachcianek. Potarł w zastanowieniu ostrą linię szczęki, podczas gdy Mercy parsknęła śmiechem.

– Nawet mój Caleb nie jest tak niepozorny jak ten facet – podsumowała, chwytając za skręta i znajdującą się obok niego zapalniczkę. – To jak? Po jednym? – W jej głosie zamajaczyła szczypta prowokacji, którą Gabriel wychwycił od razu. Kiedy tylko znalazł się tuż za fotelem, na którym siedziała, przesunął palcami wzdłuż jej ramienia.

– Jesteś świrnięta – skwitował, zanim ponownie wstała.

Spojrzała mu w oczy, które pociemniały tak szybko, jak odpaliła używkę. Charakterystyczny zapach wdarł się do ich nozdrzy po zaledwie chwili. Kobieta, zaciągnąwszy się po raz pierwszy, wydała z siebie ciche westchnienie. Zapragnęła tej nocy zapomnieć o wszelkich regułach, które wpoila jej do głowy sława i życie gwiazdy.

– Nie masz jutro treningu. Możemy przespać cały dzień i nic nikomu do tego. – Przygryzła wargę, na co Gabriel przesunął wzrokiem po jej zadowolonej twarzy.

Wiedział, że widok jej zagubionej i poharatanej psychicznie zostanie z nim jeszcze na długo. Chwycił za skręta. Wziął bucha. Nie zbuntował się w żaden sposób, gdy po chwili jego usta ponownie spotkały się z jej chłodnymi wargami. Mercy, która zainicjowała pocałunek, poczuła, jakby dziwne napięcie miało zaraz roztopić jej serce. Wsunęła smukłą dłoń pod czarną koszulę mężczyzny. Choć nie mogła go zobaczyć, miała wrażenie, że czuje pod palcami tatuaż kruka, gdy sunęła nimi wzdłuż twardej piersi Gabriela, aż do szerokiego ramienia.

– Co to za strategia, co? Chcesz mnie odurzyć, a później ograbić z forsy? – zapytał sarkastycznie, po czym po raz kolejny przytknął do ust skręta. Czuł, jakby dotyk smukłej dłoni na torsie pozostawiał po sobie dziwne mrowienie. Jakby tak naprawdę wcale go nie cucił, a jeszcze bardziej wprawiał w dziwny trans. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie martw się, mam wystarczająco dużo kasy, więc nie muszę cię okradać. – Wywróciła oczami. – Skoro jutro zapowiada się spokojny dzień, chcę po prostu dzisiaj trochę... przeholować? – bardziej zapytała, niż stwierdziła, a Gabriel niemal od razu wyłapał w jej tonie niemą sugestię. Położył dłoń na jej krągłym biodrze, mrużąc nisko:

– W porządku. Zagalopujmy się.

– I stwierdził to ten celebryta bez skazy, perfekcyjny podopieczny samego May...

Gabriel zamknął jej usta krótkim pocałunkiem. Połknął jej zduszone sapnięcie.

– Mhm. Tak stwierdził. – Przekazał jej używkę, którą przyjęła bez słowa.

Patrzył na to, jak jej policzki zaczynają pąsowieć. Zwracał uwagę na te najmniejsze detale, które sprawiały, że każdego dnia zakochiwał się w niej coraz bardziej. W każdej obrzydliwej wadzie, którą eksponowała, i w każdym pięknym walorze, który skrzętnie zatajała przed całym światem. Przesunął dłoń na jej szczękę, gładząc ją kciukiem.

– Nie wmawiaj sobie, że z tego nie skorzystam. – Puściła mu oczko, a dym ponownie wypełnił jej płuca, gdy znowu swobodnie go

do nich wtłoczyła. – Dam ci pięć tysięcy dolarów, jeśli wymyślisz coś szalonego. Coś, co sprawi, że będę zbierać szczękę z podłogi i pomyślę, że wcale nie jesteś nudziarzem. – Uniosła wyzywająco brew, na co mężczyzna ściągnął swoje.

Był świadomy tego, jak ta kobieta uwielbia sobie z nim pogrywać. Oboje wiedzieli, że Gabriel przystanie na jej prowokującą sztuczkę. W końcu uwielbiał ucierać jej nosa i udowodniać, że się myli. A *przecież nie jestem nudziarzem*, przeszło mu przez myśl, kiedy po drugim wypalonym skręcie poczuł się jak pieprzony zwycięzca, choć na dobrą sprawę nie obmyślił jeszcze żadnego planu, który by mu zapewnił tę wygraną. Nie chciał pięciu tysięcy pieprzonych dolarów. Chciał tylko utemperować tę kobietę.

– Spadamy stąd – stwierdził jakiś czas później, gdy poczuł nagłą potrzebę ruszenia się z miejsca.

Zupełnie tak, jakby zastygnięcie w bezruchu było dla niego karą. Przesunął kciukiem wzdłuż grzbietu nosa, po czym wypuścił ze świstem powietrze. Poczuł się wniebowzięty. Od razu nabrał świadomości, czego to zasługa. Mercy parsknęła pod nosem, zanim ruszyła za nim.

– Trafiałam w czuły punkt? W dumę pana „moje ego jest wielkie jak The Stratosphere”? – zakpiła, po czym rozejrzała się po opustoszałym korytarzu. Pomyślała, że mają wielkie szczęście, że w Inferno nie ma nikogo. Do klubu boksinerskiego przyjechali właściwie tylko po to, by skontrolować, czy nowy sprzęt został zamontowany w salach poprawnie.

– Lepiej już nic nie mów, bo nie masz pojęcia, co siedzi mi w głowie – odparł z powagą, która nie sprawiła, że Mercy poczuła się zmartwiona faktem, że jej portfel zubożeje.

Błądziła rozbieganym wzrokiem po szkarłatnych ścianach i wysokich gablotach. W jej uszach zaszumiało. Przytknęła dłoń do skroni, po czym uniosła kącik ust.

– Bez przesady. Nie pokładałam w tobie ogromnych nadziei.

– Lekceważysz konkurencję? – Gabriel zmrużył oczy. – Cóż, powinnaś mieć z tyłu głowy myśl, że rok temu podczas gali nie przyniosło ci to dobrych rezultatów, skarbie.

– O Boże, minął już szmat czasu od tego nieporozumienia – zagrzmiała, krzyżując ręce pod biustem.

W tej samej chwili przeszła przez próg klubu bokserskiego. Ruszyła schodami na górę. Pociągnęła nosem, ale nawet rześkie powietrze nie zabrało od niej tego stanu otumanienia. Gabriel, zamknąwszy pękiem kluczy drzwi na cztery spusty, odwrócił się i podążył jej tropem, aż stanął obok niej na placu. Niejasna intencja zamigotała w jego grafitowych oczach, ale Mercy zbyła w sobie to nieodparte wrażenie, że coś jest nie tak.

– Nieporozumienia? Dobrze, w takim razie za parę miesięcy znowu uznasz podobny splot wydarzeń za „nieporozumienie”. – W głosie mężczyzny wyczuła prześmiewczą nutę. Zacisnęła palce na materiale burgundowej sukienki, gdy ruszyli przed siebie.

– O, nie. Tym razem to ja zostanę „sportowcem roku” – zaoponowała.

– Najpierw dostaniesz inny tytuł. – Gabriel spojrzął na nią z cwany uśmiechem.

– Tak? Jaki? – Zadarła dumnie nos.

Mężczyzna pokręcił głową. Gdy opuścili teren budynków, skupił się na muzyce grającej z jednej z knajp, migającym szyldzie klubu i pokerowych twarzach mijanych przez nich ludzi. W głowie miał bałagan, ale ten fakt nie przeszkodził mu w dotarciu do właściwego budynku, podpisaniu paru dokumentów, wyciągnięciu z portfela kilkunastu dolarów, a później przekonaniu Mercy, że to, co zaplanował, sprawi, że szczeka jej opadnie.

– Okej, jesteśmy na odludziu – zauważyła prawie po godzinie ciągłego marszu.

Wraz z Gabrielem znajdowali się teraz gdzieś pod miastem. Omiotła gorączkowym spojrzeniem całą niezmierną przestrzeń, która ich otaczała. Oplatając nagie ramiona dłońmi, poczuła nagle mrowienie na plecach. Jej ciałem znowu wstrząsnął błogi entuzjazm.

– Nie do końca. – Gabriel ruszył przed siebie z powagą wymalowaną na twarzy.

Dopiero gdy znaleźli się przed niewielką chatką z drewna, Mercy prychnęła. Może dlatego, że mężczyzna, który podlewał aktualnie kwiatki, spojrzął na nich jak na skończonych pajaców. A może

dlatego, że zrozumiała, że znaleźli się pod cholerną kapliczką. Schowała twarz w dłoniach, bo właśnie zorientowała się, że Gabriel miał naprawdę... mocny argument.

– Trzy lata temu w Reno nie skorzystałeś z okazji – przypomniała mu, wspominając dzień, kiedy to ona postąpiła podobnie. Wtedy oboje byli świadomi tego, że jej pomysł nigdy nie przybierze realnego kształtu. – Więc... dlaczego miałabym iść ci na rękę, hm?

Gabriel przechylił głowę. Ujął jej policzki w wytatuowane dłonie.

– Bo nie jesteś nudziarą.

Mercy parsknęła. Wciąż rozanielona jak diabli zmusiła się do tego, by skinąć nieznacznie głową. Wspięła się na palcach i przesunęła nosem wzdłuż tatuażu znajdującego się na jego szyi. Kochał, gdy doceniała jego dziary, jego biografię, kochał ją całą uczuciem, które nie gasło. Mężczyzna, który na moment przerwał dbanie o otaczający kapliczkę ogródek, stwierdził jedynie w duchu, że skądś kojarzy te twarze. Ale nie zaproponował przeciwko prośbie, którą usłyszał. Po prostu... odprawił pokręconą ceremonię.

Pojedyncze bodźce wciąż docierały do niej jakby w spowolnionym tempie, gdy kilkadziesiąt minut później, kiedy dotarli do mrocznej posiadłości otoczonej lasem, stawiała kroki na betonowych schodach. Rozejrzała się po znajdujących się po ich obu stronach kolumnach wyrzeźbionych w stylu chińskim i położonych do siebie równolegle. Zaciągnęła się rześkim powietrzem, a Gabriel zgubił na moment oddech, gdy na jej bladej cerze odbiły się promienie czerwcowego słońca przebijającego się przez korony rozłożystych drzew.

– Mercy, zaraz padniesz jak długa... – stwierdził z politowaniem, gdy zamiast w stronę rezydencji ruszyła ochoczo do okazałego ogrodu. Drewniane słoje wbite w przystrzyżony trawnik posłużyły jej za ścieżkę. W uszach słyszała jedynie szum własnej krwi i nieśmiertelny skrzek kruków, które upodobały sobie tę posiadłość oraz głos Gabriela.

W końcu dotarła do właściwej części ogrodu. Przesunęła wzrokiem po widocznej z daleka oranżerii, niewielkim stawie znajdującym się gdzieś obok oraz krętych alejkach usypanych żwirem. Zaplotła

dłonie za karkiem, sycąc się chwilą, w trakcie której mogła po prostu... odsapnąć.

Gabriel stanął naprzeciwko niej. Nie dotknął jej jednak, tak jakby poczuł, że nie powinien tego robić akurat teraz. Po prostu pozwolił na to, by jej ciało smagał jedynie lekki wiatr. Jego grdyka drgnęła, kiedy połknął haust powietrza. Aż w końcu i Mercy na niego spojrzała. Jej kruczoczarne rzęsy zatrzepotały, a usta rozchyliły się bezwiednie.

– Wszyscy ciągle powtarzają, że Diabły albo się kocha, albo nienawidzi – zagaiła nagle, po czym, przechyliwszy odrobinę głowę w bok, zaczęła smukłą dłoń na wysokiej latarni. Gabriel zmrużył oczy, gdy kobieta chwilę w zamyśleniu wpatrywała się w martwy punkt przed sobą. Skanował uważnie jej pomiętą sukienkę, niegasnące oczy i potargane włosy.

Wpadła w jego ramiona i zanim zdążył chociażby odetchnąć, zaskoczony widokiem jej powabnego, odrobinę zbyt szerokiego uśmiechu, wypowiedziała na głos obiecujące pytanie:

– Ale co, jeśli tylko jeden z nich jest miłością mojego życia?

## **KONIEC TOMU DRUGIEGO**

# PLAYLISTA

Easier – Mansionair  
I'll Make You Love Me – Kat Leon  
You Don't Own Me – SAYGRACE, G-Eazy  
Horns – Bryce Fox  
Twisted - MISSIO  
Do It For Me – Rosenfeld  
Young God – Halsey  
You Get Me So High – The Neighbourhood  
I'm A Wanted Man – Royal Deluxe  
A Little Wicked – Valerie Broussard  
Love Is A Bitch – Two Feet  
Entertainer – ZAYN  
Sweet But Psycho – Ava Max  
More Than You Know – Axwell, Ingrosso  
Him & I – G-Eazy, Halsey  
Monsters – Ruelle  
Born Without A Heart – Faouzia  
Twisted Games – Night Panda, Krigare  
Demons – Jacob Lee  
Man Or A Monster – Sam Tinnesz, Zayde Wolf  
Dangerous Game – Klergy, BEGINNERS  
Silhouette - Aquilo  
Secret Love Song Pt. II – Little Mix  
Bloodstream (Quartet Session) – Stateless  
Deep End – Ruelle  
Broken Roots – Michl  
Where's My Love (Piano And Viola Version) – SYML  
Can I Exist - MISSIO  
Can You Hold Me – NF, Britt Nicole